

Nowa
Fantastyka

ORSON SCOTT
CARD
BADACZE
CZASU



Prószyński i S-ka

ORSON SCOTT CARD

**BADACZE CZASU:
ODKUPIENIE KRZYSZTOFA
KOLUMBA**

Tytuł oryginału: Pastwatch: The Redemption of Christopher Columbus

Przełożył: Marcin Wawrzyńczak

Tomowi Doherthy'emu, wydawcy z planety Krypton.

*Ma serce ze złota,
Jego słowo jest stalą,
A on sam zna terytorium.*

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne albo zostały przedstawione w fikcyjnym kontekście.

W powieści Autor wykorzystał wątek własnego opowiadania Atlantis, © 1992, które zostało opublikowane w zbiorze Grails: Quests, Visitations and Occurrences, wydanym pod redakcją Richarda Gilliama, Martina H. Greenberga i Edwarda E. Kramera.

PODZIĘKOWANIA

Moje płynące z głębi serca podziękowania niech przyjmą:

- Clark i Kathy Kidd, za sympatyczne towarzystwo, “wirtualną” pustelnię oraz wnikliwe uwagi Kathy na temat wielu rozdziałów;
- Henrique Flory, za pomoc i inspirację;
- mieszkańcy Hatrack River w sieci America Online, za zwrócenie mojej uwagi na dylematy, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy;
- Richard Gilliam, za cierpliwe oczekiwanie na powieść o Atlantydzie;
- Don Grant, za wiele pięknych książek i cierpliwość w oczekiwaniu na powieść, której tworzenie nie przebiegało w zgodzie z kalendarzem;
- Michael Lewis, za Morze Czerwone;
- Dave Dollahite, za Majów;
- Sid Meier, choć mam do niego pretensję za grę pod nazwą “Cywilizacja”, która poważnie utrudniała mi skupienie się na twórczej pracy (aczkolwiek polecam ją wszystkim, którzy chcą osobiście doświadczyć, czym jest zmienianie historii);
- moi asystenci, Kathleen Bellamy i Scott Allen, za wiele spraw, mniej i bardziej ważnych;
- jak zawsze, dziękuję Kristine, dzięki której życie staje się możliwe, oraz Geoffowi, Em, Charlie’emu Benowi i Zinie za nadanie mu znaczenia.

PROLOG

BADACZE CZASU

Jedni nazywali to “czasem odrabiania”; inni, chcąc wykazać się bardziej pozytywnym nastawieniem, mówili o “rekultywacji”, “odnawianiu”, czy nawet “wskrzeszaniu” Ziemi. Wszystkie te określenia były adekwatne. Poblądzili, a teraz starali się wycofać i naprawić błędy. Wiele stracili bezpowrotnie, lecz ciągle mieli nadzieję.

Nawożono glebę na obszarach dawnych dżungli tropikalnych, by drzewa znowu mogły pięć się ku niebu. Zabroniono wypasu na obrzeżach wielkich pustyń Afryki i Azji, siano trawę, by step i sawanna mogły stopniowo odzyskać terytorium, które utraciły na rzecz jałowego piasku i żwiru. Chociaż orbitalne stacje pogodowe nie mogły zmieniać klimatu, potrafiły na tyle pokierować wiatrem, że żadne miejsce na Ziemi nie cierpiało z powodu suszy, powodzi czy braku słońca. W wielkich rezerwatach dzikie zwierzęta, które przetrwały, uczyły się żyć ponownie na wolności. Wszystkie narody świata po równo dzieliły się żywnością i nikt nie obawiał się już głodu. Nauczyciele przychodzili do wszystkich dzieci, każdy człowiek miał uczciwą szansę wykazania się umiejętnościami, realizacji pasji i pragnień.

Powinien to być szczęśliwy czas, naznaczony parciem ludzkości ku przyszłości, gdzie świat będzie uzdrowiony, gdzie będzie można wieść spokojne życie bez wstydu, że dzieje się to kosztem innych. I dla wielu – może dla większości – był to taki czas. Jednak wielu innych nie mogło zapomnieć o mrokach przeszłości. Zbyt wiele okazało się niemożliwe do uratowania. Zbyt wielu ludzi, zbyt wiele narodów pogrzebano w zapomnieniu. Kiedyś na Ziemi żyło siedem miliardów ludzi. Pozostała ledwie jedna dziesiąta, by doglądać planetarnych ogrodów. Ci, którzy przetrwali, nie mogli łatwo zapomnieć stulecia wojen i zarazy, suszy, powodzi i głodu, desperackiej furii przeradzającej się w rozpacz. Każdy krok stawiali na czyimś grobie.

Tak więc nie tylko lasy i trawiaste równiny przywracano do życia. Ludzie pragnęli również odnaleźć zagubione wspomnienia, opowieści, krzyżujące się wzajemnie człowiecze ścieżki, prowadzące ku czasom chwały i czasom hańby. Skonstruowali maszyny umożliwiające zagłębienie w przeszłość, oglądanie z początku wielkich zmian na przestrzeni stuleci, a potem, w miarę

jak udoskonalono technologię, twarzy i głosów zmarłych.

Wiedzieli oczywiście, że nie mogą wszystkiego zarejestrować. Nie było dość żywych, by poznać wszystkie działania umarłych. Jednak zapuszczając sondę tu i tam, śledząc drogę od powstania jakiegoś narodu do jego zguby, badacze czasu potrafili opowiadać historię, prawdziwe bajki wyjaśniające, jak rodziły się i ginęły narody; dlaczego mężczyźni i kobiety zazdrościli, gniewali się i kochali; dlaczego dzieci śmiały się w blasku słońca i drżały w mroku nocy.

Badacze czasu przypomnieli tak wiele zapomnianych legend, odtworzyli tak wiele zagubionych lub zniszczonych dzieł sztuki, odkryli tak wiele zwyczajów, mód, dowcipów i gier, tak wiele systemów religijnych i filozoficznych, że czasem wydawało się, iż nie ma potrzeby szukać więcej. Zdawało się, że cała historia jest dostępna, a jednak badacze ledwie zeskrobali wierzchnią warstwę przeszłości; radowali się perspektywą nieskończonego myszkowania po zakamarkach czasu.

1 – PANI GUBERNATOR

Tylko raz Krzysztof Kolumb pożałował, że wyruszył w podróż. Było to w nocy dwudziestego trzeciego sierpnia, w porcie Las Palmas na wyspie Gran Canaria.

Po długich latach starań jego trzy karawele wyszły wreszcie w morze z portu Palos i niemal natychmiast wpadły w tarapaty. Po tym jak wielu kapłanów i szlachciców na dworach Hiszpanii i Portugalii uśmiechało się do niego, a skrycie próbowało go zniszczyć, Kolumbowi trudno było uwierzyć, że nie

ma do czynienia z sabotażem, kiedy ster “Pinty” poluzował się i niemal złamał. W końcu Quintero, właściciel “Pinty”, był tak zaniepokojony perspektywą wysłania swego małego stateczku w niebezpieczną wyprawę, że zamustrował się jako zwykły marynarz, by pilnować swej własności. Pinzon zaś powiedział Kolumbowi, że widział grupkę mężczyzn zebranych przy rufie “Pinty”, gdy stawiali żagle. Ster został naprawiony na morzu, ale następnego dnia znowu uległ uszkodzeniu. Pinzon wściekł się, przyrzekł jednak Kolumbowi, że w najbliższych dniach doprowadzi “Pintę” do Las Palmas.

Kolumb tak bardzo ufał w umiejętności i lojalność Pinzona, że nie myślał już więcej o “Fincie”. Pożegłował z “Santa Marią” i “Niną” na wyspę Gomera, gdzie Beatriz de Bobadilla sprawowała urząd gubernatorski. Czekał od dawna na to spotkanie, okazję do fetowania zwycięstwa z osobą, która dała jasno do zrozumienia, że stoi po jego stronie. Jednak pani Beatriz nie zastał na wyspie. Gdy czekał, dzień za dniem, musiał znosić dwa wyjątkowe utrapienia.

Pierwszym była konieczność uprzejmego wysłuchiwanie drobnych dworaków Beatriz, którzy uparcie opowiadali mu wierutne bzdury o tym, jak to w jasne dni z Ferro, najdalej na zachód wysuniętej spośród Wysp Kanaryjskich, widać odległy zarys błękitnej wyspy na zachodnim horyzoncie – jakby wiele statków nie popłynęło już tak daleko na zachód! Nauczył się jednak uśmiechać uprzejmie i kiwać głową w obliczu nawet największych idiotyzmów. Bez tej umiejętności przeżycie na dworze nie było możliwe, a Kolumb zdobywał szlify nie tylko na przenoszącym się z miejsca w miejsce dworze Ferdynanda i Izabeli, lecz także na bardziej ustatkowanym i bardziej aroganckim dworze króla Portugalii Joao. Wytrzymawszy całe dziesięciolecie oczekiwania na przyznanie mu statków, ludzi i prowiantu, i co ważniejsze, zezwolenie na odbycie tej podróży, mógł teraz przeżyć parę dni prowadząc dysputy z głupcami. Czasem jednak aż zgrzytał zębami, by nie wyrzucić z siebie, jak bardzo muszą być bezużyteczni w oczach Boga i ludzi, jeśli nie potrafią zrobić ze swoim życiem nic lepszego, niż snuć się z kąta w kąt po pałacu gubernatorskim i plotkować z nudów. Bez wątpienia stanowili dla Beatriz źródło rozrywki – dała wyraz swojej pogardzie dla większości przedstawicieli stanu rycerskiego, rozmawiając z Kolumbem na królewskim dworze w Santa Fe. Bez wątpienia nie szczędziła im ironicznych przycinków, których oni wcale nie pocztywali za ironiczne.

O wiele gorszy był jednak brak wiadomości z Las Palmas. Zostawił tam ludzi

z rozkazem, by powiadomili go, gdy tylko Pinzon zdoła wprowadzić “Pintę” do przystani. Wiadomość jednak nie nadchodziła przez kolejne dni, tymczasem zaś głupota dworaków stawała się coraz bardziej nie do zniesienia, aż wreszcie Kolumb zrezygnował z dalszego czekania. Pożegnawszy z ulgą dworaków, ruszył do Las Palmas, gdzie dotarł dwudziestego trzeciego sierpnia i przekonał się, że “Pinta” wciąż jeszcze nie przybyła.

Natychmiast przyszły mu do głowy najczarniejsze myśli. Sabotażyści byli do tego stopnia zdecydowani doprowadzić do fiaska wyprawy, że wywołali bunt. Może w jakiś sposób przekonali Pinzona, by zawrócił i pożegłował ku wybrzeżom Hiszpanii. Lub też porwały ich prądy Atlantyku, unosząc ku jakimś nieznanym przeznaczeniom. A może wzięli ich do niewoli piraci – albo Portugalczycy, którzy mogliby pomyśleć, że stanowią część jakiejś głupiej, przedsięwziętej przez Hiszpanię próby zdobycia ich prywatnych terenów u wybrzeży Afryki. Albo też Pinzon, który wyraźnie uważał się lepszego niż Kolumb kandydata na dowódcę ekspedycji – chociaż nigdy nie potrafiłby zdobyć królewskiego poparcia finansowego dla niej, brakowało mu bowiem zarówno wykształcenia, manier, jak i cierpliwości po temu koniecznej – mógł ulec głupiemu pragnieniu pożegłowania na zachód i dotarcia do Indii przed Kolumbem.

Każda z tych hipotez była sensowna, i w różnych momentach każda z nich wydawała się najbardziej prawdopodobna. Kolumb porzucił towarzystwo tej nocy i padł na kolana – nie po raz pierwszy, ale z niespotykanym dotąd gniewem na Wszechmogącego.

– Zrobiłem wszystko, co mi nakazałeś – powiedział. – Napierałem i prosiłem, i nigdy nie okazałeś mi najmniejszej zachęty, nawet w najgorszych chwilach. A jednak nie załamałem się, wciąż wierzyłem, i w końcu osiągnąłem swoje. Wyruszyliśmy w morze. Mój plan jest dobry. Pora roku odpowiednia. Załoga dobrze wyszkolona, nawet jeśli uważają się za lepszych marynarzy niż ich dowódca. Teraz, po wszystkim, co musiałem znieść do tej chwili, pragnąłem tylko jednego: żeby wreszcie coś poszło dobrze.

Czy były to nazbyt śmiało słowa skierowane do Pana? Zapewne. Kolumb przemawiał jednak śmiało do potężnych ludzi już wcześniej, tak więc słowa gładko spłynęły z jego serca na język. Bóg mógł go za to pokarać, jeśli taka była Jego wola – Kolumb oddał się w ręce Boskie wiele lat wcześniej, i był już znużony.

– Czy to było dla Ciebie zbyt wiele, o najłaskawszy Panie? Czy musiałeś

zabrać mój trzeci statek? Mojego najlepszego żeglarza? Czy musiałeś nawet pozbawić mnie przyjemności obcowania z panną Beatriz? Jest oczywiste, że nie znalazłem uznania w Twoich oczach, o Panie, toteż wzywam Cię, byś znalazł kogoś innego. Ześlij na mnie śmierć, jeśli chcesz, nie będzie to gorsze niż zabijanie mnie po kawałeczku, co wydaje się Twoim obecnym zamiarem. Coś Ci powiem. Pozostanę na Twoich usługach jeszcze przez jeden dzień. Oddaj mi “Pintę” albo pokaż, co mam zrobić, przysięgam bowiem na Twoje najświętsze i najbardziej przerażające imię, że nie wypłynę w taką podróż z mniej niż trzema statkami, dobrze zaopatrzonymi i obsadzonymi wyszkoloną załogą. Postarzałem się służąc Tobie. Jutro wieczorem zamierzam złożyć dymisję i żyć z emerytury, jaką mi przeznacysz. – Potem się przeżegnał. – W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Po zakończeniu tej całkowicie bezbożnej i obraźliwej modlitwy nie mógł zasnąć. Ciągłe wściekły zeskoczył z koi i padł ponownie na kolana.

– Choć oczywiście stanie się wola Twoja, nie moja! – krzyknął z furją, po czym wdrapał się z powrotem na koję i spał jak zabity.

Następnego ranka “Pinta” zawinęła do przystani. Kolumb uznał to za ostateczne potwierdzenie, iż Bogu naprawdę zależy na sukcesie jego przedsięwzięcia. Doskonale, pomyślał. Nie ukarałeś mnie za moją śmiałość, Panie; w zamian przysłałeś mi “Pintę”. Udowodnię zatem, że nadal jestem Twoim wiernym sługą.

Uczynił to zapędzając do roboty nieledwie połowę mieszkańców Las Palmas. W porcie pełno było cieśli, smolarzy, kowali i szwaczy, i zdawało się, że wszyscy zostali zatrudnieni na pokładzie “Pinty”. Pinzon tłumaczył się, przeproszał – dryfowali przez niemal dwa tygodnie, zanim wreszcie, wyłącznie dzięki swoim wspaniałym umiejętnościom żeglarskim, zdołał wprowadzić “Pintę” do portu, tak jak obiecał. Kolumb nadal był pełen podejrzeń, ale nie dawał nic po sobie poznać. Jakkolwiek wyglądała prawda, Pinzon był już na miejscu, podobnie jak “Pinta”, wraz z ponurym Quintero na pokładzie. Kolumb nie potrzebował nic więcej.

I podczas gdy robotnicy portowi Las Palmas dawali mu posłuch, udało mu się wreszcie przekonać Juana Nino, właściciela statku “Nina”, żeby zmienił trójkątne żagle na kwadratowe, podobnie jak na pozostałych karawelach, tak by wszyscy mogli chwytać te same wiatry i z pomocą Boską dotrzeć razem na dwór cesarza Chin.

Doprowadzenie wszystkich trzech karawel do stanu lepszego niż na początku podróży zajęło tylko tydzień; tym razem nie doszło do żadnych

niespodziewanych awarii. Jeśli poprzednie były dziełem sabotażystów, teraz burzycieli musiał otrzeźwić fakt, że zarówno Kolumb, jak i Pinzon byli zdecydowani płynąć dalej za wszelką cenę – nie mówiąc już o tym, że w razie fiaska ekspedycji cała załoga musiałaby pozostać na Wyspach Kanaryjskich, z marnymi perspektywami rychłego powrotu do Palos.

Bóg zaś okazał się tak łaskawy, że kiedy Kolumb pożeglował na Gomerę po ostatnie zapasy dla swoich statków, gubernatorska flaga powiewała nad blankami zamku San Sebastian.

Wszelkie wątpliwości, jakie mógł żywić co do tego, czy Beatriz de Bobadilla nadal darzy go szacunkiem, rozwiały się natychmiast. Gdy zapowiedziano jego przybycie, pani gubernator niezwłocznie odprawiła wszystkich dworaków, którzy tak naprzykrzali się Kolumbowi tydzień wcześniej.

– Cristobal, mój bracie, mój przyjacielu! – zawołała. Kiedy ucałował jej dłoń, poprowadziła go do ogrodu, gdzie usiedli w cieniu drzewa, i Kolumb opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się od czasu ich spotkania w Santa Fe.

Pani Beatriz słuchała z uwagą, zadając inteligentne pytania i reagując śmiechem na jego opowieść o okrutnym wybiegu, jaki król zastosował wobec niego zaraz po podpisaniu paragrafów umowy.

– Zamiast zapłacić za trzy karawele, wyciągnął jakieś przestępstwo popełnione Bóg wie kiedy przez miasto Palos – szmugiel, bez wątpienia...

– Główne zajęcie tutejszych mieszkańców, jak mi mówiono – wtrąciła Beatriz.

I za karę kazał im zapłacić grzywnę równą wartości dokładnie dwóch karawel.

– Dziwne, że nie kazał im zapłacić za wszystkie trzy – powiedziała pani gubernator. – Ferdynand to twarda sztuka. Ale sfinansował wojnę nie bankrutując przy tym. I właśnie wypędził wszystkich Żydów, toteż zupełnie nie ma od kogo pożyczać.

– Ironia losu polega na tym, że siedem lat temu książę Sidonii kupiłby mi trzy karawele w Palos ze swojej własnej kiesy, gdyby korona mu tego nie zakazała.

– Kochany stary Enrique – zawsze miał więcej pieniędzy niż korona i nie może pojąć, dlaczego nie czyni go to bardziej od niej potężnym.

– Chyba możesz sobie wyobrazić, jak radośnie powitano mnie w Palos. A potem, żeby uderzyć po równo w oba policzki, król wydał oświadczenie, że każdy mężczyzna, który zgłosi się do udziału w mojej wyprawie, zostanie

zwolniony z odpowiedzialności za wszelkie przestępstwa, a nawet zbrodnie, jakich się dopuścił.

– Och, nie!

– Och, tak! Domyślasz się, jak podziałało to na prawdziwych marynarzy w Palos. Nie mieli zamiaru płynąć z bandą przestępców i dłużników – lub narażać się na podejrzenia, że sami potrzebują królewskiej łaski.

– Jego Wysokość bez wątpienia uważał, że edykt tego rodzaju będzie konieczny, by ktokolwiek zgodził się na udział w twojej szalonej eskapadzie.

– Tak, cóż, jego “pomoc” nieomal zniszczyła ekspedycję na samym początku.

– A więc, ilu przestępców i bankrutów masz na pokładzie?

– Ani jednego, w każdym razie nic o tym nie wiem. Bogu dzięki za Martina Pinzona.

– Tak, to człowiek legenda.

– Słyszałaś o nim?

– Wszystkie opowieści żeglarskie docierają na Wyspy Kanaryjskie. Żyjemy na morzu.

– Pinzon ujrzał całą sprawę w szerokiej perspektywie. Kiedy rozgłosił, że ze mną płynie, zaczęli przybywać ochotnicy. I to jego przyjaciele zaryzykowali udostępniając nam swoje karawele.

– Nie za darmo oczywiście.

– Mają nadzieję, że się wzbogacą, przynajmniej według ich standardów.

– A ty zamierasz się wzbogacić według twoich.

– Nie, pani. Ja chcę być bogaty według twoich standardów.

Zaśmiała się i dotknęła jego ramienia.

– Cristobal, jak dobrze znowu cię widzieć. Jakże się cieszę, że to ciebie Bóg wybrał na bohatera tej wojny przeciwko oceanowi i królewskiemu dworowi Hiszpanii.

Jej uwaga została wypowiedziana lekkim tonem, ale dotknęła kwestii całkiem delikatnej: tylko Beatriz wiedziała, że Kolumb przedsięwziął swoją ekspedycję na polecenie Boga. Kapłani z Salamanki mieli go za głupca, ale gdyby choć raz zdradził się ze swą wiarą w to, iż przemówił do niego Bóg, zostałby okrzyknięty heretykiem i byłby to koniec jego nadziei na wyprawę do Indii. Beatriz również nie miał zamiaru mówić; nie chciał mówić nikomu, nie powiedział nawet swojemu bratu Bartolomeo ani swej żonie Felipie przed jej śmiercią, ani nawet ojcu Perezowi w La Rabida. A jednak za ledwie w godzinę po poznaniu pani Beatriz, już jej powiedział. Nie wszystko,

oczywiście. Ale to, że Bóg go wybrał, że nakazał mu wyruszyć w tę podróż, tyle jej powiedział.

Dlaczego to zrobił? Dlatego że wiedział, iż może jej ufać nad życie. Lub dlatego że patrzyła na niego z tak przenikliwą inteligencją, że było jasne, iż żadne inne wyjaśnienie jej nie przekona. Mimo to nie powiedział Beatriz nawet połowy prawdy, nawet ona bowiem uznałaby go za szaleńca.

Nie uważała go za szalonego, a jeśli nawet, to najwyraźniej miała słabość do szaleńców. Słabość, która rozwijała się, przekraczając jego najśmielsze oczekiwania.

– Zostań ze mną na noc, mój Cristobalu – powiedziała Beatriz de Bobadilla.

– Pani... – rzekł, nie wiedząc, czy dobrze usłyszał.

– Żyłeś z pospolitą kobietą imieniem Beatriz w Kordowie. Urodziła ci dziecko. Nie możesz udawać, że wiesz życie mnicha.

– Jestem chyba skazany na uleganie urokom dam o imieniu Beatriz. I żadnej z nich nie mogę nazwać kobietą pospolitą.

Pani Beatriz zaśmiała się lekko.

– Udało ci się wypowiedzieć komplement pod adresem swojej dawnej kochanki i tej, która będzie nią teraz, w jednym zdaniu. Nic dziwnego, że zdołałeś poradzić sobie z kapłanami i uczonymi. Śmiem twierdzić, że królowa Izabela zakochała się w twoich rudych włosach i ogniu twoich oczu, tak samo jak ja.

– Bardziej siwych niż rudych, mam wrażenie.

– Nie powiedziałabym tego – odparła.

– Pani, przybywając na Gomerę modliłem się o twoją przyjaźń. Nie śmiałem marzyć o czymkolwiek więcej.

– Czy jest to początek długiego i wdzięcznego przemówienia, które w istocie okaże się odrzuceniem mojej propozycji?

– Ach, pani Beatriz, nie odrzuceniem, lecz może odsunięciem w czasie.

Pogładziła go po policzkach.

– Wiesz, Cristobalu, wcale nie jesteś przystojny.

– Ja również zawsze tak uważałem.

– A jednak nie można oderwać od ciebie wzroku. Nie można również przestać o tobie myśleć, kiedy odchodzisz. Jestem wdową, a ty jesteś wdowcem. Bóg uznał za stosowne uwolnić naszych małżonków od mąk tego świata. Czy również nas muszą dręczyć nie spełnione pragnienia?

– Pani, nie chcę wywołać skandalu. Gdybym pozostał na noc...

– Och, czy to wszystko? W takim razie opuść zamek przed północą.

Przerzucę jedwabny sznur przez blanki.

– Bóg odpowiedział na moje modlitwy – rzekł Kolumb.

– I słusznie, skoro wypełniasz Jego misję.

– Nie chcę teraz zgrzeszyć i stracić Jego łaski.

– Wiedziałam, że powinnam była uwieść cię jeszcze w Santa Fe.

– I jest jeszcze coś, pani. Kiedy powrócę z tej wielkiej wyprawy w glorii zwycięzcy, nie będę już małym, którego jedynym prawem do szlachectwa jest fakt, że wzenił się kiedyś w niezbyt nobliwą rodzinę Madeira. Jestem wprawdzie admirałem oceanu, ale będę wicekrólem. – Uśmiechnął się szeroko. – Widzisz, pani, mam to wszystko na piśmie, tak jak mi poradziłaś.

– Cóż, wicekrólem, właśnie tak? Wątpię, byś wtedy poświęcił choć jedno spojrzenie pani gubernator jakiejś odległej wyspy.

– Och, nie, pani! Jako admirał oceanu, przyglądając się mojej domenie...

– Niczym Posejdon, władca wszystkich brzegów, które oblewane są falami morza...

– Nie znajdę bardziej drogocennej korony niż wyspa Gomera, i wspanialszego klejnotu w tej koronie niżli nadobna Beatriz.

– Zbyt długo przebywałeś na dworze. Twoje komplementy brzmią, jakby były wyćwiczone.

– Ależ oczywiście, że są. Ćwiczyłem je dzień po dniu, przez cały tydzień, kiedy w udręce czekałem tutaj na twój powrót.

– Na powrót “Pinty”, chciałeś powiedzieć.

– I ty się spóźniałaś, i ona. Twój ster jednak nie był uszkodzony.

Poczerwieniała, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Skarżyłaś się, że moje komplementy są zbyt dworskie. Pomyślałem, że ucieszy cię pochwała rodem z portowej tawerny.

– A więc tak to wygląda. Czy dziewczki śpią z marynarzami za darmo, kiedy usłyszą takie ładne słówka?

– Nie dziewczki, pani. Taka poezja nie jest przeznaczona dla tych, które można zwyczajnie kupić za pieniądze.

– Poezja?

– Tyś mą karawelą, z żaglami przez wiatr wydętymi...

– Uważaj na swe marynarskie porównania, mój przyjacielu.

– Z żaglami przez wiatr wydętymi i jaskrawoczerwonymi banderami ust, tańczącymi radośnie, gdy mówisz.

– Pięknie składasz wersy. Czy też wcale nie wymyślasz tego na poczekaniu?

– Wymyślam wszystko. Ach, twój oddech jest błogosławionym wiatrem, o

który modlą się żeglarze, a widok twojej rufy sprawia, że biednemu marynarzowi prostuje się maszt...

Spoliczkowała go, nie po to jednak, by sprawić mu ból.

– Rozumiem, że na niwie poezji odniosłem porażkę.

– Pocałuj mnie, Cristobal. Wierzę, że Bóg zlecił ci misję, lecz gdybyś miał nigdy nie powrócić, chcę chociaż móc wspominać twój pocałunek.

Pocałował ją więc, i znowu, i znowu... Potem jednak ją opuścił i zajął się ostatnimi przygotowaniami do wyprawy. Była to teraz praca dla Boga; po jej zakończeniu nadejdzie czas na odebranie ziemskich nagród. Chociaż kto mógł powiedzieć na pewno, że pani Beatriz nie jest nagrodą zesłaną przez niebo? Przecież Bóg uczynił ją wdową, i zapewne również Bóg sprawił, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu pokochała syna genueńskiego tkacza.

Ujrzał ją, a może mu się wydawało – ale kto mógł to być jeśli nie ona? – machającą ku niemu szkarłatną chusteczką niczym flagą z murów zamku, gdy karawele wychodziły wreszcie w morze. Podniósł dłoń w salucie, a potem zwrócił twarz na zachód. Nie spojrzy ponownie na wschód, ku Europie, ku domowi, dopóki nie osiągnie tego, do czego przeznaczył go Bóg. Ostatnie przeszkody z pewnością były już za nim. Dziesięć dni żeglugi i postawi stopę na brzegu Kataju albo Indii, Wysp Korzennych albo Cipango. Nic nie mogło go teraz powstrzymać, był z nim bowiem Bóg, był z nim od tamtego pamiętnego dnia, kiedy pojawił się na plaży i nakazał mu porzucić marzenia o krucjacie. “Wyznaczyłem ci trudniejsze zadanie” – powiedział wtedy Bóg, a teraz Kolumb był bliski realizacji tego zadania. Zmierzał do celu. Ta świadomość przepełniała go niczym wino, niczym światło, niczym wiatr w żaglach nad jego głową.

2 – NIEWOLNICY

Chociaż Tagiri nie cofnęła się fizycznie w czasie, prawdą będzie powiedzenie, że to ona zatrzymała Kolumba na wyspie Hispaniola i zmieniła oblicze historii na zawsze. Chociaż urodziła się siedem stuleci po wyprawie Kolumba i nigdy nie opuściła rodzinnego kontynentu afrykańskiego, znalazła

sposób, by sięgnąć w przeszłość i uniemożliwić Europejczykom dokonanie podboju Ameryki. Nie był to akt przepełniony wrogością. Niektórzy przyrównywali go do operacji bolesnej przepukliny u dziecka z porażeniem mózgowym: po operacji dziecko pozostanie upośledzone umysłowo, ale nie będzie już cierpiało tak jak wcześniej. Tagiri widziała jednak całą sprawę inaczej.

– Historia nie jest preludium – powiedziała kiedyś. – Wprawdzie na świecie teraz panuje szczęście, lecz to nie usprawiedliwia cierpienia ludzi w przeszłości. Ich cierpienie liczy się tak samo jak nasz pokój i szczęście. Wyglądamy przez nasze złote okna i ze smutkiem obserwujemy krwawe sceny – bitwy, zarazy, klęski żywiołowe – rozgrywające się dokoła. Wcześniej wierzyliśmy, że nie da się cofnąć czasu i poczynić zmian, i dlatego można było nam wybaczyć, że raz na jakiś czas roniliśmy tylko łzę nad losem ludzi z przeszłości i dalej wiedliśmy spokojne życie. Teraz jednak, kiedy wiemy, że jesteśmy władni im pomóc, jeśli się odwrócimy i pozwolimy, by ich cierpienie trwało dalej, to znaczy, że nie żyjemy wcale w złotym wieku i nasze szczęście będzie zatrute. Dobrzy ludzie nie pozwalają innym cierpieć niepotrzebnie. – Słowa te były trudne do zaakceptowania, ale niektórzy zgadzali się z Tagiri. Nie wszyscy, lecz w ostatecznym rozrachunku wystarczająco wielu.

Nie w wizerunku jej rodziców, wychowaniu czy wykształceniu nie wskazywało na to, że któregoś dnia, zmieniając historię, stworzy nowy świat. Jak w przypadku większości młodych ludzi dołączających do programu badania czasu, Tagiri po raz pierwszy użyła maszyny Tempoview, by prześledzić losy własnej rodziny, pokolenie za pokoleniem wstecz. W niejasny sposób była świadoma, że jako nowicjuszka będzie obserwowana przez pierwszy rok. Czyż nie powiedzieli jej jednak, że w miarę jak będzie uczyła się kontrolować i dostrajać urządzenie (“to sztuka, nie nauka”), może badać wszystko, co zechce? Toteż nie przejęłaby się zbyt, gdyby dowiedziała się, że jej przełożeni potakująco kiwają głowami patrząc, jak Tagiri śledzi swój ród po kądzieli aż do wioski plemienia Dongotona na brzegach rzeki Koss. Chociaż stanowiła mieszaninę ras, tak jak wszyscy na świecie w tych czasach, wybrała linię, która miała dla niej największe znaczenie, stanowiła podstawę jej poczucia tożsamości. Dongotona to nazwa plemienia i górzystego kraju przez nie zamieszkiwanego, gdzie stał starodawny dom pramatek Tagiri, wioska Ikoto.

Trudno było nauczyć się obsługiwać Tempoview. Chociaż maszyna

wyposażona była w doskonałe wspomaganie komputerowe, tak że można było dostać się do określonego miejsca i czasu z dokładnością do kilku minut, żaden komputer nie mógł pokonać tego, co badacze czasu nazywali problemem znaczenia. Tagiri wybierała punkt orientacyjny w wiosce – niedaleko głównej ścieżki wijącej się pomiędzy domami – i ustawiała zakres czasowy, na przykład tydzień. Komputer wychwytywał następnie pojawienia się ludzi i rejestrował wszystko, co zaszło w obrębie punktu orientacyjnego.

Wszystko to działo się w przeciągu minut – i wymagało olbrzymich ilości prądu; u zarania dwudziestego trzeciego stulecia energia słoneczna była jednak tania. Przez pierwsze tygodnie większość czasu Tagiri pochłaniało przedzieranie się przez jałowe rozmowy, nieważne wydarzenia. Nie wydawały się jałowe czy nieważne od początku. Tagiri mogła słuchać każdej rozmowy z zachwytem. To byli prawdziwi ludzie, z jej własnej przeszłości! Niektórzy byli jej przodkami i prędzej czy później ich zidentyfikuje. Tymczasem jednak kochała wszystkich – zalotne dziewczęta, burczących starych mężczyzn, zmęczone kobiety karcące niegrzeczne dzieci; ach, te dzieci! Cierpiące na grzybicę, głodne, radosne dzieci, zbyt młode by wiedzieć, że są biedne, i zbyt biedne by wiedzieć, że nie wszyscy na świecie budzą się głodni rano i głodni idą spać wieczorem. Były tak pełne radości życia!

Po kilku tygodniach Tagiri natrafiła na problem znaczenia. Obejrząwszy kilka tuzinów flirtujących dziewcząt, wiedziała, że wszystkie dziewczęta w Ikoto flirtują w mniej więcej ten sam sposób. Obejrząwszy kilka tuzinów kłótni, zabaw, przedrzeźniań i gonitw pomiędzy dziećmi, zdała sobie sprawę, że liczba możliwych kombinacji kłócenia się, bawienia, przedrzeźniania i gonienia w berka jest ograniczona. Jak dotąd nie znaleziono sposobu na to, by komputery Tempoview wyszukiwały niezwykle, niemożliwe do przewidzenia zachowania ludzkie. Samo nauczenie ich, by rozpoznawały sylwetki ludzi, było wystarczająco trudne; w początkowym okresie badacze czasu musieli przedzierać się przez niezliczone sceny podrywających się w powietrze i lądujących ptaków, śmigających w trawie jaszczurek i myszy, by wreszcie odszukać kilka ludzkich interakcji.

Tagiri znalazła własne rozwiązanie – niewielu je wybierało, ale ci, którzy ją obserwowali, nie byli zaskoczeni, że poszła właśnie tą drogą. Podczas gdy większość badaczy zaczynała polegać w swojej pracy na wyliczeniach statystycznych, selekcyjując poszczególne zachowania i pisząc referaty na temat wzorców kulturowych, Tagiri postępowała odwrotnie, zaczynając

śledzić pojedynczego człowieka od początku do końca jego życia.

Nie szukała wzorców. Szukała opowieści. Ach, będzie biografką, powiedzieli ci, którzy ją obserwowali. Będzie badać pojedyncze egzystencje, nie całe kultury.

Potem jednak Tagiri obrała nową taktykę, robiąc coś, co szefowie Instytutu Czasu widzieli tylko kilka razy wcześniej. Tagiri zdążyła już zagłębić się na siedem pokoleń w historię rodziny swojej matki, kiedy porzuciła podejście biograficzne i zamiast śledzić każdą osobę od urodzin do śmierci, zaczęła śledzić losy pojedynczych kobiet w odwrotnym porządku, od śmierci do narodzin.

Najpierw zrobiła to ze starą kobietą imieniem Amami. Ponieważ ustawiła Tempoview tak, by widzieć kolejne sceny cofając się w czasie, nie mogła zrozumieć rozmów prowadzonych przez Amami, chyba że odwoływała to polecenie. I zamiast skutku i przyczyny rozwijających się przed nią w normalnym linearnym porządku, widziała teraz najpierw skutek, a dopiero potem odkrywała przyczynę. W starczym wieku Amami chodziła wyraźnie kulejąc; dopiero po kilku tygodniach Tagiri odkryła powód utykania, gdy dużo młodsza Amami leżała pokrwawiona na macie, a potem odczołgała do tyłu, aż wyprostowała się i stanęła przed mężem, który gwałtownie odrywał drewnianą laskę od jej ciała, raz za razem.

A dlaczego ją pobił? Kilka kolejnych minut cofania się w czasie przyniosło odpowiedź: Amami została zgwałcona przez dwóch potężnych mężczyzn z sąsiedniego plemienia Lotuko, kiedy poszła po wodę. Jednak mąż Amami nie mógł pogodzić się z faktem gwałtu, oznaczałoby to bowiem, że nie jest zdolny ochronić swojej żony; zmuszałoby go do zemsty, a to mogłoby naruszyć kruchy pokój pomiędzy Lotuka i Dongotona w dolinie rzeki Koss. Tak więc dla dobra swego plemienia i w celu zachowania własnej dumy musiał uznać opowieść płaczącej żony za kłamstwo i przyjąć, że zabawiała się jak kurwa. Bił ją, by oddać mu zarobione własnym ciałem pieniądze, chociaż dobrze wiedział, że jego ukochana żona nie ma żadnych pieniędzy, że jest niewinna, a on niesprawiedliwy. Wyraźnie wstydział się własnego postępowania, co nie złagodziło jego brutalności. Bez żadnej potrzeby bił swoją żonę laską długo po tym, jak krzyząc i płacząc przyznała się do wszystkich grzechów świata. Bił ją nie dlatego, że wierzył w sprawiedliwość kary, lecz by przekonać sąsiadów, że wierzy, iż jego żona zasługuje na nią, więc przesadził w okrucieństwie. Przesadził, a potem musiał patrzeć, jak Amami utyka przez resztę swojego życia.

Jeśli kiedykolwiek poprosił o przebaczenie, nawet nie wprost, Tagiri nie spostrzegła tego. Zrobił, co mężczyzna musiał zrobić, by obronić swój honor w Ikoto. Jakże mógł za to przeproszać? Amami utykała, ale za to miała męża powszechnie szanowanego. Nieważne, że nawet na tydzień przed jej śmiercią małe dzieci z wioski nadal biegały za nią, przezywając ją słowami, których nauczyły się od dzieci o kilka lat starszych: “Kurwa Lotuko!”

Im bardziej Tagiri zaczynała troszczyć się o mieszkańców Ikoto i utożsamiać z nimi, tym więcej czasu spędzała w odwrotnym strumieniu historii. Obserwując ludzkie działania, zamiast czekać na rezultaty, czekała na przyczyny. Dla niej świat nie był potencjalną przyszłością wystawioną na jej manipulacje; był nieodwołalnym zestawem rezultatów. Odnajdywała jedynie nieodwołalne przyczyny prowadzące do chwili obecnej.

Jej przełożeni obserwowali to wszystko z dużym zaciekawieniem, gdyż kilku nowicjuszy, którzy eksperymentowali z odwrotnym strumieniem czasowym w przeszłości, zazwyczaj szybko dało sobie z tym spokój, cały proces bowiem był bardzo dezorientujący. Tagiri się nie poddała. Cofała się i cofała w czasie, zawracając stare kobiety do matczynego łona, a potem śledząc coraz młodsze matki, i tak dalej i dalej, zawsze szukając przyczyn.

Dlatego właśnie jej okres wstępny postanowiono wydłużyć poza te pierwsze niepewne miesiące, kiedy wciąż jeszcze uczyła się obsługiwać Tempoview i szukała własnej odpowiedzi na problem znaczenia. Zamiast przydzielić jej zadanie w którymś z realizowanych programów naukowych, pozwolono jej badać własną przeszłość. Była to oczywiście decyzja bardzo praktyczna, jako bowiem poszukiwaczka opowieści, a nie wzorców, nie pasowałaby do żadnego z programów. Poszukiwaczom opowieści pozwalano na dużą swobodę. Jednak to, że Tagiri kontynuowała swoje cofanie się w czasie, czyniło ją już nie kimś niezwykłym, ale jedynym w swoim rodzaju. Jej przełożeni byli ciekawi, dokąd zaprowadzą ją badania i jaki dostarczy raport. Gdyby Tagiri była na ich miejscu, ciekawiłoby ją coś innego. Obserwowałyby siebie nie po to, by dowiedzieć się, dokąd zaprowadzi ją osobliwe podejście naukowe, lecz raczej skąd się ono wzięło.

Gdyby ją zapytali, zastanawiałaby się tylko przez chwilę i powiedziała: “Chodzi o rozwód moich rodziców”. Wydawali się zupełnie szczęśliwi przez całe jej życie; niespodziewanie, kiedy miała czternaście lat, zdecydowali się na rozwód i nagle idylla dzieciństwa okazała się kłamstwem. Ojciec i matka przez wszystkie te lata toczyli zażartą walkę o to, kto jest ważniejszy. Dla Tagiri ich współzawodnictwo było niewidoczne, rodzice bowiem ukrywali je

sami przed sobą, jednak kiedy ojciec Tagiri awansował na szefa programu rekultywacji Sudanu, co ustawiało go o dwa szczeble wyżej w hierarchii organizacji niż matkę, prawda o wzajemnej nienawiści wywołanej osiągnięciami drugiej strony wyszła na jaw, naga i brutalna.

Dopiero wtedy Tagiri mogła wrócić myślą do tajemniczych rozmów przy śniadaniu lub kolacji, kiedy rodzice gratulowali sobie sukcesów. Teraz, pozbawiona wcześniejszej naiwności, przypominała sobie słowa i wiedziała, że były to ironiczne przytyki, wbijanie sobie szpilek. I tak oto, jako czternastoletnia dziewczynka, Tagiri powtórnie przeżyła całe swoje dotychczasowe życie, tylko że od tyłu, z jasną świadomością rezultatu, cofając się myślą w czasie, odkrywając prawdziwe przyczyny wszystkiego. Tak właśnie patrzyła na swoje życie od tamtej pory – długo przedtem, zanim pomyślała o wykorzystaniu swoich studiów w dziedzinie etnologii i języków starożytnych do pracy w Instytucie Czasu.

Opiekunowie naukowcy nie zapytali, dlaczego w jej badaniach strumień czasowy biegnie do tyłu, a ona im nie mówiła. Chociaż trochę się niepokoiła, że jeszcze nie przydzielono jej żadnego zadania, była zadowolona, grała bowiem w najwspanialszą grę swego życia, rozwiązując zagadkę za zagadką. Czy córka Amami nie wyszła zbyt późno za mąż? Czy jej córka z kolei nie wyszła za mąż w zbyt młodym wieku, i to za człowieka, który był o wiele bardziej samolubny i obdarzony większą siłą woli niż łagodny, skłonny do ustępstw mąż jej matki? Każde pokolenie odrzucało wzory pokolenia poprzedniego, nigdy nie rozumiejąc powodów decyzji kryjących się za życiem matki. Szczęście dla jednej generacji, niedola dla następnej, wszystko jednak sprowadzające się do gwałtu, a potem niesprawiedliwej kary wymierzonej i tak już nieszczęśliwej kobiecie. Tagiri usłyszała wszystkie echa, zanim wreszcie dotarła do dzwonnika; odczuła wszystkie kręgi fal, zanim w końcu dotarła do kamienia wrzuconego do wody. Tak jak we własnym dzieciństwie.

Wszystko wskazywało na to, że kariera Tagiri będzie niezwykła i intrygująca. Jej osobiste akta zostały oznaczone rzadkim srebrnym kodem, który mówił każdemu, kto był władny decydować o losie młodych badaczy, że należy zostawić ją w spokoju albo wspierać w tym, co właśnie robi. Tymczasem bez wiedzy Tagiri objęto ją ciągłą obserwacją, rejestrując całą jej pracę, by w wypadku gdyby nigdy nic nie opublikowała (jak czasami się to zdarzało, szczególnie tym dziwniejszym), po jej śmierci można było opracować raport z tych badań, bez względu na ich wartość. Tylko sześcioro ludzi posiadało

srebrny status. I Tagiri była najdziwniejsza z nich wszystkich.

Jej życie mogło się tak potoczyć, gdyż żadnym czynnikiem z zewnątrz nie pozwalano ingerować w kierunek, jaki w naturalny sposób obierała. Jednak pod koniec drugiego roku badań Tagiri natknęła się w wiosce Ikoto na wydarzenie, które kazało jej porzucić jedną ścieżkę i podążyc inną, a konsekwencje tego miały zmienić świat. Cofała się wówczas przez życie kobiety imieniem Diko. Diko stała się wyjątkowo droga sercu Tagiri, od dnia bowiem śmierci wstecz była wciąż otoczona aurą smutku. Postać prawdziwie tragiczna. Inni również to wyczuwali – Diko traktowano z wielkim szacunkiem i często pytano o radę, chociaż nie była jedną z widzących i wykonywała tyle samo czynności kapłańskich co każdy inny Dongotona.

Smutek trwał, rok po roku, wstecz i wstecz aż do jej lat jako młodej żony, ale ustąpił w końcu czemuś innemu: lękowi, gniewowi, spazmom płaczu. Jestem blisko, pomyślała Tagiri. Znajdę ból u źródeł jej smutku. Czy i w tym przypadku chodziło o jakiś postępek męża? Trudno byłoby w to uwierzyć, bo w odróżnieniu od męża Amami, małżonek Diko był łagodnym, przyjaznym człowiekiem, zadowolonym z szacunku, jakim otaczano jego żonę we wsi; nigdy nie próbował poprawiać swojej pozycji jej kosztem. Nie był ani dumny, ani brutalny. Małżonkowie w najbardziej intymnych momentach wydawali się autentycznie zakochani; cokolwiek powodowało smutek Diko, mąż zawsze niósł jej pociechę.

Potem znikł gniew Diko, pozostał sam lęk, i teraz cała wieś wyroiła się, poszukując w zaroślach, w lesie i nad brzegami rzeki czegoś zgubionego. Kogoś zgubionego raczej, ponieważ Dongotona nie posiadali nic materialnego, co zasługiwałoby na tak intensywne poszukiwania – tylko ludzie stanowili wielką wartość, byli bowiem nie do zastąpienia.

Tagiri dotarła do momentu sprzed rozpoczęcia poszukiwań i po raz pierwszy zobaczyła inną Diko – uśmiechniętą, śmiejącą się, śpiewającą, zadowoloną z życia, jakie dali jej bogowie. Tagiri zobaczyła po raz pierwszy tego, którego utrata była źródłem smutku towarzyszącego Diko przez całe życie – ośmioletniego chłopca, inteligentnego, wesołego i szczęśliwego. Nazywała go Acho i byli nierozłączni w zabawie i pracy. Bez przerwy rozmawiali wesoło, żartobliwie się przekomarzali i głośno śmiali. Tagiri widziała dobre i złe matki cofając się poprzez pokolenia, nigdy jednak nie widziała takiej czułości między matką a synem. Chłopiec kochał również ojca, uczył się od

niego wszystkich męskich obowiązków, jednak mąż Diko nie był tak rozmowny jak żona i pierworodny, więc jedynie przysłuchiwał się i cieszył ich towarzystwem, tylko czasami dołączając do pogaduszek.

Może dlatego że siedziała przy maszynie przez długie tygodnie, w napięciu poszukując źródła smutku Diko, a może dlatego że obdarzyła tę kobietę miłością i podziwem w trakcie przechodzenia wstecz przez jej życie, Tagiri nie potrafiła teraz cofać się dalej, do wyjścia Acho z łona Diko, wstecz do dzieciństwa Diko i jej własnych narodzin. Zniknięcie Acho wywołało zbyt wiele konsekwencji, nie tylko w życiu jego matki, lecz w życiu całej wioski, by Tagiri miała pozostawić zagadkę nie rozwiązaną. Diko nigdy się nie dowiedziała, co stało się z jej synem, ale Tagiri mogła to sprawdzić. Wprawdzie oznaczało to zmianę kierunku badań i szukanie w przód przez jakiś czas, śledzenie losów nie kobiety, lecz chłopca, ale przecież wciąż zagłębiała się w historię. Chciała odkryć, jak zniknął Acho, co spowodowało nie kończący się smutek Diko.

W wodach Koss pływały się w tamtych czasach hipopotamy, chociaż rzadko tak daleko w górę rzeki, i Tagiri obawiała się zobaczyć to, co według mieszkańców wioski musiało się wydarzyć – biednego Acho znikającego w ogromnej paszczy hipopotama.

Nie był to jednak hipopotam, lecz człowiek.

Dziwny człowiek, mówiący językiem, jakiego Acho nigdy nie słyszał – Tagiri natychmiast rozpoznała arabski. Jasna skóra mężczyzny i jego broda, szata i turban, wszystko to było intrygujące dla prawie nagiego Acho, bo chłopiec rósł w otoczeniu ludzi o ciemnobrązowej skórze i tylko raz widział grupę granatowoczarnych Dinka, którzy zapuścili się w polowaniu w górę rzeki. Jakże mogło istnieć takie stworzenie? Acho był dzieckiem wyjątkowo śmiałym i ciekawym, więc nie uciekł, a kiedy mężczyzna uśmiechnął się i niezrozumiale coś wybełkotał (Tagiri wiedziała, że mówi: “Chodź tutaj, mały, nic ci nie zrobię”), Acho stał dzielnie i nawet się uśmiechnął.

Potem mężczyzna zamachnął się laską i powalił Acho nieprzytomnego na ziemię. Przez moment był zaniepokojony, że zabił chłopca, i z zadowoleniem przekonał się, że Acho oddycha. Wtedy wepchnął nieprzytomne dziecko do worka, który zarzucił sobie na ramię i zaniósł nad rzekę, gdzie czekali na niego dwaj towarzysze, również z pełnymi workami.

Handlarz niewolników, zdała sobie natychmiast sprawę Tagiri. Nie sądziła, że docierali tak daleko. Zazwyczaj kupowali swój towar od Dinków znad Białego Nilu, a handlarze Dinka nie byli na tyle głupi, żeby zapuszczać się

tak daleko w góry do małych osad. Ich metoda polegała na zaatakowaniu wioski, zabiciu wszystkich mężczyzn, uprowadzeniu małych dzieci i urodziwych kobiet na sprzedaż. Pozostawiali tylko stare kobiety, by opłakiwały bliskich. Większość muzułmanów wolała kupować niewolników, niż ich porwać. Ci trzej byli wyjątkiem od reguły. W dawnych, trudniących się handlem społeczeństwach, które nieomal zrujnowały świat, pomyślała Tagiri, uważano by ich za odważnych przedsiębiorców, próbujących powiększyć swój zysk przez obejście pośredników Dinka.

Tagiri powinna na nowo podjąć wsteczną obserwację, wrócić do życia matki Acho, jednak nie chciała tego zrobić. Komputer został ustawiony tak, by wyszukiwać nowe punkty obserwacyjne śledząc poczynania Acho, i Tagiri nie wydała polecenia nakazującego powrót do poprzedniego programu. Patrzyła i patrzyła, posuwając się naprzód w czasie, by zobaczyć nie jak to się wszystko zaczęło, ale dokąd prowadziło. Co stanie się z tym mądrym, wspaniałym chłopcem, którego Diko tak kochała?

Od razu na początku tej historii Acho nieomal został uwolniony – albo zabity. Handlarze byli na tyle głupi, że porwali niewolników idąc w górę rzeki, choć nie mieli innej drogi powrotnej niż wzdłuż tych samych wsi, z których pochodzili jeńcy. W pobliżu jednej z wiosek wojownicy Lotuko w pełnym rynsztunku bojowym zastawili pułapkę. Dwaj Arabowie zostali zabici, a ponieważ w ich workach znajdowały się dzieci Lotuko, poszukiwane przez mieszkańców tej wioski, nikt nie puścił się w pogoń za handlarzem, dźwigającym na plecach Acho.

Arab dotarł w końcu do miejsca, gdzie dwaj czarni niewolnicy czekali z jego wielbłądami. Przymocowawszy worek rzemieniami do juków, cała trójka wyruszyła natychmiast. Ku oburzeniu Tagiri, handlarz nie zajrzał nawet do środka, by sprawdzić, czy chłopiec żyje.

Droga wiodła wzdłuż Nilu, na targ niewolników w Chartumie. Handlarz otwierał worek tylko raz na dzień, by wlać odrobinę wody w usta chłopca. Przez resztę czasu Acho jechał w ciemności, skulony w pozycji płodu. Był dzielny, w ogóle bowiem nie płakał, a kiedy handlarz brutalnie kopnął worek kilka razy, przestał też błagać o uwolnienie. Jechał w milczeniu, z oczami pełnymi lęku. Worek niewątpliwie śmierdział już moczem, a ponieważ Acho, jak większość dzieci z Ikoto, cierpiał na dyzenterię, zapewne również nieczystościami. Odchody jednak szybko wyschły w upale pustyni, poza tym było ich niewiele, bo Acho nie dostawał nic do jedzenia. Oczywiście chłopca nie można było wypuścić z worka, żeby załatwił swoje potrzeby naturalne –

mógłby uciec, a handlarz chciał uzyskać jakiś dochód z wyprawy, która kosztowała życie jego dwóch towarzyszy.

Nic dziwnego, że po dotarciu do Chartumu Acho nie mógł chodzić przez cały dzień. Liczne uderzenia kijem oraz papka z sorga szybko postawiły go na nogi i wkrótce został kupiony przez hurtownika za cenę, która jego porwacza uczyniła na jakiś czas człowiekiem bogatym jak na warunki Chartumu.

Tagiri śledziła drogę Acho w dół Nilu, łodzią i na grzbiecie wielbłąda, do Kairu, gdzie go sprzedano. Nakarmiony i umyty, sprawiał egzotyczne wrażenie w tym tłocznym arabsko-afrykańskim mieście stanowiącym stolicę islamu w tamtych czasach. Za wysoką cenę znalazł się w domu bogatego handlarza. Szybko nauczył się arabskiego, a jego pan dostrzegł, z jak bystrym chłopcem ma do czynienia, i zapewnił mu edukację. Acho stał się wreszcie totumfackim pana, obdarzonym pełnym zaufaniem. Kiedy pan umarł, jego najstarszy syn odziedziczył Acho razem z całym majątkiem, i polegał na nim jeszcze bardziej. Acho sprawował faktyczny nadzór nad całą firmą, którą zarządzał bardzo sprawnie, zdobywając nowe rynki zbytu i rozszerzając zakres działalności. Dzięki niemu rodzinna fortuna stała się jedną z największych w Kairze. Kiedy umarł, rodzina opłakiwała go szczerze i wyprawiła godny pogrzeb.

A jednak Tagiri nie mogła zapomnieć, że przez cały ten czas, przez każdą godzinę każdego dnia każdego roku niewolnictwa Acho, na jego twarzy malował się ów wyraz nieskończonej tęsknoty, żalu, rozpacz. Wyraz, który mówił: "Jestem tutaj obcy, nienawidzę tego miejsca, nienawidzę mojego życia". Wyraz, który mówił, że Acho tęsknił za swoją matką równie głęboko, jak ona tęskniła za nim.

Tagiri porzuciła wsteczne badanie historii własnej rodziny i zajęła się dziejami niewolnictwa. Do tego momentu wszyscy poszukiwacze opowieści spośród badaczy czasu poświęcali swoje kariery na rejestrowanie historii wielkich, sławnych lub wpływowych ludzi z przeszłości. Tagiri chciała badać życie niewolników, nie właścicieli; chciała przedzierać się przez gąszcz historii nie po to, by odkrywać decyzje potężnych, lecz opisać losy tych, którzy stracili możliwość jakichkolwiek wyborów. By wspomnieć zapomnianych ludzi, których marzenia zostały zamordowane, którym ukradziono ich własne ciała, tak że nie byli nawet aktywnymi uczestnikami własnych autobiografii. Ludzi, z których twarzy można było wyczytać, iż nigdy nie zapomnieli, że nie należą do siebie, i że przez to szczęście w ich

życiu jest niemożliwe.

Znajdowała ten wyraz na twarzach wszędzie. Och, czasem był tam też bunt – jednak zbuntowanych zawsze wyłuskiwano i traktowano w specjalny sposób, a jeśli przeżyli umiejętnie zadawane tortury, to w końcu zmuszano ich do przybrania tego samego wyrazu rozpacz, jaki malował się na pozostałych twarzach. Był to grymas niewolnika. Tagiri odkryła wkrótce, że dla ogromnej liczby ludzi, w nieomal każdej epoce historii, twarz wykrzywiona tym grymasem była jedyną, jaką mogli pokazać światu.

Tagiri miała trzydzieści lat i od ośmiu lat zajmowała się programem badawczym dotyczącym niewolnictwa. Nadzorowała grupę składającą się z dwunastu bardziej tradycyjnych poszukiwaczy wzorców i dwóch poszukiwaczy opowieści, kiedy kierunek jej badań zmienił się po raz ostatni, prowadząc ją w końcu do Krzysztofa Kolumba i idei odwrócenia historii. Chociaż nigdy nie opuściła Juby, za pomocą maszyny Tempoview mogła obserwować dowolne miejsce na powierzchni kuli ziemskiej. Kiedy zaś w miejsce starzejącego się Tempoview wprowadzono urządzenie TruSite II, otworzyła się przed nią możliwość bardziej wnikliwych badań, gdyż podstawowe tłumaczenie starożytnych języków było teraz wbudowaną częścią systemu i nie musiała uczyć się każdego języka, by dokładnie zrozumieć, co dzieje się na ekranie monitora.

Tagiri zaciekała się pracą Hassana, jednego z operatorów stanowiska TruSite II, młodego poszukiwacza opowieści. Nie zadawała sobie trudu, by przyglądać mu się, kiedy pracował na Tempoview, nie rozumiała bowiem żadnego z języków używanych na Antylach, które pracownicy rekonstruowali przez analogie z językami karib i arawak. Teraz jednak ustawił urządzenie tak, by chwyciło główny nurt dialektu arawak, którym posługiwało się obserwowane przez niego plemię.

– To wioska w górach – wyjaśnił, gdy spostrzegł zainteresowanie Tagiri. – Klimat o wiele bardziej umiarkowany niż na wybrzeżu, innego rodzaju uprawy.

– Co chcesz zaobserwować? – zapytała.

– Oglądam los ludzi, w których życie wtrącili się Hiszpanie. Za kilka tygodni ekspedycja wejdzie na górę i wszystkich weźmie w niewolę. Hiszpanom brakuje siły roboczej na wybrzeżu.

– Plantacje się rozrastają?

– Wręcz przeciwnie – rzekł Hassan. – Upadają. Ale Hiszpanie nie potrafią utrzymać karaibskich niewolników przy życiu.

– Czy chociaż próbują?

– Większość tak. Oczywiście widoczna jest też postawa mordowania dla sportu, ponieważ Hiszpanie mają absolutną władzę nad niewolnikami i niektórzy tę władzę wykorzystują aż do końca. Jednak w większości przypadków kontrolę nad wszystkim sprawują kapłani, a oni naprawdę starają się uchronić niewolników przed śmiercią.

Kapłani sprawują kontrolę, pomyślała Tagiri, a jednak niewolnictwo ma się doskonale. Ironia tej sytuacji zawsze napawała ją goryczą, ale wiedziała, że nie ma sensu wyjaśniać tego Hassanowi – czyż nie uczestniczył w programie badawczym dotyczącym niewolnictwa razem z nią?

– Ludzie z Ankuasz doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje. Wiedzą, że są prawdopodobnie ostatnimi mieszkańcami Karaibów, których nie pojmano jeszcze w niewolę. Próbowali się kryć, nawet nie palili ognisk, jednak na nizinach jest zbyt wielu Arawaków i Karibów, którzy zachowują jakąś część wolności kolaborując z najeźdźcami. Oni pamiętają o Ankuasz. Wkrótce więc wyruszy ekspedycja i mieszkańcy wioski o tym wiedzą. Spójrz.

Tagiri ujrzała starego mężczyznę i kobietę w średnim wieku, siedzących w kucki przy małym ognisku, na którym grzał się garniec wody. Uśmiechnęła się, zachwycona możliwościami nowej technologii – obraz pary na holograficznym ekranie był czymś zdumiewającym; nieomal oczekiwała, że poczuje zapach unoszący się z garnka.

– Woda tytoniowa – wyjaśnił Hassan.

– Piją roztwór nikotyny?

Hassan skinął głową.

– Widziałem coś takiego już wcześniej.

– Czy nie są nieostrożni? To nie wygląda na bezdymne ognisko.

– TruSite zapewne nadmiernie wzmacnia dym w holografii, toteż może go być mniej, niż sądzimy. Ale z dymem czy bez, nie da się ugotować wody tytoniowej bez ognia, a w tym momencie mieszkańcy wioski są bliscy rozpacz. Wolą zaryzykować, że zostaną dostrzeżeni, niż przeżyć jeszcze jeden dzień nie odebrawszy wiadomości od bogów.

– Piją więc...

– Piją i śnią – rzekł Hassan.

– Czy nie przykładają większej wagi do snów, które przychodzą same z

siebie?

– Wiedzą, że zazwyczaj sny nic nie znaczą. Mają nadzieję, że koszmary pozbawione są znaczenia – sny strachu zamiast snów prawdy. Używają wody tytoniowej, by skłonić bogów do powiedzenia im prawdy. Mieszkańcy niższych partii gór, Arawakowie i Karibi, złożyliby ofiarę z człowieka albo zadali sobie rany, tak jak czynią to Majowie. W tej wiosce nie ma jednak tradycji ofiarnej, nigdy nie została przejęta od sąsiadów. Ludzie z Ankuasz są enklawą innej kultury, jak sędzę. Podobni do pewnych szczepów znad górnej Amazonki. Nie potrzebują śmierci ani krwi do rozmowy z bogami.

Mężczyzna i kobieta zanurzyli w wodzie rurki i wciągnęli płyn do ust, jakby pili przez słomkę. Kobieta zakrztusiła się; mężczyzna był najwyraźniej przyzwyczajony do smaku roztworu. Kobieta sprawiała wrażenie poważnie zatrutej, ale mężczyzna skłonił ją, by wypła więcej.

– Kobieta nazywa się Putukam, co oznacza “Dziki pies” – wyjaśnił Hassan. – Jest znana z wizji, które do niej przychodzą, ale jak dotąd nie używała tytoniowej wody.

– Widzę – potaknęła Tagiri. Putukam krztusiła się i wymiotowała. Przez kilka chwil stary mężczyzna próbował ją uspokoić, ale wkrótce i on dostał torsji; ich wymiociny mieszały się w popiele ogniska.

– Baiku to uzdrowiciel, toteż zażywa narkotyki częściej. Właściwie jest pod ich działaniem przez cały czas. Może dzięki temu posłać swojego ducha do ciała chorej osoby i zobaczyć, co jej dolega. Woda tytoniowa to jego ulubiony specyfik. Co nie oznacza, że po niej nie wymiotuje. Spotyka to każdego.

– A więc jest kandydatem na raka żołądka.

– Powinien tego dożyć – rzekł Hassan.

– Czy bogowie do nich przemawiają?

Wzruszył ramionami.

– Przeskoczmy do przodu i sprawdźmy.

Hassan przewijał obraz – Putukam i Baiku spali wiele godzin, ale dla dwójki badaczy było to tylko parę sekund. Za każdym razem gdy śniący się poruszali, TruSite II automatycznie zwalniał odrobinę; dopiero kiedy stało się jasne, że ruchy są oznakami budzenia się, Hassan zwolnił prędkość do naturalnej. Włączył też dźwięk, a ze względu na Tagiri uruchomił również komputerowy translator.

– Śniłam – odezwała się Putukam.

– Ja też – powiedział Baiku.

- Posłuchajmy uzdrawiającego snu.
 - Nie ma w nim uzdrawiania.
 - Wszyscy w niewoli? – zapytała Putukam.
 - Wszyscy, oprócz błogosławionych, którzy zostają zabici albo umierają na zarazę.
 - A potem?
 - Wszyscy martwi.
 - Oto zatem nasze uzdrawianie – rzekła Putukam. – Umrzeć. Lepiej niż dać się schwytać Karibom. Lepiej niż mieć serca wyrwane i wątroby zjedzone. Wtedy przynajmniej bylibyśmy ofiarami dla bogów.
 - Jaki miałaś sen?
 - Mój sen był szaleństwem – odpowiedziała. – W moim śnie nie było prawdy.
 - Śniący tego nie wie – stwierdził Baiku.
- Putukam westchnęła.
- Pomyślisz, że jestem kiepską śniącą, że bogowie nienawidzą mojej duszy. Śniłam o mężczyźnie i kobiecie obserwujących nas. Byli dorośli, a jednak we śnie wiedziałam, że są młodsi od nas o czterdzieści pokoleń.
 - Zatrzymaj – nakazała Tagiri.
- Hassan wykonał polecenie.
- Czy tłumaczenie było prawidłowe? – zapytała z napięciem.
- Hassan przewinął obraz do tyłu, a potem puścił go od początku, tym razem bez automatycznego tłumacza. Dwukrotnie przesłuchał rozmowę tubylców.
- Tłumaczenie jest wystarczająco dobre – powiedział. – Słowa wyjaśnione jako “mężczyzna” i “kobieta” pochodzą ze starszego języka i sędzę, że pewne tony mogą wskazywać, że należy je przetłumaczyć jako “mężczyzna bohater” i “kobieta bohater”. Mniej niż bogowie, więcej niż ludzie. Oni jednak często używają tych słów rozmawiając o sobie nawzajem, w odróżnieniu od innych plemion.
 - Hassan, nie interesuje mnie etymologia. Pytam o znaczenie tego, co ona powiedziała.
- Spojrzał na nią zdezorientowany.
- Nie sądzisz, że brzmiało to tak, jakby widziała nas? – Głos Tagiri drżał.
 - Ależ to absurdalne!
 - Czterdzieści pokoleń. Czy czas się nie zgadza? Mężczyzna i kobieta, obserwujący.
 - Ze wszystkich możliwych snów, czy nie mogą istnieć sny o przyszłości? –

rozważał Hassan. – A skoro Instytut Czasu bada tak dokładnie wszystkie epoki historii, może się zdarzyć, że badacz natrafi w końcu na opowieść o śnie, który do złudzenia przypomina sen o nim samym.

– Rachunek prawdopodobieństwa. – Znała oczywiście tę zasadę; omawiano ją dokładnie na końcowych etapach szkolenia. Tu jednak miała do czynienia z czymś innym. Tak. Gdy obraz został odtworzony po raz trzeci, wydawało jej się, że gdy Putukam mówi, patrzy na nią i Hassana, a wzrok ma skupiony, jakby faktycznie ich widziała.

– Trudne do pojęcia, prawda? – Hassan uśmiechnął się szeroko.

– Pokaż resztę. – Oczywiście, że było to trudne do pojęcia, ale nie tak bardzo jak uśmiech Hassana. Żaden z jej podwładnych nie uśmiechnąłby się do niej w ten sposób. Hassan nie zachowywał się impertynencko. Raczej po prostu... przyjaźnie, tak, dokładnie tak.

Włączył scenę w momencie, w którym przestali oglądać.

– Śniłam, że obserwowali mnie trzy razy – mówiła Putukam – i kobieta była świadoma, że ją widzę.

Hassan gwałtownie wcisnął przycisk pauzy.

– Nie ma boga nad Allacha – wymamrotał po arabsku – a Mahomet jest Jego prorokiem.

Tagiri wiedziała, że muzułmanin mówi coś takiego w sytuacji, kiedy chrześcijanin zakląłby siarczyście.

– Rachunek prawdopodobieństwa? – mruknęła. – Właśnie myślałam, że ona nas widzi.

– Jeśli cofnę i znowu obejrzymy tę scenę – rzekł Hassan – to będą już cztery razy, a nie trzy.

– Ale były trzy, kiedy po raz pierwszy to powiedziała. To się nigdy nie zmieni.

– TruSite nie ma wpływu na przeszłość – powiedział Hassan. – Nie można tam wykryć jego działania.

– A skąd niby to wiemy?

– Bo to niemożliwe.

– W teorii.

– I dlatego że nigdy się nie wydarzyło.

– Aż do teraz.

– Chcesz uwierzyć, że ona naprawdę nas ujrzała w nikotynowym śnie?

Tagiri wzruszyła ramionami, udając nonszalancję, której wcale nie odczuwała.

– Jeśli nas widziała, Hassanie, to pójdźmy dalej i sprawdźmy, co to dla niej oznacza.

Hassan powoli, niemal bojaźliwie, ponownie uruchomił urządzenie.

– A zatem takie jest proroctwo – mówił Baiku. – Kto wie, jakie cuda bogowie przyniosą za czterdzieści pokoleń?

– Zawsze myślałam, że czas zatacza wielkie kręgi, jakbyśmy wszyscy zostali wpleceni w wielki kosz życia, każde pokolenie następnym wianuszkiem wokół krawędzi – powiedziała Putukam. – Kiedy jednak w wielkich kręgach czasu istniał taki koszmar jak te białe potwory przybyłe morzem? Tak więc kosz jest rozdarty, czas jest przerwany, cały świat wycieka z koszyka na ziemię.

– Co z kobietą i mężczyzną, którzy nas obserwują?

– Nic – rzekła Putukam. – Obserwowali nas. Byli zainteresowani.

– Widzą nas teraz?

– Widzieli całe cierpienie w twoim śnie. Byli tym zainteresowani.

– Jak to, zainteresowani?

– Myślę, że byli smutni – odparła Putukam.

– Ale... czy byli w takim razie biali? Czy patrzyli, jak ludzie cierpią, i nic ich to nie obchodziło jak białych przybyszów?

– Byli ciemni. Kobieta jest całkiem czarna. Nigdy nie widziałam kogoś o tak ciemnej skórze.

– Czemu zatem nie powstrzymają białych ludzi przed uczynieniem z nas niewolników?

– Może nie potrafią.

– Jeśli nie potrafią pomóc, dlaczego na nas patrzą? – zdziwił się Baiku – Może są potworami, które czerpią przyjemność z obserwowania cierpienia innych?

– Wyłącz – powiedziała Tagiri do Hassana.

Ponownie wcisnął pauzę i spojrzał na Tagiri z zaskoczeniem. Ujrzał w jej twarzy coś, co kazało mu wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia.

– Tagiri – rzekł cicho – ze wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek badali przeszłość, ty jedna nigdy, przenigdy nie zapomniałaś, co to jest współczucie.

– Ona musi rozumieć – wymamrotała Tagiri. – Pomogłabym, gdybym była w stanie.

– Jak ona może rozumieć coś takiego? Nawet jeśli naprawdę nas ujrzała w swoim śnie, nie pojmuje przecież, jak jesteśmy ograniczeni w działaniach. Dla niej umiejętność zaglądania w przeszłość jest mocą bogów. Pomyśli więc

oczywiście, że możemy zrobić wszystko, tylko zwyczajnie nie chcemy tego zrobić. Ale ty wiesz i ja wiem, że nie możemy, a więc wcale nie mamy wyboru.

– Widzenie bogów bez mocy bogów – powiedziała Tagiri. – Cóż za okrutny dar.

– Wspaniały dar – rzekł Hassan. – Wiesz, że ludzkie losy, jakie poznaliśmy podczas badania dziejów niewolnictwa, wywołały powszechne zainteresowanie i współczucie. Nie możesz zmienić przeszłości, ale zmieniłaś teraźniejszość, i ci ludzie nie są już zapomniani. Zajmują więcej miejsca w sercach ludzi naszego czasu niż kiedyś zajmowali bohaterowie. Dałaś tym ludziom wszystko, co mogłaś im dać. Nie są już zapomniani. Ich cierpienie jest udziałem wszystkich.

– To za mało – westchnęła Tagiri.

– Ale to wszystko, co możesz zrobić. I wcale nie jest to za mało.

– Jestem już gotowa. Pokaż mi resztę.

– Może powinniśmy poczekać...

Nachyliła się i wcisnęła guzik uruchamiający obraz na ekranie.

Putukam i Baiku zebrali ziemię, w którą wsiąkły ich wymiociny. Wrzucili ją do wody tytoniowej. Ogień wygasł, toteż znad garnka nie unosiła się para, oni jednak nachylili się nad wodą, jakby chcieli powąchać zapach ziemi, wymiocin i tytoniu.

Putukam zaintonowała:

– Z mojego ciała, z ziemi, z wody ducha...

TruSite II wyłączył się automatycznie.

– Nie potrafi przetłumaczyć słowa – wyjaśnił Hassan. – Ja też nie. Nie jest zawarte w normalnie używanym słownictwie. Czasem w zaklęciach magicznych spotyka się pozostałości dawnych języków. To słowo jest powiązane z rdzeniem, który oznacza kształtowanie, tak jak formowanie czegoś z błota. Tak więc ona mówi “kształtuję was” albo coś w tym rodzaju.

– Dalej – poleciła Tagiri.

Putukam monotonicznie zawodziła:

– Z mojego ciała, z ziemi, z wody ducha, kształtuję was, o dzieci czterdziestu pokoleń, którzy patrzycie na mnie z wnętrza mojego snu. Widzicie cierpienie nasze i wszystkich innych wiosek. Widzicie białe potwory, które nas niewolą i mordują. Widzicie, jak bogowie zsyłają zarazy, by uratować błogosławionych, i tylko przeklętych wystawiają na tę straszną karę. Przemówcie do bogów, o dzieci czterdziestu pokoleń, którzy patrzycie na

mnie z wnętrza mojego snu! Nauczcie ich litości! Niech ześlą zarazę na nas wszystkich, niech zostawią ziemię jałową dla białych potworów, tak by polowali na nas od brzegu do brzegu i nie mogli nas znaleźć, nikogo z nas, nawet pożerających ludzi Karibów! Niech pozostaną z nas tylko martwe ciała, lecz chcemy umrzeć z honorem jak wolni ludzie. Przemówcie do bogów w naszym imieniu, o mężczyzno, o kobieto!

Błagali na zmianę, Baiku podejmował pieśń, kiedy Putukam ze zmęczenia nie mogła już mówić. Wkrótce pozostali mieszkańcy wsi zebrali się wokół i co jakiś czas przyłączali się do inkantacji, szczególnie kiedy prowadzący recytował imię tych, do których się modlili: Dzieci Czterdziestu Pokoleń, Którzy Patrzycie na Nas z Wnętrza Snu Putukam.

Wciąż śpiewali, kiedy Hiszpanie, prowadzeni przez dwóch tubylczych przewodników o zawstydzonych twarzach, wspięli się po ścieżce z muszkietami, pikami i mieczami w rękach. Członkowie plemienia nie stawiali oporu. Śpiewali dalej, nawet gdy wszyscy zostali schwytani, nawet gdy starcy, w tym Baiku, ginęli rozplątani mieczem albo przebici piką. Nawet gdy młode dziewczęta były gwałcone, wszyscy, którzy mogli dobrać z siebie głos, podtrzymywali inkantację, modlitwę, zaśpiew, aż wreszcie hiszpański dowódca podszedł do Putukam i ciał ją w szyję, tuż nad miejscem gdzie łączą się kości obojczykowe. Z chrapliwym okrzykiem Putukam umarła, śpiew ucichł. Prośba została spełniona. Putukam i Baiku nie stali się niewolnikami.

Kiedy wszyscy mieszkańcy wioski zginęli, Tagiri sięgnęła ku przyciskowi, ale Hassan był szybszy i wyłączył obraz przed nią.

Tagiri drżała, lecz udawała, że nie odczuwa silnych emocji.

– Widziałam takie straszliwe rzeczy już wcześniej – powiedziała. – Ale tym razem ona zobaczyła mnie. Zobaczyła nas.

– Albo tak się wydaje.

– Ona widziała, Hassan.

– Tak się wydaje. – Tym razem jego słowa potwierdzały, że Tagiri może mieć rację.

– Coś z naszego czasu, z chwili teraźniejszej, było dla niej widoczne w jej śnie. Może widziała nas nadal, kiedy się obudziła. Wydawało mi się, że na nas patrzy. Nie myślałam o tym, że może nas widzieć, dopóki nie obudziła się ze snu, a jednak zdawała sobie sprawę, że wiem, iż na nas patrzy. To zbyt wiele jak na przypadek.

– Jeśli to prawda – rzeki Hassan – to dlaczego innym badaczom używającym TruSite n nie przydarzyło się coś podobnego?

– Może jesteśmy widoczni tylko dla tych, którzy desperacko pragną nas zobaczyć.

– To niemożliwe! Uczono nas tego od początku.

– Pamiętasz zajęcia z historii Instytutu Czasu? Teoretycy wcale nie byli pewni, prawda? Dopiero po latach obserwacji nabrali przekonania, że ich teoria jest słuszna – lecz we wczesnym okresie sporo mówiło się o wstecznym efekcie temporalnym.

– A więc bardziej ode mnie uważałaś na zajęciach – powiedział Hassan.

– Wsteczny efekt temporalny – powtórzyła. – Czy nie widzisz, jakie niesie niebezpieczeństwa?

– Jeśli to prawda, jeśli tamta kobieta naprawdę nas widziała, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo w gruncie rzeczy nic się w rezultacie nie zmieniło.

– Nam tylko by się wydawało, że wszystko pozostało nie zmienione – odparła Tagiri – ponieważ żylibyśmy w wersji terażniejszości stworzonej przez nową przeszłość. Kto wie, jak wiele zmian, małych i wielkich, mogliśmy spowodować nic o tym nie wiedząc, ponieważ zmiana uczyniła naszą terażniejszość inną, a my nie pamiętaliśmy jej pierwotnej wersji?

– Nie mogliśmy nic zmienić – tłumaczył Hassan. – W przeciwnym razie historia uległaby zmianie. Nawet gdyby Instytut Czasu nadal istniał, z pewnością okoliczności, w jakich postanowiliśmy stanąć tutaj razem i obserwować tę wioskę, nie byłyby dokładnie takie same, zatem zmiana uczyniona przez nas w przeszłości cofnęłaby uczynienie przez nas tej właśnie zmiany, a w efekcie nie mogłaby ona zajść. Putukam nas nie widziała.

– Znam argument okrężności równie dobrze jak ty – powiedziała Tagiri. – Ale ten konkretny przypadek dowodzi jego fałszywości. Nie możesz zaprzeczyć, że ona nas widziała. Nie możesz nazwać tego zbiegiem okoliczności. Ona zobaczyła, że jestem czarna.

Hassan uśmiechnął się szeroko.

– Diabły jej czasu są białe, a więc wyśniła boga czarnego jak ty.

– Ujrzała również, że jest nas dwoje, że obserwowaliśmy ją trzykrotnie, że ja wiem, iż ona nas widzi. Udało jej się nawet w miarę prawidłowo określić epokę. Zobaczyła i zrozumiała. Zmieniliśmy przeszłość.

Hassan wzruszył ramionami.

– Może... – Nagle się ożywił, spostrzegł nowy aspekt sprawy. – Co nie oznacza, że argument okrężności jest fałszywy. Hiszpanie zachowywali się dokładnie tak, jak powinni, toteż wszelka zmiana, jaka dokonała się w efekcie ujrzenia nas przez tę kobietę, nie wywołała żadnych zmian w

przyszłości, bowiem Putukam i wszyscy mieszkańcy jej wioski i tak byli wkrótce martwi. Może jedynie w takim przypadku TruSite II powoduje wsteczny efekt temporalny. Kiedy nie spowoduje żadnej zmiany. Tak więc przeszłość jest wciąż bezpieczna od naszego wścibstwa. Co oznacza, że również my jesteśmy bezpieczni.

Tagiri nie zadała sobie trudu, by zauważyć, że chociaż Hiszpanie zabili wszystkich mieszkańców wioski, nie zmieniło to faktu, że z powodu wizji Putukam mieszkańcy Ankuasz śpiewali umierając. To musiało wyrzucić jakiś wpływ na Hiszpanów. Fantastyczność tej sceny musiała choćby odrobinę wpłynąć na ich życie. Żadna zmiana w przeszłości nie pozostawała bez echa. Było to skrzydełko motyla, tak jak uczyli tego w szkole: kto mógł wiedzieć, czy sztorm na północnym Atlantyku nie został spowodowany, za pośrednictwem długiego łańcucha przyczyn i skutków, przez uderzenie motylego skrzydła w Chinach? Nie było jednak sensu spierać się o to z Hassanem. Niech wierzy w bezpieczeństwo, dopóki może. Nic nie było teraz bezpieczne; jednak zarazem obserwatorzy nie byli wcale bezsilni.

– Ona mnie zobaczyła – powiedziała Tagiri. – Rozpacz kazała jej uwierzyć, że jestem bogiem. Jej cierpienie zaś sprawia, że chciałabym naprawdę mieć władzę dopomożenia tym ludziom. Hassan, jeśli ona nas wyczuła, to znaczy, że wysyłamy coś w przeszłość. A jeśli wysyłamy coś, cokolwiek, to być może, jesteśmy w stanie zrobić coś, żeby im pomóc.

– W jaki sposób moglibyśmy ocalić tę wioskę? – zapytał Hassan. – Nawet gdyby podróż w czasie była możliwa, co byśmy zrobili? Poprowadzili armię mścicieli, żeby wybić Hiszpanów do nogi? Co by to dało? Przybyłyby później kolejne hordy Hiszpanów albo Anglików, czy innego europejskiego narodu zdobywców. A nasz własny świat zostałby zniszczony. Wymazany w rezultacie naszej interwencji. Nie możesz odwrócić wielkich procesów historycznych zmieniając jedno drobne wydarzenie. Siły historii działają nadal.

– Drogi Hassanie, mówisz mi teraz, że historia jest nieubłaganą siłą i nie potrafimy zmienić jej marszu naprzód. A przecież chwilę temu powiedziałeś, że każda zmiana, jakkolwiek mała, zmieniałaby historię do tego stopnia, że wymazałaby nasz własny czas. Wyjaśnij mi, dlaczego nie jest to sprzeczność.

– To jest sprzeczność, co nie oznacza, że jest to nieprawda. Historia to system chaotyczny. Szczegóły mogą zmieniać się jak w kalejdoskopie, ale ogólny zarys pozostaje ten sam. Spowoduj niewielką modyfikację w przeszłości, a zmieni ona wystarczająco wiele szczegółów w teraźniejszości, byśmy nie

zetrzęli się w tym miejscu i czasie przed tym samym ekranem. A jednak wielkie procesy historii pozostaną generalnie nie zmienione.

– Żadne z nas nie ma wykształcenia matematycznego – stwierdziła Tagiri. – Bawimy się tylko w gry logiczne. Faktem jest, że Putukam zobaczyła nas, mnie i ciebie. Istnieje jakiś rodzaj komunikacji z przeszłością. To zmienia wszystko. Wkrótce matematycy podadzą lepsze wyjaśnienia pracy naszych maszyn czasowych, wtedy będzie wiadomo, co jest możliwe, a co nie.

A jeśli okaże się, że możemy dotrzeć w przeszłość, świadomie i z rozmysłem, zrobimy to, ty i ja.

– A dlaczegoż to mianowicie?

– Bo Putukam nas zobaczyła. Ponieważ nas... ukształtowała.

– Modliła się, byśmy zesłali zarazę, która zabije wszystkich jej pobratymców, zanim nadejdą Europejczycy. Czy naprawdę zamierzasz potraktować to poważnie?

– Jeśli jesteśmy bogami – odparła Tagiri – to sądzę, że mamy obowiązek znaleźć lepsze rozwiązania niż ludzie, którzy się do nas modlą.

– Ale my nie będziemy bogami – zaprotestował Hassan.

– Wydajesz się tego pewny.

– Ponieważ jestem całkiem pewny, że ludzie naszego czasu nie zaakceptują idei wymazania świata w celu uwolnienia od cierpień małej grupki ludzi od dawna nieżyjących.

– Nie wymazania – rzekła Tagiri. – Zmodyfikowania.

– Jesteś jeszcze bardziej szalona niż chrześcijanie. Oni wierzą, że cierpienie i śmierć jednego człowieka miały sens, ponieważ zbawiły całą ludzkość. Ale ty jesteś gotowa poświęcić połowę ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na tej planecie, żeby uratować jedną wioskę.

Wbiła w niego wzrok.

– Masz rację. Dla jednej wioski nie miałoby to sensu.

Odeszła.

Wiedziała, że się nie myli. TruSite II sięgał w przeszłość, a obserwatorzy byli w jakiś sposób widziani przez obserwowanych, jeśli ci wiedzieli, jak patrzeć, jeśli desperacko pragnęli zobaczyć. Co więc powinni zrobić? Wiedziała, że znajdą się tacy, którzy będą chcieli zamknąć Instytut Czasu na cztery spusty, by uniknąć ryzyka zanieczyszczenia przeszłości nieprzewidywalnymi i potencjalnie niszczycielskimi efektami w teraźniejszości. Znajdą się też tacy, którzy będą ufać paradoksom, wierząc dla spokoju ducha, że badacze czasu mogą być widziani przez ludzi z przeszłości tylko wtedy, gdy nie może to

wpłynąć na przyszłość. Przesada wynikająca z lęku albo obłudna beztroska – żadna z tych reakcji nie była właściwa. Razem z Hassanem zmienili przeszłość i zmiana, którą wywołali, wpłynęła również na terażniejszość. Może nie zmieniła wszystkich pokoleń pomiędzy tamtym czasem i obecnym, ale z pewnością zmieniła ją i Hassana. Żadne z nich nie pomyśli ani nie powie, ani nie zrobi nic, co pomyślałoby, powiedziało lub zrobiło nie usłyszawszy modlitwy Putukam. Zmienili przeszłość, a przeszłość zmieniła terażniejszość. Było to możliwe. Paradoksy nie miały na to wpływu. Ludzie złotej ery, w której żyła, mogli zrobić coś więcej niż tylko obserwować, rejestrować i pamiętać.

Tyle cierpienia oglądała przez lata pracy badawczej. Czy istniał sposób, żeby mu zapobiec? A jeśli tak, to czy mogła odmówić? Została ukształtowana. To tylko przesąd, mówiła sobie, nic nie znaczący rytuał, a jednak nie mogła jeść tego wieczora ani spać tej nocy, przez cały bowiem czas myślała tylko o śpiewnej modlitwie ludzi z wioski Ankuasz.

Tagiri wstała z maty i sprawdziła godzinę. Po północy, a ona wciąż nie mogła zasnąć. Instytut Czasu pozwalał swoim pracownikom, gdziekolwiek mieszkali, żyć na sposób tubylczy, i miasto Juba robiło wszystko, żeby w tym dopomóc. Tagiri leżała więc na macie z plecionych trzcin w chacie z gałęzi chłodzonej tylko przez wiatr. Tej nocy bryza była silna, więc nie upał uniemożliwiał jej sen. Nie upał, lecz modlitwa mieszkańców Ankuasz.

Włożyła suknię i poszła do laboratorium, gdzie inni również ślęczeli późno w noc – ludzie swobodnie igrający z przepływem czasu nie mieli wyznaczonych stałych godzin pracy. Ustawiła TruSite II ponownie na wioskę Ankuasz, ale po kilku sekundach nie wytrzymała i przełączyła na inny obraz. Kolumb, lądujący na brzegu wyspy Hispaniola. Rozbicie “Santa Marii”. Fort, zbudowany dla załogi, którą musiał tutaj pozostawić. Były to straszne sceny – marynarze próbowali uczynić niewolników z okolicznych mieszkańców, porywali młode dziewczęta, z których żadna nie przeżyła grupowego gwałtu. Potem Indianie z kilku szczepów zaczęli odpowiadać zbrojnie. Nie była to rytualna wojna mająca na celu zdobycie jeńców na ofiary. Nie były to łupieżcze najazdy Karibów. Był to nowy rodzaj wojny, wojny karzącej. A może nie tak nowy, zdała sobie sprawę Tagiri. Te często oglądane sceny zostały w całości przetłumaczone i wyglądało na to, że tubylcy mają już nazwę dla tej niszczycielskiej wojny. Nazywali ją Wojną Gwiazdy w Wiosce

Białego Człowieka. Któregoś ranka załoga zobaczyła poćwiartowane ciała strażników rozrzucone po forcie i pięciuset indiańskich wojowników w pełnym rynsztunku wewnątrz palisady. Oczywiście fort się poddał.

Indianie nie rozpoczęli jednak przygotowań do złożenia swoich jeńców w ofierze. Nie mieli zamiaru czynić tych gwałcicieli, złodziei i morderców równymi bogom. Przy braniu kolejnych hiszpańskich marynarzy w niewolę nie wypowiedano tradycyjnej formuły: “Jest on jak mój ukochany syn”.

Chociaż nie składano ofiar, popłynęła krew, zadano wiele bólu. Śmierć nadchodziła jako słodkie wybawienie. Tagiri wiedziała, że niektórzy badacze napawali się tą sceną, było to bowiem jedno z niewielu zwycięstw Indian nad Hiszpanami, jedno z pierwszych zwycięstw ciemnoskórych ludzi nad aroganckimi białymi. Nie miała jednak siły oglądać tego do końca; nie radował jej widok tortur i rzezi, nawet kiedy ofiarami byli zwyrodnialcy, którzy wcześniej torturowali i zarzynali innych. Tagiri rozumiała nazbyt dobrze, że w oczach Hiszpanów ich ofiary nie były istotami ludzkimi. Taka jest nasza natura, pomyślała, że kiedy zamierzamy czerpać przyjemność z okrucieństwa, musimy przemienić naszą ofiarę w bestię albo boga. Hiszpańscy marynarze w myślach traktowali Indian jak zwierzęta; Indianie swoją gorzką zemstą dowiedli tylko, że są zdolni do podobnych czynów wobec Hiszpanów.

Poza tym nie było w tej scenie nic, co odpowiedziałoby na jej pytania. W zamian zajrzała za pomocą TruSite II do kabiny na pokładzie żaglowca “Nina”, gdzie Kolumb kreślił list do króla Aragonii i królowej Kastylii. Pisał o wielkich bogactwach, złocie i korzeniach, okazach rzadkich drzew, egzotycznych zwierzętach, wielkich nowych przestrzeniach, które zostaną wkrótce poddane władzy chrześcijaństwa, i ogromnej liczbie niewolników. Tagiri widziała to już wcześniej, oczywiście, ale nie umykała jej ironia faktu, że Kolumb przyrzekał swoim suwerenom jednocześnie niewolników i chrześcijańskich poddanych, mając na myśli tę samą ludność. Teraz jednak znalazła coś innego. Dobrze wiedziała, że Kolumb nie widział żadnych wielkich ilości złota, raptem tyle, co można było znaleźć w każdej hiszpańskiej wiosce, gdzie najbogatsza rodzina posiadała parę błyskotek. Nie rozumiał nic z tego, co mówili do niego Indianie, lecz uznał, że opowiadają mu o złocie w głębi łądu. W głębi łądu? Wskazywali na zachód, za Morze Karaibskie, ale Kolumb nie mógł o tym wiedzieć. Nie widział jeszcze nawet skrawka ogromnych bogactw Inków albo Majów – Europejczycy mieli je zobaczyć dopiero za lat dwadzieścia, a kiedy złoto zaczęło w końcu płynąć,

Kolumb już nie żył. Kiedy jednak Tagiri patrzyła, jak pisze – cofnęła obraz i patrzyła ponownie – pomyślała: on nie kłamie. On wie, że złoto tam jest. Jest tego tak pewny, pomimo że nigdy go nie widział i nigdy w życiu nie zobaczy.

W ten właśnie sposób Kolumb zwrócił oczy Europy na zachód, zdała sobie sprawę Tagiri. Siłą swej niezachwianej wiary. Gdyby król i królowa Hiszpanii powzięli decyzję mając na uwadze dowody, jakie Kolumb przywiózł ze sobą, nie byłoby żadnej następnej wyprawy. Gdzie korzenie? Gdzie złoto? Pierwsze odkrycia Kolumba nie wystarczyły nawet na pokrycie kosztów ekspedycji. Kto wyrzucałby w błoto kolejne sumy?

Kolumb pysznił się swymi odkryciami, a nie miał żadnych realnych dowodów. Znalazł Cipango; Kataj i Wyspy Korzenne były w zasięgu ręki... Wszystko kłamstwo! Gdzie są towary potwierdzające te słowa? A jednak każdy, kto go słuchał, kto go widział, kto go znał, nie wątpił, bo Kolumb w głębi duszy wierzył we wszystko, co mówił. Tylko siłą własnej wiary przekonał innych i sfinansowano nowe ekspedycje, nowe floty wyruszyły w morze; wielkie cywilizacje upadły, a złoto i srebro całego kontynentu popłynęło na wschód, podczas gdy miliony ludzi umierały z powodu chorób, a nieliczni, którzy przeżyli, przyglądali się bezradnie obcym, przybyłym po ich ziemię, by władać nią na zawsze.

A stało się to dlatego, że nie można było wątpić w słowa Kolumba, gdy mówił o rzeczach, których nigdy nie widział.

Tagiri odtworzyła jeszcze raz scenę z Ankuasz, kiedy Putukam mówiła o swoim śnie. Zobaczyła mnie i Hassana, pomyślała. A Kolumb ujrzał złoto. W jakiś sposób ujrzał złoto, chociaż Europejczycy dotarli do skarbów dopiero w przyszłych dziesięcioleciach. My za pomocą naszych maszyn możemy zaglądać tylko w przeszłość. Ale w jakiś sposób ten Genuńczyk i ta Indianka zobaczyli coś, czego nie może zobaczyć nikt. I oboje mieli rację, chociaż nie istniało żadne wytłumaczenie, żadne logiczne, rozsądne wytłumaczenie, jakim cudem oboje mieli rację.

Była czwarta nad ranem, kiedy Tagiri stanęła przed chłodzoną wiatrem chatą Hassana. Gdyby klasnęła w dłonie albo zawołała go, mogłaby obudzić innych. Toteż wślizgnęła się cicho do środka i ujrzała, że on również jeszcze nie śpi.

– Wiedziałeś, że przyjdę – powiedziała.

– Gdybym miał odwagę, sam przyszedłbym do ciebie.
– To wszystko jest możliwe – wyrzuciła z siebie Tagiri. – Możemy zmienić przeszłość. Powstrzymać coś. Możemy sprawić, żeby coś straszego się nie stało. Możemy sięgnąć wstecz i to naprawić.

Hassan milczał. Czekał.

– Wiem, co myślisz, Hassan. Możemy również coś zepsuć.

– Sądzisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Przez całą noc. Spójrz na świat wokół nas, Tagiri. Ludzkość wreszcie osiągnęła spokój. Nie ma chorób. Dzieci nie umierają z głodu, nie ma już analfabetyzmu. Świat goi rany. To nie było nieuniknione. Wszystko mogło potoczyć się inaczej. Jaką zmianę moglibyśmy uczynić w przeszłości, która byłaby warta ryzyka stworzenia nowej historii bez tego wskrzeszenia świata?

– Powiem ci, jaka zmiana będzie tego warta – odparła. – Świat nie potrzebowałby wskrzeszenia, gdyby nie został zabity.

– Wyobrażasz sobie, że moglibyśmy zrobić coś, co zmieniłoby ludzką naturę? Usunęło rywalizację pomiędzy narodami? Nauczyło ludzi, że dzielenie się jest lepsze od chciwości?

– Czy ludzka natura zmieniła się choć trochę w naszych czasach? – zapytała Tagiri. – Sądzę, że nie. Nadal mamy w sobie tyle samo chciwości, żądzy władzy, tyle samo dumy i gniewu co zawsze. Różnica polega jedynie na tym, że teraz znamy konsekwencje i boimy się ich. Panujemy nad sobą. Staliśmy się w końcu ludźmi cywilizowanymi.

– Uważasz więc, że możemy ucywilizować naszych przodków?

– Uważam – tłumaczyła Tagiri – że jeśli znajdziemy jakiś sposób, jakiś pewny sposób na powstrzymanie świata przed zagładą, która miała miejsce, to nie możemy się wahać. Lepiej sięgnąć w przeszłość i powstrzymać chorobę, niż podjąć leczenie pacjentki na skraju śmierci i powoli, krok po kroku, przywracać ją do zdrowia. Lepiej stworzyć świat, w którym niszczyciele nie zatryumfowali.

– Jeśli choć trochę cię znam, Tagiri, nie przyszłabyś tutaj dziś w nocy, gdybyś nie wiedziała, jaka to musi być zmiana.

– Kolumb – stwierdziła krótko.

– Jeden żeglarz? Odpowiedzialny za zniszczenie świata?

– Nie było nic nieuniknionego w jego wyprawie na zachód, kiedy popłynął. Portugalczycy już prawie znaleźli drogę do Orientu. Nikt nie wyobrażał sobie istnienia nieznanego kontynentu. Najmądrzejsi wiedzieli, że świat jest duży, i wierzyli, że ocean dwa razy większy od Pacyfiku rozciąga się pomiędzy

Hiszpanią i Chinami. Dopiero kiedy mieliby okręt zdolny w ich mniemaniu przepłynąć taki ocean, wyruszyliby na zachód. Nawet gdyby Portugalczycy natknęli się na wybrzeże Brazylii, nie było tam żadnych perspektyw zysku. Ziemia była jałowa i rzadko zaludniona, więc zlekceważyliby ją, tak jak generalnie zlekceważyli Afrykę i nie kolonizowali Czarnego Łądu przez czterysta lat od czasu spenetrowania jego wybrzeża.

– Zdażyłaś przez jedną noc tak dokładnie poznać ten temat? – zdziwił się Hassan.

– Przez tę noc myślałam. Temat poznałam wiele lat temu. Kolumb dotarł do Ameryki i niezachwianie wierzył, że udało mu się znaleźć Orient. Samo natknięcie się na masę łądu nic nie znaczyło – wikingowie już tu byli i czy cokolwiek z tego wynikło? Gdyby kto inny przybił do brzegów Kuby lub Brazylii, nie miałyby to większego znaczenia. Tylko z powodu raportów Kolumba o niezmiernych bogactwach, które okazały się prawdziwe dopiero po jego śmierci, inni żeglarze popłynęli w ślad za nim. Czy nie widzisz? To nie fakt, że ktoś popłynął na zachód, doprowadził do podboju Ameryki i w efekcie całego świata przez Europejczyków. Stało się tak, ponieważ był to Kolumb.

– Jeden człowiek zatem jest odpowiedzialny za zniszczenie naszej planety?

– Oczywiście, że nie – odparła Tagiri. – Nie mówię zresztą o moralnej odpowiedzialności, lecz o przyczynie. Europa była już Europą. Kolumb nie uczynił jej taką. Jednak dopiero złupienie Ameryki umożliwiło sfinansowanie straszliwych religijnych i dynastycznych wojen, jakie przetaczały się przez Europę pokolenie za pokoleniem. Gdyby Europa nie zajęła Ameryki, czy zdołałaby narzucić swą kulturę światu? Czy świat zdominowany przez islam albo rządzony przez chińskich biurokratów zniszczyłby się w ten sposób, w jaki uczyniliśmy to w świecie, gdzie każdy naród chciał być europejski?

– Europejczycy nie wynaleźli łupiestwa – zauważył Hassan.

– Nie, ale wynaleźli maszyny, dzięki którym ich łupiestwo stało się nieludzko skuteczne. Maszyny wysysające całą ropę naftową z ziemi i pozwalające roznosić wojny i zarazy ponad oceanami i kontynentami, aż dziewięć dziesiątych ludzkości było martwe.

– A więc Kolumb jest odpowiedzialny za erę technologii?

– Zrozum, Hassanie, nie staram się znaleźć winnego!

– Wiem, Tagiri.

– Szukam miejsca, gdzie najmniejsza, najprostsza zmiana uchroniłaby świat przed największym cierpieniem. Która sprowadziłaby do minimum liczbę

zniszczonych kultur, liczbę ludzi zamienionych w niewolników, liczbę wyniszczonych gatunków zwierząt. Wszystko sprowadza się do momentu, kiedy Kolumb wraca do Europy ze swymi opowieściami o złocie, niewolnikach i narodach, które staną się chrześcijańskimi poddanymi króla i królowej.

– A zatem zabiłabyś Kolumba?

Tagiri poruszyła się niespokojnie.

– Nie – odparła. – Kto mówi, że będziemy zdolni przenieść się w czasie w taki sposób, by było to możliwe? Ale i tak nie potrzebujemy go zabijać. Musimy tylko odwieść go od planów popłynięcia na zachód. Musimy dowiedzieć się, co jest możliwe, nim zadecydujemy, jak to zrobić. Na morderstwo nigdy bym się nie zgodziła. Kolumb nie był potworem. Wszyscy się co do tego zgodziliśmy, kiedy dzięki Tempoview poznaliśmy prawdę o nim. Jego wady były wadami epoki i kultury, a zaletami przerastał wszystkich sobie współczesnych. Był wielkim człowiekiem. Nie mam zamiaru wymazywać życia wielkiego człowieka.

Hassan powoli skinął głową.

– Ujmijmy to tak: gdybyśmy wiedzieli, że potrafimy odwieść Kolumba od jego planów, i gdybyśmy po wnikliwych badaniach byli pewni, że powstrzymanie go powstrzyma straszliwy bieg historii od tamtego momentu naprzód, warto byłoby wymazać obecną epokę uzdrawiania poprzez uczynienie jej niepotrzebną.

– Tak – zgodziła się Tagiri.

– Znalezienie odpowiedzi na te pytania mogłoby być zadaniem życia dla wielu ludzi.

– Może tak... a może nie.

– I nawet gdy będziemy pewni swych racji, możemy się przecież mylić, a świat w efekcie stanie się gorszym miejscem, niż był.

– Z jedną różnicą – rzekła Tagiri. – Jeśli powstrzymamy Kolumba, możemy być pewni jednej rzeczy: że Putukam i Baiku nigdy nie umrą od hiszpańskich mieczów.

– Do tego momentu zgadzam się z tobą – rzekł Hassan. – Dowiedzmy się, czy jest możliwe i pożądane zrealizowanie twego zamysłu. Przekonajmy się, czy ludzie naszego czasu uważają to za warte spróbowania, za słuszne. A jeśli okaże się, że tak, poprę cię całkowicie.

W jego słowach pobrzmiwała pewność, mimo to Tagiri czuła dziwne oszołomienie, jakby stała na krawędzi wielkiej przepaści i ziemia drgnęła

właśnie pod jej stopami. Cóż to za arogancja! Jak śmiem myśleć o sięganiu w przeszłość i czynieniu tam zmian! – dziwiła się w duchu. Jak śmiem odpowiadać na modlitwy skierowane do bogów!

A jednak już wtedy podjęła ostateczną decyzję. Europejczycy mieli własną wizję przyszłości, zrealizowali swoje najśmielsze marzenia, i oto ich przyszłość stała się mroczną przeszłością jej świata; w konsekwencji ich decyzji trzeba było teraz wskrzeszać całą planetę.

Europejskie marzenia doprowadziły do dnia dzisiejszego, do śmiertelnie zranionego świata będącego w okresie rekonwalescencji, która trwać miała tysiące lat, świata ogołoczonego z tak wielu cudów, możliwych do odzyskania tylko na holograficznych ekranach Instytutu Czasu. Jeśli więc jest w mojej mocy wymazać ich marzenia, podarować przyszłość innym narodom, czy może to być złe? – zastanawiała się Tagiri. Jak mogę coś pogorszyć? Krzysztof Kolumb – Cristobal Colon, jak nazywali go Hiszpanie; Cristoforo Colombo, jak ochrzczono go w Genui – nie odkryje w końcu Ameryki, jeśli znajdę sposób, żeby go powstrzymać. Ludzie z Ankuasz uzyskają odpowiedź na swoją modlitwę.

I odpowiadając na tę modlitwę, ona również zaspokoi dręczące ją pragnienie. Nigdy nie mogła ukoić beznadziejnej tęsknoty malującej się na twarzach milionów niewolników wszystkich epok. Nigdy nie potrafiła zetrzeć wyrazu smutku z twarzy Diko i jej niegdyś radosnego synka, Acho. Nigdy nie była w stanie zwrócić niewolnikom wolności. Mogła jednak zrobić tę jedną rzecz, i robiąc to, ciężar narastający w jej wnętrzu przez wszystkie te lata zostałby zdjęty. Wiedziałaaby, że zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby uleczyć przeszłość.

Następnego ranka Tagiri i Hassan złożyli raport. Przez wiele tygodni najważniejsi członkowie kierownictwa Instytutu Czasu oraz decydenci spoza instytutu oglądali holograficzne taśmy i omawiali zarejestrowane sceny. Słuchali Tagiri i Hassana podnoszących wątpliwości i kreślących plany. W końcu zgodzili się na rozpoczęcie nowego programu badawczego mającego wyjaśnić, co mogła oznaczać wizja Putukam. Nazwali go “Kolumb”, ponieważ śmiałą wizją przypominał szaloną podróż, jaką Kolumb podjął w roku 1492, a zarazem mógł prowadzić do wymazania tego wiekopomnego osiągnięcia z dziejów świata.

Tagiri nadal zajmowała się historią niewolnictwa, jednak wraz z Hassanem rozpoczęła realizację nowego programu z zupełnie inną grupą współpracowników. Hassan prowadził zespół, który badał historię w celu

przekonania się, czy powstrzymanie Kolumba przyniesie zamierzony efekt, a także czy jakaś inna zmiana byłaby bardziej pożądana lub łatwiejsza do przeprowadzenia. Tagiri dzieliła swój czas pomiędzy historię niewolnictwa i koordynację pracy tuzina fizyków i inżynierów, którzy starali się dowiedzieć, na jakiej zasadzie mógłby działać wsteczny efekt temporalny i jak zmodyfikować pracę maszyn czasowych w celu wzmocnienia efektu na tyle, by możliwe było zmienianie przeszłości.

Niedługo potem Tagiri i Hassan pobrali się, wkrótce urodziła im się córka i syn. Córkę nazwali Diko, a chłopca Acho. Diko i Acho rośli silni i mądrzy, otoczeni miłością rodziców i związani z programem “Kolumb” od najwcześniejszych lat. Acho wyrósł na pilota, szybującego nad powierzchnią Ziemi niczym ptak, szybki i swobodny. Diko nie oddalała się zbyt od domu. Poznała wiele języków i opowieści stanowiących jądro pracy jej rodziców. Tagiri spoglądała na swego męża, na dzieci i niejedną raz zastanawiała się: Co by się stało, gdyby jakiś obcy przybył i ukradł mi syna, gdyby uczynił z Acho niewolnika i miałabym go nigdy więcej nie zobaczyć? Gdyby żołnierze z kraju, o którym nikt nigdy nie słyszał, przybyli i zamordowali mojego męża, zgwałcili moją córkę? I gdyby gdzieś, w jakimś innym miejscu i czasie, szczęśliwi ludzie patrzyli na to i nie zrobili nic, żeby nam pomóc, z lęku, że zaburzyłyby to ich własne szczęście? Co bym o nich pomyślała?

3 – PRAGNIENIE

Czasem Diko czuła się, jakby wzrastała u boku Krzysztofa Kolumba, jakby był jej wujkiem, dziadkiem albo starszym bratem. Był zawsze obecny w pracy jej matki, pojawiając się raz po raz w odtwarzanych scenach z przeszłości.

W jednym z jej najwcześniejszych wspomnień Kolumb wydawał rozkazy swoim ludziom, by schwytali kilku Indian w celu zabrania ich do Hiszpanii jako niewolników. Diko była jeszcze na tyle mała, że nie rozumiała znaczenia tego, co ogląda. Wiedziała jednak, że ludzie na holograficznym ekranie nie są prawdziwi, toteż przestraszyła się, kiedy matka powiedziała z

intensywnym, gorzkim gniewem:

– Powstrzymam cię!

Diko pomyślała, że ten gniew skierowany jest na nią, i wybuchnęła płaczem.

– Cicho, malutka – uspokajała matka, kołyszając ją na rękach. – Nie mówiłam do ciebie, mówiłam do mężczyzny na ekranie.

– On nie może cię usłyszeć – odparła Diko.

– Któregoś dnia usłyszysz.

– Tata mówi, że on umarł sto lat temu.

– O wiele dawniej, moja malutka.

– Dlaczego tak się na niego gniewasz? Czy on jest zły?

– Żył w kiepskich czasach – odparła matka. – Był wielkim człowiekiem w kiepskich czasach.

Diko nie pojęła tej moralnej dwuznaczności. Zrozumiała tylko to, że ludzie z holowizji są jednak w jakiś sposób prawdziwi i że człowiek nazywany Cristobalem Colonem, Cristoforo Colombo albo Krzysztofem Kolumbem jest dla matki kimś niezmiernie ważnym.

Stał się również kimś ważnym dla Diko. Zawsze był obecny w jej podświadomości. Oglądała go, jak bawi się jako dziecko. Patrzyła, jak kłóci się w nieskończoność z kapłanami w Hiszpanii. Widziała, jak klęka przed królem Aragonii i królową Kastylii. Obserwowała, jak daremnie próbuje dogadać się z Indianami po łacinie, genueńsku, hiszpańsku i portugalsku. Przyglądała się, jak składa wizytę swojemu synowi w klasztorze La Rabida.

Diko miała pięć lat, kiedy zapytała matki:

– Dlaczego synek z nim nie mieszka?

– Czyj?

– Cristofora – rzekła Diko. – Dlaczego jego mały synek mieszka w klasztorze?

– Ponieważ Kolumb nie ma żony.

– Wiem, umarła.

– Tak więc podczas gdy on próbuje przekonać króla i królową, żeby pozwolili mu pożeglować na zachód, jego syn musi pozostawać w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie może uzyskać wykształcenie.

– Ale Cristoforo ma inną żonę przez cały czas – zauważyła Diko.

– Nie żonę – sprostowała matka.

– Śpią razem.

– Czy oglądałaś holowizję, kiedy mnie tu nie było? – zapytała Tagiri.

– Zawsze tu jesteś, mamó – odparła Diko.

- To nie jest odpowiedź, ty przebiegły dzieciaku. Co oglądałaś?
- Cristoforo ma drugiego synka ze swoją nową żoną – odpowiedziała Diko. – Ten synek nigdy nie będzie mieszkał w klasztorze.
- Cristoforo nie jest mężem matki tego chłopca.
- Dlaczego nie?
- Diko, masz tylko pięć lat, a ja jestem bardzo zajęta. Czy sprawa jest tak ważna, że muszę wyjaśniać ci ją w całości właśnie teraz?
- Diko wiedziała, co to oznacza – musi zapytać ojca. Ojciec przebywał w domu rzadziej niż matka, ale kiedy był na miejscu, odpowiadał na wszystkie pytania Diko i nigdy nie kazał czekać jej, aż dorośnie.
- Później tego popołudnia Diko siedziała na stołku obok matki, pomagając jej ugniatać gotowaną fasolę na pastę, która miała stanowić wieczorny posiłek. Kiedy uważnie, pracowicie mieszała ugniecioną fasolę, przyszło jej do głowy kolejne pytanie:
- Gdybyś ty umarła, mamó, czy tata wysłałby mnie do klasztoru?
- Nie – odparła matka.
- Dlaczego?
- Bo ja nie umrę, w każdym razie nie wcześniej, niż ty staniesz się staruszką.
- Ale gdybyś umarła.
- Nie jesteśmy chrześcijanami i nie żyjemy w piętnastym wieku – odparła matka. – Nie wysyłamy dzieci do klasztorów po wykształcenie.
- On musiał być bardzo samotny – powiedziała Diko.
- Kto?
- Synek Cristofora w klasztorze.
- Z pewnością masz rację.
- Czy Cristoforo też był samotny? Bez swojego synka?
- Tak przypuszczam. Niektórzy ludzie stają się bardzo samotni bez swoich dzieci. Nawet kiedy przez cały czas są otoczeni innymi ludźmi, tęsknią za pociechami. Nawet kiedy ich maleństwa dorastają i przestają być małe, oni wciąż tęsknią za nimi takimi, jakimi ich nigdy już nie zobaczą. Diko uśmiechnęła się przekornie.
- Czy ty tęsknisz za mną, kiedy miałam dwa lata?
- Tak.
- Czy byłam ładna?
- Raczej dość absorbująca. Zawsze ciekawa wszystkiego, zawsze w ruchu. Byłaś nieznośna. Twój tata i ja prawie nie mogliśmy nic zrobić, bo przez cały czas musieliśmy zajmować się tobą.

– Czy nie byłam ładna? – zapytała Diko. Wyglądała na odrobinę rozczarowaną.

– Zatrzymaliśmy cię, prawda? – powiedziała matka. – Musiałaś być choć trochę ładna. Nie chlap tak fasolą, bo będziemy musieli zlizywać kolację ze ścian.

– Tata robi lepszą pastę fasolową od ciebie – stwierdziła Diko.

– Jakież to miłe słowa!

– Ale kiedy idziecie do pracy, ty jesteś jego szefem.

Matka westchnęła.

– Twój ojciec i ja pracujemy razem.

– Ty jesteś głową programu. Wszyscy tak mówią.

– Tak, to prawda.

– Jeśli ty jesteś głową, to czy tata jest łokciem albo czymś takim?

– Tata jest rękami i stopami, oczami i sercem.

Diko zaczęła chichotać.

– Czy jesteś pewna, że tata nie jest żołądkiem?

– Uważam, że jego okrągły brzusek jest naprawdę słodki.

– Cóż, to dobrze, że tata nie jest siedzeniem programu.

– Wystarczy, Diko! – ucięła matka. – Ojcu należy się choć odrobina szacunku. Naprawdę nie jesteś już małą dziewczynką, żeby takie żarty były śmieszne.

– Jeśli nie są śmieszne, to jakie?

– Przykre.

– Mam zamiar być przykra przez całe moje życie – odparła Diko prowokacyjnym tonem.

– Nie wątpię w to.

– Zamierzam Cristofora powstrzymać.

Matka spojrzała na nią z ukosa.

– To moje zadanie, jeśli w ogóle jest to wykonalne.

– Ty będziesz za stara – powiedziała Diko. – Ja dorosnę i powstrzymam go dla ciebie.

Tagiri nie powiedziała nic.

Kiedy Diko miała dziesięć lat, wszystkie popołudnia spędzała już w laboratorium, ucząc się obsługi starego Tempoview. Właściwie nie powinna była go używać, ale cała instalacja była podporządkowana programowi matki, toteż wszelkie przepisy traktowano zgodnie z jej uznaniem. Oznaczało to, że procedury naukowe były ściśle przestrzegane, ale granicy pomiędzy

pracą i domem nie wyznaczano zbyt rygorystycznie. Dzieci kręciły się często w pobliżu i dopóki zachowywały się cicho, nikomu nie przeszkadzała ich obecność. Oczywiście nie mogły psocić. Poza tym nikt nie używał już przestarzałych maszyn Tempoview, chyba że odtwarzano nagrania archiwalne, toteż Diko nie wkraczała w niczyje pole działania. Wszyscy wiedzieli, że jest ostrożna. Nikt nie komentował więc faktu, że dziecko bez oficjalnej zgody zagląda bez nadzoru w przeszłość.

Z początku ojciec zablokował urządzenie w ten sposób, że Diko mogła tylko odtwarzać zarejestrowane wcześniej sceny. Wkrótce zaczęło ją to drażnić. Diko zawsze pragnęła obejrzeć sprawy z innego punktu widzenia.

Na krótko przed swymi dwunastymi urodzinami zdołała obejść blokadę nałożoną przez ojca. Nie zrobiła tego w zbyt subtelny sposób; komputer przekazał dalej informację o jej występku i nie minęła godzina, a już zjawił się ojciec.

– A więc chcesz zaglądać w przeszłość – powiedział.

– Nie podobają mi się sceny nagrane przez innych ludzi – odparła. – Ich nigdy nie interesuje to co mnie.

– Debatujemy obecnie nad tym – rzekł ojciec – czy wykluczyć cię całkowicie z przeszłości, czy też dać ci swobodę, której żądasz.

Diko zrobiło się słabo.

– Nie wykluczajcie mnie – poprosiła. – Pozostanę przy starych scenach, ale nie każcie mi odchodzić.

– Wprawdzie wszyscy ludzie, których oglądasz, nie żyją – tłumaczył ojciec – ale to nie oznacza, że masz prawo szpiegować ich ze zwykłej ciekawości.

– Czy nie to właśnie robią wszyscy w Instytucie Czasu?

– Nie – odparł ojciec. – Jesteśmy ciekawi, tak, ale nie z pobudek osobistych. Jesteśmy naukowcami.

– Ja też będę naukowcem – powiedziała Diko.

– Oglądamy życie innych ludzi, żeby dowiedzieć się, jakie są motywy ich działań.

– Ja też.

– Ujrzysz straszne sceny – uprzedził ojciec. – Brzydkie sceny. Bardzo intymne. Niepokojące.

– Już je widziałam.

– No właśnie. Jeśli sądzisz, że sceny, które pozwoliliśmy ci dotąd oglądać, są brzydkie, intymne i niepokojące, to co zrobisz, kiedy zobaczysz coś naprawdę brzydkiego, intymnego i niepokojącego?

– Brzmi to jak nazwa kancelarii adwokackiej: Brzydki, Intymny i Niepokojący.

– Jeśli pragniesz uzyskać przywileje naukowca, musisz zachowywać się jak naukowiec.

– Co to znaczy?

– Oczekuję codziennych raportów na temat miejsc i okresów, jakie oglądałaś. Cotygodniowych raportów na temat tego, co badałaś i czego się dowiedziałaś. Musisz prowadzić dziennik, tak jak wszyscy inni. A jeśli zobaczysz coś niepokojącego, zwróć się do mnie albo do matki.

Diko uśmiechnęła się promiennie.

– Kapuję. Brzydkim i intymnym zajmuję się sama, ale niepokojące zgłaszam starożytnym.

– Jesteś światłem mojego życia – powiedział ojciec. – Chyba nie krzychałem na ciebie wystarczająco, kiedy byłaś jeszcze na tyle mała, by odniosło to jakiś skutek.

– Będę składała raporty, o które mnie prosisz, ale musisz mi obiecać, że będziesz je czytać.

– Tak samo dokładnie jak raporty innych. Więc lepiej nie opisuj żadnych bzdur.

Diko badała, pisała raporty i zaczęła z niecierpliwością wyglądać cotygodniowych rozmów z ojcem na temat tego, czym się zajmowała. Dużo później zdała sobie sprawę, jak dziecięce i prymitywne były te pierwsze wypracowania, jak prześlizgiwała się po powierzchni spraw już dawno zgłębianych przez dorosłych obserwatorów; dziwiła się, że ojciec nigdy nie zdradził ani słowem, iż wcale nie znalazła się na pierwszej linii naukowych odkryć. Zawsze słuchał z szacunkiem, a po kilku latach Diko zaczęła prowadzić badania, które na jego szacunek zasługiwały.

Człowiekiem, który odciągnął ją od Tempoview na rzecz o wiele bardziej czułego TruSite, był stary Cristoforo Colombo. Diko nigdy go nie zapomniała, ponieważ matka i ojciec nigdy go nie zapomnieli, ale jej wczesne badania przy użyciu Tempoview nie miały z nim nic wspólnego. Dlaczego zresztą miałyby mieć? Diko znała każdy moment życia Colomba ze starych taśm, które matka i ojciec oglądali bez przerwy przez całe jej życie. Wróciła do Colomba, kiedy zadała sobie pytanie: W jakim momencie wielkie postacie historyczne podejmują decyzje, stawiające je na ścieżce do wielkości? Wyeliminowała ze swych badań wszystkich, których sława była dziełem przypadku; intrygowali ją ci, którzy walczyli przeciwko potężnym

przeszkodom i nigdy się nie poddawali. Były wśród nich potwory, byli i szlachetni; jedni kierowali się samolubnym oportunizmem, drugim przyświecał altruizm; pewne ich osiągnięcia natychmiast waliły się w gruzy, inne zmieniały świat do tego stopnia, że echa tych zmian trwały do chwili obecnej. Dla Diko nie miało to większego znaczenia. Szukała momentu podjęcia decyzji, aż wreszcie, po napisaniu raportów na temat paru tuzinów wielkich postaci, przyszło jej do głowy, że pomimo dobrej znajomości Cristofora, nigdy właściwie nie usiadła i nie obejrzała jego życia w linearny sposób, by przekonać się, co sprawiło, że ten syn ambitnego genueńskiego tkacza wypuścił się w morze i przewrócił do góry nogami wyobrażenia współczesnych o kształcie świata.

To, że Cristoforo był jednym z wielkich, nie ulegało wątpliwości, bez względu na to, czy matka i ojciec zgadzali się z tym, czy nie. A więc... kiedy została podjęta owa decyzja? Kiedy po raz pierwszy postawił stopę na ścieżce, która miała uczynić go jednym z najśłynniejszych ludzi w historii?

Sądziła, że odnalazła odpowiedź w roku 1459, kiedy rywalizacja pomiędzy dwoma wielkimi domami Genui, rodzinami Fieschi i Adorno, osiągnęła punkt krytyczny. Domenico Colombo, tkacz, zwolennik koterii Fieschich, były odźwierny przy bramie Olivella, był ojcem małego rudowłosego chłopca, który posiadał moc zmienienia świata.

Cristoforo miał osiem lat, kiedy Piętro Fregoso po raz ostatni przybył z wizytą do jego ojca. Cristoforo znał nazwisko tego człowieka, ale wiedział też, że w domu Domenica Colombo wobec Pietra Fregoso używano zawsze tytułu, jaki został mu skradziony przez rodzinę Adorno: tytułu doży. Fregoso postanowił raz jeszcze zagrać o władzę, a ponieważ ojciec Cristofora był jednym z najbardziej zapalonych bojowników o sprawę rodziny Fieschi, nic dziwnego, że Piętro zwołał sekretne spotkanie właśnie w domu Domenica.

Piętro przybył rankiem w towarzystwie zaledwie kilku ludzi – musiał przemknąć niepostrzeżenie przez miasto, gdyż w przeciwnym razie Adornowie wiedzieliby, że coś knuje. Cristoforo ujrzał, jak ojciec klęka i całuje pierścień Pietra. Matka, stojąca w przejściu między warsztatem i pokojem frontowym, wymamrotała coś pod nosem na temat papieża. Ale Piętro był dożą Genui, a raczej byłym dożą. Nikt nie nazywał go papieżem.

– Co powiedziałaś, mammo?

– Nic. Chodź tutaj.

Cristoforo został wciągnięty do warsztatu tkackiego, gdzie trzęsły się i stukały maszyny obsługiwane przez czeladników; uczniowie prowadzili nic w tę i z powrotem, a czasem wskakiwali pod maszyny, żeby złożyć tkany właśnie materiał. Cristoforo wiedział, że wkrótce powinien zostać uczniem w warsztacie jakiegoś innego członka gildii tkaczy. Wcale go to nie cieszyło. Życie ucznia było pełne udręki i bezsensownej pracy, a przycinki czeladników szybko ustępowały miejsca zwykłemu znęcaniu, kiedy ojca i matki nie było w warsztacie. W warsztacie innego tkacza Cristoforo nie posiadałby też przywilejów, jakimi cieszył się tutaj, gdzie jego ojciec był mistrzem.

Wkrótce matka przestała zwracać na niego uwagę, toteż Cristoforo mógł zbliżyć się do drzwi i obserwować, co dzieje się w pokoju frontowym, gdzie bele sukna usunięto ze stołu wystawowego, a wielkie szpule nici postawiono pionowo, by służyły do siedzenia. Przybyło jeszcze kilku innych mężczyzn. Cristoforo pojął, że Piętro Fregoso zwołał naradę wojenną, i to w domu ojca. Z początku tylko podziwiał wspaniałych gości. Ubrani byli w oszałamiające, bogate szaty. Żaden z klientów ojca nie przychodził do sklepu ubrany w ten sposób, a jednak niektóre z części ich garderoby zostały bez wątpienia utkane w warsztacie Domenica Colombo. W zdobnym kaftanie jednego z panów Cristoforo rozpoznał sukno utkane nie więcej niż miesiąc wcześniej przez Carla, najlepszego z czeladników. Materiał został odebrany przez Tita, który zawsze nosił zielony uniform. Dopiero teraz Cristoforo zdał sobie sprawę, że kiedy Tito przychodził kupować, kupował nie dla siebie, lecz dla swego pana. Nie był zatem klientem, tylko służącym. A jednak ojciec traktował Tita jak przyjaciela.

Cristoforo zamyślił się nad sposobem, w jaki ojciec podejmował przyjaciół. Żarty, luźna atmosfera, wino, opowieści. Siedzieli przy stole, rozprawiali.

Ojciec zawsze mówił, że jego największym przyjacielem jest doża – Piętro Fregoso. Teraz jednak Cristoforo dostrzegł, że nie jest to prawda, gdyż ojciec nie żartował, nie zachowywał się w bez troski sposób, nie opowiadał historii, a wino, które nalewał, przeznaczone było dla szlachciców przy stole, a nie dla niego samego. Ojciec przemyczał się pod ścianami, doglądając, czy komuś nie brakuje wina, nalewając niezwłocznie, jeśli spostrzegł pusty kielich. Piętro zaś nie spoglądał na ojca, kiedy wodził wzrokiem po twarzach mężczyzn zebranych przy stole. Nie, Piętro nie był przyjacielem ojca; wedle wszelkich znaków, ojciec był jego służącym.

To odkrycie zdziwiło Cristofora, wiedział bowiem, że ojciec jest bardzo

dumny z przyjaźni Pietra. Cristoforo obserwował spotkanie, przypatrując się pełnym gracji ruchom bogatych panów, słuchając ich rozmowy. Niektórych słów w ogóle nie rozumiał, choć wiedział, że pochodzą z genueńskiego, a nie z łaciny czy greki. Oczywiście, ojciec nie ma tym ludziom nic do powiedzenia. Oni posługują się innym językiem. Są obcokrajowcami, takimi samymi jak przybysze z Prowansji, których Cristoforo ujrzał pewnego dnia w porcie.

W jaki sposób wielmoże nauczyli się tak mówić? – zastanawiał się Cristoforo. W jaki sposób nauczyli się słów, których nigdy nie słyshać w naszym domu albo na ulicy? Jak to możliwe, że słowa te należą do języka genueńskiego, a jednak żaden Genueńczyk ich nie zna? Czy Genua nie jest jednym miastem? Czy ci ludzie nie są stronnikami Fieschich, tak jak ojciec? Cristoforo pomyślał, że ojciec mówi bardziej jak osiłkowie Adornów wywracający stragany Fieschich na rynku, niż jak ci panowie mający rzekomo należeć do tego samego stronnictwa co on.

Istnieje większa różnica pomiędzy wielmożami i kupcami, niż pomiędzy Adornami i Fieschimi. A jednak Adornowie i Fieschi często walczą między sobą, słyshać nawet pogłoski o zabójstwach. Dlaczego nie ma kłótni pomiędzy szlachtą i kupcami?

Tylko raz Piętro Fregoso wspomniał o ojcu w czasie całego spotkania.

– Nie możemy ciągle czekać i czekać! Spójrzcie na Domenica. – Wskazał ojca Cristofora, który podszedł bliżej, jak właściciel tawerny, którego zawołano. – Siedem lat temu był odźwiernym bramy Olivella. Teraz ma dom dwa razy mniejszy niż wtedy i zaledwie trzech czeladników, a nie jak uprzednio sześciu. Dlaczego? Ponieważ człowiek mieniący się dożą sprzyja tkaczom Adornów. Ponieważ ja nie mam władzy i nie mogę ochraniać moich przyjaciół!

– To nie jest wyłącznie kwestia polityki Adornów, panie – rzekł jeden z wielmożów. – Całe miasto zbiedniało, Turcy siedzą w Konstantynopolu, muzułmanie niepokoją nas w Chios, a katalońscy piraci napadają nasze porty i łupią domostwa stojące nad wodą.

– Właśnie o to chodzi! – zawołał doża. – Obcy dali władzę tej marionetce, co ich obchodzi cierpienia Genui? Czas przywrócić prawdziwie genueńskie rządy. Nie chcę słyszeć sprzeciwu.

Tylko jeden z wielmożów przerwał ciszę, jaka zapadła po wypowiedzi Pietra.

– Nie jesteśmy gotowi – rzekł. – Zapłacimy drogocenną krwią za przedwczesny atak.

Piętro Fregoso spojrział na niego gniewnie.

– Co? Mówię, że nie chcę słyszeć sprzeciwu, a ty mi się sprzeciwiasz? Czym jesteś zwolennikiem, de Portobello?

– Twoim aż do śmierci, panie, ale przecież nie będziesz karał człowieka za wypowiedzenie tego, co w jego przekonaniu jest prawdą.

– I nie ukarzę ciebie teraz – odparł Piętro. – Pod warunkiem że mogę liczyć na twoją obecność u mego boku.

De Portobello zerwał się na nogi.

– Przed tobą, panie, albo za tobą, i wszędzie tam, gdzie będzie trzeba uchronić cię przed niebezpieczeństwem.

Słyszając to ojciec wystąpił naprzód nie wołany.

– Ja również będę stał u twego boku, panie! – zawołał. – Ktokolwiek podniesie na ciebie rękę, będzie najpierw musiał zabić Domenica Colombo!

Cristoforo ujrzał, jak zareagowali zebrani. Kiedy de Portobello składał przysięgę lojalności, kiwali głowami, a w trakcie wypowiedzi ojca wpatrywali się tylko milcząco w stół. Niektórzy z nich poczerwieniali – z gniewu? Ze wstydu? Cristoforo nie był pewny, dlaczego nie popierają żarliwego wystąpienia ojca. Czy dlatego że tylko szlachcic umiał walczyć na tyle dobrze, by obronić prawowitego dożę? Czy też dlatego że ojciec nie powinien był odzywać się nie pytany w tak znamienitym towarzystwie?

Bez względu na powód, Cristoforo ujrzał, że milczenie trafiło w ojca niczym cios pięści. Domenico zatoczył się na ścianę, skulił ramiona. Dopiero kiedy jego upokorzenie było całkowite, Piętro przemówił ponownie:

– Nasz sukces zależy od odwagi i lojalności wszystkich Fieschich. – Jego słowa były łaskawe, padły jednak zbyt późno, by pocieszyć ojca. Piętro nie wypowiedział ich jak suweren przyjmujący przysięgę wasala, lecz raczej jak pan klepiący po głowie wiernego psa.

Ojciec nie liczy się dla nich, pomyślał Cristoforo. Spotykają się w jego domu, ponieważ muszą zachować ostrożność, ale ojciec jest dla nich nikim.

Spotkanie zakończyło się wkrótce potem; zebrani postanowili zaatakować za dwa dni. Gdy tylko panowie wyszli, matka wyminęła Cristofora i stanęła przed ojcem.

– Coś ty wygadywał, głupcze? Jeśli ktoś zechce skrzywdzić prawowitego dożę, będzie najpierw musiał zabić Domenica Colombo! Cóż za nonsens! Kiedy to stałeś się żołnierzem? Gdzie twój wspaniały miecz? Ile pojedynków stoczyłeś? Czy też myślisz, że będzie to tylko kłótnia w tawernie i wystarczy, że stukniesz głowami paru pijaków, a bitwa zostanie wygrana? Czy w ogóle

nie obchodzą cię dzieci, skoro zamierzasz pozbawić je ojca?

– Mężczyzna musi mieć honor – rzekł ojciec.

Czym jest honor ojca, skoro jego największy przyjaciel drwi ze złożonej przez niego przysięgi na życie? – pomyślał Cristoforo.

– Twój honor sprawi, że dzieci znajdą się na ulicy w łachmanach!

– Mój honor sprawił, że byłem odźwiernym bramy Olivella przez cztery lata. Podobał ci się wtedy nasz elegancki dom, co?

– Te czasy minęły – westchnęła ciężko matka. – Poleje się krew, i nie będzie to krew Adornów.

– Nie bądź tego taka pewna – rzekł ojciec, po czym gniewnym krokiem ruszył na górę. Matka wybuchnęła płaczem. Kłótnia była zakończona.

Cristoforo nie pozbył się wątpliwości. Czekał, gdy matka odciągała szpule od stołu i kładła na blacie z powrotem bele materiału, by klienci mogli je obejrzeć i by pomieszczenie wyglądało porządnie. Kiedy ocenił, że może się odezwać nie ryzykując bury, zapytał:

– W jaki sposób szlachcice uczą się być szlachcicami?

Matka spojrzała na niego pałającym wzrokiem.

– Rodzą się nimi. Bóg uczynił ich szlachcicami.

– Ale dlaczego my nie możemy nauczyć się mówić tak jak oni? – nie ustępował Cristoforo. – To chyba nie byłoby trudne. – Zaczął przedrzeźniać afektowany ton de Portobella: – “Przecież nie będziesz karał człowieka za wypowiedzenie czegoś, co w jego przekonaniu jest prawdą”.

Matka wymierzyła mu kilka mocnych policzków. Zabolęło i chociaż Cristoforo już od dawna nie płakał, kiedy go bito, był tak zaskoczony, że łzy pociekły mu z oczu.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek więcej stroił takie fochy, Cristoforo! – krzyknęła matka. – Czyżbyś był lepszy od swojego ojca? Czy sądzisz, że kiedy zaczniesz kwakać jak kaczką, wyrosną ci skrzydła?

– Mój ojciec nie jest gorszy od żadnego z nich! – odpowiedział w gniewie. – Dlaczego jego syn nie miałby się nauczyć być szlachcicem?

Nieomal uderzyła ponownie, za to że śmiał się odezwać. Opanowała się jednak.

– Twój ojciec nie jest od nich gorszy – rzekła. – Jest lepszy!

Cristoforo wskazał delikatne tkaniny rozłożone na stole.

– Oto bogate materie. Dlaczego ojciec nie miałby ubierać się jak szlachcic? Dlaczego nie miałby mówić tak jak oni, ubierać się jak oni? Wtedy doża traktowałyby go z szacunkiem!

– Doża śmiałyby się z niego – odparła matka. – Podobnie jak wszyscy. A gdyby ojciec nadal próbował uchodzić za szlachetnie urodzonego, ktoś by przebił mu rapierem serce, by ukrócić czelność parweniusza.

– Dlaczego śmiałyby się z niego, jeśli nie śmieją z innych, którzy ubierają się i mówią w ten sposób?

– Ponieważ tamci naprawdę są szlachcicami, a twój ojciec nie jest.

– Ale skoro nie chodzi o ubranie ani o język... Czy to coś w ich krwi? Nie wyglądali na silniejszych od ojca. Mają słabe ramiona i w większości są tłuści.

– Ojciec jest od nich silniejszy, oczywiście. Ale oni noszą miecze.

– Zatem ojciec powinien kupić sobie miecz!

– Kto sprzedałby miecz tkaczowi?! – zawołała matka wybuchając śmiechem.

– I co ojciec by z nim zrobił? Nigdy w życiu nie trzymał w ręku miecza. Poobcinałby sobie palce!

– Mógłby się w tym ćwiczyć – odparł Cristoforo. – Mógłby się uczyć.

– Nie miecz czyni człowieka szlachcicem – rzekła matka. – Szlachcice rodzą się jako dzieci szlachty, to wszystko. Ojciec twojego ojca nie był szlachcicem, a więc i on nim nie jest.

Cristoforo zastanawiał się przez moment.

– Czy nie wszyscy pochodzimy od Noego? Dlaczego dzieci jednej rodziny są szlachcicami, a dzieci innej nie? Wszyscy jesteśmy stworzeni przez Boga.

Matka zaśmiała się gorzko.

– Och, czy tego nauczyli cię księża? Cóż, powinieneś zobaczyć, jak kłaniają się przed szlachcicami i im schlebiają, nas mając za nic. Księża są przekonani, że Bóg bardziej kocha szlachciców, ale Jezus Chrystus nie zachowywał się w ten sposób. Nic go nie obchodzili szlachetnie urodzeni!

– Co więc daje im prawo spoglądania z góry na ojca?! – zawołał z rozpaczą Cristoforo, a jego oczy ponownie napęłniły się łzami.

Matka spoglądała na niego przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy powiedzieć mu prawdę.

– Złoto i piach – mruknęła.

Cristoforo nie zrozumiał.

– Mają złoto w skarbcach – wyjaśniła matka – i posiadają ziemię. To właśnie czyni ich szlachcicami. Gdybyśmy mieli ogromne połacie ziemi albo skrzynię wypełnioną złotem na strychu, wtedy twój ojciec byłby szlachcicem i nikt nie śmiałyby się z ciebie, kiedy uczyłbyś się pięknie mówić i nosić ubrania z lamy. – Przycisnęła zwisający płat tkaniny do piersi Cristofora. –

Byłbyś pięknym szlachcicem, mój Cristoforo! – Upuściła materiał i wybuchnęła długim, niepowstrzymanym śmiechem.

Cristoforo wyszedł. Złoto, myślał. Gdyby ojciec miał złoto, inni ludzie by go słuchali. Cóż, dobrze, zdobędę dla niego złoto.

Ktoś z obecnych na spotkaniu musiał być zdrajcą, a może nieostrożne słowa zostały podsłuchane przez szpiegującego służącego, Adornowie bowiem dowiedzieli się o planach Fieschich. Kiedy Piętro oraz jego dwaj towarzysze pojawili się przy cylindrycznych wieżach bramy Sant'Andrea, gdzie mieli przybyć pozostali spiskowcy, zaatakowało ich kilkunastu zwolenników Adornów. Piętro, ściągnięty z konia, dostał kilka ciosów maczugą w głowę. Napastnicy uciekli.

Krzyki słyhać było w domu Colombów tak wyraźnie, jakby dobiegały zza ściany – brama Sant'Andrea stała ledwie sto metrów dalej. Słyszeli pierwsze krzyki napastników, a potem wołanie Pietra:

– Fieschi! Do mnie, Fieschi!

Ojciec nie zwlekając wziął swój ciężki kij z miejsca przy kominku i wybiegł na ulicę. Matka zjawiała się w pokoju frontowym zbyt późno, żeby go powstrzymać. Krzycząc i płacząc zebrała dzieci i pomocników na tyłach domu, podczas gdy czeladnicy trzymali straż od frontu. W zapadających ciemnościach słyszeli tumult i wrzaski, i krzyki Pietra. Były doża nie zginął i teraz w agonii wył o pomoc.

– Głupiec – wyszeptała matka. – Jeśli dalej będzie tak wrzeszczał, powiadomi wszystkich Adornów, że go nie zabili, i wrócą dokończyć robotę.

– Czy zabiją ojca? – zapytał Cristoforo.

Młodsze dzieci zaczęły płakać.

– Nie – odparła matka, ale Cristoforo widział, że nie jest tego pewna.

Prawdopodobnie wyczuła sceptycyzm syna.

– Wszystko głupcy – powiedziała. – Wszyscy mężczyźni to głupcy. Walczą o to, kto rządzi Genuą. Jakie to ma znaczenie? Turcy siedzą w Konstantynopolu! Poganie zdobyli Grób Święty w Jerozolimie! Imienia Chrystusa nie wymawia się już w Egipcie, a ci jak mali chłopcy kłócą się o to, kto zasiądzie na zdobnym krześle i będzie mógł nazywać się dożą Genui? Jaka jest cześć Pietra Fregoso w porównaniu z czcią Jezusa Chrystusa? Czym jest posiadanie pałacu doży, kiedy ziemia, gdzie Błogosławiona Dziewica chodziła po swym ogrodzie, gdzie ukazał jej się anioł, jest w rękach

obrzezanych psów? Jeśli chcą kogoś zabić, niech wyzwolą Jerozolimę! Niech oswobodzą Konstantynopol! Niech przeleją krew dla przywrócenia czci Synowi Boga!

– O to ja będę walczył – rzekł Cristoforo.

– Nie walcz! – powiedziała jedna z sióstr. – Zabiją cię.

– Zabiję ich pierwszy.

– Jesteś bardzo mały, Cristoforo – odparła siostra.

– Dorosnę.

– Cisza! – skarciła ich matka. – To wszystko bzdury. Synowie tkaczy nie biorą udziału w krucjatach.

– Dlaczego nie? – zapytał Cristoforo. – Czy Chrystus odrzuci pomoc mojego miecza?

– Jakiego miecza? – prychnęła matka pogardliwie.

– Któregoś dnia będę miał miecz – rzekł Cristoforo. – Będę szlachcicem!

– Przecież nie masz złota!

– Zdobędę złoto!

– W Genui? Jako tkacz? Do końca życia będziesz tylko synem Domenica Colombo. Nikt nie da ci złota, nikt nie nazwie cię szlachcicem. A teraz bądź cicho, bo oberwiesz.

Nie była to pusta groźba, wszystkie dzieci wiedziały, że należy posłuchać.

Parę godzin później ojciec wrócił do domu. Czeladnicy prawie nie wpuścili go do środka, słysząc tylko walenie do drzwi. Odbarykadowali wejście, dopiero kiedy zawołał z rozpaczą:

– Mój pan nie żyje! Wpuśćcie mnie!

Wszedł chwiejnie do środka. Był czerwony od krwi. Matka objęła go z krzykiem, szukając ran.

– To nie moja krew – rzekł ojciec z rozpaczą. – To krew doży! Piętro Fregoso nie żyje! Tchorze zasadzili się na niego, ściągnęli z konia i uderzyli w głowę maczugą!

– Dlaczego jesteś ubrudzony krwią, Nico?

– Zaniósłem go pod pałac dożów. Zaniósłem go pod miejsce, gdzie powinien przebywać.

– Dlaczego to zrobiłeś, ty głupcze?!

– Ponieważ mi kazał! Podszedłem do niego, a on krzyczał, cały zalany krwią, i powiedziałem: “Pozwól mi zabrać cię do medyków, do twojego domu, pozwól mi znaleźć tych, którzy to zrobili, i zabić ich dla ciebie”, a on mi odpowiedział: “Domenico, zabierz mnie do pałacu!” Zaniósłem go więc tam,

na własnych rękach, i nie obchodziło mnie, czy Adornowie to widzą! Zniosłem go tam, a on skonał w moich ramionach! Byłem jego prawdziwym przyjacielem!

– Znajdą cię i zabiją!

– Jakie to ma znaczenie? – odparł ojciec. – Doża nie żyje!

– Ma to znaczenie dla mnie – rzekła matka. – Rozbieraj się. – Zaczęła wydawać polecenia czeladnikom. – Ty zabierz dzieci na tył domu. Ty też, niech pomocnicy nabiorą wody i podgrzeją ją do kąpieli. Ty spal pokrwawione ubranie.

Inne dzieci dały się wyprowadzić, ale Cristoforo został. Patrzył, jak matka rozbiera ojca, pokrywając go pocałunkami i przeklinając na czym świat stoi. Nawet gdy poprowadziła go na dziedziniec, gdzie czekała kąpiel, nawet gdy smród palącej się zakrwawionej odzieży przeniknął dom, Cristoforo nie opuścił pokoju od frontu. Stał na straży, pilnując drzwi.

Tak przynajmniej było według wszystkich starych opisów. Kolumb stał na straży, by chronić rodzinę przed niebezpieczeństwem. Ale Diko wiedziała, że myślał zupełnie o czymś innym. Cristoforo w tym momencie decydował o swym życiu. Określał warunki swej przyszłej wielkości. Będzie szlachcicem. Królowie i królowe będą go traktowali z szacunkiem. Będzie miał złoto. I podbije całe królestwa w imię Chrystusa.

Wiedział już wtedy, że jeśli chce to wszystko osiągnąć, musi opuścić Genuę. Tak jak powiedziała jego matka: dopóki mieszkał w tym mieście, był tylko synem Domenica, tkacza. Od następnego ranka wszystkie siły skupił na przygotowaniach do realizacji swych planów. Zaczął studiować – języki, historię – z takim zapałem, że wywołało to komentarze mnichów. Pochwycił ducha nauki” – mówili, ale Diko wiedziała, że Kolumb uczył się języków, żeby podróżować za granicę. Musiał znać historię, by wiedzieć, co się dzieje na szerokim świecie, bo zamierzał wyruszyć w świat.

I musiał poznać arkana żagli. Każdą wolną chwilę Cristoforo spędzał w dokach, słuchając opowieści marynarzy, przepytując ich, dowiadując się o wszystko, co robią członkowie załogi. Później skupił się na nawigatorach, przekupując ich winem, kiedy było go na to stać, albo po prostu zadając do znudzenia pytania, kiedy był bez grosza. W końcu zaprowadziło go to na pokład statku, potem następnego: nie odrzucał żadnej propozycji wypłynięcia w morze i spełniał każde polecenie, by dowiedzieć się wszystkiego, co tylko

syn tkacza mógł nauczyć się na temat morza.

Diko złożyła raport na temat Krzysztofa Kolumba, na temat momentu, kiedy powziął brzemienną w skutki decyzję. Jak zawsze ojciec ją pochwalił, zwracając tylko uwagę na drobne niedociągnięcia. Diko przeczuwała jednak teraz, że pochwała ojca może skrywać poważną krytykę. Kiedy go zapytała o szczegóły, nie chciał nic powiedzieć.

– To dobry raport – rzekł. – Teraz zostaw mnie w spokoju.

– Coś jest z nim nie tak – odparła Diko – a ty nie chcesz mi powiedzieć.

– Raport jest dobrze napisany. Wszystko jest w nim w porządku, oprócz punktów, o których wspomniałem.

– A zatem nie zgadzasz się z moimi wnioskami. Uważasz, że nie wtedy Cristoforo postanowił stać się wielki.

– Stać się wielki? – powtórzył ojciec. – Tak, sądzę, że niemal na pewno jest to ten moment, kiedy powziął decyzję.

– A więc co jest nie tak?! – krzyknęła Diko.

– Nic! – krzyknął ojciec w odpowiedzi.

– Nie jestem już dzieckiem!

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Nie?

– Traktujesz mnie z góry i mam tego po dziurki w nosie!

– W porządku. Twój raport jest bardzo celny i wnikliwy. Z pewnością Kolumb tej właśnie nocy, i z powodów, które wyłożyłaś, postanowił, że zdobędzie złoto i osiągnie wielkość na chwałę Chrystusa. Ze wszystkim się zgadzam. Nie ma jednak w twoim raporcie nawet jednego słowa na temat tego, dlaczego Kolumb postanowił, że osiągnie te cele żeglując na zachód przez Atlantyk.

Ta odpowiedź była równie brutalna, jak policzek wymierzony Cristoforowi przez jego matkę, i również wywołała łzy.

– Przykro mi – rzekł ojciec. – Powiedziałaś, że nie jesteś dzieckiem.

– Nie jestem – odparła. – A ty się mylisz.

– Tak?

– Celem mojego badania było odkrycie, kiedy została powzięta decyzja o wielkości, i tego się dowiedziałam. Nie ja, lecz ty i matka próbujecie dowiedzieć się, kiedy Kolumb postanowił popłynąć na zachód.

Ojciec spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Cóż, tak, masz rację. Z pewnością chcielibyśmy się tego dowiedzieć.

– Tak więc nie ma nic złego w moim raporcie, tylko dlatego że przypadkiem

nie odpowiada on na pytania, które trapią was!

– Masz rację.

– Wiem.

– Cóż, teraz ja też to wiem. Cofam krytykę. Twój raport jest kompletny, do przyjęcia i niniejszym go przyjmuję. Gratulacje.

Ale ona nie odchodziła.

– Diko, jestem zajęty.

– Dowiem się tego dla was.

– Czego?

– Z jakiego powodu Cristoforo postanowił popłynąć na zachód.

– Dokończ pracę nad swoimi własnymi badaniami, Diko.

– Sądysz, że nie potrafię, prawda?

– Badałem nagrania z życia Kolumba, podobnie jak twoja matka, podobnie jak dziesiątki innych naukowców i badaczy. Sądysz, że odkryjesz to, czego nie potrafił odkryć żaden z nich?

– Tak – odparła Diko.

– Cóż, w takim razie sędzę, że właśnie wyodrębniliśmy twoją decyzję o wielkości.

Uśmiechnął się do niej krzywo. Uznała, że ją przedrzeźnia, ale się nie przejęła. Niech ojciec żartuje, ona zamieni jego żart w prawdę. Czy on i matka i niezliczeni inni ślęczeli godzinami nad dokonanymi za pomocą starego Tempoview nagraniami z życia Kolumba? Bardzo dobrze, w takim razie ona w ogóle nie będzie korzystać z nagrań. Zacznie patrzeć bezpośrednio na życie Cristofora, i to wcale nie za pomocą Tempoview. TruSite II będzie jej narzędziem. Nie prosiła o pozwolenie, nie prosiła o pomoc. Odpowiednio zmodyfikowała plan swych zajęć, by dostosować go do nocnych godzin, kiedy maszyna była wolna. Niektórzy zastanawiali się, czy powinna korzystać z najnowocześniejszych urządzeń – oficjalnie nie była nawet pracownikiem Instytutu Czasu. Szkoliła się w sposób najzupełniej nieformalny. Była tylko dzieckiem badaczy, a jednak używała maszyny, do której w normalnym trybie uzyskiwało się dostęp po latach nauki.

Kto miał wątpliwości, wkrótce stracił ochotę do kwestionowania jej decyzji, kiedy zobaczył, jak ciężko pracuje i jak szybko się uczy. Być może, taka jest ludzka natura. Szedłeś do szkoły, jeśli chciałeś nauczyć się fachu innego od pracy twoich rodziców. Jeśli jednak miałeś wejść do rodzinnego interesu, uczyłeś się go od najmłodszych lat. Diko od początku zapowiadała się na badaczkę, i to dobrą. Doświadczeni badacze, którzy z początku chcieli

zarzucić ją pytaniami, a nawet powstrzymać, w niedługim czasie poinformowali władze, że pojawiła się nowicjuszka warta obserwowania. Rozpoczęto monitorowanie wszystkich poczynań Diko. Wkrótce jej akta uzyskały srebrny status, który oznaczał: Pozwólcie jej działać na własną rękę.

4 – KEMAL

“Santa Maria” zatonęła na skałach u północnych wybrzeży Hispanioli, bo Kolumb się uparł, by żeglować w nocy, i z powodu nieuwagi pilota. “Nina” i “Finta” nie zatonęły; popłynęły z powrotem do Europy przynosząc wiadomości o rozległych ziemiach czekających na zachodzie, wywołując napływ fali imigrantów i zdobywców, która nie zatrzymała się przez pięćset lat. Jeśli Kolumb miał być powstrzymany, to “Nina” i “Finta” nie mogły wrócić do Hiszpanii.

Zatopił je Kemal Akyazi, a ścieżka, która zaprowadziła go do programu zmiany świata w Instytucie Czasu, była długa i powikłana.

Kemal Akyazi wychowywał się w pobliżu ruin Troi; ze swego domu rodzinnego ponad Kumkale widział wody Cieśniny Dardanelskiej, wąskiego przesmyku łączącego morze Marmara z Egejskim. Wiele wojen stoczono po obu stronach tego przesmyku, a jedną z nich opisał Homer w “Iliadzie”.

Ciśnienie wyczuwalnej wszędzie wokół historii miało dziwny wpływ na młodego Kemala. Poznał, oczywiście, legendy dotyczące rodzinnych stron, wiedział jednak również, że legendy te są greckie, a to miejsce na ziemi należy do greckiego świata egejskiego. Kemal był Turkiem; jego przodkowie przybyli nad Dardanele dopiero w piętnastym wieku. Odczuwał potęgę dziejów, bijącą z tego skrawka wybrzeża, ale on tu nie przynależał. “Iliada” nie przemawiała do serca Kemala. Bliższa mu była historia Henryka Schliemanna, niemieckiego badacza, który w czasach gdy Troję uważano za legendę, mit, fikcję, był przekonany nie tylko, że Troja istnieje, lecz także że on potrafi ją znaleźć. Wbrew wszelkim trudnościom zorganizował ekspedycję, umiejscowił ruiny Troi i je odkopał. Stare opowieści okazały się prawdziwe.

Jako nastolatek Kemal uważał, że największą tragedią jego życia jest to, że

Instytut Czasu używa maszyn, by oglądać tysiąclecia ludzkiej historii. Nie będzie więcej Schliemannów, studiujących księgi, zastanawiających się, zgadujących, aż uda im się odnaleźć jakąś ruinę dawno zaginionego miasta, pozostałość legendy, która ponownie staje się opowieścią o wydarzeniach prawdziwych. Kemal nie był więc zainteresowany pracą w Instytucie Czasu, chociaż próbowano go zwerbować, kiedy zaczął studia. Nie holograficznych przekazów, lecz żmudnych badań i wiekopomnych odkryć był głodny; cóż to za chwała odnaleźć prawdę za pomocą maszyny?

Tak więc, po nieudanym flircie z fizyką, wybrał karierę meteorologa. Miał osiemnaście lat, gdy zagłębiał się w studia nad klimatem i pogodą, ponownie zetknął się z badaniami Instytutu Czasu. Meteorologowie nie polegali już tylko na kilku stuleciach pomiarów warunków naturalnych i fragmentarycznych znaleziskach skamielin przy określaniu długoterminowych wzorców pogodowych. Teraz posiadali dokładny opis przebiegu prądów powietrznych na przestrzeni kilku milionów lat. W najwcześniejszych latach Instytutu Czasu technologia TruSite I była tak prymitywna, że pojedynczych ludzi w ogóle nie można było zobaczyć. Przypominało to przyspieszone zdjęcia filmowe, kiedy ludzie nie pozostają w jednym miejscu dość długo, by znaleźć się na więcej niż jednej klatce filmu, i przez to są praktycznie niewidoczni. Tak więc w tamtych dniach badacze rejestrowali pogodę z przeszłości, procesy erozyjne, wybuchy wulkanów, epoki lodowe, zmiany klimatyczne.

Dane te stanowiły fundament, na którym opierała się współczesna nauka przewidywania i kontrolowania pogody. Meteorologowie dostrzegali zachodzące prawidłowości i, nie ingerując w ogólny proces, wprowadzali drobne korekty pozwalające nawilżyć dany obszar w okresie suszy albo zapewnić słońce w porze dojrzewania zasiewów. Udało im się stępić bezlitosne ostrze klimatu i teraz zastanawiali się, jak dokonać modyfikacji na poważniejszą skalę, zagwarantować regularne opady pustynnym rejonom świata, by przywrócić do życia prairie i sawanny, które niegdyś się tam rozciągały. W tym programie Kemal chciał uczestniczyć.

A jednak nie mógł wydostać się z cienia Troi, zapomnieć o Schliemannie. Nawet gdy badał zmiany klimatyczne związane z napieraniem i cofaniem się zlodowaceń, w głowie wciąż kołatały mu myśli o zaginionych cywilizacjach, legendarnych miejscach czekających na swojego odkrywcę.

Temat pracy dyplomowej Kemala wiązał się z próbą określenia, w jaki sposób Morze Czerwone mogło być wykorzystane do nawilżenia terenów

Sudanu i środkowej części Półwyspu Arabskiego; zadaniem Kemala było zbadanie różnic pomiędzy procesami pogodowymi w okresie ostatniego zlodowacenia, kiedy Morze Czerwone praktycznie przestało istnieć, a współczesnością, gdy Morze Czerwone zajmowało największy jak dotąd obszar. Kemal ślęczał nad starymi nagraniami Instytutu Czasu, zbierając dane na temat poziomu morza oraz opadów w wybranych punktach na lądzie. Stara technologia TruSite I była w najlepszym razie niedokładna, pozwalała jednak na określenie siły wiatrów i wielkości opadów.

Raz po raz Kemal przeglądał zmiany poziomu Morza Czerwonego, patrząc, jak stopniowo wody się podnoszą w miarę cofania się zlodowacenia. Zawsze zatrzymywał się, oczywiście, na momencie gdy gwałtowny skok poziomu wód wyznaczał połączenie się Morza Czerwonego z Oceanem Indyjskim. Po tym wydarzeniu Morze Czerwone było bezużyteczne dla jego celów, ponieważ poziom jego wód uzależniony był od poziomu wód wielkiego światowego oceanu.

Duch Schliemanna kazał Kemalowi myśleć: Cóż to musiał być za potop!

Cóż za potop. W wyniku oziębienia klimatu tak wiele wody zostało zablokowanej w lodowcach i pokrywach lodowych, że opadł poziom mórz całego świata. W końcu osiągnął punkt tak niski, że z morza wyłoniły się mosty lądowe. Na północnym Pacyfiku most Ziemi Beringa pozwolił przodkom Indian przeprowić się ku ich pustej nowej ojczyźnie. Brytania i Flandria zostały połączone. Dardanele zamknęły się i zamieniły Morze Czarne w słone jezioro. Zatoka Perska zniknęła, stając się wielką równiną przeciętą dolinami Tygrysu i Eufratu. Bab al-Mandab, przesmyk u ujścia Morza Czerwonego, stał się mostem lądowym.

Jednak most lądowy jest również zaporą. Gdy klimat się ocieplał i lodowce zaczęły topnieć, wszędzie nastąpił okres intensywnych opadów; rzeki wezbrały, podniosły się morza. Wielkie płynące na południe rzeki Europy, które u szczytu zlodowacenia w większości wyschły, teraz zamieniły się w potężne strumienie. Ren, Pad, Struma, Dunaj wlewały tak wiele wody do Morza Śródziemnego i Czarnego, że ich poziom wzrastał równie szybko jak w wielkim światowym oceanie.

Morze Czerwone nie było jednak zlewiskiem wielkich rzek. Było to, w kategoriach geologicznych, nowe morze, utworzone przez pęknięcie pomiędzy nową płytą arabską i starą afrykańską, co oznaczało, że wszystkie brzegi miało strome. Wiele rzek i strumieni spływało z tych brzegów do Morza Czerwonego, ale żadna nie niosła tyle wody co rzeki na północy,

zasilane topniejącymi lodowcami. Tak więc, chociaż poziom wód Morza Czerwonego podnosił się stopniowo w tym okresie, działo się to dużo wolniej w porównaniu z wielkim światowym oceanem. Morze to reagowało raczej na lokalne warunki pogodowe niż na procesy światowe. Aż pewnego dnia wody Oceanu Indyjskiego podniosły się tak wysoko, że fale zaczęły się przelewać przez próg Bab al-Mandab. Woda wycięła nowe koryta na trawiastej równinie. Przez kilka lat wyłom się powiększał, tworząc zespół dużych jezior pływowych na równinie Hanisz. Aż wreszcie któregoś dnia, jakieś czternaście tysięcy lat temu, fale wycięły koryto na tyle głębokie, że nie wysychało przy odpływie. Woda płynęła, pogłębiając koryto, aż przelała się przez brzegi pływowych jezior. Miała za sobą ogrom Oceanu Indyjskiego, więc wlała się do basenu Morza Czerwonego potężną powodzią, która w ciągu kilku godzin wyrównała poziom Morza Czerwonego z poziomem wielkiego światowego oceanu.

To nie jest tylko granica pomiędzy użytecznością a bezużytecznością danych na temat poziomu morza, myślał Kemal. To jest kataklizm, jeden z rzadkich przypadków, kiedy pojedyncze wydarzenie zmienia rozległy teren w czasie na tyle krótkim, że istoty ludzkie są w stanie to zauważyć. I przynajmniej raz kataklizm taki miał miejsce w okresie, kiedy istoty ludzkie zamieszkiwały dany teren. Było nie tylko możliwe, lecz wręcz prawdopodobne, że ktoś widział ów potop – że wręcz wielu zginęło w potopie, bowiem na południowym krańcu Morza Czerwonego rozciągały się żyzne sawanny i bagna, i z pewnością ludzie sprzed czternastu tysięcy lat musieli tam polować. Musieli zbierać nasiona, owoce i jagody. Jakaś wyprawa łowiecka musiała ze szczytów gór Dahlak widzieć wielkie ściany wody toczące się po równinie, rozbijające o zbocza gór, tworzące z nich wyspy.

Uczestnicy takiej wyprawy łowieckiej wiedzieliby, że ich rodziny zginęły w wyniku tego potopu. Co by sobie pomyśleli? Z pewnością jakiś bóg się na nich rozgniewał. Świat umarł, pogrzebany pod zwałami wody. A gdyby przeżyli, gdyby znaleźli drogę do wybrzeża Erytrei po tym, jak wielkie zmaczone fale osiadły tworząc spokojne wody nowego, głębszego morza, przekazaliby swoją opowieść każdemu, kto chciałby słuchać. I przez kilka lat mogliby zabierać słuchaczy swych opowieści nad brzeg morza, pokazywać im czubki drzew ledwie wystające ponad powierzchnię wody, i opowiadać, co zostało ukryte pod falami.

Noe, pomyślał Kemal. Nieśmiertelny, ocalały z potopu Utnapisztim, którego odwiedził Gilgamesz. Ziusudra z sumeryjskiego mitu o potopie. Atlantyda.

W te opowieści wierzono. Pamiętano je. Z czasem opowiadający zapominali, gdzie wszystko się wydarzyło – więc w naturalny sposób przenosili historię w miejsca, które znali. Pamiętali jednak fakty, które miały znaczenie. Jak brzmiała opowieść o Noem i potopie? Nie tylko deszcz, nie, nie był to potop spowodowany tylko przez deszcz. “Trysnęły źródła wielkiej przepaści”. Żaden lokalny potop nawiedzający równinę Mezopotamii nie dałby powodu do użycia takiego wyrażenia. Ale wielka ściana wody Oceanu Indyjskiego, nadciągająca po latach wzbierających deszczów – to obraz wystarczająco potężny, by ubrać go w takie słowa, powtarzane z pokolenia na pokolenie przez dziesięć tysięcy lat, aż wreszcie mogły zostać zapisane.

Co zaś do Atlantydy, wszyscy byli pewni, że odnaleźli ją już dawno. Santoryn, czyli Thira, wysepka na morzu Egejskim, która się rozpadła po wybuchu wulkanu. Jednak w najstarszych przekazach na temat Atlantydy nie było mowy o wulkanie. Opowiadano jedynie o zatonięciu wielkiej cywilizacji w morzu. Przypuszczano, że późniejsi przybysze zjawili się na Santorynie i, widząc wodę tam, gdzie niegdyś znajdowało się miasto na wyspie, uznali, że zatoneło w odmętach, nie wiedząc nic o erupcji wulkanu. Dla Kemala jednak była to zbyt słaba hipoteza, w porównaniu z tym, jak musiało to wyglądać w oczach samych mieszkańców Atlantydy, gdzieś na równinie Massaua, kiedy Morze Czerwone podniosło się nagle, zalewając miasto. To byłoby zatonięcie w morzu! Żadnych wybuchów, tylko woda. A jeśli miasto znajdowało się na bagnach w miejscu, które obecnie nazywa się Rowem Massaua, to woda nie nadeszła tylko z południowego wschodu, lecz także z północnego wschodu i północy, płynąc pomiędzy górami Dahlak i wokół nich, zamieniając je w wyspy i połykając bagna, a wraz z nimi miasto. Atlantyda. Nie leżała za słupami Herkulesa, choć Platon miał rację, że kojarzył miasto z cieśniną. On – albo ktoś kto opowiedział mu tę historię – po prostu zamienił obcą nazwę Bab al-Mandab na nazwę największej cieśniny, o jakiej słyszał. Opowieść mogła dotrzeć do uszu Platona z Fenicji, gdzie śródziemnomorscy żeglarze dostosowaliby ją do morza, które znali. Oni z kolei usłyszeli ją od Egipcjan lub od koczowników z głębi Półwyspu Arabskiego; może była ona zresztą do tego czasu obecna w każdej kulturze starego świata; a “przed przesmykiem Mandab” zamieniono w “przed słupami Herkulesa”, potem zaś, ponieważ Morze Śródziemne nie było wystarczająco egzotyczne i tajemnicze, miejsce akcji przeniesiono jeszcze dalej.

Wszystkie te rozważania Kemal traktował jak prawdziwe lub niemal

prawdziwe. Radowała go ta myśl: wciąż istniała jeszcze nie odkryta starożytna cywilizacja.

Jeśli jednak istniała, to dlaczego Instytut Czasu nie natrafił na jej ślad? Odpowiedź nasuwała się sama. Przeszłość miała ogromną objętość i podczas gdy starego TruSite I używano do zbierania informacji meteorologicznych, nowe urządzenia były na tyle dokładne, że mogły śledzić poczynania pojedynczych ludzi. Nikomu nie przyszłoby na myśl, by za ich pomocą obserwować oceany, gdzie nikt nie mieszkał. To prawda, przy wykorzystaniu Tempoview zbadano Cieśninę Beringa i kanał La Manche, ale tylko by prześledzić od dawna znane wędrówki ludów. Takich wędrówek nie było na obszarze współczesnego Morza Czerwonego. Instytut Czasu zwyczajnie nigdy nie sprawdził swoimi precyzyjnymi nowymi maszynami, co znajdowało się pod powierzchnią Morza Czerwonego w ostatnim okresie ery lodowcowej. I zapewne nigdy tego nie sprawdzi, jeśli ktoś nie poda im przekonującego powodu.

Kemal znał biurokrację na tyle, by wiedzieć, że on, student meteorologii, nie może liczyć na poważne potraktowanie, jeśli zgłosi się do Instytutu Czasu z teorią o Atlantydzie – i to teorią, która umiejscawia Atlantydę w Morzu Czerwonym, na dodatek czternaście tysięcy lat temu, na długo przed powstaniem cywilizacji w Sumerze lub Egipcie, nie mówiąc już o Chinach, dolinie Indusu czy moczarach Tehuantepec.

Ale Kemal wiedział też, że bagnisty teren w rejonie Massaua byłby dobrym miejscem do rozwinięcia się cywilizacji. Chociaż do Morza Czerwonego nie wpływało tyle rzek, by jego basen wypełniał się w równym tempie ze światowym oceanem, to jednak rzeki były. Na przykład Auasz, która miała dość wody, by płynąć nawet teraz, niegdyś nawadniała całą równinę Massaua i spływała ku krańcowi Morza Czerwonego niedaleko Mersa Mubarek. Duża i niezawodna rzeka wypływała z rejonu Danakil. Danakil stało się teraz suchą rozpadliną poniżej poziomu morza, ale wtedy było słodkowodnym jeziorem zasilanym przez wiele strumieni i przelewającym się w najniższym punkcie do kanału Massaua. Rzeka płynęła meandrami po równinie, łącząc się niektórymi odnogami z Auasz, a innymi uchodząc do Morza Czerwonego.

A zatem niezawodne źródła słodkiej wody nawilżały ten obszar, w porze deszczowej Auasz przynosiła nowy namuł użyźniający glebę, przez cały zaś rok meandrujące równinne rzeki stanowiły doskonały środek transportu przez bagna. Klimat był ciepły, z dużą liczbą dni słonecznych i długim okresem zbiorów. Cywilizacja po prostu powinna się rozwinąć w podobnym

otoczeniu. Nie było powodu, dla którego cywilizacja nie miałaby tam rozkwitnąć.

Tak, było sześć czy siedem tysięcy lat za wcześniej. Ale czy nie mogło być tak, że właśnie zagłada Atlantydy przekonała tych, co przeżyli, że bogowie nie chcą, by ludzie budowali miasta? Czyż wiele starożytnych religii Bliskiego Wschodu nie zawierało anty cywilizacyjnych akcentów? Wszak historia Kaina i Abla jest metaforycznym wyrazem wrogości wobec człowieka osiadłego, rolnika, bratobójcy, którego bogowie uznają za niegodnego, ponieważ nie chce wędrować za stadami! Czyż takie historie nie mogły krążyć powszechnie w tamtych starożytnych czasach? To wyjaśniałoby, dlaczego mieszkańcy Atlantydy nie zaczęli natychmiast odbudowywać swojej cywilizacji w innym miejscu: bali się gniewu bogów, którzy ponownie zniszczyliby odbudowane miasto. Zapamiętywali więc historie o chwalebnej przeszłości, a jednocześnie przeklinali przodków i ostrzegali przed budową miast. Musiało to wywoływać tęsknotę za takim miejscem, a jednocześnie lęk przed nim.

Dopiero kiedy pojawił się Nimrod, budowniczy wież, twórca wieży Babel, i sprzeciwił się starej religii, pradawny zakaz został wreszcie złamany i mogło powstać nowe miasto, w dolinie innej rzeki, daleko w czasie i przestrzeni od Atlantydy, a jednak pamiętające stare reguły unieśmiertelnione w opowieściach i, jak to tylko możliwe, przestrzegające ich. Zbudujemy wieżę tak wysoką, że nigdy nie zatoni. Czyż Księga Rodzaju nie kojarzyła potopu z wieżą Babel? A jednocześnie czyż nie wyrażała surowej dezaprobaty nomadów dla miasta? Opowieść ta przetrwała w Mezopotamii – opowieść o początkach życia miejskiego na tamym obszarze, lecz pełna wyraźnych wspomnień o bardziej starożytnej cywilizacji zniszczonej przez potop.

Bardziej pradawna cywilizacja. Złoty wiek. Olbrzymy, niegdyś chodzące po ziemi. Dlaczego wszystkie te opowieści nie miałyby być wspomnieniem pierwszej ludzkiej cywilizacji, miejsca gdzie wynaleziono miasto? Atlantyda, miasto na równinie Massaua.

Ale jak mógł dowieść tego nie używając Tempoview? I jak mógł uzyskać dostęp do Tempoview, nie przekonując wpierw Instytutu Czasu, że Atlantyda naprawdę znajduje się pod powierzchnią Morza Czerwonego? Było to błędne koło, bez wyjścia.

Aż do momentu kiedy pomyślał: dlaczego wielkie miasta w ogóle powstają? Ponieważ są do wykonania prace publiczne, wymagające obecności więcej niż kilku osób. Kemal nie był pewien, jaką formę mogłyby przybrać prace

publiczne, ale z pewnością ich efekt byłby widoczny na starych nagraniach TruSite I, pod warunkiem jednak, że ktoś wiedziałby, czego szukać.

Tak więc, ryzykując swój dyplom, Kemal odłożył pracę, którą mu przydzielono, i zaczął przeglądać stare nagrania TruSite I. Skupił się na ostatnim stuleciu przed zalaniem Morza Czerwonego – nie było dowodu przekonującego, że cywilizacja istniała długi czas przed zniszczeniem. I w ciągu kilku miesięcy Kemal zebrał dane, które były bezdyskusyjne. Na równinie Massaua nie istniały tamy ani groble chroniące przed powodzią – tej wielkości konstrukcje byłyby widoczne na pierwszy rzut oka. Można było natomiast dostrzec bezładnie z pozoru rozrzucone wzniesienia błota i ziemi, które rosły pomiędzy porami deszczowymi, zwłaszcza w suchszych latach, kiedy poziom rzek był niższy niż zwykle. Dla ludzi obserwujących jedynie zachowania pogodowe te przypadkowe, pozbawione konstrukcji wyniosłości byłyby pozbawione znaczenia. Dla Kemala jednak stanowiły coś oczywistego: w opadającej wodzie Atlantydy ryli kanały, by ich łodzie mogły dalej podróżować z miejsca w miejsce. Dziwne wzniesienia były po prostu kupami ziemi i błota wykopanymi z wody. Łodzie nie były widoczne na ekranie TruSite I, ale teraz Kemal wiedział, czego szukać, i zaczął wychwytywać zamazane cienie trzciniowych chat. Z każdym rokiem przychodziły powodzie, chaty wówczas znikaly, toteż były widoczne tylko przez moment na ekranie TruSite I: niezgrabne budowle z trzciny i wysuszonego mułu, które musiały rozpadać się z każdą powodzią i być odbudowywane z opadnięciem wód. Były jednak tam, niedaleko pagórków oznaczających kanały. Platon miał rację – Atlantyda powstała wokół kanałów. Jednak Atlantyda składała się z ludzi i ich łodzi; budynki ulegały zniszczeniu i były budowane na nowo z każdym rokiem.

Kiedy Kemal przedstawił swoje odkrycia Instytutowi Czasu, nie miał jeszcze dwudziestu lat, ale zebrane przez niego dowody robiły na tyle mocne wrażenie, że badacze niezwłocznie włączyli nie Tempoview, lecz nowszą maszynę TruSite H, by zajrzeć pod powierzchnię Morza Czerwonego do kanału Massaua w okresie stu lat przed zalaniem morza. Jak się okazało, Kemal miał całkowitą, niezaprzeczalną rację. W epoce kiedy pozostałe istoty ludzkie polowały na zwierzynę i zbierały jagody, Atlantydzi uprawiali amarantus, rajgras, melony i fasolę na żyznym mulu cofających się rzek, i przewozili plony trzciniowymi czółnami z miejsca w miejsce. Jedyną pomyłką Kemala polegała na tym, że budynki nie były wcale domami. Były to pływające silosy do przechowywania zboża. Atlantydzi spali pod gołym

niebem w porze suchej, a w porze deszczów na swych małych łodziach.

Kemal został przyjęty do Instytutu Czasu i mianowany szefem programu "Atlantyda". Z początku kochał swoje zajęcie, ponieważ, jak Schliemann, mógł poszukiwać pierwocin wielkich wydarzeń. Przeżył swój wielki dzień, kiedy odnalazł Noego, chociaż człowiek ten nazywał się inaczej – Yewesweder w dzieciństwie, Naog po osiągnięciu wieku dojrzałego. Chcąc udowodnić, że jest mężczyzną, Yewesweder, wysoki jak na swoje lata, wyprawił się w niebezpieczną podróż nad most lądowy w Bab al-Mandab, by ujrzeć "rozkołysane morze". Zobaczył je, ale ujrzął też, że poziom wód owego ramienia Oceanu Indyjskiego znajduje się zaledwie parę metrów poniżej półki wyznaczającej starą linię brzegową Morza Czerwonego sprzed zlodowacenia. Yewesweder nie znał się na zlodowaceniach, ale widział, że dawny brzeg jest absolutnie płaski – biegł po nim przez całą drogę. A jednak ten płaski brzeg znajdował się setki metrów ponad równiną, gdzie "słone morze" – kraniec Morza Czerwonego – powoli, zbyt powoli się unosiło. "Rozkołysane morze" wycinało już szczelinę, przez którą w czasie przybierania fali pod wpływem okresowych huraganów słona woda przelewała się do kilku jezior, wypełniających się czasem i wypuszczających rzekę słonej wody do Morza Czerwonego. Może już z najbliższym sztormem "rozkołysane morze" roztrzaska zaporę i cały ocean wleje się na Atlantyde.

Yewesweder uznał, że takim odkryciem zasłużył na swoje męskie imię, Naog, i niezwłocznie wyruszył w drogę powrotną. Pojął za żonę kobietę z plemienia zamieszkującego okolice Bab al-Mandab, która z wielkim trudem poszła za nim tak daleko, że nie miał innego wyboru, niż przyjąć ją do domu. Kiedy dotarł do ziem zamieszkałych przez Derku, jak nazywali siebie Atlantydzi, dowiedział się, że to, co jemu wydawało się oczywiste na brzegu "rozkołysanego morza", było zwykłym wymysłem dla starców jego klanu i wszystkich innych klanów. Ogromna powódź? Mieli powódź każdego roku i najzwyczajniej w świecie przesiadali się wtedy do łodzi. Jeśli powódź Naoga rzeczywiście się wydarzy, też sobie z nią poradzą.

Ale Naog wiedział, że to nieprawda. Zaczął więc eksperymentować, wiążąc pniaki, i w kilka lat zdołał zbudować pudełkowaty, wodoszczelny dom na tratwie, zdolny wytrzymać napór powodzi, w którą tylko on wierzył. Sąsiedzi zdali sobie sprawę po normalnych okresowych wylewach, że to szczelne, suche drewniane pudło jest doskonałym spichlerzem, i wkrótce połowa całego zboża i fasoli zebranego przez klan została zmagazynowana w arce

Naoga. Inne klany również zbudowały drewniane łodzie-spichlerze, jednak nie tak mocne i szczelne jak Naoga. Tymczasem zaś Naoga wyśmiewano i obrzucano pogroźkami z powodu jego ciągłych ostrzeżeń, że cała ziemia znajdzie się pod wodą.

Kiedy nadszedł potop, Naog szybko zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje: pierwszy strumień, jaki przedostał się przez próg Bab al-Mandab, spowodował, że "słone morze" podniosło się gwałtownie, wypełniając kanały przez kilka godzin, zanim napór oceanu przerwał tamę na dobre i ściana wody wysokości kilkudziesięciu metrów zalała cały basen Morza Czerwonego, zmiatając wszystko na swej drodze. Łódź Naoga była już szczelnie zapieczętowana, załadowana ziarnem i zapasami jedzenia, a na pokładzie znajdowały się dwie żony budowniczego, ich małe dzieci, trzech niewolnicy, którzy pomogli skonstruować łódź, oraz kobiety i dzieci niewolników. Arka, porwana przez spiętrzone wody, często zanurzała się całkowicie, lecz wytrzymała, i wkrótce osiadła na suchym lądzie niedaleko Gibeil na południowym krańcu półwyspu Synaj.

A więc przeżyli. Przez jakiś czas uprawiali ziemię w dolinie w cieniu gór Synaju, opowiadając wszystkim przybyszom o wielkim potopie zesłanym przez Boga na niegodny lud Derku, i o tym jak tylko ich garstka ocalała, ponieważ Bóg wyjawiał Naogowi swe zamiary. W końcu jednak Naog stał się wędrownym pasterzem, roznosząc opowieść o potopie, gdziekolwiek się udał. Tak jak Kemal przewidywał, historia Naoga, z jego antymiejską wymową, miała ogromny wpływ na powstrzymanie ludzi przed zbieraniem się w duże społeczności, które mogłyby stać się miastami.

W opowieści istniał również silny element sprzeciwu wobec składania ofiar z ludzi, gdyż kiedy Naog wyruszył na wyprawę po męskość, jego ojciec został zabity w ofierze krokodylowi. Teraz Naog wierzył, iż Bóg dlatego zniszczył Derku, że lud ten praktykował ofiarowanie żywych ludzi wielkiemu krokodylowi, którego każdego roku po porze wylewów chwyтали, by oddawać mu cześć. Kiedy wiele pokoleń później bluźniercy, odrzucający tradycyjną mądrość Naoga, zaczęli na nowo budować miasta, przejęli po przodkach również praktykę składania ofiar z ludzi. W dłuższej perspektywie jednak filozofia Naoga zwyciężyła, nawet te społeczeństwa bowiem, które skłf dały krwawe ofiary swoim bogom, czuły, że robią coś mrocznego i groźnego, i w końcu ofiarowywanie ludzi zaczęło być uważane za przejaw barbarzyństwa, a potem za rzecz niewypowiedzianie okrutną na wszystkich ziemiach, gdzie dotarła opowieść o potopie.

Kemal odnalazł Atlantyde; odnalazł pierwowzór Noego, Utnapisztim, Ziusudry. Jego dziecięce marzenie się spełniło; odegrał rolę Schliemanna i dokonał jednego z największych odkryć w historii. Pozostała mu już tylko nużąca praca papierkowa.

Wycofał się z programu "Atlantyda", ale nie opuścił Instytutu Czasu. Interesował się to tym, to owym; głównie poświęcał uwagę wychowaniu dzieci. Dzieci dorastały, a z jego chaotycznych działań wyłonił się nowy cel. Kemal znalazł jeszcze większy problem: Dlaczego cywilizacja w ogóle powstała? O ile wiedział, wszystkie kultury starego świata czerpały wzór z pierwszej cywilizacji Atlantydy. Idea miasta towarzyszyła Egipcjanom i Sumerzy językom, mieszkańcom doliny Indusu, a nawet Chińczykom, ponieważ opowieść o Złotym Wieku Atlantydy rozprzestrzeniła się na cały świat.

Jedyną cywilizacją wyrosłą z niczego, której twórcy nie znali mitu o Atlantydzie, była cywilizacja Ameryk. Historia Naoga tam nie dotarła, z wyjątkiem może niejasnych legend przywiezionych przez nielicznych podróżników, którzy pokonali bezmiar oceanu. Most lądowy łączący Europę z Ameryką znajdował się pod wodą od dziesięciu pokoleń, gdy basen Morza Czerwonego został zalany przez potop. Musiało minąć dziesięć tysięcy lat od zagłady Atlantydy, zanim powstała cywilizacja w Ameryce, pośród Olmeków na bagnistych terenach u południowych wybrzeży Zatoki Meksykańskiej. Kemal stworzył nowy program badawczy, mający na celu przestudiowanie różnic pomiędzy Olmekami i Atlantydami i, poprzez znalezienie punktów stycznych, określenie, czym w istocie swej jest cywilizacja: dlaczego powstała, z czego się składała, dlaczego i jak istoty ludzkie porzucały życie plemienne i przystosowywały się do życia w mieście. Kemal miał niewiele po trzydziestce, gdy rozpoczął swój program "Początek". Miał prawie czterdziestkę, gdy usłyszał o programie "Kolumb" i pojechał do Tagiri, by podzielić się z nią wszystkim, czego się dotąd dowiedział.

Juba była jednym z tych denerwujących miast, gdzie ludność próbowała udawać, że nigdy nie słyszała o Europie. Kemal wysiadł z pociągu Kolei Nilowej na stacji równie nowoczesnej jak każda inna, ale kiedy wyszedł na zewnątrz, jego oczom ukazało się miasto chat krytych strzechą i murów z suszonego błota, z piaszczystymi drogami, z nagimi dziećmi biegającymi

wokoło i dorosłymi ubranymi niewiele lepiej. Przybysz od razu odnosił wrażenie, iż znalazł się w prymitywnej osadzie afrykańskiej. Otwarte chaty nie mogły być klimatyzowane, Kemal nigdzie nie mógł dostrzec elektrowni i przetworników słonecznych. A jednak wiedział, że muszą być gdzieś w pobliżu, podobnie jak stacja oczyszczania wody i anteny satelitarne. Wiedział, że te nagie dzieci chodzą do nowoczesnej szkoły i używają najnowszego sprzętu komputerowego. Wiedział, że kobiety z obnażonymi piersiami i młodzi mężczyźni w przepaskach biodrowych chodzą gdzieś wieczorami, żeby oglądać najnowsze filmy wideo lub tańczyć przy tych samych melodiach, jakie są popularne w Recife, Madrasie i Semarangu. Przede wszystkim zaś wiedział, że gdzieś – zapewne pod ziemią – znajdują się główne sale i urządzenia Instytutu Czasu, gdzie prowadzone są badania zarówno nad zagadnieniem niewolnictwa, jak i w ramach programu “Kolumb”.

Po co więc udawać? A co więcej – po co mydlić oczy? Podobnie malownicze osady istniały przecież w czasach, kiedy życie człowieka było ciężkie i krótkie. Kemal kochał przeszłość równie mocno jak mieszkańcy tego miasta, ale nie miałby ochoty się do niej przenieść i uważał za odrobinę chorobliwe, że ci ludzie odrzucają swój własny czas i wychowują dzieci w prymitywnych warunkach. Myślał o tym, co by było, gdyby musiał wychowywać się jak Turek sprzed wieków, pić sfermentowane końskie mleko klaczy albo gorzej, końską krew, mieszkając w jurcie i ćwicząc się codziennie w walce na szable, aż potrafiłby obciąć człowiekowi głowę jednym uderzeniem z grzbietu galopującego konia. Kto chciałby żyć w tak okropnych czasach? Badać je należy. Pamiętać wielkie dokonania. Ale nie żyć jak ci ludzie. Mieszkańcy Juby sprzed dwóch stuleci pozbyli się krytych strzechą chat i wzniesli budynki w stylu europejskim. Oni wiedzieli. Ludzie, którzy musieli żyć w prostych szałasach, opuszczali je bez żalu.

A jednak, pomimo całej maskarady, w Jubie można było dostrzec kilka ustępstw na rzecz nowoczesnego stylu życia. Na przykład, kiedy stał przed wejściem do dworca, młoda kobieta podjechała małą ciężarówką.

– Kemal? – zapytała.

Skinął głową.

– Jestem Diko – przedstawiła się – córka Tagiri. Wrzuć bagaż i jedziemy!

Umieścił torbę w niewielkiej platformie towarowej i usadowił się obok dziewczyny. Furgonetka, przeznaczona na krótkie trasy, nie mogła rozwijać prędkości większej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, i całe szczęście –

w przeciwnym razie zostałby wyrzucony z siedzenia, bo ta szalona młoda kobieta pędziła na łeb, na szyję po nierównym trakcie.

– Matka wciąż powtarza, że powinniśmy wybetonować drogi – rzekła Diko – ale potem ktoś zawsze odpowiada, że gorący beton poparzy dzieci w stopy, i pomysł zostaje zarzucony.

– Mogłyby nosić buty – zasugerował Kemal. Mówił normalnie, ale wcale nie wiedział, czy będzie rozumiany; raz po raz przygryzał sobie język, gdy samochód podskakiwał na wybojach.

– Ale głupio by wyglądały, zupełnie rozebrane z trampkami na nogach! – Zachichotała.

Kemal powstrzymał się przed wypowiedzeniem uwagi, że i teraz wyglądają głupio. Zostałby tylko oskarżony o kulturowy imperializm, nawet jeśli nie własną kulturę popierał. Ci ludzie najwyraźniej byli zadowoleni ze swojego sposobu życia. Inni bez wątpienia przenosili się do Chartumu, Entebbe albo Addis Abeby, miast nowoczesnych aż do przesady. I w pewien sposób było logiczne, że badacze czasu mieszkają w przeszłości, zarazem ją obserwując. Przeleciała mu przez głowę myśl, czy używają papieru toaletowego, czy też garści trawy.

Ku jego uldze szopa, przy której się zatrzymali, była tylko zamaskowanym wejściem do windy prowadzącej w dół do nowoczesnego hotelu. Diko uparła się nieść jego torbę, kiedy prowadziła go do pokoju. Podziemny hotel został wydrążony w zboczu urwiska wychodzącego na Nil, toteż wszystkie pokoje miały okna i tarasy. Wyposażone były również w klimatyzację, bieżącą wodę i sprzęt komputerowy.

– Zadowolony? – zapytała Diko.

– Miałem nadzieję, że będę mieszkał w chacie krytej strzechą i załatwiał się w krzakach – odparł Kemal.

Diko wyglądała na zbitą z tropu.

– Ojciec mówił, że powinniśmy w pełni zapoznać cię z lokalnymi zwyczajami, ale matka uważała, że nie chciałbyś tego.

– Twoja matka miała rację. Żartowałem tylko. Podoba mi się ten pokój.

– Miałeś długą podróż – powiedziała Diko. – Starożytni chcą jak najszybciej z tobą porozmawiać, najchętniej rano, ale jeśli wolisz się wyspać, poczekają do południa.

– Przyjdę wcześniej rano – odrzekł Kemal.

Umówili się na określoną godzinę. Po wyjściu Diko Kemal przekonał się, że w hotelu może bez kłopotu zamówić coś z kuchni międzynarodowej w

miejsce siekanego robaka albo krowiego łajna na ostro, czy też innych miejscowych specjalów.

Następnego ranka w cieniu dużego drzewa siedział w bujanym fotelu, otoczony przez tuzin osób siedzących lub kucających na matach.

– Nie mogę czuć się swobodnie siedząc na jedynym fotelu... – zaczął.

– Mówiłem, że będzie chciał matę – powiedział Hassan.

– Nie – zaprotestował Kemal. – Nie chcę maty. Myślałem tylko, że wam będzie wygodniej, jeśli...

– To nasz zwyczaj – wyjaśniła Tagiri. – Kiedy pracujemy przy urządzeniach, siedzimy na krześle. Ale to nie jest praca. To jest zabawa. Wielki Kemal poprosił o spotkanie z nami. Nigdy nie śmieliśmy przypuszczać, że zainteresujesz się naszymi programami.

Kemal nie znosił, kiedy nazywano go wielkim Kemalem. Dla niego wielkim Kemalem był Kemal Atatürk, ojciec nowoczesnego państwa tureckiego zbudowanego na gruzach imperium otomańskiego. Miał już jednak dość ciągłego wyjaśniania tej kwestii, a poza tym sądził, że w wypowiedzi Tagiri mogła być nuta ironii. Czas skończyć z uprzejmościami.

– Nie jestem zainteresowany waszymi programami – rzekł. – Wydaje się jednak, że zaczynacie zwracać uwagę rosnącej liczby ludzi spoza Instytutu Czasu. Słyszałem, że zamierzacie podjąć kroki o daleko idących konsekwencjach, zarazem jednak opieracie swoje decyzje na... niepełnych danych.

– I przybyłeś, by nas oświecić – wtrącił Hassan, czerwony ze złości.

– Przybyłem, by powiedzieć wam, co wiem i co myślę. Nie prosiłem, by było to zebranie publiczne. Równie dobrze mógłbym rozmawiać tylko z tobą i Tagiri. Lub też, jeśli wolicie, odejdę i pozwolę wam działać w niewiedzy. Zaoferowałem wam swoją wiedzę i nie widzę potrzeby udawać, że ktoś z nas jest mądrzejszy od innych. Z pewnością wiecie wiele rzeczy, o których ja nie mam pojęcia – ale nie ja próbuję zbudować maszynę, która zmieni przeszłość, i z tego względu skorygowanie mojej ignorancji nie jest sprawą tak niecierpiącą zwłoki.

Tagiri wybuchnęła śmiechem.

– Jedną z zalet Instytutu Czasu jest fakt, że głównym programom nie przewodzą gładko gadający i urażliwi biurokraci. Do ataku, Kemal! Nie boimy się dowiedzieć, że możemy nie mieć racji.

– Zaczniemy od niewolnictwa – rzekł Kemal. – To wasze wielkie osiągnięcie. Czytałem kilka ciekawych, wzruszających biografii oraz parę analitycznych

rozpraw, jakie powstały w ramach waszego programu, i odnoszę wrażenie, że gdybyście mogli, znaleźlibyście człowieka, który pierwszy pomyślał o niewolnictwie, i powstrzymali go, by żadna istota ludzka nie była nigdy więcej sprzedana ani kupiona na tej planecie. Czy mam rację?

– Czy twierdzisz, że niewolnictwo nie było skończonym złem? – zapytała Tagiri.

– Tak, to właśnie twierdzą – odparł Kemal. – Patrzycie na niewolnictwo z niewłaściwej perspektywy – z perspektywy współczesności, kiedy je porzuciliśmy. Jednak na początku, gdy powstawało, czy nie wydaje się wam, że było czymś nieskończenie lepszym od tego, co zastąpiło?

Tagiri miała nieco znudzoną minę.

– Tak, czytałam twoje uwagi na temat początków niewolnictwa.

– Ale nie zrobiły na tobie wrażenia.

– Kiedy człowiek dokonuje wielkiego odkrycia, zwykle przecenia jego implikacje – powiedziała Tagiri. – Ale nie ma powodu wierzyć, że ludzka niewola rozwinęła się wyłącznie w Atlantydzie, w miejsce ofiar z ludzi.

– Ależ ja nigdy tak nie twierdziłem – odparł spokojnie Kemal. – Oponenci przypisywali mi taki pogląd, ale sądziłem, że wy czytaliście trochę staranniej. W tym momencie zabrał głos Hassan, starając się, by jego słowa zabrzmiały zarazem łagodnie i stanowczo.

– Sądzę, że ta rozmowa zaczyna przybierać nazbyt osobisty ton. Kemal, czy przybyłeś tutaj z tak daleka, by powiedzieć nam, że jesteśmy głupi? Mogłeś to zrobić listownie.

– Przyjechałem do Tagiri, by się dowiedzieć, iż jak szalenię przekonuję, że Atlantyda jest źródłem wszystkiego. – Kemal wstał z fotela i odepchnął go do tyłu. – Dajcie mi matę! Pozwólcie mi usiąść między wami i powiedzieć, co wiem! Jeśli potem będziecie chcieli to odrzucić, proszę bardzo. Ale nie marnujcie swojego i mojego czasu na bronienie siebie i atakowanie mnie!

Hassan wstał. Przez chwilę Kemal myślał, że wywiąże się bójka. Hassan jednak schylił się po swoją matę i podał ją Kemalowi.

– Proszę. Mów.

Kemal rozłożył matę i usiadł. Hassan zasiadł na macie obok córki, w drugim rzędzie.

– Niewolnictwo – zaczął Kemal. – Istniało wiele różnych rodzajów niewoli. Chłopi byli przywiązani do ziemi. Koczownicy chwytali czasem obcych i wcielali ich do plemienia, jako członków drugiej kategorii, bez prawa odejścia. Rycerstwo powstało jako rodzaj czcigodnej mafii, czasem nawet

organizacji wymuszającej ochronę, i gdy zaakceptowałeś nad sobą suwerena, byłeś na jego rozkazy. W pewnych kulturach zdjęci z urzędu królowie byli trzymani w niewoli, gdzie płodzili dzieci, one płodziły wnuki, a te prawnuki, i nikomu nic się nie działo, tyle że nikt nie miał prawa odejść. Całe narody były podbijane i zmuszane do pracy dla obcych panów, płacąc niemożliwe do zapłacenia trybuty na rzecz nowych władców. Łupieżcy i piraci uwozili jeńców dla okupu. Ludzie głodujący oddawali się możliwym w służbę. Więźniów zmuszano do katorżniczej pracy. Te formy niewoli były obecne w wielu kulturach. Jednak żadna z nich nie jest niewolnictwem sensu stricto.

– Dosłownie rzecz biorąc, jest to prawda – rzekła Tagiri.

– Z niewolnictwem mamy do czynienia, kiedy istota ludzka staje się ruchomością. Kiedy jeden człowiek może kupić i sprzedać nie tylko swoją pracę, lecz także ciało tej osoby i jej dzieci. Majątek ruchomy, pokolenie za pokoleniem. – Kemal spojrzał na zebranych, widząc chłód wciąż obecny na ich twarzach. – Wszyscy to wiecie. Ale nie zdajecie sobie sprawy z jednego: że powstanie niewolnictwa nie było czymś nieuniknionym. Niewolnictwo zostało wynalezione w określonym miejscu i czasie. Wiemy, kiedy i kto po raz pierwszy został zamieniony w ruchomość. Wydarzyło się to w Atlantydzie, kiedy pewna kobieta wpadła na pomysł, by zapędzić do pracy jeńców przeznaczonych na ofiarę, a potem, kiedy jej najcenniejszy jeńiec miał zostać stracony, zapłaciła członkowi starszyny plemiennej, by na zawsze usunął go z grupy ofiarnej.

– Nie są to dokładnie niewolnicze dyby – wtrąciła Tagiri.

– Taki był początek. Praktyka ta rozprzestrzeniła się szybko, aż wreszcie stała się głównym powodem najeżdżania innych plemion. Derku zaczęli kupować jeńców bezpośrednio od łupieżców. A potem zaczęli wymieniać się niewolnikami pomiędzy sobą, wreszcie kupować ich i sprzedawać.

– Cóż za osiągnięcie! – wykrzyknęła ironicznie Tagiri.

– Stało się to zaczątkiem ich miasta. Niewolnicy zastępowali członków plemienia przy kopaniu kanałów i doglądaniu upraw. Dzięki niewolnictwu Derku mieli dość wolnego czasu, by stworzyć cywilizację. Niewolnictwo przynosiło im takie dochody, że świątobliwi starcy szybko odkryli, iż bóg krokodyl nie potrzebuje już ofiar z ludzi, przynajmniej na jakiś czas. Wszyscy jeńcy mogli być zamienieni w niewolników i zapędzeni do pracy. Nie jest przypadkiem, że kiedy wielka powódź zniszczyła lud Derku, praktyka niewolnictwa nie wymarła wraz z nimi. Okoliczne kultury zdążyły ją już przejąć, ponieważ okazała się opłacalna. Był to jedyny sposób, jaki

wynaleziono na wykorzystanie pracy obcych. Wszystkie inne odkryte przez nas przypadki autentycznego niewolnictwa mają swoje źródło w tamtym akcie kobiety Derku, Nedz-Nagaya, która zapłaciła za to, by użyteczny jeńiec nie został oddany krokodylowi na pożarcie.

– Postawmy jej pomnik – powiedziała Tagiri. Była bardzo rozgniewana.

– Idea kupowania i sprzedawania ludzi powstała pomiędzy Derku – podkreślił Kemal.

– Tylko dlatego że Agafna zbudował pierwsze koło, nie oznacza, że ktoś inny nie zbudowałby następnego w jakiś czas później – odparła Tagiri.

– Wręcz przeciwnie. Wiemy z pewnością, że niewolnictwo – handel istotami ludzkimi – nie rozwinęło się tam, dokąd nie sięgał wpływ Derku – rzekł Kemal i urwał.

– W Ameryce – dopowiedziała Diko.

– W Ameryce – potwierdził Kemal. – A tam gdzie ludzie nie mieli pojęcia człowieka jako ruchomości, co wykształcili w zamian?

– W Ameryce niewola była zjawiskiem częstym – zauważyła Tagiri.

– Niewola we wszystkich innych formach. Ale człowiek jako ruchomość, idea, że człowiek ma cenę – tego tam nie było. I między innymi to was pociąga w projekcie powstrzymania Kolumba. Zachować jedyne miejsce na ziemi, gdzie niewolnictwo nigdy się nie rozwinęło. Czy mam rację?

– To nie jest główny powód, dla którego interesujemy się Kolumbem – odparła Tagiri.

– Sądzę, że powinniście przemyśleć to ponownie – rzekł Kemal. – Niewolnictwo bowiem w bezpośredni sposób zastąpiło ofiary z ludzi. Czy chcecie mi powiedzieć, że wolicie torturowanie i mordowanie jeńców, tak jak praktykowali to Majowie, Irokezi, Aztekowie i Karibi? Czy uważacie to za bardziej cywilizowane? W końcu tych nieszczęśników ofiarowano bogom.

– Nigdy nie zmusisz mnie do uwierzenia, że jest tu bezpośredni związek, albo-albo, niewolnictwo albo ofiary z ludzi.

– Nie obchodzi mnie, czy w to wierzycie. Przyznajcie po prostu, że jest to możliwe. Przyznajcie, że są rzeczy gorsze od niewolnictwa. Przyznajcie, że wasz system wartości jest równie wybiórczy jak system wartości każdej innej kultury, i próba zmienienia historii tak, żeby wasze wartości zwyciężyły zarówno w przeszłości, jak i w teraźniejszości, jest czystym...

– Kulturowym imperializmem – dokończył Hassan. – Kemal, odbywamy taką dyskusję co najmniej raz na tydzień. Twoje argumenty miałyby sens, gdybyśmy proponowali, żeby cofnąć się w czasie i powstrzymać tamtą

kobietę Derku przed wynalezieniem niewolnictwa. Ale my nie proponujemy nic podobnego. Kemal, nie jesteście pewni, czy w ogóle coś proponujemy! Próbuje tylko dowiedzieć się, co jest możliwe.

– Twoja obłuda jest aż śmieszna. Wiedzieliście od początku, że chodzi wam o Kolumba. Jego chcecie powstrzymać. A jednak zdajecie się zapominać, że razem ze złem, które europejskie panowanie przyniosło światu, wyrzucicie wiele dobrego. Użyteczne lekarstwa. Nowoczesne rolnictwo. Czysta woda. Tania energia. Przemysł, który daje nam komfort odbycia tego spotkania. I nie mówcie mi, że dobra naszego współczesnego świata i tak zostałyby wynalezione. Nic nie jest nieuniknione. Wyrzucacie zbyt wiele.

– Wiem. – Tagiri ukryła twarz w dłoniach.

Kemal spodziewał się oporu. Czyż nie atakowała go złośliwie przez cały czas? Na moment odebrało mu mowę.

Tagiri opuściła dłonie, ale wciąż wpatrywała się w ziemię.

– Każda zmiana coś kosztuje. A jednak niezmiennienie niczego też kosztuje. Decyzja nie należy do mnie. Przedstawimy nasze argumenty światu. – Podniosła wzrok na Kemala. – Tobie łatwo jest mówić, że nie powinniśmy tego robić. Ty nie widziałeś ich twarzy. W dodatku zajmujesz się inną dziedziną wiedzy.

Musiał się zaśmiać.

– Jestem taki jak ty, czasem wbijam sobie jakiś pomysł do głowy i nie mogę się go pozbyć.

– To prawda – zgodziła się Tagiri. – Nie mogę się go pozbyć. Kiedy zakończymy wszystkie badania, jeśli będziemy mieli maszynę, która pozwoli nam dotknąć przeszłości, wtedy będę mogła zrobić coś, co odpowie na... głód... kobiety, która śniła.

– Na modlitwę, chcesz powiedzieć – rzekł Kemal.

– Tak – odparła wyzywająco. – Na modlitwę. Będziemy mogli zrobić coś, by ulepszyć świat.

– Widzę zatem, że nie mam tu do czynienia z nauką.

– Nie, Kemal, nie masz i nigdy nie mówiłam, że będziesz miał. – Uśmiechnęła się smutno. – Widzisz, zostałam ukształtowana. Przydzielono mi zadanie spojrzenia na przeszłość tak, jakbym była artystką. Sprawdzenia, czy można jej nadać nową formę. Lepszą formę. Jeśli nie można, nie zrobię nic. Ale jeśli można...

Kemal nie oczekiwał takiej szczerości. Spodziewał się spotkania z grupą ludzi opętanych szaleństwem. W zamian napotkał poświęcenie, tak, ale bez

szaleństwa.

– Lepszą formę – powtórzył. – A zatem wszystko sprowadza się do trzech pytań. Po pierwsze, czy nowa forma jest lepsza czy gorsza. Na to pytanie da się odpowiedzieć tylko sercem, ale wy przynajmniej macie na tyle zdrowego rozsądku, by nie dać się zwieść własnym pragnieniom. Po drugie, czy jest to technicznie możliwe, czy potrafimy wynaleźć sposób zmienienia przeszłości. Odpowiedź zależy od fizyków, matematyków i inżynierów.

– A trzecie pytanie? – zapytał Hassan.

– Czy potraficie stwierdzić dokładnie, jaka zmiana albo zmiany muszą być przeprowadzone dla osiągnięcia dokładnie tego rezultatu, na jakim wam zależy. To znaczy, co chcecie zrobić, wysłać w przeszłość ampułkę ze środkiem poronnym i wrzucić ją matce Kolumba do wina?

– Nie – odparła Tagiri. – Próbuje ratować życie milionów, a nie zamordować wielkiego człowieka.

– Poza tym – dodał Hassan – jak powiedziałaś, nie chcemy powstrzymać Kolumba, jeśli to miałoby uczynić świat gorszym miejscem. To jest największy problem ze wszystkich – skąd mamy wiedzieć, co by się stało, gdyby Kolumb nie odkrył Ameryki? TruSite II wciąż nie potrafi tego pokazać. Co mogłoby się wydarzyć?

Kemal powiódł wzrokiem po zebranych i zdał sobie sprawę, że całkowicie mylił się w ich ocenie. Tym ludziom jeszcze bardziej niż jemu zależało, by nie dopuścić do zrobienia jakiegoś głupstwa.

– To interesująca kwestia – powiedział.

– I niemożliwa do rozstrzygnięcia – rzekł Hassan. – Nie wiem, czy to cię uraduje, Kemal, ale ty dałeś nam naszą jedyną nadzieję.

– Ja?

– Tak, swoją analizą życia Naoga – odparł Hassan. – Naog był bardzo podobny do Kolumba. Zmienił kształt historii jedynie siłą swej woli. Jedynym powodem, dla którego arka została w ogóle zbudowana, była jego ponura determinacja. Potem, ponieważ łódź wyratowała go z potopu, stał się postacią legendarną. A ponieważ jego ojciec stracił życie w wyniku krótkotrwałego powrotu Derku do praktyki składania krwawych ofiar, opowiadał wszystkim, że miasta są złe, że zabijanie ludzi w ofierze to zbrodnia nie do wybaczenia, że Bóg zniszczył świat w karze za ludzkie grzechy.

– Gdyby tylko mówił jeszcze, że niewolnictwo jest złem – westchnęła Diko.

– Mówił coś odwrotnego! – wykrzyknął Kemal. – Był żywym przykładem

tego, ile korzyści może przynieść niewolnictwo. Przez całe życie trzymał przy sobie trzech niewolników, którzy pomogli mu zbudować arkę, i każdy, kto przybywał poznać wielkiego Naoga, widział, że jego wielkość opiera się na własności tych trzech ludzi. Nie pojmuję, dlaczego przykład Naoga miałby być dla was źródłem jakiegokolwiek nadziei.

– Ponieważ ten jeden człowiek zmienił świat – odparł Hassan. – A ty potrafiłeś dokładnie wskazać, kiedy wstąpił na ścieżkę prowadzącą do tych zmian. Znalazłeś moment, kiedy stanął na brzegu nowego kanału wyrzynanego w progu Bab al-Mandab i spojrzawszy na poziom starej linii brzegowej, zdał sobie sprawę, co się stanie.

– Znalezienie tego momentu nie było trudne – rzekł Kemal. – Naog natychmiast ruszył w drogę powrotną i szczegółowo opowiedział żonie, co widział i co myślał.

– Cóż, tak, było to z pewnością jaśniejsze niż cokolwiek, co udało nam się znaleźć na temat Kolumba – potaknął Hassan. – Daje nam jednak nadzieję, że i my natrafimy na taki moment. Wydarzenie, myśl... Co skierowało go na zachód? Diko odnalazła chwilę, kiedy postanowił zostać wielkim człowiekiem, ale nie natknęliśmy się jeszcze na moment, od którego Kolumb obsesyjnie myślał o podróży na zachód. A jednak ze względu na Naoga mamy nadzieję, że taki moment odkryjemy.

– Ależ ja go odkryłam, ojcze – powiedziała Diko.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę. Dziewczyna sprawiała wrażenie spłoszonej.

– Tak mi się przynajmniej wydaje. To bardzo dziwne. Pracowałam nad tym dziś w nocy. Myślałam sobie – ale jestem głupia, nie? – że byłoby wspaniale, gdybym odkryła to, kiedy... kiedy Kemal tu jest. I potem mi się udało. Chyba.

Nikt nie mówił nic przez długą chwilę. Potem Kemal zerwał się na równe nogi i zawołał:

– To co my tu jeszcze robimy?! Pokaż nam!

5 – WIDZENIE

Udział w konwoju Spinoli do Flandrii przerastał marzenia Kolumba. To prawda, na taką okazję czekał przez całe życie, wprasząc się na każdy okręt, jaki chciał go zabrać, aż wreszcie znalazł wybrzeże Morza Liguryjskiego lepiej niż własną kieszeń. I czyż nie zamienił wyprawy w charakterze “obserwatora” na Chios w tryumf kupiecki? Nie wrócił do domu bogaty, oczywiście, ale zaczynając praktycznie od zera handlował mastyksem, aż uzbierał niezłą sumkę – po czym miał dość oleju w głowie, by przeznaczyć wszystko na kościół. I uczynił to w imieniu Nicola Spinoli.

Spinola posłał po niego, oczywiście, i Cristoforo rozplątywał się w podziękowaniach.

– Wiem, że nie wyznaczyłeś mi żadnych obowiązków na Chios, panie, ale pozwoliłeś wziąć udział w wyprawie, i to bez żadnych opłat. Maleńkie sumy, jakie udało mi się zarobić na Chios, nie były warte przekazania tobie. Dajesz więcej sługom, kiedy wyprawiają się rano na targ po jedzenie na jeden dzień.

– Absurdalna przesada, obaj o tym wiedzieli. – Kiedy jednak oddałem je Chrystusowi, nie mogłem udawać, że pieniądze, chociaż drobne, pochodziły ode mnie, skoro ich źródłem była wyłącznie twoja dobroć.

Spinola zaśmiał się głośno.

– Jesteś w tym bardzo dobry – powiedział. – Ćwicz trochę więcej, żeby twoje słowa nie sprawiały wrażenia wyuczonych, a zdobędziesz fortunę jak nic!

Cristoforo myślał, że oznacza to, iż przegrał, dopóki Spinola nie zaprosił go do wzięcia udziału w handlowej wyprawie do Flandrii i Anglii. Pięć okrętów, żeglujących wspólnie dla bezpieczeństwa, i jeden z nich wyładowany towarem, którego upłynnienie miało być zadaniem Cristofora. Był to objaw wielkiego zaufania, powierzono mu znaczącą część majątku Spinoli, ale Cristoforo przygotował się dobrze. Jeśli czegoś nie zrobił sam, przypilnował, by zrobili inni, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Wiedział, jak nadzorować załadunek statku i jak targować się twardo, nie robiąc sobie wrogów. Wiedział, jak rozmawiać z kapitanem, jak odnosić się z rezerwą, a jednocześnie uprzejmie do członków załogi. Potrafił na podstawie siły wiatru, stanu nieba i morza przewidzieć szybkość podróży. Umiał na

pierwszy rzut oka ocenić, czy prace na pokładzie są właściwie wykonywane. Kiedy był jeszcze młody i majtkowie nie obawiali się, że może im napytać kłopotu, pozwalali mu się przyglądać, jak pracują. Nauczył się nawet pływać, ponieważ jako dziecko sądził, że jest to jeden z wymogów życia na morzu. Kiedy statek wyszedł z portu, Cristoforo czuł, że całkowicie panuje nad sytuacją.

Zwracali się nawet do niego “signor Colombo”. Nie zdarzało się to dotąd często. Jego ojca nie tytułowano “signor”, pomimo że w ostatnich latach dzięki zarobkom syna Domenico Colombo miał się doskonale, przenosząc warsztat do większych pomieszczeń, ubierając się w zdobniejsze szaty, jeżdżąc na koniu jak szlachcic i nawet kupując kilka małych domów poza murami miasta, by móc udawać właściciela ziemskiego. Tytuł z pewnością nie przysługiwał Cristoforowi z racji urodzenia. W trakcie tego rejsu jednak nie tylko marynarze, ale nawet kapitan zwracał się do niego “signor”. Była to oznaka, jak daleko zaszedł – ale o wiele ważniejsze było zaufanie rodziny Spinola.

Wyprawa od samego początku nie zapowiadała się łatwo. Morze nie było wzburzone, ale nie było też spokojne. Cristoforo zauważył z zadowoleniem, że jest jedynym z agentów handlowych, który nie choruje. Spędzał czas tak jak na innych wyprawach – nachylając się nad mapami z nawigatorem albo prowadząc rozmowy z kapitanem, ucząc się od nich możliwie jak najwięcej. Chociaż wiedział, że jego przeznaczenie leży na wschodzie, wiedział również, że któregoś dnia będzie miał statek, a nawet flotę, która może będzie żeglowała po wszystkich morzach świata. Wybrzeże Ligurii znał; wyprawa na Chios, jego pierwsza podróż po otwartym morzu, pierwsza, kiedy w ogóle stracił z oczu ląd, pierwsza, kiedy trzeba było zdać się wyłącznie na nawigację i obliczenia matematyczne, pozwoliła mu snuć marzenia o wschodnich morzach. A teraz miał zobaczyć zachodnie, popłynąć przez cieśninę Gibraltaru, skrócić na północ, wzdłuż wybrzeży Portugalii, przeciąć Zatokę Biskajską – poznać miejsca, o których dotąd słyszał tylko w marynarskich opowieściach. Szlachcice – pozostali szlachcice – mogli rzygać w najlepsze przez całe Morze Śródziemne, ale on wykorzysta każdą chwilę, przygotowując się do służenia Bogu, który...

Nie śmiał o tym myśleć, gdyż inaczej Bóg dowie się o okropnej arogancji, o grzesznej dumie ukrytej w jego sercu.

Bóg już o tym wiedział, oczywiście. Ale wiedział też, że Cristoforo robi wszystko, by ta duma go nie opanowała. Stań się wola Twoja, nie moja,

Panie. Jeśli mam poprowadzić tryumfujące armie i floty na wielką krucjatę, która oswobodzi Konstantynopol, wypędzi muzułmanów z Europy i raz jeszcze podniesie chrześcijański sztandar w Jerozolimie, niech tak się stanie. Bądź wola Twoja... Wykonam każde zadanie, jakie mi przeznaczyłeś, małe czy wielkie. Będę gotów. Twój pokorny sługa...

Jakimże jestem hipokrytą, myślał Cristoforo. Udaję, że moje pobudki są czyste. Położyłem sakiewkę z Chios w dłonie samego biskupa – z drugiej strony jednak uczyniłem to, by zyskać coś u Nicola Spinoli. Nawet nie była to pełna sakiewka. Część pieniędzy przeznaczyłem na szaty; szlachcic musi ubierać się odpowiednio, w przeciwnym razie ludzie nie nazywają go “signor”. Wiele więcej dałem ojcu, na jego domy i ubrania dla matki, by mogła wyglądać jak dama. Nie nazwałbym tego darem wiary. Czy chcę być bogaty i wpływowy, by służyć Bogu? Czy też służę Bogu w nadziei, że uczyni mnie to bogatym i wpływowym?

Takie wątpliwości go trapiły w przerwach między marzeniem i planowaniem. Niemal cały czas spędzał jednak słuchając opowieści kapitana i pilota, studiując mapy, przyglądając się mijanym brzegom, kreśląc własne mapy i dokonując obliczeń, jakby był pierwszym, który kiedykolwiek wpłynął na te wody.

– Istnieje wiele map wybrzeża Andaluzji – zauważył pilot.

– Wiem – odparł Cristoforo. – Ale uczę się więcej, kiedy kreślę mapy własnoręcznie, niż gdybym tylko je studiował. I mam na wszelki wypadek materiał porównawczy.

Mapy zawierały masę błędów. A może jakaś nadprzyrodzona siła poprzesuwała przylądki i zatoki, plaże i skaliste wyniesienia wybrzeża iberyjskiego, tak że tu i ówdzie znajdowała się mała zatoczka nie zaznaczona na żadnej mapie.

– Czy te mapy zostały sporządzone przez piratów? – zapytał kapitana któregoś dnia. – Wydają się zaprojektowane tak, by korsarz mógł przyciąć się tutaj i wydać nam bitwę.

Kapitan zaśmiał się z tego żartu.

– To są mapy Maurów, tak w każdym razie słyszałem. A kopiści nie zawsze są perfekcyjni. Omijają jakiś szczegół tu i ówdzie. Cóż oni wiedzą, siedząc przy swoich stołach, z dala od morza. Kierujemy się według map w ogólnym zarysie i uczymy się, gdzie są błędy. Gdybyśmy żeglowali po tych wodach przez cały czas, tak jak czynią to Hiszpanie, mapy byłyby nam niepotrzebne. A oni z pewnością nie opublikują poprawionych map, bo nie zależy im, żeby

obce statki pływały tędy bezpiecznie. Każdy naród strzeże swoich map. Kreśl więc dalej, signor Colombo. Któregoś dnia twoje mapy mogą okazać się przydatne Genui. Jeśli ta podróż zakończy się sukcesem, będą następne.

Wszystko wskazywało na to, że zakończy się sukcesem, aż do momentu kiedy dwa dni po przekroczeniu Cieśniny Gibraltarskiej rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda:

– Żagle! Korsarze!

Cristoforo podbiegł do burty i wkrótce rzeczywiście ujrzał żagle. Okręty nie sprawiały wrażenia mauryjskich. I nie przstraszyły się widoku pięciu statków handlowych płynących razem. Piraci też mieli pięć jednostek po swojej stronie.

– To mi się nie podoba – rzekł kapitan.

– Przecież mamy równe siły, czyż nie? – zdziwił się Kolumb.

– Nie bardzo. Jesteśmy wyładowani towarem; oni mają puste ładownie. Oni znają te wody; my nie. I są przyzwyczajeni do toczenia krwawych bitew. A my co mamy? Noszących miecze szlachciców i marynarzy, których przeraża myśl o walce na otwartym morzu.

– Z pewnością Bóg stanie po stronie sprawiedliwych – zawyrokował Cristoforo.

Kapitan posłał mu miazdzące spojrzenie.

– Nie sądzę, byśmy byli pod jakimkolwiek względem bardziej godni od tych, którzy zginęli z poderżniętymi gardłami. Nie, uciekniemy, jeśli damy radę, a jeśli nie, to będziemy się bronić tak zajadle, że zostawią nas w spokoju. Na ile się pan zdasz w bitwie?

– Nie na wiele – odparł Cristoforo. Nie było sensu obiecywać, że da sobie radę. Kapitan musiał wiedzieć, na kogo może liczyć, a na kogo nie. – Noszę miecz tylko dla parady.

– Cóż, piraci szanują miecz, tylko jeśli jest dobrze unurzany we krwi. Czy potrafi pan celnie rzucać?

– Ciskałem kamieniami jako chłopiec.

– To wystarczy. Jeśli sprawy przybiorą kiepski obrót, to będzie nasza ostatnia nadzieja – wypełnimy balie wrzącym olejem. Podpalimy je i będziemy ciskać na statki korsarzy. Nie będą mogli wydać nam bitwy, jeśli ich pokłady zajmą się ogniem.

– To oznacza, że będą musieli być blisko...

– Jak powiedziałem, użyjemy tego sposobu tylko w ostateczności.

– Przecież jeśli zaczną płonąć korsarskie statki, ogień może przejść na nasze!

Kapitan spojrział na niego zimno.

– Chcemy, żeby nasza flota stała się dla nich bezużyteczną zdobyczą. – Ponownie rzucił okiem na korsarskie żagle, znajdujące się dobrze w tyle i dalej od brzegu. – Zamierzają przygwoździć nas do wybrzeża. Jeśli uda nam się dotrzeć do Przylądka Świętego Wincentego, gdzie będziemy mogli skręcić na północ, zgubimy ich. Do tego czasu będą próbowali przeciąć nam drogę, gdy będziemy żeglowali ku morzu, lub zepchnąć nas na mieliznę, gdy popłyniemy w stronę brzegu.

– A zatem odbijmy ku otwartemu morzu już teraz! – zawołał Cristoforo. – Oddalmy się możliwie jak najbardziej od wybrzeża!

Kapitan westchnął.

– To najmądrzejsze postępowanie, przyjacielu, ale niestety marynarze nie pójdą na to. Nie lubią nie widzieć lądu, kiedy zbliża się bitwa.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie potrafią pływać. Mogą tylko mieć nadzieję, że uczepią się jakiejś belki, jeśli kiepsko nam pójdzie.

– Ale jeśli nie odbijemy teraz od brzegu, z pewnością pójdzie nam kiepsko.

– Nie czas teraz wymagać od marynarzy, by zachowywali się racjonalnie – stwierdził kapitan. – Jedno jest pewne: nie można poprowadzić statku tam, gdzie marynarze nie chcą się udać.

– Nie zbuntowaliby się przecież.

– Gdyby sądzili, że narażam ich na utonięcie, przybiliby do brzegu i zostawili ładunek piratom. Lepsze to niż utonięcie albo sprzedanie w niewolę.

Cristoforo nie zdawał sobie z tego sprawy. Nic podobnego się nie zdarzyło w trakcie żadnej z jego poprzednich wypraw, a marynarze nie opowiadali o tym na brzegu w Genui. Nie, tam byli odważni, pełni zapału bojowego. I trudno było uwierzyć, że kapitan nie może popłynąć tam, gdzie by pragnął... Cristoforo zastanawiał się nad tym przez następne dni, gdy korsarze szli za nimi równym tempem, przyciskając statki handlowe coraz bardziej do brzegu.

– Francuzi – stwierdził nawigator.

Zaraz jakiś marynarz w pobliżu rzekł:

– Coullon.

Cristoforo drgnął. W Genui osłuchiwał się wystarczająco z francuskim, pomimo wrogości Genuńczyków do narodu, którego przedstawiciele niejednym raz złupili im przystanie i próbowali spalić miasto, by wiedzieć że Coullon to francuska wersja jego nazwiska: Colombo albo, po hiszpańsku, Colon.

Ale marynarz, który to powiedział, nie był Francuzem i nie miał pojęcia, co słowo to oznacza dla Cristofora.

– To może być Coullon – potwierdził pilot. – Ale biorąc pod uwagę jego śmiałość, obstawiałbym raczej samego diabła... choć niektórzy twierdzą, że Coullon jest diabłem.

– A każdy wie, że diabeł jest Francuzem! – wykrzyknął marynarz stojący obok.

Zaśmiali się wszyscy, którzy to słyszeli, ale niewiele było w tym śmiechu radości. Kapitan nie zapomniał pokazać Cristoforowi, gdzie znajdują się kadzie z olejem, gdy majtek już je nappełnił.

– Pamiętaj, by trzymać ogień w dłoniach. To będzie twój miecz, signer Colombo, a oni będą go szanować.

Czyżby pirat Coullon bawił się z nimi w kotka i myszkę? Dlaczego ich nie dogonił, zanim na horyzoncie ujrzeli Przylądek Świętego Wincentego? Wtedy bez trudu pokonał dzielący ich dystans, blokując okrętom Genuńczyków drogę na północ, wokół przylądka, ku otwartemu morzu.

Nie było już czasu na koordynację działań obronnych flotyli. Każdy kapitan musiał walczyć na własną rękę. Kapitan okrętu Cristofora natychmiast zdał sobie sprawę, że przy obecnym kursie zostanie błyskawicznie zepchnięty na mieliznę albo straci statek w wyniku abordażu.

– Zwrot! – krzyknął. – Ustawmy się tyłem do wiatru! Była to śmiała strategia, ale marynarze zrozumieli jej sens i wkrótce inne statki szybko poszły w ślady starego wilka morskiego. Musieli przepłynąć pomiędzy korsarzami – gdyby zrobili to sprawnie, znaleźliby się na otwartym morzu przed nimi, mając wiatr w plecy. Coullon jednak nie był głupcem i wykonał zwrot wystarczająco szybko, by jego ludzie mogli zaczepić haki o statki Genuńczyków.

Kiedy piraci z wysiłkiem ciągnęli liny, przybliżając statki do siebie, Cristoforo ujrzął, że kapitan miał rację: załoga nie miała wielkich nadziei na zwycięstwo. Och, będą walczyli, wiedząc, że stawką jest ich życie. Ale w oczach mieli rozpacz, przerażała ich zbliżająca się krwawa jatka. Cristoforo usłyszał, jak jeden z marynarzy mówi do majtka: “Módl się o śmierć”. Nie były to słowa dodające odwagi.

Cristoforo nachylił się, wydobył kawałek żaru z popielnika i przytknął go do powierzchni oleju, a potem z kadziami w rękach stanął na dziobie, gdzie miał dobry widok na najbliższy statek korsarski.

– Kapitanie! – zawołał. – Teraz?

Kapitan nie usłyszał go – przy kole sterowym panował zbyt duży hałas. Nieważne. Cristoforo widział, że sytuacja staje się rozpaczliwa, a im bliżej podpływają korsarze, tym większe niebezpieczeństwo, że w ogniu staną oba statki. Cisnął kadzie.

Ramię miał silne, oko celne. Kadzie roztrzaskały się na pokładzie statku pirackiego i płomienie trysnęły niczym pomarańczowa farba na drewno. Po chwili wspinały się już po linach ku żaglom. Korsarze przestali się śmiać i wesoło pokrzykiwać. Teraz ciągnęli zahaczone liny z ponurą determinacją. Cristoforo zdał sobie sprawę, że gdy ich okręt stanął w ogniu, piratom pozostała jedna tylko nadzieja – musieli zdobyć inny statek.

Odwrócił się i ujrzał następny statek korsarski, również ciągnący jednego z Genuńczyków, na tyle blisko, że i jemu mógł dogodzić odrobiną ognia. Tym razem rzut nie był tak celny – kadź spadła do morza nie czyniąc żadnej szkody. Majtek podpalał i podawał następne kadzie. Cristoforo zdołał wrzucić jedną parę na pokład bardziej oddalonego okrętu korsarskiego, i drugą na pokład tego, który przygotowywał się do abordażu jego własnej jednostki.

– Signor Spinola – mruknął pod nosem – wybacz, że marnuję twój ładunek. Nie walczył już o przyszłość, o swą kupiecką karierę. Walczył o życie. Dobry Boże, powiedział w duchu, czy mam być Twoim sługą, czy nie? Oddam Ci życie, jeśli je ocalisz. Przysięgam oswobodzić Konstantynopol. W Hagia Sophia ponownie rozlegną się dźwięki mszy świętej, tylko uratuj mnie, dobry Boże.

– To jest moment podjęcia decyzji? – zapytał Kemal.

– Nie, oczywiście, nie – odparła Diko. – Chciałam wam tylko pokazać, czym się zajmowałam. Tę scenę, jak dobrze wiecie, pokazywano tysiące razy. Kolumb przeciwko Kolumbowi, jako że on i korsarz nosili to samo nazwisko. Tyle że wszystkie nagrania pochodziły z czasów Tempoview, zgadza się? Widzieliśmy więc, że Kolumb porusza wargami, ale w chaosie bitwy nie było szans usłyszeć, jakie padają słowa. Mówił cicho, jego usta poruszały się nieznacznie. I nikomu to nie przeszkadzało, bo w końcu co to ma za znaczenie, jak człowiek modli się w ferworze walki?

– Sądzę jednak, że to ma znaczenie – rzekł Hassan. – Hagia Sophia?

– Najważniejsza świątynia Konstantynopola. Chyba najpiękniejsze sanktuarium chrześcijańskie na całym świecie, w czasach przed

zbudowaniem Kaplicy Sykstyńskiej. I kiedy Kolumb modli się do Boga o uratowanie przed śmiercią, jakie składa przyrzeczenie? Że wyprawi się z kruczatą na wschód. Znalazłam to kilka dni temu i nie mogłam spać od tamtego czasu. Każdy szukał źródeł jego wyprawy na zachód wcześniej, na Chios, być może, lub w Genui. Ale Kolumb opuścił już Genuę na zawsze. Nigdy już tam nie wróci. I zaledwie tydzień później rozpocznie się okres jego pobytu w Lizbonie, gdzie będzie oczywiście, że marzy tylko o podróży na zachód. A tu proszę, w tej chwili przysięga, że oswobodzi Konstantynopol.

– Niewiarygodne! – zdziwił się Kemal.

– A więc widzicie – podsumowała Diko. – Odkryłam, że musiało coś niezmiernie ważnego się wydarzyć pomiędzy tą chwilą na pokładzie statku, którego żagle już się palą, a przybyciem Kolumba do Lizbony tydzień później.

– Doskonale – pochwalił Hassan. – Świetna robota, Diko. To znacząco zawęży przedział poszukiwań.

– Tato, odkryłam to kilka dni temu. Powiedziałam wam, że znalazłam sam moment decyzji, a nie tylko tydzień.

– A więc pokaż nam! – zawołała Tagiri.

– Boję się – przyznała Diko.

– Dlaczegoż to?

– Ponieważ... wszystko wskazuje na to, że Bóg przemawia do niego.

– Pokaż nam – rzekł Kemal. – Zawsze chciałem usłyszeć głos Boga.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy poza Diko. Ona zachowała kamienną twarz.

– I zaraz go usłyszysz – powiedziała.

Śmiech zamarł im na ustach.

Piraci byli na pokładzie, a razem z nimi przypelzł ogień, skacząc z żagla na żagiel. Było oczywiście dla wszystkich, że nawet jeśli odeprą piratów, oba statki są już nie do uratowania. Ci z marynarzy, którzy nie uczestniczyli w krwawej walce wręcz, zaczęli ciskać baryłki i pokrywy ładowni do wody, a kilku zdołało nawet opuścić szalupę po przeciwnej stronie niż okręt piratów. Cristoforo ujrzał, że kapitan nie zamierza opuszczać pokładu – walczył dzielnie, miecz tańczył mu w dłoniach. A potem miecz zniknął i Cristoforo nie mógł już dojrzeć kapitana przez dym kłębiący się na statku.

Marynarze skakali do wody, szukając kawałków drewna unoszących się na

powierzchni. Cristoforo kątem oka dostrzegł jednego marynarza spychającego innego z pokrywy luku; jeszcze inny poszedł pod wodę nie mając się czego uchwycić. Piraci nie zabili jeszcze Cristofora tylko dlatego, że rąbali płonące maszty na zaatakowanym statku, by ogień nie rozprzestrzenił się na pokład. Cristoforo ocenił, że może im się udać. Przeżyją i zdobędą ładunek Genuńczyków. Na to nie mógł się zgodzić. Jego towarzysze przegrali, ale zamierzał dopilnować, by przegrali również piraci. Cisnął dwie płonące kadzie na pokład własnego statku. Mostek wkrótce stanął w płomieniach. Piraci wrzasnęli z wściekłości – ci, którzy nie wyli z bólu lub przerażenia – i szybko wypatrzyli Cristofora oraz majtka na dziobie.

– Chyba czas skoczyć do wody – powiedział do chłopca.

– Nie umiem pływać.

– Ja umiem – rzekł Cristoforo. Najpierw jednak zdjął pokrywę luku i wyrzucił za burtę. Potem, biorąc chłopca za rękę, skoczył do wody. Piraci wbiegali już na dziób.

Cristofora kosztowało sporo sił samo wciągnięcie chłopca na pokrywę. Próbował się przytrzymać tej małej tratwy, ale wówczas przechylała się niebezpiecznie i majtek wpadał w panikę. Cristoforo położył się więc z powrotem na wodzie. Do brzegu było prawie dwadzieścia mil. Cristoforo dobrze pływał, ale nie aż tak dobrze. Potrzebował czegoś, o co mógłby się oprzeć, żeby odpocząć raz na jakiś czas, a skoro ze względu na chłopca nie mogła to być pokrywa, musiał ją zostawić i znaleźć coś innego.

– Posłuchaj, chłopcze! – zawołał. – Brzeg jest tam! – Wskazał ręką.

Czy majtek zrozumiał? Patrzył na Cristofora, oczy miał szeroko otwarte.

– Wiosłuj rękami – powiedział Cristoforo. – W tamtą stronę!

Chłopiec nie zareagował. Siedział bez ruchu, przerażony, a potem odwrócił wzrok na płonący okręt.

Młócenie w wodzie rękami przy jednoczesnych próbach porozumienia się z chłopcem było zbyt męczące. Uratował mu życie, teraz musiał się zająć ratowaniem własnego.

Płynąc ku niewidocznemu brzegowi, w końcu znalazł unoszące się na falach wiosło. Kiedy ścisnął ręką nogami i wsuwał sobie pióro płasko pod klatkę piersiową, mógł trochę odpocząć. Wkrótce zostawił za sobą dymy pożarów, a potem wrzaski walczących. Czy przestał je słyszeć dlatego, że tak daleko odpłynął, czy też dlatego że wszyscy potonęli? Nie spoglądał za siebie; nie widział, jak płonące kadłuby nikną pod powierzchnią wody. Zapomniał o statkach, podobnie jak o swej misji handlowej. Teraz myślał już

tylko o poruszaniu rękami i nogami, prac przez rozkołysane wody Atlantyku ku wciąż dalekiemu brzegowi.

Czasem był pewny, że od brzegu ciągnie potężny prąd, że został przez niego pochwycony i nie dotrze do lądu bez względu na to, co zrobi. Był wyczerpany, bolały go ramiona i nogi, nie mógł się już poruszać, a jednak płynął, jakkolwiek wolno, i w końcu ujrzał wreszcie, że przybliży się do lądu. To dodało mu siłę, chociaż czuł taki ból w całym ciele, jakby morze rozrywało go na kawałki.

Słyszał fale rozbijające się o brzeg. Widział karłowate drzewa rosnące na niskich skałach. A potem fala rozbiła się nad nim i ujrzał plażę. Podpłynął jeszcze trochę, spróbował stanąć. Nie mógł. Upadł, w dodatku stracił wiosło. Poszedł z głową pod wodę. Nagle pomyślał, że głupio byłoby tyle przepłynąć i utonąć przy samym brzegu.

Postanowił nie popełnić takiego głupstwa, chociaż kusiło go, by poddać się i odpocząć. Odepchnął się nogami od dna. Woda nie była wcale głęboka, wynurzył głowę ponad powierzchnię i znowu mógł oddychać. Na poły płynąc, na poły idąc przedarł się do brzegu, a potem czołgał się po mokrym piasku, aż poczuł suchy ląd pod sobą. Nie zatrzymał się jednak – zachował dość przytomności, by pamiętać, że musi wydostać się poza zasięg przyływu, wyznaczony linią wyschniętych patyków i wodorostów. Czołgał się, szedł na czworakach, aż wreszcie dowlóknął się do tej linii i poza nią; dopiero potem padł na piasek i stracił przytomność.

Obudził go przyływ, gdy kilka najwyższych fal dotoczyło wąskie pasemka wody do linii granicznej, mocząc mu stopy, a potem uda. Obudził się z potężnym pragnieniem, a kiedy spróbował się poruszyć, odkrył, że mięśnie płoną mu bólem. Czy połamał sobie ręce i nogi? Nie, po prostu zmusił je do nadludzkiego wysiłku i teraz płacił za to bólem.

Mimo bólu nie pozostał na plaży, nie czekał na śmierć. Na czworakach dotarł do pierwszych kęp trawy. Zaczął się rozglądać za jakimś źródłem wody pitnej. Tak blisko brzegu miał małe szansę powodzenia, ale jak mógł odzyskać siły bez czegokolwiek do picia? Słońce zachodziło. Wkrótce zapadnie zmrok. Noc przyniesie chłód, a on jest tak słaby... Czy umrze z zimna i pragnienia?

– Boże – wyszeptał przez spierzchnięte usta. – Wody.

Diko zatrzymała taśmę.

– Wszyscy wiedzą, co się teraz stanie, prawda?

– Kobieta z wioski Lagos pojawi się na plaży i znajdzie go – odparł Kemal. – W wiosce Cristoforo odzyska zdrowie i wyruszy do Lizbony.

– Widzieliśmy to na Tempoview tysiące razy – rzekł zniecierpliwiony Hassan. – A tysiące ludzi widziało to co najmniej raz.

– No właśnie, widzieliście to na Tempoview.

Diko podeszła do jednej ze starszych maszyn, obecnie trzymanej tylko do prezentowania starych nagrań. Odtworzyła odpowiedni fragment w przyspieszonym tempie; Kolumb, niczym zabawna, poruszająca się zrywami marionetka, padł na piasek, modląc się może, potem uklęknął, przeżegnał się i powiedział:

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Zatopionego w modlitwie odnalazła kobieta z Lagos – Maria Luisa, córka Simao o Gordo. Zaraz pobiegła do wioski po pomoc.

– Czy to właśnie wszyscy widzieliście? – zapytała Diko.

– Tak.

– Najwyraźniej nic się nie wydarzyło – powiedziała. – Kto więc zadawałby sobie trud, żeby oglądać tę samą scenę na TruSite II? Ja jednak to zrobiłam. Patrzcie. – Wróciła do pulpitu TruSite n i włączyła odtwarzanie. Wszyscy patrzyli, jak Kolumb rozgląda się za wodą, obracając powoli głowę, najwyraźniej wyczerpany i obolały. Potem jednak, całkowicie zaskoczeni, usłyszeli cichy głos:

– Cristoforo Colombo!

Coś zaślniło w ciemniejszym powietrzu przed Kolumbem. Gdy teraz popatrzył w tę stronę, obserwatorzy ujrzeli, że wcale nie szuka wody, lecz raczej wpatruje się w obraz, który uformował się w powietrzu przed jego oczami.

– Cristobal Colon. Coullon. Kolumb. – Głos był ledwie, ledwie słyszalny, obraz zaś nie zrobił się wyraźny.

– Tak subtelne – mruknął Hassan. – Tempoview nigdy by tego nie wykryło. Jak dym albo para. Drobne poruszenie w powietrzu.

– Co my oglądamy? – zapytał Kemal głosem pełnym napięcia.

– Bądźcie cicho i słuchajcie – powiedziała niecierpliwie Tagiri. – Do jakich wniosków możecie dojść, zanim obejrzycie całość?

Umilkli. Oglądali i słuchali.

Wizja skryzalizowała się w dwie postaci otoczone bladą poświatą. Na ramieniu niższego z mężczyzn siedziała gołębica. W umyśle człowieka średniowiecznego, szczególnie takiego, który czytał równie wiele co Cristoforo, nie mogło być wątpliwości, co obraz ma reprezentować. Święta Trójca. Nieomal wypowiedział ich imiona na głos. Ale oni nadal mówili, nazywając go w językach, których nigdy nie słyszał.

A potem:

– Columbus, czy chcesz być moim sługą?

– Tak, z całego serca chcę.

– Zwróciłeś swe serce na wschód, przysięgając oswobodzić Konstantynopol z rąk Turków.

– Moje przyrzeczenie, moja modlitwa zostały wysłuchane.

– Ujrzałem twoją wiarę i odwagę, dlatego ocaliłem ci życie dzisiaj na morzu. Chcę, byś wykonał wielkie zadanie. Jednak nie do Konstantynopola musisz zanieść mój krzyż.

– Do Jerozolimy?

– Również nie do Jerozolimy ani do żadnego innego kraju oblewanego wodami Morza Śródziemnego. Ocaliłem cię, byś niósł krzyż ziemiom położonym o wiele dalej na wschód, tak daleko na wschód, że można do nich dotrzeć jedynie żeglując na zachód przez Atlantyk.

Cristoforo ledwie rozumiał. Nie śmiał podnieść wzroku na świetliste postaci – jaki śmiertelnik miał prawo spojrzeć prosto w twarz wskrzeszonemu Zbawcy, nie mówiąc już o Wszchemogącym albo gołębicy Ducha Świętego? Nieważne, że była to tylko wizja; nie mógł spojrzeć na nich ponownie. Opuścił głowę do samej ziemi, żeby ich nie widzieć, ale słuchał z uwagą.

– Są tam wielkie królestwa, bogate w złoto i silne potężnymi armiami. Ludy te nigdy nie słyszały imienia Mego Pierworodnego, umrą nie ochrzczone. Pragnę więc, byś zaniósł im zbawienie i powrócił z bogactwami, jakie tam znajdziesz.

Cristoforo poczuł, jak płonie mu serce. Bóg ujrzał go, zauważył, i teraz dawał mu zadanie o wiele większe niż proste wyzwolenie starożytnej stolicy chrześcijaństwa. Ziemie położone tak daleko na wschód, że trzeba żeglować na zachód, żeby do nich dotrzeć. Złoto. Zbawienie.

– Twoje imię będzie wielkie. Królowie uczynią cię wicekrólem, będziesz władcą oceanu. Królestwa padną u twych stóp, a miliony, którym zapewnisz zbawienie, będą cię błogosławić. Pożegluj na zachód, Columbus, twoje statki zdołają tam dotrzeć. Wiatry południa zaniósą cię na zachód, a potem wiatry

bardziej na północ pozwolą ci wrócić do Europy. Niech imię Chrystusa rozbrzmiewa wśród tamtejszych ludów, a ty oprócz ich dusz ocalisz również własną. Złóż uroczystą przysięgę, że wyruszysz na tę wyprawę, a uda ci się to mimo wielu trudności. Nie łam tej przysięgi, gdyż spotka cię los gorszy niż mieszkańców Sodomy w dzień sądu. Nigdy większe zadanie nie zostało powierzone śmiertelnikowi i bez względu na to, jakimi zaszczytami zostaniesz obsypany na ziemi, będą one pomnożone po tysiącokroć w niebie. Jeśli jednak zawiedziesz, konsekwencje dla ciebie i całego chrześcijaństwa będą straszne. Złóż przysięgę, w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Kolumb powstał na kolana.

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego – wymamrotał.

– Posłałem do ciebie kobietę, by cię pielęgnowała. Kiedy wrócą ci siły, musisz rozpocząć misję, którą ci powierzyłem. Nie wyjawiaj nikomu, że do ciebie przemówiłem – nie chcę, byś szczeł jak dawni prorocy, a jeśli się zdradzisz, kapłani z pewnością spalą cię jako heretyka. Nie wyjawiając mego nakazu, musisz przekonać innych, by pomogli ci przeprowadzić tę wyprawę. Nie obchodzi mnie, czy zrobią to dla złota, sławy czy z miłości do mnie, ważne, by wypełnili zadanie. Byś ty je wypełnił. Ty. Wykonaj moją misję.

Postaci pociemniały i znikły. Nieomal łkając z wyczerpania i podniosłej nadziei, Cristoforo Colombo – nie, był teraz Columbus, Bóg nazwał go Columbus, po łacinie, w języku Kościoła – Columbus czekał na piasku. I, jak obiecała postać z wizji, rzeczywiście wkrótce pojawiła się kobieta i natychmiast pobiegła po pomoc. Nim zapłonęły gwiazdy, rybacy na silnych ramionach nieśli go już do wioski Lagos, gdzie kobiety napiły go winem, rozebrały z przesiąkniętych słońcą wodą, ubrudzonych piaskiem szat i zmyły sól z jego poobcieranej skóry. W ten oto sposób jestem chrzczony na nowo, pomyślał Kolumb, narodzony ponownie w służbie Świętej Trójcy.

Nie zdradził ani słowem, co wydarzyło się na plaży, jednak jego myśli zaprzątnięte były czekającym go zadaniem. Wielkie królestwa Wschodu – natychmiast pomyślał o opowieściach Marco Polo, o Indiach, Katalju, Cipango. Tyle że nie będzie do nich żeglował na wschód ani na południe wzdłuż wybrzeża Afryki, jak podobno robili to Portugalczycy. Nie, on popłynie na zachód. Skąd weźmie statek? Nie z Genui. Nie po tym, jak statek powierzony jego pieczy zatonął. Poza tym genueskie statki nie były dość szybkie, miały zbyt głębokie zanurzenie.

Bóg sprowadził go na wybrzeże portugalskie, a Portugalczycy zawsze byli wspaniałymi żeglarzami, nieustraszonymi badaczami świata. Czyż nie będzie

wicekrólem królów? Znajdzie sposób, by uzyskać poparcie króla Portugalii. A jeśli nie jego, to innego króla albo jakiegoś innego człowieka. Uda mu się, bo Bóg jest po jego stronie.

Diko zatrzymała nagranie.

– Chcecie obejrzeć to jeszcze raz?

– Będziemy chcieli obejrzeć to wiele razy – odparła Tagiri. – Ale nie w tej chwili.

– To nie był Bóg – rzekł Kemal.

– Mam nadzieję, że nie – potwierdził Hassan. – Nie podobała mi się ta Święta Trójca. Była... mało przekonująca.

– Pokaż to gdziekolwiek w świecie muzułmańskim – mruknął Kemal – a rozruchy nie ustaną, dopóki tłum nie rozniesie Instytutu Czasu w pył.

– Tak jak powiedziałeś, Kemal – zaczęła Tagiri – to nie był Bóg. Ponieważ taką wizję miał nie tylko Kolumb. Wszystkie inne wielkie wizje historii były całkowicie subiektywne. Tę jedną udało nam się zobaczyć, ale nie na Tempoview. Tylko TruSite II było zdolne ją wykryć, a my wiemy już, że kiedy używa się TruSite II, zdarza się, iż ludzie w przeszłości widzą tych, przez których są obserwowani.

– Jeden z nas? Tę wiadomość przesłał Instytut Czasu? – Kemal wściekł się na myśl o jakimś badaczu bruźdzącym w przeszłości.

– Nie jeden z nas – odparła Diko. – My żyjemy w świecie, w którym Kolumb pożegłował na zachód i spowodował, że Europa podbiła albo zniszczyła praktycznie całą Amerykę. Gdy tylko zobaczyłam tę scenę, pomyślałam: ta wizja stworzyła nasz czas. Wiemy przecież, że podróż Kolumba zmieniła wszystko. Nie tylko dlatego że dotarł do Indii Zachodnich, ale dlatego że kiedy wrócił, opowiadał z absolutną pewnością o skarbach, których nigdy nie widział. O złocie, o wielkich królestwach. A teraz wiemy dlaczego. Popłynął na zachód na polecenie Boga, Bóg powiedział mu, że znajdzie tam te wielkie skarby. Kolumb więc opowiadał o nich, wierzył, że jest tam złoto i wielkie królestwa, Bóg bowiem mu to powiedział!

– Jeśli nie jeden z nas, to kto to zrobił? – upierał się Hassan.

Kemal zaśmiał się nieprzyjemnie.

– To z pewnością był jeden z nas. Albo raczej jeden z was.

– Twierdzisz, że zainscenizowaliśmy to wszystko? – zapytała Tagiri.

– Wręcz przeciwnie – odparł Kemal. – Ale spójrzcie na siebie. Jesteście tymi

ludźmi w Instytucie Czasu, którzy chcą sięgnąć w przeszłość i zmienić historię, ulepszyć. Przypuśćmy więc, że w innej wersji historii inna grupa ludzi powiązanych z tamtejszą wersją Instytutu Czasu odkryła, że potrafi zmieniać przeszłość. I zrobiła to. Przypuśćmy, że ludzie ci uznali, iż najstraszliwszym wydarzeniem w historii była ostatnia krucjata, poprowadzona przez syna genueńskiego tkacza. Dlaczego nie? W tamtej wersji historii Kolumb skierował swą nienasyconą ambicję na cel, który przyświecał mu, zanim miał ową wizję. Morze wyrzuca go na brzeg, co Kolumb interpretuje jako zrządzenie Boskie. Organizuje i przeprowadza krucjatę, oswobadza Konstantynopol z takim samym zapalem, tym samym nieugiętym uporem, jaki widzieliśmy u niego przy innej misji, misji, którą znamy. W końcu prowadzi armię w krwawej wojnie przeciwko Turkom. A co się stanie, jeśli zwycięży? Co się stanie, jeśli pokona Seldżuków, a potem ruszy z impetem na ziemie muzułmańskie, siejąc popłoch i zniszczenie w sposób typowy dla europejskiego chrześcijaństwa? Wielka cywilizacja muzułmańska mogłaby zostać zniszczona, a wraz z nią kto wie jak cenne skarby wiedzy. Pomyślcie tylko, mogło się zdarzyć, że krucjata Kolumba została uznana za najgorsze wydarzenie w historii i ludzie z tamtego drugiego Instytutu Czasu postanowili, tak jak wy, że muszą naprawić to, co się stało. Efektem jest nasza historia. Zniszczenie Ameryk. I świat tak samo zdominowany przez Europę.

Zebrani spoglądali na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Kto może twierdzić, że zmiana, jaką ci ludzie wprowadzili, nie spowodowała rezultatów gorszych niż te, których próbowali uniknąć? – Kemal uśmiechnął się szelmowsko. – Arogancja ludzi próbujących bawić się w Boga. Właśnie to zrobili, prawda? Odegrali rolę Boga. Świętej Trójcy, dokładnie rzecz biorąc. Gołębnica stanowiła taki miły akcent. Tak, ze wszech miar, obejrzyjcie tę scenę tysiąc razy. I za każdym razem, gdy będziecie patrzyli na tych kiepskich aktorów udających, że są Świętą Trójcą, podstępem przekonujących Kolumba, by zapomniał o krucjacie i przedsięwziął skierowaną na zachód wyprawę, która zniszczyła świat, mam nadzieję, że będziecie widzieli samych siebie. Ludzie wam podobni spowodowali tyle cierpienia.

Hassan zrobił krok w stronę Kemala, ale Tagiri stanęła pomiędzy nimi.

– Być może, masz rację, Kemal – powiedziała. – A może nie. Po pierwsze, nie sądzę, by ich jedynym celem było odwiedzenie Kolumba od idei wyprawy krzyżowej. W takim przypadku wystarczyłoby skłonić go do jej

porzucenia. Ale oni powiedzieli, że jeśli zawiedzie, konsekwencje będą straszne dla chrześcijaństwa. Niezbyt to się zgadza z teorią o cofnięciu chrześcijańskiego podboju świata islamu.

– Mogli kłamać – rzekł Kemal. – Mówić mu to, co chciał usłyszeć, żeby móc nim manipulować.

– Być może – powtórzyła Tagiri. – Ale myślę, że nie o to im chodziło. Coś innego, równie lub bardziej strasznego by się wydarzyło, gdyby Kolumb nie miał tej wizji. I musimy się dowiedzieć, co to było.

– Jak mamy się dowiedzieć, co mogłoby się wydarzyć, ale się nie wydarzyło?
– zapytała Diko.

Tagiri uśmiechnęła się przebiegle do Kemala.

– Znam jednego człowieka obdarzonego wielką wytrwałością, mądrością i zdolnością błyskawicznej oceny. Jest on idealnym kandydatem do poprowadzenia programu badawczego mającego wyjaśnić, co to było, do czego ta wizja miała nie dopuścić lub co miała osiągnąć. Z jakiegoś powodu owi ludzie z innego strumienia historii postanowili wysłać Kolumba na zachód. Ktoś musi stanąć na czele grupy badającej, dlaczego tak się stało. A ty, Kemal, ty nie robisz obecnie nic produktywnego, prawda? Twoje wielkie dni należą do przeszłości, a ty spadłeś do roli człowieka opowiadającego innym, że ich marzenia nie są warte zrealizowania.

Przez chwilę wydawało się, że Kemal ją uderzy, tak okrutna była jej ocena. Ale nie podniósł ręki, po długiej chwili odwrócił się i wyszedł.

– Czy on ma rację, mamó? – zapytała Diko.

– A ściślej mówiąc – dodał Hassan – czy narobi nam kłopotów?

– Sądzę, że poprowadzi program badawczy mający odpowiedzieć na pytanie, co mogło się wydarzyć – odparła Tagiri. – Myślę, że zagłębi się w problem, nie popuści, a w efekcie skończy pracując z nami.

– Wspaniale – mruknął ktoś kwaśno. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Kemal jako wróg jest straszny, ale Kemal jako przyjaciel jest nie do zastąpienia – powiedziała Tagiri. – Znalazł Atlantyde, i to w czasie kiedy nikt nie wierzył, że w ogóle trzeba jej szukać, prawda? Znalazł wielki potop. Znalazł Yeweswedera. Jeśli ktokolwiek potrafi odkryć, jak mogłaby potoczyć się historia, lub przynajmniej stworzyć prawdopodobny scenariusz, to tym człowiekiem jest Kemal. – Uśmiechnęła się. – My, ludzie szaleni, jesteśmy uparci, nierozsądni i trudni w kontaktach, ale istnieje pewien gatunek gorliwych ofiar, które postanawiają z nami pracować.

Zebrani znowu się roześmiali, ale kilku pomyślało, że Kemal jest dokładnie

taki sam jak ich ukochana Tagiri.

– Sądzę również, że umknął nam jeden z najważniejszych punktów wielkiego odkrycia Diko. Tak, Diko, wielkiego. – Tagiri powiodła wzrokiem dookoła. – Czy nie widzicie, co to jest?

– Ależ oczywiście – rzekł Hassan. – To niewielkie przedstawienie w wykonaniu aktorów udających Świętą Trójcę upewnia nas co do jednego faktu: sięgnięcie w przeszłość jest możliwe. Jeśli oni mogą wysłać wizję, świadomie kontrolowaną wizję, to możemy i my.

– I być może – dodała Tagiri – potrafimy sprawić się lepiej.

6 – DOWODY

Według “Popol Vuh”, świętej księgi narodu Majów, Xpiyacoc i Xmucane mieli dwóch synów, nazwanych Jeden Hunahpu i Siedem Hunahpu. Jeden Hunahpu dorósł wieku męskiego, ożenił się, a jego żona, Xbaquiyalo, urodziła dwóch synów, którzy mieli imiona Jeden Małpa i Jeden Rzemieślnik. Siedem Hunahpu nie miał dzieci; zanim stał się mężczyzną, on i jego brat zostali rytualnie zabici na boisku do gry w piłkę, gdy przegrali z Jeden i Siedem Śmierć. Głowa Jeden Hunahpu została umieszczona w rozwidleniu drzewa jicaro, które nigdy dotąd nie wydało owocu. Teraz wydało owoc, wyglądający jak głowa, a głowa Jeden Hunahpu zaczęła przypominać owoc.

Potem młoda dziewczina imieniem Krew Kobiety przybyła na ofiarne boisko do gry w piłkę, żeby obejrzyć drzewo, i tam przemówiła do głowy Jeden Hunahpu, a głowa Jeden Hunahpu przemówiła do niej i splunęła strumieniem śliny prosto na jej dłoń, i wkrótce dziewczyna poczęła dziecko. Siedem Hunahpu zgodził się na to, więc również był ojcem dziecka, które rosło w jej brzuchu.

Krew Kobiety nie chciała powiedzieć swemu ojcu, w jaki sposób dziecko znalazło się w jej łonie, ponieważ nie wolno było chodzić pod drzewo, gdzie wisiała głowa Jeden Hunahpu. Rozgniewany, że jest wszeteczną, ojciec kazał złożyć ją w ofierze. Ona jednak, by ocalić życie, powiedziała czterem wysłannikom, którzy mieli ją zabić, że dziecko spłodziło się samo, kiedy

poszła podziwiać głowę Jeden Hunahpu. Wysłannicy zgodzili się jej nie zabijać, musieli jednak po powrocie pokazać ojcu dziewczyny jej serce w skorupie owocu jicary. I oto Krew Kobiety oszukała swego ojca wypełniając skorupę gęstą czerwoną żywicą drzewa Smocza Krew. Wszyscy bogowie Xibalba dali się nabrać na tę sztuczkę.

Krew Kobiety udała się do domu wdowy po Jeden Hunahpu, Xbaquiyalo, by urodzić dziecko. Powiła dwóch synów, których nazwała Hunahpu i Xbalanque. Xbaquiyalo denerwowały wrzaski wydawane przez dzieci w powijakach i kazała wyrzucić je na dwór. Jej synowie, Jeden Małpa i Jeden Rzemieślnik, żywili odrazę i zawiść wobec swych młodszych braci, toteż położyli ich na mrowisku. Kiedy dzieci tam nie umarły, starsi bracia położyli je w cierniach, ale i tam przeżyły. Nienawiść pomiędzy starszymi i młodszymi braćmi trwała przez wszystkie lata dojrzewania Hunahpu i Xbalanque.

Starsi bracia byli muzykami, śpiewakami, artystami, rzemieślnikami i mędrkami. Przede wszystkim mędrkami. Wiedzieli, kim będą ich bracia, ale z zazdrości nie powiedzieli nikomu. Sprawiedliwości stało się więc zadość, kiedy Hunahpu i Xbalanque podstępem skłonili ich do wejścia na drzewo i zamienili w małpy, tak że starsi bracia nigdy więcej nie dotknęli ziemi. Potem Hunahpu i Xbalanque, wielcy wojownicy i doskonali gracze w piłkę, udali się na wezwanie bogów Xibalba, którzy chcieli ich pokonać.

Pod koniec starcia z bogami Xbalanque musiał oddać swego brata na śmierć. Owinął jego serce w liść, a potem tańczył samotnie na boisku do gry w piłkę i wykrzyknął imię swego brata, a wtedy Hunahpu powstał z martwych i zajął miejsce u jego boku. Widząc to, ich przeciwnicy w grze, bogowie Jeden i Siedem Śmierć, zażądali, by również ich złożyć w ofierze. Tak więc Hunahpu i Xbalanque wyjęli serce z ciała boga Jeden Śmierć; on jednak nie powstał z martwych. Siedem Śmierć przeraził się i prosił, by nie składano go w ofierze. I tak, ku własnej sromocie, stracił serce bez odwagi i wbrew swej woli. W ten oto sposób Hunahpu i Xbalanque pomścili swych ojców, Jeden i Siedem Hunahpu, i złamali potęgę bogów Xibalba.

Tako rzecze księga "Popol Vuh".

Kiedy Dolores de Cristo Matamoro urodziła trzeciego syna, przypomniała sobie, jak poznawała kulturę Majów dorastając w Tekax na Jukatanie, i ponieważ nie była pewna, kto jest ojcem chłopca, nazwała go Hunahpu. Gdyby miała jeszcze jednego syna, bez wątpienia nazwałaby go Xbalanque, jednak kiedy Hunahpu był jeszcze niemowlęciem, została potrącona na

peronie dworca kolejowego w San Andres Tuxtla i wpadła pod koła nadjeżdżającego pociągu.

Hunahpu Matamoro nie otrzymał od matki praktycznie nic poza imieniem i może właśnie dlatego zainteresował się ludźmi z przeszłości. Jego starsi bracia wyrosli na normalnych mieszkańców San Andres Tuxtla: Pedro został policjantem, a Josemaria księdzem. Hunahpu jednak studiował historię Majów, Meksykanów, Tolteków, Zapoteków i Olmeków, wielkich narodów Ameryki Środkowej, a kiedy przy drugim podejściu osiągnął wystarczająco wysokie noty na egzaminach, został przyjęty do Instytutu Czasu i całkowicie poświęcił się badaniom.

Zamierzał odkryć, co wydarzyłoby się w Ameryce Środkowej, gdyby nie przybyli Hiszpanie. W odróżnieniu od Tagiri, której teczka oznaczona była srebrnym kodem, dającym jej całkowitą swobodę poczynąń, Hunahpu napotykał opór nieomal na każdym kroku. “Instytut Czasu bada przeszłość – mówiono mu raz po raz. – Nie spekulujemy na temat tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby przeszłość potoczyła się inaczej. Nie ma jak tego sprawdzić, a nawet gdybyś odkrył prawdę, nie miałaby ona żadnej wartości”. Jednak pomimo trudności Hunahpu wytrwał. Nie zebrała się wokół niego grupa współpracowników. W gruncie rzeczy sam przynależał do innej grupy, zajmującej się kulturami Zapoteków na północnym wybrzeżu Zatoki Tehuantepec w okresie przed przybyciem Hiszpanów. Przydzielono go do tego zespołu, ponieważ miał podobne zainteresowania. Przełożeni doskonale zdawali sobie sprawę, że Hunahpu przynajmniej tyle samo czasu poświęca swoim spekulatywnym studiom co obserwacjom, które przyczynią się do powiększenia zasobów realnej wiedzy. Byli jednak cierpliwi. Mieli nadzieję, że Hunahpu wyrośnie z młodzieńczej obsesji poznania tego, co niepoznawalne, jeśli zostawią go w spokoju wystarczająco długo. Pod warunkiem że będzie wypełniał swoje obowiązki w ramach badań Zapoteków – co w istocie robił, chociaż z trudem.

Potem nadeszły wieści o Interwencji. Instytut Czasu z innej wersji przyszłości przesłał Kolumbowi wizję, która sprawiła, że porzucił marzenie o poprowadzeniu krucjaty w celu oswobodzenia Konstantynopola i zwrócił oczy na zachód, ku Amerykom. Było to zdumiewające; dla Indianina, jak Hunahpu, było to również oburzające. Jak śmieli! Wiedział bowiem od razu, czego próbowali uniknąć Interwencji – nie był to chrześcijański podbój islamu.

Plotki zaczęły krążyć parę tygodni później, a uporczywość przydała im

wiarygodności. Wielki Kemal poszukiwał współpracowników do nowego programu badawczego. Po raz pierwszy Instytut Czasu próbował ekstrapolować na podstawie przeszłości, co wydarzyłoby się w przyszłości, gdyby określone wydarzenie nie miało miejsca. Dlaczego tworzą w tym celu całą grupę? – zastanawiał się Hunahpu. Mógł w jednej chwili odpowiedzieć na wszystkie pytania. Gdyby ktokolwiek z grupy Kemala przeczytał choćby jeden artykuł, jaki on, Hunahpu, napisał i umieścił w sieci, to zdałby sobie natychmiast sprawę, że odpowiedź leży przed nim jak na dłoni, że cała praca jest już wykonana, trzeba tylko uzupełnić szczegóły.

Hunahpu czekał na list od Kemala; czekał, by ktoś z przełożonych w Instytucie Czasu poradził Kemalowi, by ten zajrzał do artykułów pióra Hunahpu, lub nawet – co musiało w końcu nadejść – na przeniesienie do grupy Kemala. Przeniesienie jednak nie nastąpiło, list nie nadszedł, a przełożeni wydawali się nie pojmować, że najcenniejszym pomocnikiem Kemala byłby ten niezgrabny młody Maja, który bez przekonania wykonywał dla nich mrówczą pracę zbierania danych.

Wtedy właśnie Hunahpu zdał sobie sprawę, że musi stawić czoło nie tylko oporom innych; musiał również przewyciężyć ich niechęć. Jego badaniom nikt nie poświęcał uwagi, nie krążyły na ich temat żadne pogłoski. Zajrzał do sieci i przekonał się, że żaden z jego artykułów nie został nigdy ściągnięty i przeczytany, ani jeden, ani razu.

Rozpacz nie leżała jednak w jego naturze. Podwoił wysiłki, wiedząc, że jedynym sposobem pokonania bariery pogardy jest przedstawienie dowodów tak przekonywających, że Kemal będzie musiał je uszanować. I jeśli nie znajdzie innego wyjścia, zanieś te dowody Kemalowi osobiście, z pominięciem wszystkich oficjalnych kanałów, tak jak wtedy gdy Kemal odbył z Tagiri swe legendarne już pierwsze spotkanie. Były oczywiście różnice. Kemal przybył jako człowiek sławny, z wielkimi osiągnięciami, toteż został przyjęty z kurtuazją, nawet gdy to, co mówił, nie było chętnie słuchane. Hunahpu nie miał na swym koncie osiągnięć, które by go rozślawiły, było więc mało prawdopodobne, że Kemal zgodzi się z nim spotkać lub nawet rzucić okiem na wyniki jego badań. To jednak nie zniechęciło Hunahpu. Pracował dalej, wytrwale gromadząc dowody i pisząc staranne analizy na temat swoich odkryć, nienawidząc każdej chwili, jaką musiał poświęcić na rejestrowanie szczegółów dotyczących budowy statków morskich przez Zapoteków z wybrzeża w okresie pomiędzy latami 1510-1524.

Starsi bracia, policjant i ksiądz, którzy nie pochodzili z nieprawego łoża i przez to zawsze patrzyli na Hunahpu z góry, zaczęli się o niego martwić. Przybyli do siedziby Instytutu Czasu w San Andres Tuxtla, gdzie młodemu Hunahpu udostępniono salkę konferencyjną, ponieważ przy jego stanowisku pracy nie było mowy o prywatności.

– Nigdy nie ma cię w domu – powiedział policjant. – Dzwonię, a ty nigdy nie odbierasz.

– Pracuję – odparł Hunahpu.

– Nie wyglądasz zdrowo – stwierdził ksiądz. – Rozmawialiśmy z twoją przełożoną i powiedziała, że nie pracujesz zbyt efektywnie. Wciąż zajmujesz się swymi bezużytecznymi pomysłami.

– Pytaliście o mnie moją przełożoną? – zdziwił się Hunahpu. Nie wiedział, czy mieć pretensję o wtrącanie się w jego życie, czy cieszyć się z troski, jaką wykazali bracia.

– Cóż, w gruncie rzeczy to ona skontaktowała się z nami – rzekł policjant, który zawsze mówił prawdę, nawet jeśli była nieco kłopotliwa. – Chciała się dowiedzieć, czy potrafimy nakłonić cię do porzucenia twojego obsesyjnego zainteresowania straconą przyszłością Indian.

– Nie mogę przestać się tym zajmować. – Hunahpu spojrział na nich smutno.

– Tak myśleliśmy – rzekł ksiądz. – Ale co zrobisz, kiedy zostaniesz wyrzucony z pracy?

– Nie myśl, że któryś z nas ma pieniądze, żeby ci pomóc – dodał policjant. – Lub nawet zapewnić ci więcej niż kilka posiłków tygodniowo, choć na to możesz liczyć, przez wzgląd na naszą matkę.

– Dziękuję wam – rzekł Hunahpu. – Pozwoliliście mi uporządkować myśli.

Bracia wstali szykując się do wyjścia. Policjant, który był starszy i nie bił go w dzieciństwie nawet w połowie tak często jak ksiądz, zatrzymał się w drzwiach. Na jego twarzy malowało się współczucie.

– Nie zmienisz swego postępowania ani trochę, prawda?

– Ależ tak – odparł Hunahpu. – Pospieszę się i skończę, zanim wyrzucą mnie z pracy.

Policjant potrząsnął głową.

– Dlaczego musisz zachowywać się tak... po indiańsku?

Hunahpu dopiero po chwili zrozumiał pytanie.

– Ponieważ jestem Indianinem.

– My też, Hunahpu.

– Wy? Josemaria i Pedro?

- Cóż z tego, że nosimy hiszpańskie imiona?
- W waszych żyłach płynie hiszpańska krew, pracujecie na hiszpańskich posiadach w hiszpańskich miastach.
- Krew? – powtórzył policjant. – Nasza krew jest...
- Nie znam mego ojca – rzekł Hunahpu – ale z pewnością był Mają, tak jak matka.

Policjant pociemniał na twarzy.

- Widzę, że nie chcesz być moim bratem.
- Jestem dumny będąc twoim bratem – odparł Hunahpu, zdziwiony reakcją, jaką wywołały jego słowa. – Nie chcę kłócić się z tobą. Muszę jednak wiedzieć, co stałoby się z moim ludem... naszym ludem, gdyby nie przybyli Hiszpanie.

Książd pojawił się w drzwiach obok policjanta.

- Byłby narodem krwawych oprawców, składających ofiary z ludzi i okaleczających się, którzy nigdy nie słyszeli imienia Chrystusa.
- Dziękuję wam za troskę o mnie – rzekł Hunahpu. – Dam sobie radę.
- Przyjdź do mego domu na obiad – powiedział policjant.
- Dziękuję. Przyjdę któregoś dnia.

Bracia wyszli, a Hunahpu wrócił do komputera i zaadresował wiadomość do Kemala. Nie było szansy, by Kemal ją przeczytał – w sieci Instytutu Czasu ogłaszało się zbyt wiele tysięcy ludzi, by Kemal miał zwracać uwagę na wiadomość trzeciego rzędu ważności od nikomu nie znanego zbieracza danych pracującego przy programie zapotekańskim. A jednak Hunahpu musiał się jakoś przebić, gdyż inaczej jego praca pójdzie na marne. Sformułował więc najbardziej prowokującą wiadomość, jaka przyszła mu do głowy, i przesłał ją do wszystkich osób związanych z programem “Kolumb”, mając nadzieję, że ktoś z nich przejrzy korespondencję trzeciego rzędu i będzie zaintrygowany na tyle, by powiadomić Kemala.

Oto jego wiadomość:

Kemal: Kolumb został wybrany, ponieważ był największym człowiekiem swej epoki, tym, który złamał potęgę islamu. Wysłano go na zachód, by zapobiegł największej tragedii w dziejach ludzkości: tlaxcalańskiemu podbojowi Europy. Mogę tego dowieść. Moje artykuły umieszczane w sieci były ignorowane, tak samo jak byłoby w twoim przypadku, gdybyś nie znalazł potwierdzenia teorii o Atlantydzie w starych nagraniach TruSite I. Nagrania tlaxcalańskiego podboju Europy nie istnieją, ale dowody są faktem. Odpowiedz, a zaoszczędzisz sobie lat pracy. Zignoruj mnie, a odejdę.

Hunahpu Matamaros.

Kolumb nie był dumny z powodu, dla którego ożenił się z Felipą. Wiedział od momentu swego przybycia do Lizbony, że jako zagraniczny kupiec nie zbliży się do realizacji swoich planów. W stolicy zamieszkiwała kolonia genueńskich handlowców i natychmiast włączył się do prowadzonych przez nich interesów. W zimie roku 1476 uczestniczył w konwoju płynącym na północ, do Flandrii i Anglii, a potem na Islandię. Minął mniej niż rok od czasu, gdy wziął udział w podobnej wyprawie pełen nadziei i oczekiwań; teraz z trudem przychodziło mu skupienie się na interesach. Jakie korzyści mógł mu przynieść udział w wymianie handlowej pomiędzy miastami europejskimi? Bóg wyznaczył mu ważniejsze zadanie. Efekt był taki, że choć zarobił trochę pieniędzy w trakcie wyprawy, w żaden sposób się nie wyróżnił. Tylko na Islandii, gdzie słyszał opowieści marynarzy o położonych nie tak daleko na zachód ziemiach, gdzie niegdyś kwitły kolonie Nordyków, miał poczucie, że dowiedział się czegoś użytecznego, choć i wtedy pamiętał, że Bóg kazał mu użyć południowego szlaku w podróży na zachód, powrócić zaś trasą północną. Ziemie, które znali Islandczycy, nie były wielkimi królestwami wschodu, to wiedział na pewno.

W jakiś sposób musiał zebrać ekspedycję do zbadania oceanu na zachodzie. Kilka wypraw zaniósł go na Azory i Maderę – Portugalczycy nie dopuszczali obcokrajowców poza ten punkt, na afrykańskie wody, ale każdy był mile widziany na Maderze, gdzie mógł kupić afrykańskie złoto i kość słoniową, lub na Azorach, gdzie sprzedawano zapasy dla okrętów po wyjątkowo zawyżonych cenach. Kolumb wiedział dzięki swym znajomościom, że wielkie ekspedycje dopływają na Maderę co kilka miesięcy, kierując się ku Afryce. Wiedział też, że Afryka nie jest bramą do niczego ciekawego – ale i tak zazdrościł owym flotom. Musiał uzyskać dowództwo nad jedną z nich, by poprowadzić ją na zachód zamiast na południe. Ale jak mógł to osiągnąć?

W Genui przynajmniej jego ojciec był złączony więzami lojalności z Fieschimi, co można było wykorzystać. W Portugalii cała komunikacja morska, wszystkie wyprawy znajdowały się pod bezpośrednią kontrolą króla. Tak więc jedynym sposobem zdobycia statków, załóg i funduszy było przekonanie króla o sensowności wyprawy badawczej, a Kolumb jako Genueńczyk i parweniusz miał na to niewielkie szanse.

Ponieważ jego rodzina nie miała koligacji w Portugalii, musiał sam je sobie wyrobić. Był na to tylko jeden sposób, choć zaiste trudny. Wżenić się w rodzinę z dobrymi koneksjami, a przecież nie miał ani majątku, ani widoków na przyszłość. Potrzebna mu była rodzina na obrzeżach szlachectwa, i to taka, która nie pięła się w górę. Rodzina wschodząca szukałaby kogoś wyższego stanu, by poprawić swój status; rodzina tracąca na znaczeniu, szczególnie niezbyt stara gałąź posiadająca niewielki majątek, bogata tylko w córki na wydaniu, mogłaby spojrzeć na zagranicznego poszukiwacza przygód takiego jak Kolumb... cóż, jeśli nie z przychylnością, to z pobłażaniem. Lub rezygnacją.

Czy to z powodu dramatycznych przeżyć przy Przylądku Świętego Wincentego, czy też dlatego iż Bóg pragnął czymś go wyróżnić spośród tłumu, Kolumb zaczął w szybkim tempie siwieć. Ponieważ wciąż miał młodą twarz i pełne wigoru ciało, coraz bielsze włosy zwracały na niego uwagę, gdziekolwiek się udał. Gdy nie brał udziału w wyprawach handlowych, próbując przebić się w interesie, w którym zawsze faworyzowano Portugalczyków, regularnie uczęszczał do kościoła Wszystkich Świętych, gdzie panny na wydaniu z rodzin nie dość bogatych, by stać je było na utrzymanie własnego księdza w domu, przychodziły co dzień, starannie nadzorowane, by wysłuchać mszy, przyjąć komunię i przystąpić do spowiedzi.

Tam po raz pierwszy ujrzał Felipe, a raczej dopilnował, by ona zobaczyła jego. Wywiedziało się dyskretnie o kilka młodych dam i informacje na jej temat uznał za obiecujące. Ojciec Felipy, gubernator Perestrello, był człowiekiem o pewnej pozycji i wpływach, z dość wątpliwym tytułem szlacheckim, którego jednak nikt nie kwestionował, ponieważ Perestrello za młodu był żeglarzem księcia Henryka Nawigatora i wyróżnił się przy zdobywaniu Madery. W nagrodę został mianowany gubernatorem niewielkiej wysepki Porto Santo, pozbawionego wody kawałka lądu bez jakiegokolwiek znaczenia. Perestrello już nie żył, nie był jednak zapomniany, a człowiek, który ożeniłby się z jego córką, spotykałby się z innymi żeglarzami i nawiązał znajomości na dworze, które w końcu mogłyby zaprowadzić go przed oblicze króla.

Brat Felipy był nadal gubernatorem wyspy, matka zaś, dona Moniz, sprawowała rządy żelaznej ręki nad całą rodziną – nie wyłączając brata. Na niej, nie na Felipie, musiał Kolumb zrobić wrażenie; wpierw jednak musiał sprawić, żeby Felipa go zauważyła. Nie było to trudne. Szeroko znano

historię, jak dopłynął do odległego lądu po sławnej bitwie pomiędzy genueńskimi kupcami i francuskim piratem Coullonem. Nigdy nie przypisywał sobie żadnego bohaterstwa. “Rzucałem tylko kadziami z oliwą, podpalałem statki, w tym mój własny. Dzielniejsi i lepsi ode mnie ludzie walczyli i ginęli. A potem... płynąłem. Gdyby rekiny uznały, że wyglądam apetycznie, nie byłoby mnie tutaj. Czy to jest bohaterstwo?” Wiedział, że w społeczeństwie nawykłym do samochwalstwa musi przyjąć właśnie taką pozę nadmiernej skromności. Ludzie uwielbiają słuchać przechwałek junaków z sąsiedztwa, ponieważ widzą w tym własną wielkość, ale obcokrajowiec powinien przekonywać, że nie ma żadnych niezwykłych zalet – to właśnie zapewni mu sympatię miejscowych.

Strategia zadziałała. Felipa słyszała o Kolumbie. W kościele zauważył, że na niego patrzy, więc się uklonił. Felipa zarumieniła się i odwróciła głowę. Z urody była dość pospolita. Miała ojca wojownika, a matkę zbudowaną jak forteca – odziedziczyła wybuchowy temperament po ojcu i sporą tuszę po matce. A jednak gdy obowiązkowy rumieniec przeminął i spojrzała na Kolumba ponownie, w jej uśmiechu był wdzięk i humor. Odgrywali zrytualizowane role i Felipie wcale to nie przeszkadzało. W końcu nikt by jej nie nazwał klejnotem pierwszej wody, a jeśli adorator był ambitnym Genueńczykiem pragnącym wykorzystać koneksje jej rodziny, czy bardzo różniło ją to od córek zasobniejszych w złoto rodzin, adorowanych przez ambitnych panów, zainteresowanych głównie tymże złotem? Kobieta z tytułem nie mogła oczekiwać, że znajdzie męża dzięki swym osobistym zaletom – miały one jedynie drobny wpływ na cenę wywoławczą, pod warunkiem że była dziewicą, a tego przynajmniej skarbu rodzina strzegła dotąd doskonale.

Wymiana spojrzeń w kościele zaowocowała wizytą w domu Perestrellów, gdzie dona Moniz przyjęła Kolumba pięć razy, zanim zgodziła się na jego spotkanie z Felipą, i to dopiero po uzgodnieniu wszelkich warunków ślubu. Poczyniono wstępne ustalenia: Kolumb przestanie wykonywać swój zawód – jego wyprawy nie mogły już mieć tak otwarcie handlowego charakteru; Bartolomeo, który przybył z Genui, zostanie zarządcą sklepu z mapami założonego przez Kolumba. Żonkoś, szlachcic, będzie tylko okazynie zachodził do sklepu, by udzielać rad bratu. To odpowiadało zarówno Kolumbowi, jak i Bartolomeo.

W końcu Kolumb poznał Felipę i niedługo potem wzięli ślub. Dona Moniz była przekonana, że doskonale wie, na czym zależy genueńskiemu śmiałkowi

– gdy tylko uzyska dostęp do dworu, zacznie natychmiast nawiązywać znajomości z ładniejszymi i bogatszymi pannami, szukając jak najkorzystniejszych dla siebie kontaktów. Znała podobnych ludzi i przejrzała ich na wylot. Tak więc, tuż przed ślubem, zaskoczyła wszystkich oświadczając, że jej syn, gubernator Porto Santo, zaprosił Felipę i jej małżonka, by zamieszkali u niego na wyspie. Dona Moniz pojedzie oczywiście z nimi, ponieważ nie ma powodu, by przebywała w Lizbonie, kiedy jej droga córka Felipa i ukochany syn gubernator – jej cała rodzina, zapomnijmy o pozostałych zamężnych córkach – znajduje się daleko na Oceanie Atlantyckim. Poza tym na wyspach archipelagu Madery panuje cieplejszy i zdrowszy klimat.

Felipa uważała, że to cudowny pomysł – zawsze uwielbiała wyspę – lecz ku zaskoczeniu dony Moniz, Kolumb również przyjął zaproszenie z entuzjazmem. Udało mu się ukryć rozbawienie, jakie wywoływał w nim oczywisty niepokój dony Moniz. Jeśli on chce jechać, to znaczy, że coś jest nie tak z planem – wiedział, że tym torem biegną jej myśli. Było tak jednak dlatego że dony Moniz nie wiedziała, co jest dla Kolumba naprawdę istotne. Zaciągnął się na służbę u Boga i chociaż w końcu będzie musiał stawić się na dworze, by zdobyć poparcie dla podróży na zachód, wiedział, że miną lata, zanim będzie gotów przedstawić swoją sprawę. Potrzebował doświadczenia; potrzebował map i ksiąg; potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć i zaplanować. Biedna dony Moniz – nie zdawała sobie sprawy, że w Porto Santo znalazł się dokładnie na trasie portugalskich ekspedycji żeglujących ku wybrzeżom Afryki. Wszystkie cumowały na Maderze i Kolumb mógł zdobyć informacje na temat prowadzenia wyprawy, kreślenia map nowych terytoriów, pokonywania długich dystansów na nieznanymi morzach. Perestrello senior, zmarły ojciec Felipy, zgromadził niewielki, lecz cenny zbiór woluminów w Porto Santo i Kolumb uzyska do niego dostęp. A zatem, gdyby nauczył się od Portugalczyków sztuki żeglarskiej, gdyby Bóg pozwolił mu odnaleźć jakieś ukryte informacje w starych księgach, może dowie się czegoś zachęcającego na temat swej przyszłej wyprawy na zachód.

Felipa źle zniosła podróż. Nigdy dotąd nie cierpiała na chorobę morską i kiedy dotarli do Porto Santo, dony Moniz była pewna, że córka poczęła dziecko. I rzeczywiście, dziewięć miesięcy później urodził się Diego. Felipa długo dochodziła do siebie po trudnej ciąży i połogu, a gdy wyzdrowiała, poświęciła się dziecku całkowicie. Jej matka przypatrywała się temu z pewnym niesmakiem, dziećmi bowiem powinny zajmować się niańki, nie

mogła jednak narzekać, gdyż szybko stało się jasne, czemu Diego jest dla Felipy całym światem – jej mąż nie był spragniony towarzystwa młodej matki. Wydawał się natomiast gotowy skorzystać z pierwszej lepszej okazji, by uciec z wyspy – i wcale nie na królewski dwór. Za wszelką cenę starał się o przyjęcie na dowolny statek płynący wzdłuż wybrzeża afrykańskiego.

Niewielkie miał szansę na wzięcie udziału w jakiejś wyprawie. Był Genuńczykiem i niejednemu kapitanowi przyszło do głowy, że Kolumb po to wzenił się w portugalską rodzinę żeglarzy, by poznać wybrzeże Afryki, a potem sprowadzić konkurencyjne okręty z Włoch. Tego nie mogliby zaakceptować.

Widząc frustrację męża, Felipa zaczęła naciskać na matkę, by zrobiła coś dla jej Cristovao. “On kocha morze – mówiła. – Marzy o wielkich wyprawach. Czy nie możesz czegoś dla niego zrobić?”

Tak więc dona Moniz zaprowadziła Kolumba do biblioteki swego zmarłego męża i otworzyła przed zięciem pudła z mapami i rycinami, skrzynie pełne cennych ksiąg. Kolumb był bezgranicznie wdzięczny. Po raz pierwszy donie Moniz przyszło na myśl, że może ten Genuńczyk ma szczerze zamiary – nie interesuje go wybrzeże Afryki, tęskni tylko za nawigacją, żeglowaniem dla samego żeglowania.

Kolumb zaczął spędzać niemal każdą wolną chwilę ślęcząc nad woluminami i zwojami map. Oczywiście nie istniały mapy zachodniego oceanu, nikt bowiem nie wypłynął poza Azory, Wyspy Kanaryjskie czy Wyspy Zielonego Przylądka. Kolumb dowiedział się jednak, że portugalscy podróżnicy nie mieli zwyczaju pływać wzdłuż wybrzeża Afryki. Żeglowali na pełne morze, korzystając z bardziej sprzyjających wiatrów i głębszej wody, aż do momentu gdy instrumenty pomiarowe powiedziały im, że dotarli tak daleko na południe jak ostatnia wyprawa. Wtedy kierowali się w stronę lądu, na wschód, mając nadzieję, że tym razem zapłynęli poniżej południowego krańca Afryki, że uda im się znaleźć wschodni szlak do Indii. Ta metoda żeglowania po otwartym morzu pozwoliła Portugalczykom po raz pierwszy trafić na Maderę, a potem na Wyspy Zielonego Przylądka. Niektórzy podróżnicy tamtych czasów uważali, że na zachód mogą rozciągać się całe łańcuchy wysp; żeglowali, by to sprawdzić. Takie wyprawy jednak zawsze kończyły się rozczarowaniem albo tragedią i nikt nie wierzył już w wyspy leżące na zachodzie lub południu.

Kolumb nie mógł jednak zlekceważyć relacji o dawnych pogłoskach, które niegdyś kazały żeglarzom poszukiwać wysp na zachodzie. Chłonał kolejne

opowieści: o martwym żeglarzu wyrzuconym na brzeg na Azorach, Wyspach Kanaryjskich czy Wyspach Zielonego Przylądka, znalezionym ze schowaną pod ubraniem zmoczoną mapą pokazującą zachodnie wyspy odkryte, zanim jego statek zatonął; o unoszących się na wodzie pniach nie znanych gatunków drzew; o stadach ptaków lądowych widzianych daleko na zachód lub południe; o zwłokach topielców o twarzach okrągłszych niż jakiegokolwiek spotykane w Europie, ciemnych, a jednak nie tak czarnych jak skóra Afrykanów. Wszystkie te historie pochodziły z dawnych czasów i wielu wkładało je między bajki. Kolumbowi jednak Bóg kazał dotrzeć do wielkich królestw Wschodu płynąc na zachód, a więc, być może, owe pogłoski nie są bajkami, być może, kryje się w nich ziarno prawdy.

Niestety nie były wystarczającym argumentem do przekonania tych, od których zależało przyznanie funduszy na wyprawę na zachód. By przekonać króla, należało wprawdzie przekonać uczonych mężów z jego dworu; potrzebne były przekonujące dowody, a nie opowieści marynarzy. Z tego względu prawdziwym skarbem Porto Santo były książki, Perestrello bowiem ukochał naukę geografii, posiadał nawet łacińskie tłumaczenia Ptolemeusza.

Lektura Ptolemeusza sprawiła jednak Kolumbowi zimny prysznic – antyczny autor utrzymywał, że odległość od najdalej na zachód wysuniętego krańca Europy do wschodniego czubka Azji wynosi 180 stopni, połowę obwodu Ziemi. Taka podróż przez otwarte morze nie miała szans powodzenia. Żaden statek nie był w stanie unieść wystarczającej ilości zapasów ani zapewnić im świeżości na wystarczająco długi czas, by pokonać choćby jedną czwartą tego dystansu.

A jednak Bóg powiedział Kolumbowi, że dotrze do Orientu żeglując na zachód. Zatem Ptolemeusz musiał się mylić, mylić głęboko i beznadziejnie. Kolumb zaś musiał to udowodnić, tak by król pozwolił mu poprowadzić statki na zachód i wypełnić wolę Boga.

Byłoby prościej, mówił w swych cichych modlitwach do Świętej Trójcy, gdybyś posłał anioła do króla Portugalii. Dlaczego wybrałeś mnie? Mnie nikt nie uwierzy.

Bóg nie odpowiadał; Kolumb dalej rozmyślał, studiował i szukał sposobu na udowodnienie własnego domysłu – że świat jest o wiele, wiele mniejszy, a wschód i zachód znajdują się o wiele bliżej siebie, niż podejrzewał to którykolwiek ze starożytnych. A ponieważ jedynym autorytetem, jaki zaakceptują uczeni na dworze, będą książki napisane przez starożytnych, Kolumb musi wyszukać starożytnych autorów, którzy odkryli prawdę na

temat wielkości kuli ziemskiej. Pewne użyteczne idee znalazł w pracy "Imago Mundi" autorstwa kardynała d'Ailly, kompendium pism starożytnych autorów, skąd dowiedział się na przykład, iż według Marinosa z Tyru wielka płaszczyna lądowa świata liczy nie 180, lecz 225 stopni, co pozostawiałoby oceanowi jedynie 135 stopni. Nadal o wiele za dużo, ale zmiana była obiecująca. Nieważne, że Ptolemeusz żył i pisał po Marinosie, że zbadał wyliczenia poprzednika i uznał je za błędne. Marines proponował obraz świata odpowiadający celom Kolumba, dlatego Marines musiał być większym autorytetem. Kolumb znalazł również pomocne argumenty u Arystotelesa, Seneki i Pliniusza.

Potem zdał sobie sprawę, że owi antyczni pisarze nie mieli pojęcia o odkryciach poczynionych przez Marco Polo w drodze do Katalju. Dodaj 28 stopni lądu na Katalj, potem dodaj kolejne 30 stopni na odległość pomiędzy nim i wyspiarskim krajem Cipango, a zostanie ci tylko 77 stopni oceanu do pokonania. Potem odejmij kolejne 9 stopni rozpoczynając własną wyprawę na położonych na południowym zachodzie Wyspach Kanaryjskich, prawdopodobnie najlepszym punkcie startowym dla podróży nakazanej przez Boga, a będziesz musiał pokonać już tylko 68 stopni oceanu.

Nadal o wiele za dużo. Z pewnością w ocenach Marco Polo, w obliczeniach starożytnych musiały być błędy. Odejmij jeszcze 8 stopni, zaokrąglaj dystans do równych 60 stopni! Nadal zbyt wiele. Jedna szóstka obwodu Ziemi pomiędzy Wyspami Kanaryjskimi i Cipango, trzy tysiące mil podróży morskiej bez zawijania do portu. Choćby nie wiadomo jak manipulował pismami starożytnych, nie mógł znaleźć w nich poparcia dla tezy, o której prawdziwości był przekonany: że kwestią dni, a najwyżej tygodni jest dopłynięcie z Europy do wielkich królestw Wschodu. Musi szukać nadal. Może w księgach innych autorów. A może jakiś fakt przeoczył. Co przekona uczonych mężów w Lizbonie do tego stopnia, by poradzili królowi Joao wysłać Kolumba z ekspedycją?

Felipa była wyraźnie zbита z tropu i sfrustrowana. Kolumb niejasno zdawał sobie sprawę, że żona pragnie jego towarzystwa i uwagi, ale nie mógł koncentrować się na głupstwach, które ją interesowały, kiedy Bóg wyznaczył mu tak herkulesowe zadanie do wykonania. Nie ożenił się z nią, by bawić się w żonkosia, i mówił to otwarcie. Miał wielką misję. Nie mógł jednak wyjaśnić, na czym ta misja polega lub kto go nią obarczył; zabroniono mu to czynić. Felipa czuła się coraz bardziej skrzywdzona, on zaś traktował żonę z coraz większym zniecierpliwieniem.

Felipę ostrzegano, że mężczyźni wiele żądają i są niewierni, i była na to przygotowana. Ale co działo się z jej mężem? Była jedyną kobietą w tutejszym towarzystwie, a Diego powinien mieć braciszka albo siostrzyczkę, lecz Kolumb nie okazywał jej pożądanego. “Obchodzą go tylko mapy, wykresy i stare księgi – skarżyła się matce. – A także spotkania z pilotami, nawigatorami i ludźmi, którzy pewnego dnia mogą uzyskać dostęp do króla”. Z początku dona Moniz poradziła jej zachować cierpliwość, twierdząc, że nie zaspokojone męskie żądze w końcu pokonają rzekomą obojętność Kolumba. Kiedy nic się nie zmieniło, wyraziła w końcu zgodę na przeprowadzkę małżonków z izolowanego Porto Santo do rodzinnej posiadłości w Funchal, największym mieście głównej wyspy archipelagu, Madery. Teoria głosiła, że kiedy Kolumb zaspokoi swój głód morza, wróci stęskniony do Felipy.

A on z jeszcze większym zapalem poświęcił uwagę morzu, aż stał się jednym z najbardziej znanych ludzi portu w Funchal. Gdy tylko jakiś statek cumował przy nabrzeżu, Kolumb natychmiast znajdował drogę na jego pokład. Zaprzyjaźnił się z kapitanami i nawigatorami, wypytywał o ilość zabranych na pokład zapasów i okres, na jaki miały wystarczyć, wypytywał, w gruncie rzeczy, o wszystko.

– Jeśli jest szpiegiem – powiedział pewien kapitan donie Moniz, wdowie po jego starym przyjacielu Perestrellu – to zaiste bardzo kiepskim, zbiera bowiem informacje gorliwie, lecz nie kryje się z tym wcale. Nie, sądzę raczej, że on po prostu kocha morze i żałuje, że nie urodził się Portugalczykiem, bo wówczas mógłby brać udział w wielkich ekspedycjach.

– Ale nie urodził się Portugalczykiem – odparła dona Moniz. – Dlaczego nie może się z tym pogodzić? Żyje mu się dobrze z moją córką, a raczej żyłoby mu się dobrze, gdyby miał dla niej choć trochę serca.

Stary kapitan zaśmiał się tylko.

– Kiedy mężczyzna poczuje zew morza, cóż znaczy dla niego kobieta albo dziecko? Wiatr jest jego kobietą, ptaki jego dziećmi. Dlaczego trzymasz go, pani, na tych wyspach? Jest cały czas otoczony przez morze, ale nie może swobodnie żeglować. Jest Genuńczykiem, toteż nie będzie mógł popłynąć na nowe afrykańskie wody. Ale dlaczego nie pozwolisz mu – czy raczej nie pomożesz – dołączyć do konwojów handlowych płynących w inne strony?

– Widzę, że w gruncie rzeczy lubisz tego siwowłosego mężczyznę, który sprawia, że moja córka czuje się jak wdowa.

– Jak wdowa? Być może, masz częściowo rację. Są bowiem trzy rodzaje mężczyzn na świecie – żywi, martwi i żeglarze. Powinnaś to pamiętać. Twój

mąż był jednym z nas.

– Ale porzucił morze i został w domu.

– I umarł – rzekł kapitan z brutalną szczerością. – Twoja Felipa ma syna, czyż nie? Pozwól więc teraz zięciowi wyruszyć po fortunę, którą niegdyś przekaże twemu wnukowi. To oczywiste, że go zabijasz, każąc siedzieć tutaj. Tak więc po dwóch latach pobytu na wyspach archipelagu Madery dona Moniz zasugerowała w końcu, że nadszedł czas powrotu do Lizbony. Kolumb spakował księgi oraz mapy nieżyjącego teścia i radośnie przygotowywał się do podróży. Felipa nie podzielała radości męża. Podróż do Porto Santo przykro wspominała, choć wówczas podtrzymywała ją na duchu nadzieja, jaką niosło świeżo zawarte małżeństwo. Teraz nie będzie brzemienna – lecz ciążyć jej będzie świadomość, że straciła szansę na szczęście z Kolumbem. Najtrudniejsze do zniesienia było to, że im dalej Kolumb się od niej odsuwał, tym bardziej go kochała. Słyszała, jak rozmawia z innymi mężczyznami, i jego głos, jego pasja, jego zachowanie były hipnotyzujące; patrzyła, jak nachyla się nad księgami, które ledwie rozumiała, i zachwycała się błyskotliwością jego umysłu. Robił notatki na marginesach ksiąg – śmiał dodawać własne słowa do słów starożytnych! Przebywał w świecie, który był dla niej zamknięty. Zabierz mnie do tych dziwnych miejsc, prosiła w duchu. Odpowiadał jej milczeniem. Nie miał serca dla niej ani dla małego Diega. Felipa wiedziała więc, że podróż do Lizbony nie przybliży jej do męża ani też nie oddali. Nigdy naprawdę go nie zdobędzie, nigdy. Im bardziej go pragnęła, tym mocniej ją odpychał; a jednak gdyby nie wyciągała do niego ramion, ignorowałby ją zupełnie; nie dostrzegła żadnej ścieżki, która mogłaby zaprowadzić ją ku szczęściu.

Kolumb widział to wszystko. Nie był tak ślepy na jej potrzeby, jak przypuszczała. Po prostu nie miał czasu na uczynienie jej szczęśliwą. Jeśli byłaby gotowa dzielić z nim łożę i zabawiać rozmową, gdy zmęczył się swymi studiami, wtedy może staliby się sobie bliżsi. Ona jednak żądała o wiele więcej: by był zainteresowany – nie, zachwycony – wszystkim, co zrobił niepojęty Diego! By przejmował się plotkami kobiet, podziwiał jej hafty, interesował się materiałami, jakie wybrała na nową suknię, interweniował, kiedy któryś ze sług lenił się w pracy lub impertynencko zachowywał. Wiedział, że gdyby zainteresował się tymi sprawami, byłaby szczęśliwa – lecz jednocześnie zarzuciłaby go setką innych błahostek, a na to zwyczajnie nie miał czasu. Odwracał się więc, nie chcąc jej zranić i raniąc ją jednocześnie, ponieważ musiał znaleźć sposób wywiązania się z misji, którą

złożył na niego Bóg.

W trakcie podróży powrotnej do Portugalii Felipa nie chorowała, ale mimo to została w łóżku, wpatrując się pustym wzrokiem w sufit maleńkiej kajuty. Z tej tęsknoty serca miała się już nigdy nie wyleczyć. Nawet w Lizbonie, gdzie dona Moniz miała nadzieję, że rozwesela ją dawne przyjaciółki, Felipa rzadko zgadzała się wyjść z domu. Zajmowała się małym Diego, a resztę czasu spędzała snując się po pokojach. Kiedy Kolumb wyruszał w podróż lub zajmował się interesami w mieście, chodziła po ulicach, jakby go szukała; kiedy był w domu, przez całe dni zbierała się na odwagę, by zająć go rozmową. Bez względu na to, czy grzecznie słuchał, czy też uprzejmie prosił, żeby zostawiła go w spokoju i pozwoliła pracować, koniec był zawsze taki sam. Felipa rzucała się na łóżko i łkała z rozpacz. Nie wiedziała, jak ma do niego dotrzeć, kochała go coraz bardziej desperacko i coraz bardziej upewniała się, że sama jest winna tej sytuacji. Bez wątpienia w czymś mężowi uchybiła i dlatego nie potrafi jej pokochać.

Najbardziej cierpiała, kiedy Kolumb szedł z nią na jakiś występ muzyczny albo mszę, albo na przyjęcie na królewskim dworze, wiedziała bowiem, iż akceptują go pomiędzy arystokratami Lizbony tylko dlatego, że ożenił się z nią, córką Perestrella. Potrzebował jej przy tych okazjach i oboje musieli zachowywać się jak mąż i żona, a ona przez cały czas ledwie powstrzymywała się od wybuchnięcia płaczem i wykrzyczenia przed wszystkimi, że mąż jej nie kocha, że śpi z nią od czasu do czasu – raz na tydzień, dwa razy w miesiącu, ale nie okazuje prawdziwego uczucia. Gdyby kiedykolwiek pozwoliła sobie na taki wybuch, zdziwiłaby się, jak wiele kobiet byłoby zaskoczonych – nie tym, że pozostaje w takim związku, lecz że widzi w nim coś nieprawidłowego. Ich małżeństwa wyglądały podobnie. Mężczyźni i kobiety żyli w odmiennych światach; spotykali się tylko w łóżku, by spłodzić potomków, oraz w trakcie publicznych uroczystości lub przyjęć, by nawzajem umacniać swoją pozycję towarzyską. Dlaczego tak się denerwowała? Dlaczego nie godziła się z tym jak one, nie wiodła przyjemnego, spokojnego życia pomiędzy kobietami, raz na jakiś czas spełniając zachciankę któregoś z dzieci i polegając we wszystkim na pomocy sług?

Odpowiedź była prosta: dlatego że żaden z ich mężów nie był taki jak Cristovao. Żaden nie płonął takim wewnętrznym ogniem. Żaden nie miał w swoim sercu namiętności tak silnej, tak przyciągającej kobietę, głębokiej niczym studnia, lecz nawet gdyby wpadła do tej studni, nie ugasiłaby

pragnienia jego miłości.

Kolumb widział, jak lata małżeństwa postarzają Felipę, jak jej usta opadają w nie ustępującym grymasie smutku, jak spędza coraz więcej czasu w łóżku, cierpiąca na niezliczone choroby. Rozumiał, że on jest przyczyną tego wszystkiego, że sprawia jej ból, lecz nic nie mógł na to poradzić, jeśli naprawdę chciał wypełnić zadanie swego życia.

Nieomal zaraz po powrocie do Lizbony znalazł książkę, której szukał. Była to praca na temat geografii autorstwa Araba imieniem Alfraganus, przetłumaczona na łacinę, i Kolumb znalazł w niej sposób na zmniejszenie owych 60 stopni, jakie ostatnio uzyskał, do dystansu możliwego do pokonania. Jeśli założyć, że Alfraganus prowadził obliczenia w rzymskich milach, to odległość 60 stopni pomiędzy Wyspami Kanaryjskimi i Cipango równała się zaledwie dwóm tysiącom mil morskich na szerokościach, na jakich by płynął. Przy w miarę sprzyjających wiatrach, które Bóg z pewnością by mu zagwarantował, można było pokonać ten dystans w osiem dni; dwa tygodnie maksimum.

Zdobył dowody wyrażone w kategoriach zrozumiałych dla doradców z dworu. Nie mógł stanąć przed nimi uzbrojony wyłącznie w wiarę w prawdziwość wizji, o której nie miał im prawa nic powiedzieć. Teraz miał jednak po swej stronie starożytnych – nieważne że jeden z nich był muzułmaninem. Kolumb mógł przedstawić przekonujące argumenty.

W końcu jego małżeństwo z Felipą się opłacało. Wykorzystał wszelkie znajomości, jakie dotąd nawiązał, i zdobył szansę wygłoszenia swych idei na dworze. Stał śmiało przed królem Joao, wiedząc, że Bóg dotknie serca monarchy i każe mu wysłać Kolumba z ekspedycją. Rozpostarł swoje mapy, ze wszystkimi obliczeniami, pokazując Cipango w zasięgu ręki i Kataj tylko odrobinę dalej. Doradcy słuchali; król słuchał. Zadawali pytania. Wspominali o starożytnych źródłach przeczących poglądom Kolumba na wielkość ziemi i stosunek morza do lądu, Kolumb zaś odpowiadał cierpliwie i pewnie. “Taka jest prawda” – mówił raz po raz. Aż jeden z uczonych mężów zapytał:

– Skąd wiesz, że Marinos ma rację, a Ptolemeusz się myli?

– Ponieważ jeśli Ptolemeusz ma rację, to ta podróż jest niemożliwa. Ale ona jest możliwa i zakończy się sukcesem. Stąd wiem, że Ptolemeusz się myli.

Już wypowiadając te słowa wiedział, że nie takiej odpowiedzi oczekują. Wiedział, dostrzegając ich uprzejme skinięcia, ich niezbyt skrywane spojrzenie rzucone w stronę króla, że będą radzić przeciwko niemu. Cóż, pomyślał, zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz sprawa jest w rękach Boga.

Podziękował królowi za jego dobroć, raz jeszcze podkreślając swe przekonanie, że wyprawa na zachód okryje Portugalię chwałą, uczyni ją największym królestwem Europy i zdobędzie niezliczone dusze dla chrześcijaństwa, po czym wyszedł.

Przyjął za dobry omen, że kiedy oczekiwał na odpowiedź króla, pozwolono mu wziąć udział w wyprawie wzdłuż wybrzeża Afryki. Nie była to wyprawa badawcza, toteż nie zdradzano mu żadnych wielkich sekretów portugalskiej korony. Mimo to uznał za oznakę zaufania i przychylności, że pozwolono mu dopłynąć aż do fortecy Sao Jorge w La Mina. Król przygotowuje mnie do poprowadzenia ekspedycji, myślał, zapoznaje mnie z wielkimi osiągnięciami portugalskiej nawigacji.

Po powrocie Kolumb niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi króla, lada dzień spodziewając się informacji, że otrzymał statki, załogę i potrzebne zapasy.

Król powiedział: nie.

Kolumb był załamany. Przez całe tygodnie prawie nie jadł i nie spał. Nie wiedział, co myśleć. Czyż nie był to Boski plan? Czyż Bóg nie mówi królom i księżętom, co robić? Jakże zatem król Joao mógł mu odmówić?

Musiałem coś zrobić źle. Nie powinienem był spędzać tyle czasu na dowodzeniu, że podróż jest możliwa; powinienem był poświęcić więcej czasu pomagając królowi zrozumieć, dlaczego jest ona pożądana, konieczna. Dlaczego Bóg chciał, żeby się odbyła. Zachowałem się głupio. Nie przygotowałem się właściwie. Byłem niegodny zaufania. Wszystkie wyjaśnienia, jakie przychodziły mu do głowy, strącały go na dno rozpacz.

Felipa widziała cierpienia męża i zrozumiała, że go zawiodła. Potrzebował kontaktów na dworze, a wpływy jej rodzinnego nazwiska okazały się niewystarczające. Po co zatem się z nią żenił? Była teraz dla niego ciężarem nie do zniesienia. Nie miała mu nic do oferowania. Kiedy przyprowadziła do niego pięcioletniego Diega, próbując rozweselić swego Cristovao, odesłał chłopca w tak szorstki sposób, że dziecko płakało przez godzinę, nie chcąc więcej iść do ojca. Była to kropla, która przelała czarę. Felipa poczuła, że Kolumb nienawidzi jej teraz i że ona zasługuje na tę nienawiść.

Położyła się do łóżka, odwróciła głowę do ściany i wkrótce zmogła ją ciężka choroba.

W ostatnich dniach Felipy Kolumb stał się wobec niej czuły i opiekuńczy, wiedziała jednak w głębi serca, że nie robi tego z miłości do niej. Spełniał tylko swój obowiązek, a kiedy mówił, jak bardzo żałuje, że zaniedbywał ją tak długo, rozumiała, że mówi tak tylko po to, by mieć czyste sumienie, gdy

po jej śmierci odzyska wolność.

– Zdobędziesz sławę, Cristovao, w ten czy inny sposób – powiedziała mu któregoś dnia.

– A ty u mojego boku będziesz się nią cieszyć, Felipo – odparł.

Chciała w to wierzyć, czy raczej chciała wierzyć, że on naprawdę tego pragnie, ale wiedziała, że jest inaczej.

– Proszę tylko, byś obiecał jedno: Diego odziedziczy wszystko po tobie.

– Wszystko – potwierdził Kolumb.

– Nie będziesz miał innych synów, innych spadkobierców – rzekła Felipa.

– Obiecuję.

Wkrótce potem umarła. Kolumb prowadził Diega za rękę w kondukcje żałobnym, i gdy składano trumnę matki do rodzinnego grobowca, nagle podniósł chłopca w ramionach i powiedział:

– Jesteś wszystkim, co mi po niej zostało. Traktowałem twoją matkę niesprawiedliwie, Diego, i ciebie również. Nie mogę obiecać, że teraz się to zmieni. Ale obiecałem jej coś, a teraz obiecuję to tobie. Wszystko, co kiedykolwiek będę miał, wszystko, co zdobędę, każdy tytuł, każdy skrawek ziemi, każdy zaszczyt – wszystko będzie należało do ciebie.

Diego usłyszał to i zapamiętał. Ojciec kochał go mimo wszystko. Któregoś dnia, gdy jego ojciec stanie się wielki, Diego będzie wielki po nim. Zastanawiał się, czy oznacza to, że będzie miał swoją własną wyspę, tak jak dziadek. Zastanawiał się, czy oznacza to, że któregoś dnia pożegluje statkiem. Zastanawiał się, czy oznacza to, że któregoś dnia stanie przed królami. Zastanawiał się, czy oznacza to, że ojciec zostawi go teraz, i on, Diego, nigdy więcej go nie zobaczy.

Następnej wiosny Kolumb opuścił Portugalię i przekroczył granicę hiszpańską. Zabrał Diega do franciszkańskiego klasztoru w La Rabida, niedaleko Palos.

– Wykształcili mnie franciszkanie w Genui – powiedział synowi. – Ucz się pilnie, stań się człowiekiem świątym, chrześcijaninem i szlachcicem. A ja w tym czasie zajmę się służeniem Bogu i zdobywaniem naszej fortuny.

Kolumb zostawił go tam, ale odwiedzał od czasu do czasu; w listach do przełożonego, ojca Juana Pereza, zawsze wspominał o Diegu i prosił o przychylność dla niego. Wielu synów dostawało od swoich ojców jeszcze mniej, Diego wiedział o tym. Choćby drobny dowód uwagi jego drogiego ojca był o wiele cenniejszy niż miłość i troska wielu pomniejszych ludzi. Tak przynajmniej mówił sobie Diego, próbując powstrzymać gorzkie łzy w ciągu

pierwszych miesięcy samotności.

Kolumb zaś udał się ku dworowi hiszpańskiemu, gdzie zamierzał przedstawić o wiele staranniej przygotowaną wersję tych samych niemożliwych do udowodnienia obliczeń, jakie zawiodły go w Portugalii. Tym razem, myślał, będę uparty. Wszystkie cierpienia Felipy, wszystkie cierpienia Diega, pozbawionego rodziny i pozostawionego między obcymi w obcym miejscu, będą usprawiedliwione. Odniosę sukces, a tryumf wart będzie tej ceny.

Był tego pewny. Bo choć nie miał dowodu, wiedział, że ma rację.

– Nie mam dowodu – powiedział Hunahpu – ale wiem, że mam rację.

Kobieta na drugim końcu linii, sądząc po głosie, była młoda. Zbyt młoda, by mieć wpływy, to pewne, a jednak była jedyną, która odpowiedziała na jego wiadomość, toteż musiał rozmawiać z nią, jakby się liczyła, bo jakie miał inne wyjście?

– Skąd wiesz, że masz rację, jeśli nie masz argumentów? – zapytała łagodnie.

– Nie powiedziałem, że nie mam argumentów. Tyle że nigdy nie będzie można udowodnić, co mogło się zdarzyć.

– To jest dla mnie wystarczająco jasne – powiedziała.

– Proszę tylko o możliwość przedstawienia moich argumentów Kemalowi.

– Nie mogę tego zagwarantować, ale przyjedź do Juby i przedstaw swoje argumenty mnie.

Przyjechać do Juby! Tak jakby miał nieograniczony fundusz na podróż, on, któremu w każdej chwili groziło wylanie z pracy.

– Obawiam się, że nie stać mnie na taką podróż – rzekł.

– Oczywiście pokryjemy wszelkie koszty – zapewniła – i możesz zostać u nas jako gość.

To go zaskoczyło. Jak ktoś w jej wieku mógł tyle obiecywać?

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Diko.

Teraz sobie przypomniął; dlaczego od razu na to nie wpadł? Chociaż programem, do którego chciał się przyłączyć, kierował Kemal, to nie on odnalazł Interwentów.

– Czy jesteś tą Diko, która...

– Tak.

– Czytałaś moje artykuły? Te, które umieszczałem w sieci i...

- I na które nikt nie zwracał uwagi? Tak.
 - I wierzysz mi?
 - Chcę ci zadać wiele pytań.
 - A jeśli odpowiedzi cię zadowolą?
 - Będę niezwykle zaskoczona – odparła. – Wszyscy wiedzą, że imperium Azteków znajdowało się na krawędzi upadku, gdy Korteż przybył tam w latach dwudziestych szesnastego wieku. Wszyscy wiedzą również, że technologia ówczesnej Ameryki pod żadnym względem nie mogła równać się z technologią europejską. Twoje spekulacje na temat środkowoamerykańskiego podboju Europy są nieodpowiedzialne i pozbawione sensu.
 - A jednak zadzwoniłaś do mnie.
 - Uważam, że trzeba sprawdzić każdą ewentualność. Byłeś przez wszystkich lekceważony, więc...
 - Postanowiłaś mnie sprawdzić.
 - Czy przyjedziesz?
 - Tak – odpowiedział. Nikła nadzieja była lepsza niż nic.
 - Przyślij mi wcześniej kopie wszystkich istotnych materiałów, żebym mogła przejrzeć je na komputerze.
 - Większość z nich znajduje się w już w sieci Instytutu Czasu.
 - A zatem przyślij mi bibliografię swoich artykułów. Kiedy przyjedziesz? Poproszę o urlop dla ciebie.
 - Możesz to zrobić?
 - Mogę spróbować.
 - Jutro.
 - Nie przeczytani wszystkiego do jutra. W następnym tygodniu. We wtorek. Ale jak najszybciej przyślij mi wszystkie materiały do przejrzania.
 - A ty złożysz prośbę o urlop dla mnie... kiedy prześlę materiały?
 - Nie, zrobię to w ciągu najbliższych piętnastu minut. Miło się z tobą rozmawiało. Mam nadzieję, że nie jesteś wariatem.
 - Nie jestem – odparł. – Mnie też się miło rozmawiało.
- Przerwała połączenie.
- Godzinę później zjawiała się jego przełożona.
- Czym się zajmowałeś? – zapytała ostro.
 - Tym co zawsze – odparł Hunahpu.
 - Pisałam właśnie zalecenie, żeby przeniesiono cię do innej roboty – powiedziała. – I nagle przychodzi prośba od grupy zajmującej się programem

“Kolumb” o twoją obecność w przyszłym tygodniu. Prośba o urlop dla ciebie.

– Byłoby taniej, gdybyś mnie zwolniła – rzekł Hunahpu – ale trudniej mi będzie pomóc im w Jubie, jeśli stracę dostęp do systemu komputerowego Instytutu Czasu.

Spojrzała na niego z ledwie skrywanym zakłopotaniem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że mimo wszystko nie jesteś szalonym, upartym, marnującym czas, nieodpowiedzialnym głupcem?

– Nie daję żadnych gwarancji – odparł Hunahpu. – To wszystko może okazać się prawdą.

– Bez wątplenia... ale udzielam ci urlopu i możesz zostać z nami, dopóki nie skończysz pracy w Jubie.

– Mam nadzieję, że będzie to warte kosztów.

– Z pewnością. Twoja pensja za czas urlopu pokrywana jest z ich budżetu. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, w gruncie rzeczy całkiem cię lubię. Uważam tylko, że nie rozumiałeś filozofii przyświecającej badaniom czasu.

– To prawda – przytaknął Hunahpu. – Ja chcę ją zmienić.

– Życzę szczęścia. Jeśli mimo wszystko okaże się, że jesteś geniuszem, pamiętaj, że nigdy, nawet przez chwilę nie wierzyłam w ciebie.

– Bez obaw – rzekł z uśmiechem. – Nigdy o tym nie zapomnę.

7 – CO MOGŁOBY SIĘ WYDARZYĆ

Diko wyszła po Hunahpu na stację. Łatwo było go rozpoznać, ponieważ był niski, miał jasnobrązową skórę i rysy Majów. Wydawał się zupełnie rozluźniony i spokojny, stał na peronie i spoglądał na tłum to w jedną stronę, to w drugą. Diko była zaskoczona jego młodzieńczym wyglądem, chociaż wiedziała, że gładkoskórzy Indianie często sprawiają wrażenie młodszych w oczach ludzi przyzwyczajonych do oglądania innych ras. Jak na kogoś o tak młodzieńczej prezencji, zaskakujące było, że nie zdradza najmniejszych oznak napięcia. Zachowywał się niczym ktoś, kto zna miasto jak własną kieszeń i teraz chce stwierdzić, na ile się zmieniło przez lata jego

nieobecności. Kto mógłby zgadnąć, że kariera zawodowa Hunahpu zawisła na włosku, że nigdy w życiu nie pojechał dalej niż do Mexico City, że wkrótce dokona prezentacji, która może zmienić bieg historii? Diko zazdrościła Indianinowi wewnętrznego spokoju, który pozwalał mu radzić sobie z życiem w sposób tak... pozbawiony niepewności.

Podeszła bliżej. Hunahpu spojrzął na nią, nie zdradzając żadnych uczuć, chociaż ją rozpoznał, bo obejrzał wcześniej jej zdjęcie w archiwum Instytutu Czasu.

– Jestem Diko. – Wyciągnęła obie ręce. Uścisnął je.

– Jestem Hunahpu. To miłe, że wysłaś mnie przywitać.

– Nie mamy tu drogowskazów – powiedziała Diko – a ja prowadzę lepiej niż większość taksówkarzy. Cóż, lepiej może nie, ale biorę mniej. – Nie uśmiechnął się. Zimny jak ryba, pomyślała. – Czy masz jakieś bagaże?

Potrząsnął głową.

– Tylko to. – Skąpym gestem wskazał niewielką torbę. Czy mogłaby się w niej zmieścić choćby podstawowa zmiana garderoby? Ale z drugiej strony Hunahpu jechał z jednej strefy tropikalnej do innej, nie potrzebował przyborów do golenia – brak zarostu był jedną z cech, które nadawały Indianom ich młodzieńczy wygląd – co zaś do papierów, to wszystkie zostały przesłane za pomocą komputera. Jednak ludzie zwykle zabierają w podróż o wiele więcej rzeczy, pomyślała Diko. Może dlatego że nie czują się bezpiecznie i chcą otaczać się znajomymi przedmiotami lub przebierać się każdego dnia, by nie odczuwać strachu lub bezsilności. Najwyraźniej nie był to problem Hunahpu. On wydawał się nigdy nie odczuwać strachu lub też nigdy nie uważał siebie za obcego. Jakże wspaniale byłoby, pomyślała Diko, czuć się w każdym miejscu jak w domu. Chciałabym mieć ten dar. Ku swemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że podziwiała Hunahpu, choć jednocześnie jest rozczarowana jego chłodem.

Do hotelu dojechali w milczeniu. Hunahpu nie powiedział ani słowa na temat swego pokoju.

– Pewnie będziesz chciał się przespać po locie – rzekła Diko. – Najlepszy sposób to zdrzemnąć się na jakieś trzy godziny, a potem wstać i od razu coś zjeść.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Hunahpu. – Spałem w samolocie. I w pociągu.

Spał? W drodze na najważniejsze spotkanie w swoim życiu?

– Cóż, w takim razie chcesz coś zjeść?

– Jadłem w pociągu.

– Rozumiem. Ile więc potrzebujesz czasu, zanim będziemy mogli zacząć?

– Możemy zacząć teraz. – Hunahpu zdjął torbę z ramienia i położył ją na łóżku. Jego ruchy były płynne i oszczędne. Nie cisnął torby ani też nie kładł jej z przesadną starannością. Poruszał się tak naturalnie, iż wydawało się, że torba sama zsunęła mu się z ramienia.

Diko zadrżała. Nie wiedziała dlaczego. Potem zdała sobie sprawę, że to z powodu Hunahpu, sposobu, w jaki stał przed nią nie mając nic w dłoniach, nic na ramieniu, nic, co mógłby trzymać, ścisnąć lub obracać. Odłożył jedyną rzecz, z jaką przybył, a jednak wydawał się równie spokojny jak przedtem. Diko poczuła się jak wtedy, gdy ktoś stoi zbyt blisko krawędzi dachu albo przepaści, doznała czegoś w rodzaju empatycznego przerażenia. Ona nigdy nie mogłaby tego zrobić. W obcym miejscu, sama, musiałaby uchwycić się czegoś znajomego. Notatnik. Torba. Nawet bransoletka albo obrączka lub zegarek, którym mogłaby się bawić. A ten człowiek wydawał się idealnie spokojny nie mając nic. Bez wątpienia mógłby odrzucić ubranie i przejść przez życie nago, nie okazując niepewności. To perfekcyjne samoopanowanie było denerwujące.

– Jak ty to robisz? – zapytała, nie mogąc się powstrzymać.

– Robię co?

– Jesteś taki... spokojny.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem, co innego miałbym robić.

– Ja byłabym przerażona. Przyjechać w ten sposób do obcego miasta, złożyć pracę mego życia w ręce obcych...

– Tak – odparł. – Masz rację.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, co ma na myśli.

– Jesteś przerażony?

Hunahpu skinął głową. A jednak jego twarz pozostała spokojna, ciało rozluźnione. W gruncie rzeczy, nawet gdy przyznawał się do przerażenia, jego twarz wysyłała dokładnie odwrotny przekaz – że jest spokojny, może odrobinę znudzony, ale jeszcze nie zniecierpliwiony. Obojętny obserwator wydarzeń, które wkrótce miały nastąpić.

I nagle uwagi jego przełożonej nabrały sensu. Powiedziała coś na temat tego, że Hunahpu wydaje się nigdy na niczym nie zależeć, nawet jeśli na czymś zależy mu najbardziej. Nie da się z nim pracować, ale życzę szczęścia, dodała. A przecież Hunahpu nie był autystyczny. Patrzył na to, co się wokół

niego działa, i wyraźnie rejestrował wszystko, co widział. Był uprzejmy i uważny, kiedy się do niego zwracała.

Cóż, nieważne. Był dziwny, to nie budziło wątpliwości. Przybył, by przedstawić swoje argumenty, i równie dobrze mógł to zrobić teraz jak kiedykolwiek.

– Czego potrzebujesz, żeby opowiedzieć swoją historię? – zapytała Diko. – Maszyny TruSite?

– I końcówki sieci.

– A zatem chodźmy do mojego stanowiska.

– Zdołałem przekonać don Enrique’a de Guzmána – rzekł Kolumb. – Dlaczego jedynie królowie są odporni na moje argumenty?

Ojciec Antonio uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową.

– Cristobal – rzekł – wszyscy wykształceni ludzie są odporni na twoje argumenty. To ludzie marni, pozbawieni znaczenia. Przeciwno tobie stoją matematycy i wszyscy starożytni, którzy się liczą. Królowie są odporni na twoje argumenty, ponieważ ich doradcami są uczeni, który rozbijają twoje argumenty w proch.

Kolumb był wstrząśnięty.

– Dlaczego więc mnie wspierasz, ojciec Antonio? Dlaczego jestem tu mile widziany? Dlaczego pomogłeś mi przekonać don Enrique’a?

– Nie przekonały mnie twoje argumenty – odparł ojciec Antonio. – Przekonało mnie światło Boga w twoich oczach. Twoja dusza jest rozplamiona. Wierzę, że tylko Bóg jest w stanie rozpaść taki ogień w człowieku, a zatem nawet jeśli uważani twoje argumenty za nonsensowne, mimo to wierzę, że Bóg chce, byś popłynął na zachód, tak więc pomogę ci, jak tylko mogę, ponieważ kocham Boga i w sobie również odnajduję maleńką iskrę tego ognia.

Kolumb poczuł łzy pod powiekami. W ciągu wszystkich lat studiów, sporów w Portugalii i jeszcze niedawno w domu don Enrique’a, nikt nigdy nie okazał, że Bóg go natchnął wiarą i dlatego poprze ideę wyprawy. Zaczął już myśleć, że Pan zrezygnował z niego, że nie będzie mu pomagał. Teraz jednak usłyszał słowa ojca Antonio – człowieka wielce uczonego i poważanego przez erudyty w całej Europie – potwierdzające, że Bóg do serc dobrych ludzi wlewa ufność w misję Kolumba.

– Ojciec Antonio, gdybym nie wiedział tego, co wiem, sam nie wierzyłbym w

swoje argumenty.

– Dość tego – rzekł ojciec Perez. – Nigdy więcej tego nie mów.

Kolumb spojrział na niego zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Tutaj, w La Rabida, w obrębie grubych klasztornych murów, możesz powiedzieć coś takiego, my zrozumiemy. Ale od tej pory nie możesz robić najmniejszych aluzji wobec kogokolwiek, że wątplenie w twoje argumenty jest w ogóle możliwe.

– Wątplenie w nie jest możliwe – rzekł Kolumb.

– Tak. Kolumb jednak nie może w żaden sposób zdradzić się, że wie o tym. Nie rozumiesz? Jeśli Bóg chce, by ta podróż się odbyła, musisz rozpalać innych swoją wiarą. To przyniesie ci zwycięstwo, Kolumbie. Nie rozsądek, nie argumenty, lecz wiara, odwaga, upór, pewność siebie. Ci, których dotyka Duch Święty, uwierzą ci bez względu na wszystko. Ale ilu takich będzie? Ilu takich było?

– Wliczając ciebie i ojca Antonia – odparł Kolumb – dwóch.

– Tak więc nie argumenty przyniosą ci zwycięstwo, gdyż zaiste są kruche. Duch Święty nie przekona wszystkich na twojej drodze, ponieważ Bóg nie działa w ten sposób. Co masz na swoją korzyść, Cristobal?

– Waszą przyjaźń – odparł bez namysłu.

– I twoją głęboką, absolutną wiarę – dopowiedział ojciec Perez. – Czy mam rację, ojciec Antonio?

Zakonnik skinął głową.

– Tak, tak. Ludzie słabej wiary przejmą wiarę tych, którzy są nią silni. Twoja pewność siebie musi być absolutna, a wtedy inni będą mogli schwycić się przepelniającej cię wiary i dać się jej ponieść.

– A więc – ciągnął ojciec Perez – nigdy nie okazuj wątpliwości. Nigdy nie okazuj nawet, że wątpliwości są możliwe.

– Dobrze – zgodził się Kolumb. – Tak będę postępował.

– I zawsze sprawiaj wrażenie, że wiesz dużo więcej, niż mówisz – dodał ojciec Perez.

Kolumb nic na to nie odpowiedział, bo nie mógł przyznać ojcu Perezowi, że to prawda.

– To oznacza, byś nigdy, przenigdy, nie mówił: “Oto wszystkie moje argumenty, wyjawilem wszystko, co wiem”. Jeśli twój rozmówca zacznie zadawać pytania, odpowiadaj, jakbyś zdradzał tylko niewielką część swej wiedzy. Zachowuj się tak, jakby oni powinni z góry wiedzieć tyle samo co ty,

a ty jesteś rozczarowany widząc, że jest inaczej. Zachowuj się, jakby twoja wiedza była czymś oczywistym, a ciebie do rozpaczki doprowadza wyjaśnianie podstaw nieukom.

– To byłaby arogancja – rzekł Kolumb.

– To coś więcej niż arogancja. – Ojciec Antonio śmiał się głośno. – To uczona arogancja. Wierz mi, Cristobal, w ten sam sposób oni będą traktowali ciebie.

– To prawda. – Kolumb przypomniał sobie postawę doradców króla Joao w Lizbonie.

– I jeszcze jedno, Cristobal – powiedział ojciec Perez. – Wywierasz silny wpływ na kobiety.

Kolumb uniósł brew. Nie spodziewał się podobnej uwagi z ust przeora franciszkanów.

– Nie mówię o uwodzeniu, choć jestem pewien, że mógłbyś opanować tę sztukę do perfekcji, jeśli jeszcze tego nie uczyniłeś. Mówię o sposobie, w jaki kobiety na ciebie patrzą, jak ciebie słuchają. Jest to wielce użyteczne narzędzie, tak się bowiem składa, że żyjemy w okresie, gdy Kastylią rządzi kobieta. Królowa panująca, a nie tylko królowa małżonka. Czy sądzisz, że Bóg pozostawia takie rzeczy przypadkowi? Ona będzie cię oceniała, tak jak kobiety oceniają mężczyzn – nie po sile twoich argumentów, nie po twej błyskotliwości w dyspacie lub odwadze w walce, lecz raczej po mocy charakteru, intensywności emocji, sile ducha, współczuciu, oraz – ach, to przede wszystkim – po umiejętności prowadzenia miłej rozmowy.

– Nie rozumiem, jak mam używać tego rzekomego daru... – Kolumb myślał o swojej żonie, o tym jak źle ją traktował, a ona go kochała pomimo wszystko. – Nie sugerujecie chyba, żebym starał się o prywatną audiencję u królowej Izabeli?

– Ależ nie! – zawołał ojciec Perez przerażony. – Czy sądzisz, że sugerowałbym zdradę? Nie, spotkasz się z królową publicznie. Jako jej spowiednik mogłem posłać listy z informacjami na temat ciebie i może to zaostrzyło ciekawość królowej. Don Luis napisał do niej, oferując cztery tysiące dukatów na wsparcie twojego przedsięwzięcia. Don Enrique chciał sam sfinansować całą wyprawę. Wszystkie te fakty sprawiły, że stałeś się w jej oczach postacią intrygującą.

– Pamiętaj jednak – rzekł ojciec Antonio – zaszczycono cię udzieleniem audiencji. Będziesz mówił w obecności królowej Kastylii i jej męża, króla Aragonii.

– Powtarzam ci jednak raz jeszcze, byś traktował to jak audiencję u samej królowej – przypomniał ojciec Perez – i zwracał się do monarchini jak do kobiety, wedle sposobu kobiet, a nie mężczyzn. Będzie cię kusiło, by zachować się tak jak większość dworaków i ambasadorów, i zwracać się wyłącznie do króla. Ona tego nienawidzi, Cristobal. Nie łamię tajemnicy spowiedzi, kiedy ci o tym mówię. Traktują ją, jakby jej tam nie było, a przecież jej domena jest dwa razy większa niż domena króla. Co więcej, to ona włada krainą żeglarzy, zwróconą na zachód ku Atlantykwii. Mówiąc więc, zwracaj się do nich obojga, nie śmiesz bowiem obrazić króla. Jednak we wszystkim, co mówisz, spoglądaj pierwszej na królową. Do niej przemawiaj. Jej wszystko wyjaśniaj. Ją przekonuj. Pamiętaj, że suma, o którą prosisz, nie jest duża. Kilka statków? To nie opróżni skarbcza. Jest w mocy królowej Izabeli dać ci te parę statków, nawet jeśli jej mąż cię zlekceważy. A ponieważ jest kobietą, jest w jej mocy zaufać ci i sprawić, by twoje modlitwy zostały wysłuchane, nawet jeśli wszyscy mędrcy Hiszpanii są przeciwko tobie. Czy mnie rozumiesz?

– Muszę tylko jedną osobę przekonać – rzekł Kolumb. – Królową.

– Co do uczonych, bądź po prostu cierpliwszy od nich. Nie możesz pod żadnym pozorem, przenigdy powiedzieć do nich: “To wszystko, co mam, to całe moje dowody”. Gdybyś kiedykolwiek to przyznał, starliby te dowody na proch i nawet królowa Izabela nie mogłaby zachwiać ich pewnością. Ale jeśli zdołasz tego uniknąć, ich raport będzie brzmiał o wiele mniej jednoznacznie. Będzie pozostawiał miejsce na interpretację. Oczywiście rozgniewają się, spróbują cię zniszczyć, ale są to ludzie uczciwi i będą musieli zostawić otwartych kilka maleńkich furtek wątpliwości, kilka wyrażen napomykających, że choć ze wszech miar uważają, iż błędzisz, nie mogą jednak mieć absolutnej pewności.

– I to wystarczy?

– Kto wie? – westchnął ojciec Perez. – Być może.

Kiedy Bóg wyznaczył mi to zadanie, pomyślał Kolumb, myślałem, że będę miał otwartą drogę. Okazuje się, że mogę mieć nadzieję tylko na nikłą szansę.

– Przekonaj królową – powtórzył ojciec Perez.

– Jeśli zdołam – rzekł Kolumb.

– To dobrze, że jesteś wdowcem – powiedział ojciec Perez. – Wiem, że to okrutne, ale gdybyś był żonaty, królowa nie zainteresowałaby się tobą do tego stopnia.

– Królowa Izabela jest zamężna – zauważył Kolumb. – Co właściwie chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że kiedy mężczyzna jest żonaty, nie jest nawet w połowie tak fascynujący dla kobiety. Szczególnie dla zamężnej kobiety, ponieważ taka sądzi, że wie, jacy są mężowie!

Ojciec Antonio skinął głową.

– Mężczyźni nie cierpią na to skrzywienie. Sądząc po tym, co słyszę w konfesjonale, powiedziałbym, że mężczyzn bardziej fascynują zamężne kobiety niż panny.

– A zatem królowa i król muszą być sobą wzajemnie zafascynowani – rzucił Kolumb oschle.

– Tak sędzę – odparł ojciec Perez z uśmiechem. – Ale twoja przyjaźń będzie czysta, a dziećmi tego związku będą karawele pchane wschodnim wiatrem.

– Wiara dla kobiet, dowody dla mężczyzn – podsumował ojciec Antonio. – Czy to oznacza, że chrześcijaństwo przeznaczone jest dla kobiet?

– Powiedzmy raczej, że chrześcijaństwo jest dla tych, którzy wierzą, a zatem więcej prawdziwych chrześcijan jest pomiędzy kobietami niż pomiędzy mężczyznami – odparł ojciec Perez.

– Lecz bez zrozumienia nie może być wiary – przekonywał ojciec Antonio – a zatem wiara pozostaje domeną mężczyzn.

– W rozsądku celują mężczyźni – zauważył ojciec Perez – a we współczuciu kobiety nie mają sobie równych. Jak sądzisz, co daje podstawę wierze?

Kolumb opuścił zakonników w trakcie tej dyskusji i oddalił się, by zakończyć przygotowania do podróży do Kordowy, gdzie król i królowa stali dworem, prowadząc nie kończącą się wojnę przeciwko Maurom. Dość miał gadaniny na temat tego, czego kobiety pragną, czego potrzebują, co podziwiają i w co wierzą – czy bezzenni księża wiedzą cokolwiek o kobietach? A jednak... Kolumb był żonaty i mimo to zupełnie nie znał się na płci pięknej, ojciec Perez zaś i ojciec Antonio wysłuchali spowiedzi wielu kobiet. Może mieli rację...

Felipa wierzyła we mnie, pomyślał Kolumb. Uznawałem to za normalne, ale teraz pojąłem, że potrzebowałem jej, że polegałem na niej w tym względzie. Wierzyła we mnie, nawet gdy nie rozumiała moich argumentów. Może ojciec Perez ma słuszość, może kobiety potrafią przejrzeć na wylot to, co sztuczne, i dotrzeć do najgłębszego sedna sprawy. Może Felipa dostrzegła misję, jaką Święta Trójca złożyła w moim sercu, i to kazało jej wspierać mnie wbrew wszystkiemu. Może królowa Izabela również to dostrzeże, odwróci bieg losu

i pozwoli mi wypełnić Boską wolę.

Gdy nadszedł zmrok, Kolumb poczuł się samotny. Nagle zatęsknił za Felipa; żałował, że nie będą razem tej nocy. Nigdy nie rozumiałem, co mi dałaś, powiedział do niej w myślach, chociaż wątpił, czy żona go usłyszy. Ale dlaczego by nie? Jeśli aniołowie słyszą modlitwy, to dlaczego nie żony? A jeśli Felipa już mnie nie słucha – po co miałyby to robić? – to wiem, że usłyszy modlitwę za Diega.

Rozmyślając tak, szedł przez oświetlone pochodniami korytarze klasztoru, aż dotarł do małej celi, którą zajmował jego synek. Diego spał. Kolumb wziął go na ręce, zaniósł przez gęstniejące ciemności do swego pokoju, do większego łóża, i tam położył się obejmując syna ramieniem. Jestem tutaj razem z nim, powiedział w duchu. Czy mnie widzisz, Felipo? Czy mnie słyszysz? Teraz trochę cię rozumiem. Teraz rozumiem wielkość twego daru. Dziękuję ci. A jeśli masz jakiegokolwiek wpływy w niebie, natchnij serce królowej Izabeli. Niech zobaczy we mnie to, co ty zobaczyłaś. Niech pokocha mnie w jednej dziesiątej tak, jak ty mnie kochałaś, a będę miał swoje statki i z woli Boga zaniosę krzyż królestwom Wschodu.

Diego poruszył się niespokojnie.

– Śpij dalej, mój synu. Śpij dalej – wyszeptał do niego Kolumb.

Diego nie obudził się, tylko przysunął bliżej do boku ojca.

Hunahpu szedł z Diko ulicami Juby, jakby uważał, że nagie dzieci i chaty kryte strzechą to najzwyczajniejszy widok pod słońcem; nigdy dotąd nie spotkała gościa, który nie wygłaszałby komentarzy, nie zadawał pytań. Niektórzy udawali całkiem zblazowanych, pytając, czy trawa na strzechy jest miejscowa czy importowana, lub wygłaszając rozmaite idiotyzmy, które w istocie oznaczały niebotyczne zdumienie: “Czy wy naprawdę tak mieszkanie?” Ale Hunahpu w ogóle nie okazywał zdziwienia, chociaż Diko widziała, że jego oczy rejestrują każdy szczegół.

W budynku Instytutu Czasu, oczywiście, wszystko było znajome. Kiedy dotarli do jej stanowiska, Hunahpu natychmiast usiadł przy klawiaturze i zaczął wywoływać kolejne dokumenty. Nie poprosił o pozwolenie, ale dlaczego miałby to robić? Przyproceedziła go tutaj, dlaczego więc miałby pytać o zgodę na użycie czegoś, co i tak zamierzała mu udostępnić? Nie był wcale nieuprzejmy. W gruncie rzeczy powiedział nawet, że jest przerażony. Czy mogło być tak, że właśnie ten spokój, ta nieruchomość była sposobem, w

jaki radził sobie ze strachem? Być może, jeśli kiedykolwiek naprawdę się rozluźni, będzie wydawał się bardziej napięty! Zacznie się śmiać, żartować, okazywać emocje, angażować. Może tylko wtedy, kiedy się bał, wydawał się całkowicie spokojny.

– Jak dużo już wiesz? – zapytał. – Nie chcę marnować czasu na opowiadanie o sprawach, które są ci znajome.

– Wiem, że szczyt rozwoju imperium Azteków osiągnęło za podbojów Ahuitzotla. On w istocie wyznaczył ograniczenia środkowoamerykańskiego państwa. Ziemie, które podbił, były tak odległe, że Montezuma II musiał zdobywać je ponownie, a i tak wy dostały się spod jego władzy.

– Czy wiesz, jakie były to ograniczenia?

– Trudności komunikacyjne. Prowincje były za daleko, nie dało się zapewnić armii regularnych dostaw. Największym osiągnięciem azteckiej sztuki wojennej było nawiązanie kontaktu z Sonocusco, daleko na wybrzeżu Pacyfiku. A i to udało się tylko dzięki temu, że Aztekowie handlowali z Sonocusco, a nie brali stamtąd jeńców na ofiary. Było to bardziej przymierze niż podbój.

– Takie były ograniczenia w przestrzeni – rzekł Hunahpu. – A co z barierami społecznymi i gospodarczymi?

Poczuła się jak na egzaminie. Ale on miał rację – jeśli najpierw sprawdzi jej znajomość tematu, będzie wiedział, jak dalece może zagłębić się w naprawdę istotne kwestie, nowe odkrycia, które według niego mogły dać odpowiedź na pytanie, dlaczego Interwenci obarczyli Kolumba misją popłynięcia na zachód.

– Jeśli chodzi o gospodarkę, kult składania krwawych ofiar z ludzi był nieproduktywny. Dopóki podbijali nowe ziemie, brali dużo jeńców, a na sąsiednim terytorium pozostawało dość siły roboczej zdolnej zapewnić produkcję żywności. Kiedy jednak zaczęli wracać z wypraw z dwudziestoma czy trzydziestoma jeńcami zamiast dwóch czy trzech tysięcy, stanęli nagle przed dylematem. Jeśli przeznaczą na ofiary mieszkańców pobliskich ziem, które znajdują się w ich władaniu, produkcja żywności spadnie. Jeśli jednak zostawią tych ludzi w spokoju, będą musieli ograniczyć składanie ofiar, co oznacza mniejszą siłę w bitwie, mniejszą przychylność ze strony państwowego boga... jak on się nazywał?

– Huitzilopochtli – rzekł Hunahpu.

– Cóż, w każdym razie wybrali pierwsze rozwiązanie. Jako coś w rodzaju dowodu swej wiary. Produkcja żywności spadła i nastąpił głód. A ludziom,

którymi rządili, coraz mniej podobało się składanie ofiar. Wprawdzie wszyscy byli wyznawcami religii ofiarnej, lecz dawniej, przed Aztekami z ich kultem Uitsil... Huitzil...

– Huitzilopochtli.

– ...ceremonie ofiarne były rzadsze. Odbywały się po wojnie ceremonialnej, czy nawet po wojnie gwiazd. I po meczach w piłkę. Aztekowie z ich nieustannym składaniem ofiar byli czymś nowym. Ludziom się to nie podobało. Zabierano im najbliższych krewnych, a ponieważ ofiary były tak liczne, nie wydawało się to już zaszczytem.

– A w ramach kultury meksykańskiej?

– Państwo rozkwitało, ponieważ gwarantowało mobilność społeczną. Jeśli wyróżniłeś się w wojnie, awansowałeś w drabinie społecznej. Członkowie kasty kupieckiej mogli dzięki majątkowi stać się arystokratami. Można było piąć się w górę. Wszystko to jednak skończyło się zaraz po Ahuitzotlu, kiedy Montezuma praktycznie zakazał kupowania sobie tytułów, a kolejne niepowodzenia wojenne oznaczały zmniejszenie szansy na awans dzięki dokonaniom na polu bitwy. Miało to katastrofalne skutki, ponieważ cała struktura społeczna i gospodarcza Meksyku opierała się na ekspansji i społecznej mobilności.

Hunahpu skinął głową.

– W którym punkcie nie zgadzasz się z tym, co powiedziałam? – zapytała Diko.

– Zgadzam się ze wszystkim w pełni.

– Ale wniosek, jaki z tego wynika, jest taki, że nawet bez ingerencji Korteza azteckie imperium rozpadłoby się w ciągu kilku lat.

– Wręcz w ciągu kilku miesięcy – rzekł Hunahpu. – Najcenniejszymi sojusznikami Korteza spośród miejscowych byli ludzie z Tlaxcala. To oni zdołali już złamać potęgę azteckiej maszyny militarnej. Ahuitzotl i Montezuma rzucali przeciwko nim armię za armią, a oni zawsze skutecznie bronili swojego terytorium. Było to tym bardziej upokarzające, że Tlaxcala leżało zaraz na wschód od Tenochtitlan, otoczone przez ziemie Azteków. I tak wszystkie inne ludy, zarówno te, które wciąż opierały się Aztekom, jak i te, które gnęły pod ich butem, zaczęły spoglądać na Tlaxcala z nadzieją na wybawienie.

– Tak, czytałam twój artykuł na ten temat.

– Przypomina to sytuację imperium perskiego po Chaldejczykach – ciągnął Hunahpu. – Gdyby Aztekowie upadli, nie oznaczałoby to załamania całej

struktury imperialnej. Tlaxcalańczycy zajęliby miejsce Azteków i podobnie sprawowali władzę.

– To jedno z możliwych rozwiązań – zauważyła Diko.

– Nie – odparł Hunahpu. – To jedyne możliwe rozwiązanie. Ten proces już trwał.

– Obawiam się, że dotarliśmy do punktu, w którym potrzebne będą dowody – powiedziała Diko.

Hunahpu skinął głową.

– Patrz.

Odwrócił się do TruSite II i zaczął prezentować krótkie sceny. Widać było, że przygotował się starannie, sceny bowiem zmieniały się płynnie niczym w filmie.

– Oto Chocla – powiedział, pokazując migawki ze spotkań jakiegoś człowieka z tlaxcalańskim królem, a potem z innymi ludźmi w różnych miejscach; po chwili przedstawił tlaxcalańskiego ambasadora i pokazał jego działania.

Ogólny obraz wkrótce wyłonił się z całą jasnością. Tlaxcalańczycy doskonale zdawali sobie sprawę z bierności zarówno ludów podbitych, jak i wyższych klas społeczeństwa azteckiego. Azteckie imperium dojrzało do zamachu stanu lub rewolucji. Tlaxcalańczycy spotykali się z przywódcami poszczególnych grup, przygotowując się, zawiązując sojusze.

– Tlaxcalańczycy byli gotowi. Gdyby Korteż nie pokrzyżował im planów, pokonaliby Azteków i przejęli władzę nad całym imperium. Spiskowali tak, by wszystkie znaczące ludy podbite powstały jednocześnie, popierając Tlaxcalańczyków, ufając im ze względu na ich ogromny prestiż. W tym samym momencie zamierzali dokonać zamachu stanu zrzucając z tronu Montezumę, co załamałoby potrójny sojusz rządzący, gdy Texcoco i Tacuba odwróciłyby się od Tenochtitlan i połączyły w nowy triumwirat z Tlaxcala.

– Tak – zgodziła się Diko. – Jasne. Chyba masz rację. To właśnie planowali.

– I udałoby im się – rzekł Hunahpu. – Tak więc cała ta gadanina o bliskim upadku imperium Azteków jest bezsensowna. Zostałoby ono zastąpione przez inne imperium, silniejsze, bardziej energiczne. I, mógłbym dodać, równie oddane masowym ofiarom z ludzi jak poprzednie. Jedyne różnica polegałaby na imieniu boga – Tlaxcalańczycy popełniali swoje rzeznie w imię Camaxtli.

– To wszystko jest bardzo przekonujące – powiedziała Diko. – Ale co z tego? Te same ograniczenia, które obowiązywały Azteków, miałyby również

zastosowanie wobec Tlaxcalańczyków. Trudności komunikacyjne. Niemożność jednoczesnego utrzymania praktyki masowych ofiar i intensywnej produkcji żywności.

– Tlaxcalańczycy nie byli tacy sami jak Aztekowie – stwierdził Hunahpu.

– Co to znaczy?

– W trakcie swej desperackiej walki o przetrwanie przeciwko bezlitosnemu, potężnemu wrogowi – walki, jakiej Aztekowie nigdy nie musieli toczyć, mógłbym dodać – Tlaxcalańczycy porzucili fatalistyczny pogląd na historię, który tak blokował Azteków, Tolteków i Majów przed nimi. Pragnęli zmiany. I byli o krok od jej osiągnięcia.

Powoli kończył się dzień pracy. Kolejne osoby stawały przy stanowisku Diko, przypatrując się prezentacji Hunahpu. Młody Maja pozbył się już lęku, przemawiał z pasją, ożywiony. Diko zastanawiała się, czy stąd właśnie wziął się mit o stoicyzmie Indian – kulturowa reakcja na lęk u Indianina była odbierana przez Europejczyka jako bierność.

Hunahpu zaczął pokazywać kolejną serię scen, przedstawiających posłańców króla Tlaxcala, teraz jednak nie kierowali się oni do azteckich dysydentów czy przedstawicieli podbitych narodów.

– Jest dobrze wiadome, że Tarascańczycy na zachód i północ od Tenochtitlan wynaleźli niedawno brąz i prowadzili intensywne eksperymenty z innymi metalami i stopami. Nikt jednak nie zauważa, że chociaż Aztekowie byli kompletnie nieświadomi poczynąń ludu Tarasco, to Tlaxcala wiedzieli o nich wszystko. I nie tylko próbują kupić od nich brąz. Próbuje go przejąć. Negocjują porozumienie, w ramach którego tarascańscy kowale przybędą do Tlaxcala. Osiągną je, a to oznacza, że zdobędą niszczące i budzące przerażenie środki bojowe, nie znane żadnym innym ludom na tym terenie.

– Czy brąz tak bardzo zmieniłby sytuację? – zapytał jeden z widzów. – Przecież Aztekowie potrafili uciąć koniowi łeb jednym cięciem krzemiennej maczety, a więc mieli groźną broń.

– Strzała z brązowym grotem jest lżejsza, celniejsza i ma większy zasięg niż strzała z grotem kamiennym. Miecz z brązu może przebić zbroję odporną na krzemienne groty i ostrza. To olbrzymia różnica. A poza tym na brązie by się nie skończyło. Tarascańczycy usiłowali obrabiać wiele innych metali. Zaczynali pracować z żelazem.

– Niemożliwe – powiedziało parę osób jednocześnie.

– Wiem, co wszyscy twierdzą, ale taka jest prawda. – Hunahpu znalazł scenę, gdzie tarascański metalurg kuł żelazo.

- To się nie uda – rzekł jeden z widzów. – Nie jest wystarczająco rozgrzane.
- Czy sądzisz, że nie uda mu się znaleźć sposobu na zwiększenie temperatury ognia? – zapytał Hunahpu. – Ten urywek pochodzi z czasu, kiedy Korteż maszerował już na Tenochtitlan. Dlatego eksperymenty z żelazem zakończyły się niczym. Ponieważ nie przyniosły rezultatów przed przybyciem Hiszpanów, zostały zapomniane. Znalazłem to, gdyż jedyny wierzyłem, że warto szukać. Taraskańczycy byli o krok od okiełznania żelaza.
- Tak więc środkowoamerykańska epoka brązu trwałaby tylko dziesięć lat? – zapytał ktoś.
- Nie istnieje żadna reguła, która mówi, że brąz musi być stosowany przed żelazem, czy że żelazo musi czekać stulecia po wynalezieniu brązu – odparł Hunahpu.
- Żelazo to nie proch strzelniczy – powiedziała Diko. – Czy też chcesz pokazać nam Taraskańczyków pracujących z saletrą potasową?
- Nie zamierzam udowodnić, że w ciągu kilku lat rozwinęli technologię na miarę europejskiej. To byłoby niemożliwe. Twierdzę tylko, że sprzymierzając się z Taraskańczykami i przejmując nad nimi władzę, Tlaxcalańczycy posiadliby broń dającą im przygniatającą przewagę nad wszystkimi okolicznymi ludami. Wzbudzaliby taki strach, że ludy podbite zostawałyby podbite na dłużej, bez protestów przesyłałyby daniny, dla uzyskania których Aztekowie musieli wysyłać armię. Granice by się poszerzyły, podobnie jak stabilność całego imperium.
- Możliwe – potaknęła Diko.
- Prawdopodobne – rzekł Hunahpu. – I jeszcze jedno. Tlaxcala uzależniło już od siebie Huexotzingo i Cholula – niewielkie miasta w pobliżu, ale daje to nam pojęcie o ich idei imperium. Cóż takiego zrobili? Uzyskali wpływ na wewnętrzną politykę państw-satelitów w takim stopniu, o jakim Aztekowie mogli tylko marzyć. Nie tylko ściągali daninę i jeńców na ofiary, ale ustanawiali centralny rząd, ściśle kontrolujący rządy narodów podbitych. Prawdziwe politycznie zjednoczone imperium, w miejsce luźnego systemu państw wasalnych. Jest to innowacja, dzięki której Asyryjczycy stali się potężni i którą kopiowały wszystkie późniejsze imperia. Tlaxcalańczycy dokonali wreszcie tego odkrycia dwa tysiące lat później. Ale pomyśl, co dało to Asyryjczykom, i teraz wyobraź sobie, jakie skutki miałyby to dla Tlaxcala.
- W porządku. – Diko wstała. – Zadzwońię po matkę i ojca.
- Ale ja jeszcze nie skończyłem – zaprotestował Hunahpu.

– Oglądałam twoją prezentację, żeby zdecydować, czy warto poświęcić ci czas. Warto. Najwyraźniej w Ameryce Środkowej tamtego czasu działo się o wiele więcej, niż ktokolwiek przypuszczał, ponieważ wszyscy patrzyli tylko na Azteków, a nikt na ich następców. Twoje podejście jest perspektywiczne, ludzie na wyższych stanowiskach powinni się z nim zapoznać.

Nagle entuzjazm opuścił Hunahpu, Maja znowu był spokojny i wyciszony. To oznacza, że znowu się boi, pomyślała Diko.

– Nie martw się – powiedziała. – Będą równie podekscytowani jak ja.

Hunahpu skinął głową.

– Kiedy to zrobimy w takim razie?

– Przypuszczam, że jutro. Prześpij się. Zjedz coś. Wątpię, czy w hotelowej restauracji mają jakieś dania meksykańskie, będzie ci musiała wystarczyć typowa kuchnia międzynarodowa. Zadzwońię do ciebie rano i przekażę, jaki mamy plan na jutro.

– A co z Kemalem?

– Nie sądzę, by chciał to przepuścić.

– Ponieważ nie doszedłem jeszcze do kwestii komunikacji...

– Jutro – ucięła Diko.

Pozostali rozchodzili się już, chociaż niektórzy się ociągali, najwyraźniej pragnąc porozmawiać bezpośrednio z Hunahpu. Diko odwróciła się do nich.

– Pozwólcie człowiekowi się przespać. Zostaniecie zaproszeni na jutrzejszą prezentację, po co więc zmuszać go dzisiaj do mówienia, skoro wszystko powie jutro?

Była zaskoczona słysząc śmiech Hunahpu. Pierwszy raz przy niej się śmiał.

– O co chodzi?

– Kiedy mi przerwałaś, myślałem, że po prostu mi nie wierzysz, a obietnice spotkania z Tagiri, Hassanem i Kemalem to zdawkowa uprzejmość.

– Dlaczego tak myślałaś? Przecież powiedziałam, że uważam twoją prezentację za coś ważnego. – Była urażona. Podejrzewał ją o kłamstwo!

– Ponieważ nigdy nie spotkałem nikogo, kto zrobiłby to co ty. Zatrzymał prezentację, którą uważa za istotną.

Nie zrozumiała, więc zaczął jej tłumaczyć.

– Ludzie zazwyczaj niczego tak nie pragną, jak dowiedzieć się więcej, niż wiedzą ludzie wyżej postawieni od nich. Dowiedzieć się tego przed nimi. Miałaś szansę usłyszeć wszystko pierwsza i przerywasz mi? Czekasz? I nie tylko to, obiecujesz innym, którzy znajdują się niżej od ciebie w hierarchii, że oni również mogą być przy tym obecni?

– Takie są zasady w Instytucie Czasu – odparła Diko. – Prawdę możesz nam przedstawić jutro, a każdy, kto chce ją poznać, ma do niej równe prawa.

– Takie są zasady w Jubie – poprawił ją Hunahpu. – Albo może takie są zasady w domu Tagiri. Ale wszędzie indziej informacja to złoto, ludzie jej pożądamy i są bardzo ostrożni, jeśli mają się nią dzielić.

– Cóż, sądzę, że zaskoczyliśmy się nawzajem – powiedziała Diko.

– Czy ja cię zaskoczyłem?

– Jesteś w gruncie rzeczy całkiem rozmowny.

– Wobec przyjaciół.

Przyjęła komplement z uśmiechem. Jego uśmiech w odpowiedzi był ciepły. I niezmiernie cenny, bo tak rzadki.

Santangel wiedział od chwili, gdy Kolumb zaczął mówić, że nie będzie to zwyczajny dworak proszący o awans. Przede wszystkim nie było w jego tonie samochwalstwa, chępliwości. Twarz miał młodzieńczą, okoloną długimi siwymi włosami, co nadawało mu gnomiczny wygląd człowieka w nieokreślonym wieku. Jakże przyciąga uwagę swym zachowaniem, pomyślał Santangel. Kolumb mówił cicho, tak że cały dwór umilkł, by król i królowa mogli słuchać jego wypowiedzi. I chociaż patrzył równie często na Ferdynanda i Izabelę, Santangel natychmiast spostrzegł, że ten człowiek doskonale wie, kogo musi przekonać. Wcale nie króla Ferdynanda.

Ferdynand nie marzył o krucjatach; pracował nad podbiciem emiratu Granady, ponieważ była to hiszpańska ziemia, a jego marzeniem była wielka, zjednoczona Hiszpania. Wiedział, że nie osiągnie tego celu natychmiast. Układał swoje plany cierpliwie. Nie musiał pokonywać oporu Kastylii; wystarczyło, że był mężem Izabeli – w ich dzieciach korony zostaną zjednoczone na zawsze; tymczasem dawał małżonce swobodę poczynań w jej królestwie, pod warunkiem że wszelkie działania militarne pozostawały w jego wyłącznej gestii. Tę samą cierpliwość okazywał w wojnie z Granadą, nigdy nie ryzykując przyjmowania rozstrzygających bitew, lecz raczej oblegając, wykonując mylące manewry, prowadząc akcje dywersyjne, mieszając szyki nieprzyjacielowi, który wiedział, że Ferdynand pragnie go zniszczyć, ale nigdy nie mógł ustalić, gdzie posłać swe siły, by temu zapobiec. Chciał wypędzić Maurów z Hiszpanii, ale nie zamierzał obrócić Hiszpanii w perzynę.

Izabela zaś była bardziej katoliczką niż Hiszpanką. Przyłączyła się do wojny

przeciwko Granadzie, ponieważ chciała, by ziemia ta znalazła się pod panowaniem chrześcijaństwa. Od dawna naciskała na usunięcie z Hiszpanii wszystkich innowierców; denerwowało ją, że Ferdynand odmawia wyrzucenia Żydów, dopóki nie zostanie złamana potęgą Maurów. “Jeden kundel naraz” – mawiał, a ona się zgodziła, ale zgrzytała zębami z niecierpliwości. Obecność każdego innowiercy w Hiszpanii odczuwała jak osobistą obrazę.

Kiedy więc ten Kolumb zaczął mówić o wielkich królestwach i imperiach Wschodu, gdzie imię Chrystusa nigdy nie zostało wypowiedziane na głos, lecz jedynie żyło jako marzenie w duszach tych, którzy pragnęli prawdziwej cnoty, Santangel wiedział, że słowa te będą płonęły niczym ogień w sercu Izabeli, choć Ferdynanda tylko uspiły. Kiedy Kolumb zaczął mówić, że za owe pogańskie narody Hiszpania jest szczególnie odpowiedzialna, “jesteśmy bowiem bliżej nich niż jakikolwiek chrześcijański naród z wyjątkiem Portugalii, która jednak wybrała się w najdłuższą podróż miast w najkrótszą, wokół Afryki miast na zachód przez wąski ocean oddzielający nas od milionów dusz, które pociągną pod sztandary katolickiej Hiszpanii”, Izabela nie spuszczała już wzroku z twarzy Kolumba.

Santangel nie był zaskoczony, kiedy Ferdynand wymówił się i zostawił żonę, by kontynuowała przesłuchanie samotnie. Bez wątpienia król niezwłocznie nakaże doradcom zbadanie Kolumba, a proces ten nie będzie łatwy. Słuchając Kolumba, Santangel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że temu człowiekowi może się udać tak szalone przedsięwzięcie. Był to wariacki czas na organizowanie ekspedycji badawczej. Hiszpania prowadziła wojnę; wszystkie środki królestwa szły na walkę z Maurami w Andaluzji. Jakże królowa mogłaby sfinansować taką wyprawę? Santangel pamiętał furie, jaką wywołały w Ferdynandzie listy od don Enrique’a, księcia Sidonii, i don Luisa de la Cerdy, księcia Medyny. “Jeśli gotowi są utopić takie pieniądze w odmętach Atlantyku, to dlaczego jeszcze nie dali ich nam na wyrzucenie Maurów z własnego progu?” – pytał król.

Izabela była również monarchinią praktyczną, która nigdy nie pozwalała, by osobiste pragnienia kłóciły się z potrzebami królestwa bądź nadwierały jego zasoby. Pomimo to patrzyła na wyprawę inaczej. Widziała, że owi dwaj panowie uwierzyli w Genuńczyka, którego odrzucono już na dworze Portugalii. Otrzymała list od ojca Juana Pereza, swojego spowiednika, poświadczający, że Kolumb to człowiek uczciwy, który prosi jedynie o szansę dowiedzenia prawdziwości swoich przekonań i jest gotów ryzykować

własne życie w razie konieczności. Tak więc zaprosiła Kolumba do Kordowy, na co Ferdynand cierpliwie przystał, i teraz słuchała.

Santangel pozostał jako przedstawiciel króla, by zrelacjonować mu wszystko, co powie Kolumb. Znał już część swojego raportu: w obecnej chwili nie możemy przeznaczyć funduszy na taką wyprawę. Jako królewski skarbnik i główny poborca podatkowy musiał być absolutnie uczciwy i precyzyjny, tak by król dokładnie wiedział, na co Hiszpanię stać. Nie kto inny, tylko Santangel wyjaśnił królowi, dlaczego nie powinien gniewać się na panów Medyny i Sidonii. “Obaj co roku płacą wszelkie podatki. Ta ekspedycja byłaby wydarzeniem jednorazowym, a jej sfinansowanie stanowiłoby dla nich wielką ofiarę. Powinniśmy widzieć w tym nie próbę oszukania korony, lecz dowód ich wiary w Kolumba. Łożą na koszt wojny równie dużo co inni panowie, a wykorzystanie tych listów jako pretekstu, by wydobyć od nich więcej, uczyniłoby z obu naszych wrogów, jak również wzbudziło niepokoje wielu innych feudałów”. Król Ferdynand porzucił tę ideę, ponieważ w kwestiach finansowych ufał Santangelowi bezgranicznie.

Teraz królewski skarbnik patrzył i słuchał, jak Kolumb roztacza swoje marzenia i nadzieje przed królową. O co właściwie prosisz? – zapytał go w duchu. Musiały minąć trzy godziny posłuchania, by Kolumb dotarł wreszcie do tej kwestii.

– Zaledwie trzy lub cztery statki, mogą to być zwykłe karawele – rzekł. – Nie jest to wyprawa militarna. Płyniemy, by przetrzeć szlak. Kiedy powrócimy ze złotem, klejnotami i korzeniami, naszym śladem udadzą się tysiącami kapłani, z żołnierzami dla ochrony przed zazdrością niewiernych. Rozbiegną się po Cipango i Kataju, po Wyspach Korzennych i Indiach, a miliony będą słuchać słodkiego imienia Chrystusa i błagać o chrzest. Ochrzczeni, staną się twoimi poddanymi, Wasza Wysokość, i po wsze czasy będą patrzeć na ciebie jako na tę, która przyniosła im radosną wieść o zmartwychwstaniu, która powiedziała im, jak odpokutować grzechy. Ty zaś, pani, mając srebro i złoto, mając bogactwa Wschodu na swe rozkazy, z łatwością zakończysz niewielką wojnę przeciwko hiszpańskim Maurom. Będziesz mogła zebrać wielkie armie i oswobodzić Konstantynopol. Dzięki tobie Morze Śródziemne ponownie będzie otoczone przez kraje chrześcijańskie. Będziesz mogła stanąć w grobie, gdzie złożono ciało Zbawiciela, klęknąć i pomodlić się w ogrodzie Getsemani, wznieść raz jeszcze krzyż nad świętą Jerozolimą, nad Betlejem, nad Nazaretem, gdzie Jezus wzrastał pod opieką cieśli i Świętej Dziewicy.

Jego słowa były jak muzyka. I gdy tylko Santangel zaczął myśleć, że to nic więcej niż pochlebstwo, że ten człowiek, jak większość innych, pragnie tylko korzyści dla siebie, przypominał sobie: Kolumb zamierzał ryzykować własne życie, płynąc razem ze swoją flotą. Nie prosił o tytuły, o przywileje, o majątek, dopóki nie powróci z wyprawy okryty chwałą. To kazało wierzyć w jego szczerść, tak rzadką na dworze. Może być szaleńcem, pomyślał Santangel, ale jest uczciwy. Uczciwy i mądry. Nigdy nie podnosi głosu, zauważył. Nie poucza, nie wygłasza tyrad. W zamian mówi tak, jakby była to rozmowa między bratem i siostrą. Zawsze jest pełen szacunku, ale jednocześnie tworzy poczucie bliskości. Mówi z męską siłą, ale nigdy nie zachowuje się tak, jakby uważał ją za głupszą od siebie – wielu mężczyzn popełniło ten fatalny błąd rozmawiając z Izabelą.

Wreszcie długie posłuchanie dobiegło końca. Izabela, zawsze ostrożna, nie poczyniła żadnych obietnic, ale Santangel widział, jak błyszczą jej oczy.

– Będziemy jeszcze rozmawiali – rzekła.

Nie sądzę, pomyślał Santangel. Król Ferdynand będzie raczej chciał ograniczyć kontakty między małżonką i tym Genuńczykiem do minimum. Ona jednak go nie zapomni, a choć w tej chwili skarbu nie stać na nic poza wojną, to jeśli Kolumb będzie wystarczająco cierpliwy i nie zrobi nic nierozsądnego, sądzę, że Izabela znajdzie sposób, by dać mu szansę.

Ale po co? Żeby zginął na morzu, zagubiony z trzema karawelami i ich załogami, wycieńczony z głodu i pragnienia, złamany przez jakiś sztorm czy porwany przez prąd?

Kolumba odprawiono. Izabela, zmęczona, lecz szczęśliwa, wezwała do siebie Quintanille i kardynała Mendozę, obecnych w trakcie audiencji. Ku zdumieniu Santangela, wezwała również jego.

– Co sądzicie o tym człowieku? – zapytała. Quintanilla, zawsze pierwszy, by coś powiedzieć, i ostatni, by wnieść cokolwiek wartościowego do dyskusji, wzruszył ramionami.

– Kto wie, czy jego plan jest realny?

Kardynał Mendoza, człowiek, którego nazywano “trzecim królem”, uśmiechnął się nieznacznie.

– Colon przemawia dobrze, Wasza Wysokość. Żeglował wraz z Portugalczykami i był przyjęty przez ich króla. Jednak ustalenie, czy jego plan jest realny, będzie wymagało dokładnych badań. Osobiście uważam, że Kolumb oceniając długość drogi zachodniej pomiędzy Hiszpanią i Katajem bardzo się myli.

Potem królowa spojrzała na Santangela. To go przeraziło. Nie zdobył pozycji zausznika przemawiając w obecności innych. Nie był mówcą. Wolał działać. Król ufał mu, ponieważ kiedy Santangel mówił, że starczy na coś pieniędzy, starczało; kiedy obiecywał, że będzie stać ich na daną kampanię, fundusze się znajdowały.

– Co ja wiem o takich sprawach, Wasza Wysokość? – zapytał. – Żeglowanie na zachód... co ja o tym wiem?

– A co powiesz memu małżonkowi? – Droczyła się z nim, bo przecież nie był szpiegiem króla.

– Że plan Golona nie jest tak kosztowny jak oblężenie, ale zbyt kosztowny na naszą kieszę.

Odwróciła się do Quintanilli.

– A czy Kastylii również nie stać na jego realizację?

– W obecnej chwili, Wasza Wysokość, byłoby to trudne – odparł Quintanilla.

– Nie niemożliwe, ale w przypadku porażki Kastylija wyszłaby na głupca w oczach innych.

Nie było potrzeby dodawać, że “inni” oznaczają Ferdynanda i jego doradców. Izabeli wielce zależało na szacunku męża i ludzi, których słuchał, bo gdyby zyskała opinię niemądrej, królowi łatwo byłoby stopniowo przejąć jej władzę w Kastylii, przy niewielkim oporze ze strony kastylijskich feudałów. Tylko dzięki temu, że uważano ją za mądrą w “męski” sposób, Izabela pozostawała autorytetem dla Kastylijczyków, mogła samodzielnie rządzić w Kastylii.

– A jednak – powiedziała – Bóg uczynił nas królową, byśmy przywiedli Jego dzieci do krzyża.

Kardynał Mendoza skinął głową.

– Jeśli idee Golona nie są bezpodstawne, wprowadzenie ich w życie warte byłoby każdej ofiary, Wasza Wysokość. Pozwólmy mu więc pozostać na dworze, by można go było lepiej poznać, a jego idee przedyskutować i porównać z wiedzą starożytnych. Nie musimy się spieszyć. Kataj nie zniknie z powierzchni ziemi za miesiąc czy rok.

Izabela zastanawiała się przez chwilę.

– Ten człowiek nie ma majątku. Jeśli go zatrzymamy, musimy mu zapewnić utrzymanie. – Spojrzała na Quintanille. – Musi mieć możliwość życia jak szlachcic.

– Dałem mu już niewielką sumę, kiedy oczekiwał na to posłuchanie – rzekł Quintanilla.

- Piętnaście tysięcy maravedises z mojej kiesy – zdecydowała królowa.
- Na rok, Wasza Wysokość?
- Jeśli ta sprawa potrwa dłużej niż rok, porozmawiamy o tym ponownie. – Królowa machnęła dłonią i odwróciła wzrok. Quintanilla odszedł. Kardynał Mendoza również opuścił salę tronową. Santangel odwrócił się, by wyjść, lecz Izabela go zatrzymała. Poczekala, aż kardynał Mendoza zniknie za drzwiami.
- Jakież to niezwykle, że kardynał wysłuchał wszystkiego, co Colon miał do powiedzenia.
- To niezwykle człowiek – powiedział Santangel.
- Który? Colon czy Mendoza?
- Ponieważ Santangel sam nie był pewny, nie miał gotowej odpowiedzi.
- Wysłuchałeś go, Luisie Santangel, i jesteś człowiekiem obdarzonym zdrowym rozsądkiem. Co o nim sądzisz?
- Wierzę, że jest człowiekiem uczciwym. Poza tym, cóż... Oceany, karawele i królestwa Wschodu... nie mam o tym pojęcia.
- Wiesz jednak, jak ocenić, czy ktoś jest uczciwy.
- Colon nie przybył tu, żeby uszczknąć nieco z królewskiego skarbcza – odparł Santangel. – I wierzy w każde swoje słowo. Tego jestem pewien, Wasza Wysokość.
- Ja również – rzekła królowa. – Mam nadzieję, że zdoła przekonać uczonych.
- Santangel wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, dodał dość śmiały komentarz:
- Uczeni nie wiedzą wszystkiego, Wasza Wysokość.
- Izabela uniosła brew, a potem się uśmiechnęła.
- Przekonał cię także?
- Santangel zarumienił się.
- Jak powiedziałem, uważam go za uczciwego człowieka.
- Uczciwi ludzie również nie wiedzą wszystkiego.
- W mojej pracy, Wasza Wysokość, nauczyłem się traktować ludzi uczciwych jako cenną rzadkość, podczas gdy uczonych jest raczej pod dostatkiem.
- Co zatem powiesz memu małżonkowi?
- Twój małżonek – odparł Santangel ostrożnie – nie będzie zadawał mi tych samych pytań co ty.
- A zatem dowie się mniej, niż powinien wiedzieć, nie uważasz?

W ten zawoalowany sposób Izabela dawała do zrozumienia, że pomiędzy dwiema koronami Hiszpanii istnieje skrywana rywalizacja. Santangel nie mógł wkraczać na tak niebezpieczny grunt.

– Nie śmiem nawet zgadywać, co powinni wiedzieć monarchowie.

– Ja też nie – rzekła królowa cicho. Odwróciła wzrok, a na jej twarzy odmalowała się melancholia. – Nie byłoby dobrze, gdybym widywała go zbyt często – szepnęła. Po czym, jakby przypominając sobie o obecności Santangela, odprawiła go gestem dłoni.

Santangel odszedł niezwłocznie. Ostatnie słowa zapadły mu w pamięć. “Nie byłoby dobrze, gdybym widywała go zbyt często”. A więc Kolumb dotknął w Izabeli jakiejś czulej struny. Nie było powodu mówić królowi zbyt wiele, bo biedny Genuńczyk zakończyłby życie którejś ciemnej nocy ze sztyletem między żebrami. Santangel odpowie tylko na pytanie, które zada król Ferdynand: czy idee Kolumba są wartą realizacji? Odpowie uczciwie, że w obecnej chwili korony na to nie stać, lecz w jakimś późniejszym czasie, kiedy wojna zostanie pomyślnie zakończona, byłoby to nawet pożądane, jeśli owe plany zostaną w ogóle uznane za możliwe do zrealizowania.

A tymczasem nie ma potrzeby przejmować się ostatnią uwagą królowej. Izabela jest katoliczką i rozsądną władczynią. Nie narazi na szwank swojego miejsca w wieczności lub na tronie dla jakiejś przelotnej sympatii wobec tego białowłosego Genuńczyka; Kolumb też nie wygląda na głupca, który wybrałby tę niebezpieczną drogę szukania przychylności. A jednak Santangel zastanawiał się, czy gdzieś w głębi duszy Kolumb nie żywi nadziei na zdobycie czegoś więcej niż tylko poparcie królowej.

Cóż, jakie to ma znaczenie? I tak nic by z tego nie wynikło. Santangel potrafił oceniać ludzi – kardynał Mendoza opuścił dwór dzisiejszego wieczora zdecydowany odpowiednio pokierować dyskusją nad ideami Kolumba. Argumenty biedaka zostaną obrócone w proch; gdy uczeni skończą już z nim, Kolumb bez wątpienia w niesławie wymknie się z Kordowy.

Szkoda, pomyślał Santangel. Tak dobrze zaczął.

A potem pomyślał: Chcę, żeby mu się udało. Chcę, żeby dostał statki i poprowadził wyprawę. Co on ze mną zrobił? Dlaczego mnie to obchodzi? Kolumb uwiódł mnie tak samo, jak uwiódł królową.

Zadrżał przestraszony własną słabością. Dotąd uważał się za człowieka silnego.

Hunahpu od początku się zorientował, że Kemala drażni słuchanie niewydarzonego młodzieńca z Meksyku. Zachowywał się chłodno i zdradzał niecierpliwość. Jednak Tagiri i Hassan okazywali Hunahpu sympatię, a Diko ciepłym uśmiechem dodawała mu otuchy. Może Kemal ma po prostu taki sposób bycia. Cóż, nieważne, pomyślał Hunahpu. Liczy się prawda. Prawdę każdy musi uznać.

Pokazanie tego, co poprzednio zaprezentował Diko w pół godziny, trwało dwa razy dłużej, gdyż Kemal wtrącał się co chwila, kwestionując niemal każde słowo. W miarę upływu czasu, kiedy stało się jasne, że wszystkie wątpliwości Kemala zostaną rozwiane dzięki dowodom przedstawionym w dalszej części prezentacji, wrogość zaczęła wygasać i Hunahpu mógł kontynuować nie nękany pytaniami.

Teraz dotarł do momentu, w którym przerwał poprzedniego dnia. Diko przysunęła się z fotelem do ekranu TruSite. Widzowie, którzy byli obecni przy pierwszej części prezentacji, również nadstawili uszu.

– Pokazałem wam, że Taraskańczycy posiadali technologię umożliwiającą stworzenie imperium większego niż państwo Azteków, Tlaxcalańczycy zaś sięgali po tę technologię. W trakcie walki o przetrwanie stali się pragmatyczni – co zobaczymy, oczywiście, nieco później, kiedy sprzymierzą się z Kortezem. Ale to nie wszystko. Zapotekowie na północnym wybrzeżu przesmyku Tehuantepec również rozwijali nową technologię.

TruSite pokazywał obrazy pracujących skutników. Hunahpu omówił standardowe oceaniczne kanoe Tainów i Karibów z wysp na wschodzie, a potem przedstawił nowe łodzie, które konstruowali Zapotekowie.

– Stery – powiedział. – Rumpel jest wyraźnie unowocześniony. A teraz popatrzcie, w jaki sposób powiększają swoje statki.

Rzeczywiście, Zapotekowie zbliżali się do osiągnięcia ładowności, jaka byłaby nie do pomyślenia przy dłubankach wykonanych z pojedynczego pnia drzewa. Z początku używali szerokich pokładów opierających się o burty kanoe, ale było to niepraktyczne, gdyż łódź nabierała gwałtownych przechyłów. Lepszym rozwiązaniem było ukształtowanie drugiego pnia w pionowe przedłużenie burt kanoe, mocowane do kadłuba dzięki otworom wyborowanym w burtach. W celu zapewnienia wodoszczelności powierzchnie smarowane były sokiem z roślin, który zastygał na twardą masę po złączeniu elementów.

– Zmyślne – rzekł Kemal.

– Dwukrotnie powiększa ładowność ich statków, lecz zarazem je spowalnia – mają teraz większe zanurzenie. Ważne jest jednak to, że nauczyli się łączyć ze sobą drewniane elementy i uszczelniać połączenia. Konstrukcje z pojedynczego pnia są już przeszłością. To tylko kwestia czasu, zanim pierwotne kanoe stanie się kilem, a z pomocą desek zbudowany zostanie dużo szerszy kadłub o większej wyporności.

– Kwestia czasu – powtórzył Kemal. – Ale nic takiego wcale nie widzimy.

– Ponieważ brakuje im odpowiednich narzędzi – odparł Hunahpu. – Kiedy Tlaxcala zastąpi imperium Azteków, brąz Taraskańczyków dotrze do Zapoteków i będą oni w stanie szybciej produkować deski o dużo gładszych powierzchniach. Rzecz w tym, że kiedy dokonują jakiegoś odkrycia, rozprzestrzenia się ono bardzo szybko. A Zapotekowie również są naciskani przez Azteków. Muszą znaleźć źródła zaopatrzenia, ponieważ azteckie armie wygnały ich z pól. Na tym bagnistym terenie uprawa roli jest zawsze czymś niepewnym. Popatrzcie więc, dokąd płyną.

Pokazał im niezgrabne, mocno zanurzone statki Zapoteków wiozące duże ładunki z Veracruz i Jukatanu.

– Te statki, chociaż powolne, unoszą wystarczająco duży ładunek, by podróż się opłacała. Zapotekowie zapuszczają się tak głęboko w Zatokę Campeche, że możliwy jest ich kontakt z Tlaxcalańczykami i Taraskańczykami. I jeszcze to. – Ponownie obraz się zmienił. – To jest wyspa Hispaniola. Patrzcie, kto przy pływa z wizytą.

Trzy zapotekańskie statki przybiły do brzegu.

– Niestety – rzekł Hunahpu – Kolumb już tam był.

– W przeciwnym razie – powiedziała Diko – zasięg imperium tlaxcalańskiego rozszerzyłby się na wyspy.

– Oczywiście – potwierdził Hunahpu.

– Pomiędzy Ameryką Środkową i wyspami Morza Karaibskiego już przed Kolumbem istniały ożywione kontakty.

– Tak – zgodził się Hunahpu. – Kultura Taino była w istocie pozostałością po wcześniejszych najeźdźcach z Jukatanu. Przynieśli oni ze sobą, na przykład, boisko do gry w piłkę. Stali się klasą panującą. Przyjęli jednak język Arawaków, wkrótce zapomnieli o swoich korzeniach i z pewnością nie ustanowili regularnych szlaków handlowych. Po co mieliby to robić? Ich łodzie nie miały wystarczającej wyporności, by podróże się opłacały. Tylko wyprawy łupieżcze warte były zachodu, łupieżcami zaś byli Karibi, nie Taino, a ponieważ pochodzili z południowowschodniej części Karaibów,

Ameryka znajdowała się poza ich zasięgiem. Taino znali Amerykę jako baśniową krainę złota, bogactwa i potężnych bogów – mówili Kolumbowi, że kraina złota znajduje się na zachodzie – lecz nie utrzymywali z nią regularnych kontaktów. Nowe łodzie Zapoteków zmieniłyby to wszystko. Szczególnie gdy stałyby się większe i lepsze. Byłby to początek tradycji żeglarskiej, która poprowadziłaby te statki na drugą stronę Atlantyku.

– Bardzo spekulatywne – rzekł Kemal.

– Przepraszam cię – wtrąciła Diko – ale czy twoja teoria nie opiera się na spekulacjach?

Kemal popatrzył na nią groźnie.

– Szczegóły nie są ważne – rzekł Hunahpu, nie chcąc mieć Kemala przeciwko sobie. – Ważne jest to, że Zapotekowie dokonywali innowacji, dotarli na wyspy statkami, które mogły unieść większy ładunek, i że znali Tlaxcalańczyków na wybrzeżu Zatoki Campeche. Z pewnością Tlaxcalańczycy przejęliby od nich technologię, tak jak sięgnęli po metody obróbki brązu opracowane przez Tarascańczyków. Była to era wynalazczości i innowacji w Ameryce Środkowej, a jedyną przeszkodę stanowiły ultrakonserwatywne rządy Azteków. Wyrok na Azteków był już podpisany – wszyscy to wiedzą – i na podstawie powyższych dowodów wydaje mi się oczywiste, że Tlaxcalańczyki zbudowaliby następne imperium i tak jak Persowie prześcignęli swych poprzedników Chaldejczyków pod wieloma względami, podobnie pragmatyczne, politycznie sprawniejsze imperium Tlaxcala usunęłoby w cień imperium Azteków.

– Dowiodłeś swego w bardzo przekonujący sposób – rzekł Kemal.

Hunahpu nieomal pozwolił sobie na westchnienie ulgi.

– Ale twoje twierdzenia szły o wiele dalej, prawda? – ciągnął Kemal. – I tutaj dowodów już nie masz.

– Zostały zniszczone w wyniku odkrycia uczynionego przez Kolumba – odparł Hunahpu. – Ale patrząc na to z drugiej strony, Interwenci wymazali również krucjatę Kolumba na wschód. Myślę, że stoimy na podobnym gruncie.

– Równie niepewnym – dodał Kemal.

– Kemal zajmuje się spekulatywnymi aspektami naszych badań – powiedziała Tagiri – ponieważ ma wobec nich głęboko sceptyczny stosunek. Nie wierzy, by dokładna rekonstrukcja przeszłości była możliwa.

Nigdy nie przyszło Hunahpu na myśl, że Kemal jest jednakowo skłonny do odrzucenia wszystkich spekulacji. Zakładał, że jego jedynym zadaniem jest

przedstawienie uczonym pod rozwagę kolejnego prawdopodobnego scenariusza, a nie przekonywanie ich o sensowności takiego podejścia badawczego.

Diko chyba wyczuła jego zakłopotanie.

– Hunahpu, zostawmy teraz kwestię, co można udowodnić, a czego nie. Musiałeś zastanawiać się nad dalszym rozwojem wypadków. Uznajmy za prawdopodobne, że Tlaxcala podbiło i zjednoczyło dawne imperium Azteków; teraz działa jak dobrze naoliwiony mechanizm, wykorzystując zapotekańskie statki do misji handlowych i tarascański brąz do wytwarzania broni i narzędzi. Co dalej?

Jej słowa pomogły Hunahpu odzyskać pewność siebie. Trudno mu było sobie wyobrazić dyskusję z wielkim Kemalem o pryncypiach, zdecydowanie wolał omawiać własne pomysły.

– Po pierwsze – zaczął – musicie pamiętać, że jednego feleru azteckiego systemu Tlaxcalańczykom nie udało się wykorzenić. Tak jak w przypadku Azteków, tlaxcalańska praktyka składania ofiar z ludzi spragnionemu krwi bogu pozbawiłaby ich siły roboczej potrzebnej do wyżywienia populacji.

– A więc? Jak rozwiązałeś ten problem? – zapytał Kemal. – Nie przyszedłbyś tutaj, gdybyś nie miał odpowiedzi.

– Mam w każdym razie hipotezę. Nie istnieją dowody, Tlaxcalańczycy bowiem nie musieli jeszcze zarządzać prawdziwym imperium. Nie udałooby im się to jednak, gdyby popełnili ten sam błąd co Aztekowie, wyrzynając zdolnych do pracy mężczyzn z podległych sobie populacji. Oto więc jak według mnie sobie z tym poradzili. Pośród klasy kapłańskiej istnieje ślad doktryny mówiącej, że ich wojowniczy bóg Camaxtli staje się szczególnie spragniony krwi po zwycięskiej dla Tlaxcalańczyków bitwie. Ta idea umożliwia Tlaxcalańczykom stworzenie praktyki składania masowych ofiar z ludzi tylko po zwycięstwie militarnym, ponieważ tylko wtedy Camaxtli naprawdę potrzebuje krwi. Jeśli więc miasto, naród lub plemię dobrowolnie sprzymierza się z Tlaxcala, oddaje pod ich panowanie i pozwala tlaxcalańskiej biurokracji zarządzać jego sprawami, to zamiast zginąć na ofiarnym ołtarzu, mężczyźni owego plemienia mogą dalej pracować na polach. Być może, jeśli okażą się godni zaufania, będą mogli nawet wstąpić do tlaxcalańskiej armii lub walczyć u jej boku. Masowe mordy wykonywane są tylko na jeńcach armii, które stawiały opór. Poza tym w czasach pokoju ofiary pozostałyby na znośnym poziomie – podobnie jak w czasach sprzed imperium Azteków.

- A więc sąsiednie narody mają powód do poddania się – rzekł Hassan. – I nie są skłonne do wszczynania buntów.
- Większej części imperium rzymskiego również nie trzeba było podbijać siłą – dodał Hunahpu. – Władcy sąsiednich państw czynili rzymskich senatorów swymi spadkobiercami, tak by sami mogli jako monarchowie dożyć starości, po czym ich królestwa przechodziły pod władzę Rzymu. Jest to najtańszy sposób budowania imperium i najlepszy, ponieważ na nowo zdobywanych ziemiach nie ma zniszczeń wojennych.
- Wracajmy do rzeczy – powiedział Kemal. – Jeśli bóg jest spragniony krwi tylko po działaniach wojennych, Tlaxcalańczycy utrzymują pokój, a ich bóg zasypia.
- Cóż, to byłoby miłe – odparł Hunahpu – ale niestety według ich teologii Camaxtli nie żądał ofiar jedynie po zwycięstwie, lecz po prostu lubił krew. I lubił wojnę. Tlaxcalańczycy, choćby i składali olbrzymie ofiary w czasie pokoju, musieli staczać bitwy. Poza tym ich system mobilności społecznej był taki sam jak u Azteków przed Montezumą. Jedyńm sposobem awansu społecznego było zgromadzenie majątku albo wyróżnienie się w walce. Majątek zaś mogli zgromadzić tylko ci, którzy kontrolowali handel, a była to względnie stała grupa ludzi. Istniała więc ciągła presja na rozpoczynanie nowych wojen z coraz bardziej oddalonymi sąsiadami. Sądzę, że używającym brązu Tlaxcalańczykom nie zajęłoby wiele czasu dotarcie do naturalnych granic ich imperium: wyspy Morza Karaibskiego na wschodzie, góry Kolumbii na południu, pustynie na północy. Podboje poza tymi granicami byłyby nieopłacalne ekonomicznie ze względu na brak dużych skoncentrowanych populacji, które można by zapędzić do pracy lub złożyć w ofierze, a także na opór, który z pewnością byłby zbyt silny w momencie kontaktu z Inkami.
- Zwracają się więc ku pustemu Atlantykowi? Mało prawdopodobne – rzekł Kemal.
- Zgadza się – odparł Hunahpu. – Sądzę, że zostawieni sami sobie, nigdy nie zwróciliby się na wschód, w każdym razie nie przez parę stuleci. Ale nie byli zostawieni sami sobie. Przybyli Europejczycy.
- A więc wracamy do punktu wyjścia – rzekł Kemal. – Wyżej rozwinięta europejska cywilizacja odkrywa zacofanych Indian i...
- Teraz już nie tak zacofanych – wtrąciła Diko.
- Brązowe ostrza przeciwko muszkietom? – skrzywił się Kemal.
- Muszkiety nie miały decydującego znaczenia – powiedział Hunahpu. –

Wszyscy o tym wiedzą. Europejczyków było po prostu za mało, żeby nowocześniejszą bronią mogli sobie poradzić z liczebną przewagą Indian. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. Tym razem Europejczycy nie przybyliby na Karaiby. Późniejsze odkrycie nieomal z pewnością byłoby dziełem Portugalczyków. Kilka portugalskich okrętów przybiło do wybrzeży Brazylii już w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych piętnastego wieku. Ziemia, którą ujrzeli, była sucha, jałowa i nie prowadziła do Indii. Woleli podróżować wokół Afryki. Nie mieli poczucia misji jak Kolumb, więc ich eksploracje byłyby rzadkie i nieregularne. Minęłyby lata, zanim portugalskie statki wpłynęłyby na Morze Karaibskie. Do tego czasu imperium tlaxcalańskie byłoby już dobrze osadzone na tamtym terenie. Zamiast spotkać łagodnych Taino, Europejczycy stanęliby twarzą w twarz z wojowniczymi i głodnymi zwycięstw Tlaxcalańczykami, których zaczyna frustrować fakt, że nie mogą wyjść poza basen Morza Karaibskiego. Co zatem widzą Tlaxcalańczycy? Dla nich Europejczycy nie są bogami ze wschodu. Przeciwnie, są nowymi ofiarami sprowadzonymi przez ich boga Camaxtli, pokazującego im, jak wrócić na ścieżkę produktywnych podbojów. A duże europejskie statki i muszkiety nie są tylko budzącymi lęk cudami. Tlaxcalańczycy – a może ich sprzymierzeńcy Tarascańczycy lub Zapotekowie – zaraz by je rozebrali na części. Zapewne dotąd zabijaliby kolejnych marynarzy, aż okrętowy cieśla albo kowal zgodziłby się na współpracę, i w odróżnieniu od Azteków, Tlaxcalańczycy nie zgładziliby swych jeńców, tylko uczyli się od nich. Ile czasu potrzebowaliby na skonstruowanie własnych muszkietów? Wielkokadłubowych statków? A tymczasem do Europy nie docierałyby żadne wiadomości o groźnym imperium tlaxcalańskim, bo wszystkie statki wpływające na Morze Karaibskie byłyby chwywane i załogi nigdy nie wracałyby do domu.

Tak więc Tlaxcalańczycy nie rozwijają już niezależnie własnych technologii – rzekła Tagiri.

– Zgadza się. Ale osiągnęli odpowiedni stopień rozwoju, by zrozumieć europejską technologię, kiedy się z nią zetknęli, i mieli odpowiednie nastawienie, które pozwoliło im ją wykorzystać. I to właśnie zrozumieli Interwencji. Musieli sprawić, żeby Europejczycy odkryli nowy świat przed dojściem Tlaxcalańczyków do władzy, jeszcze w czasach stosunkowo mało sprawnych, znajdujących się u schyłku swej potęgi Azteków.

– To ma sens – pokiwał głową Kemal. – Pozwala stworzyć prawdopodobny scenariusz. Tlaxcalańczycy budują statki wzorowane na europejskich,

konstruuja własne muszkiety i lądują na wybrzeżach Europy w pełni przygotowani do wojny, której celem jest powiększenie imperium, a jednocześnie dostarczenie ofiar spragnionemu krwi Camaxtli. Sądzę, że znany już wzorzec miałby zastosowanie również w Europie. Każdy naród, który stawiałby opór, zostałby wyrżnięty w pień, podczas gdy ci, którzy poddali się od razu, narażeni byłiby jedynie na ograniczone represje. Nietrudno wyobrazić sobie Europę rozpadającą się w wyniku takiego najazdu. Nie sądę, by Tlaxcalańczykom brakowało sprzymierzeńców. Szczególnie gdyby Europa była wycieńczona po długiej i krwawej krucjacie. Dla Hunahpu brzmiało to jak zwycięstwo. Kemal sam dokończył za niego scenariusz.

– Ale i tak jest to niemożliwe – zachnął się Kemal.

– Dlaczego? – zapytała Diko.

– Ospa – odparł Kemal. – Morowe powietrze. Grypa. Zwykłe przeziębienie. To byli prawdziwi zabójcy Indian. Na każdego Indianina, który zmarł z przepracowania w niewoli albo od hiszpańskich mieczów i muszkietów, stu umarło z powodu chorób. Te zarazy nadeszłyby i tym wypadku.

– No tak – rzekł Hunahpu. – To był jeden z największych problemów, na jakie natrafiłem, i nie ma dowodów na to, co chcę teraz powiedzieć. Wiemy jednak, jak epidemie rozprzestrzeniają się w ludzkich populacjach. Europejczycy roznosili choroby, ponieważ stanowili tak wielką i ruchliwą populację, podróżującą, handlującą, walczącą – kontakty pomiędzy narodami były bardzo częste, a więc pod względem bakterii i wirusów chorobotwórczych Europa stanowiła wielki kocioł, tak jak Chiny czy Indie, które również miały własne zarazy. W dużej populacji choroby zakaźne zabijają stosunkowo powoli i są nie zawsze śmiertelne. To daje im czas na rozprzestrzenienie się, a ludzka populacja po ataku choroby może się odrodzić i po kilkunastu latach dochować nowego, nie uodpornionego pokolenia. Zarazy przekształcają się stopniowo w epidemie dziecięce, krążąc po całej populacji, uderzając to tu, to tam. Kiedy przybył Kolumb, w żadnym regionie obu Ameryk nie istniała odpowiednio duża populacja. Komunikacja była zbyt słabo rozwinięta, a przeszkody zbyt wielkie. Istniało kilka lokalnych chorób, na przykład syfilis, ale zabijały wyjątkowo powoli. Szybko rozchodzące się zarazy nie mogły zaistnieć, ponieważ wybiłyby wszystkich na danym terenie i z braku nosicieli nie zdołałyby przenieść się gdzie indziej. Zmienia się to jednak wraz z rozwojem imperium tlaxcalańskiego.

– Statki Zapoteków – powiedziała Diko.

– Otóż to. Powstaje gęsta sieć komunikacyjna dzięki statkom rozwożącym towary i pasażerów po całym basenie Morza Karaibskiego. Teraz choroby przenoszą się wystarczająco szybko, by stać się prawdziwymi zarazami.

– To nadal nie oznacza, że nowa zaraza nie miałaby niszczycielskiego wpływu – rzekł Kemal. – Mogłaby przenosić się szybciej i uderzałaby w całe imperium mniej więcej w tym samym czasie.

– Tak – zgodził się Hunahpu. – Tak jak morowe powietrze zdziesiątkowało Europę w czternastym stuleciu. Teraz jest jednak pewna różnica. Zaraza dotrze do imperium Tlaxcala wraz z wcześniejszymi przypadkowymi żeglarzami z Portugalii, zanim jeszcze Europejczycy przybędą w wielkiej liczbie. Rozprzestrzenia się po imperium z tym samym niszczycielskim skutkiem co w Europie. Ospa, odra – to mordercze choroby. Ale żaden naród w Europie nie wyginął z ich powodu, żadne imperium nie załamało się, tak jak Rzym w swoim czasie nie upadł w wyniku tych chorób. W gruncie rzeczy zaraza powoduje wykształcenie korzystniejszej gęstości zaludnienia. Mając mniej gąb do wyżywienia, Tlaxcalańczycy mogą teraz wyprodukować nadwyżkę żywności. A co się stanie, jeśli zinterpretują zarazę jako sygnał, że Camaxtli chce, by wyruszyli na wyprawę wojenną i zdobyli jeńców na ofiary? To mógłby być ostateczny impuls, który kazałby im pożeglować na wschód. I kiedy przybywają, ospa, odra i zwykłe przeziębienie są im już znane. Docierają do europejskich brzegów uodpornieni na tutejsze choroby. Lecz Europejczycy nie mieli dotąd kontaktu z syfilisem. A kiedy syfilis po raz pierwszy dotarł do Europy w naszej wersji historii, uderzył gwałtownie, zabijał błyskawicznie. Dopiero potem stopniowo przekształcił się w powolnego zabójcę, jakim był pośród Indian. A kto wie, jakie jeszcze choroby mogły rozwinąć się pomiędzy Tlaxcalańczykami w miarę rozwoju ich imperium? Tym razem, jak sędzę, zarazy działałyby w odwrotny sposób, przeciwko Europejczykom i na korzyść Indian.

– Możliwe – rzekł Kemal. – Ale zbyt wiele jest tu założeń.

– Każdy scenariusz opiera się na założeniach – powiedziała Tagiri. – Jednak ten ma pewną wyjątkową zaletę.

– Jakąż to? – zapytał Kemal.

– Tworzy przyszłość na tyle straszliwą, by Interwenci uznali za konieczne cofnięcie się w czasie i wymazanie ich własnej historii w celu usunięcia źródła katastrofy. Pomyślcie, co by to oznaczało dla dziejów ludzkości, gdyby potężna, posługująca się rozwiniętą technologią cywilizacja, która zdobyła władzę nad całą planetą, wyznawała religię opartą na składaniu

krwawych ofiar. Gdyby wyznawcy środkowoamerykańskich kultów tortur i rzezi przybyli do Indii, Chin i Afryki uzbrojeni w strzelby, potrafiący łączyć odległe tereny siecią kolei żelaznych.

– I powiązani w pojedynczy, zjednoczony, potężny i skuteczny system biurokratyczny, tak jak miało to miejsce w cesarstwie rzymskim – dodała Diko. – Wewnętrzne podziały sprawiły, że europejski system władzy był słabszy i łatwiejszy do pokonania.

– Nietrudno sobie wyobrazić – kontynuowała Tagiri – że Interwenci, spoglądając w przeszłość, uznali tlaxcalański podbój Europy za największą, najstraszliwszą katastrofę w historii ludzkości. A potem widząc energię, ambicję i osobistą charyzmę Kolumba, ujrzeli narzędzie do jej powstrzymania.

– Co to zatem oznacza? – rozważał Hassan. – Czy porzucamy nasz projekt, ponieważ powstrzymanie Kolumba byłoby gorsze niż to, co spowodował w naszej historii?

– Gorsze? – zapytała Tagiri. – Kto wie, co jest gorsze? Co ty uważasz, Kemal?

Kemal spojrział na nich tryumfująco.

– Uważam, że jeśli Hunahpu ma rację, czego nie można dowieść, choć był przekonujący, to dowiadujemy się tylko jednego. Grzebanie w przeszłości jest bezużyteczne, ponieważ, jak dowiedli Interwenci, bałagan, jaki wywołujesz, jest tylko odrobinę mniejszy od tego, którego unikasz.

– Nie zgadzam się – rzekł Hunahpu.

Wszyscy na niego spojrzeli. Zdał sobie sprawę, że w ferworze dyskusji zapomniał, z kim ma do czynienia – sprzeciwił się Kemalowi, i to w obecności Tagiri i Hassana, ni mniej, ni więcej. Zerknął na Diko i ujrzął, że daleka od niepokoju, jest po prostu zaciekawiona, czeka na dalszy ciąg jego wypowiedzi. Nagle Hunahpu zrozumiał, że jest traktowany w Jubie na równi z innymi, nikt nie obraża się z powodu jego śmiałości ani nim nie pogardza. Jego głos ważył tyle samo co każdy. Radość płynąca z tego odkrycia sprawiła, że prawie oniemiał.

– A więc? – ponaglił Kemal.

– Według mnie dowiadujemy się nie tego, że nie można skutecznie interweniować w przeszłości. W końcu Interwenci zapobiegli dokładnie temu, czemu pragnęli zapobiec. Znam się na kulturze środkowoamerykańskiej o wiele lepiej niż ktokolwiek z was, jest to moja własna kultura, mój lud, i mogę twierdzić z całkowitą pewnością, że świat

rzządzony przez Tlaxcalańczyków czy Azteków – a nawet przez Majów – nigdy nie zrodziłby demokracji, tolerancji i naukowego światopoglądu, jakie wykształciły się przez stulecia w Europie, pomimo jej krwawej arogancji względem innych narodów.

– Nie możesz tego twierdzić – rzekł Kemal. – Europejczycy popierali handel niewolnikami, potem stopniowo go potępili; kto może powiedzieć, że Tlaxcalańczycy nie porzuciliby stopniowo praktyki składania ofiar z ludzi? Europejczycy dokonywali podbojów w imię królów i królowych, a pięć stuleci później pozbawili nielicznych pozostałych jeszcze monarchów ostatnich resztek władzy. Tlaxcalańczycy pod względem rozwoju kulturowego również nie staliby w miejscu.

– Ale z wyjątkiem Ameryki wszędzie, gdzie Europejczycy nowożytni dokonywali podbojów, tubylcza kultura trwała – powiedział Hunahpu. – Zmieniona, owszem, ale rozpoznawalna. Sądzę, że podbój tlaxcalański przypominałby podbój rzymski, po którym prawie nie pozostały ślady starożytnych kultur Galów czy Iberów.

– To nie ma znaczenia – włączyła się do rozmowy Tagiri. – Nie wybieramy pomiędzy historią Interwentów i naszą. Cokolwiek zrobimy, nie możemy przywrócić ich historii i wcale byśmy tego nie chcieli. Która była gorsza, nasza czy ich? Nie wiemy, lecz obie były bez wątpienia straszliwe.

– I obie – zauważył Hassan – doprowadziły do powstania jakiejś wersji Instytutu Czasu, przyszłości, której mieszkańcy znali swoją przeszłość i byli zdolni ją ocenić.

– Tak – rzekł Kemal z przekąsem – obie doprowadziły do sytuacji, w której ludzie nie mając nic innego do roboty postanowili cofnąć się w czasie i zreformować przeszłość, by odpowiadała wartościom teraźniejszości. Martwi są martwi; poznamy ich i uczmy się od nich.

– I pomóżmy im, jeśli potrafimy! – wykrzyknęła Tagiri z pasją. – Kemal, jednego tylko dowiadujemy się dzięki Interwentom, tego mianowicie, że zrobili za mało, a nie że w ogóle nie powinni byli próbować.

– Za mało!

– Myśleli wyłącznie o historii, której chcieli uniknąć, nie o tej, którą chcieli stworzyć. Musimy to naprawić.

– W jaki sposób? – zapytała Diko. – Gdy coś zrobimy, gdy zmienimy jakiś szczegół, ryzykujemy wymazanie nas z historii. Możemy więc wprowadzić tylko jedną zmianę, tak jak oni.

– Oni mogli wprowadzić tylko jedną zmianę – rzekła Tagiri – ponieważ

przesłali wiadomość. A jeśli my wyślemy posłańca?

– Posłańca?

– Odkryliśmy już, jaką technologią posłużyli się Interwenci. Nie wysłali wiadomości ze swojego czasu, ponieważ gdyby tylko zaczęli ją wysyłać, zniszczyliby siebie i urządzenie, którym się posługiwali. W zamian posłali w przeszłość obiekt. Holograficzny projektor, zawierający w sobie całą wiadomość. Wiedzieli, gdzie go umieścić i kiedy uruchomić. Znaleźliśmy tę maszynę. Zadziałała idealnie, a potem wyzwoliła dawkę potężnych kwasów, które zniszczyły przewody, po czym, mniej więcej po godzinie, kiedy nikogo nie było w pobliżu, roztopiła się pod wpływem wydzielanego gorąca i wreszcie wybuchła, rozrzucając maleńkie stopione odłamki na przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych.

– Nie powiedziałaś nam tego! – Kemal najwidoczniej miał pretensję do Tagiri.

– Grupa pracująca nad zbudowaniem maszyny do przenoszenia w czasie wie o tym od paru tygodni. Wkrótce opublikują raport. Ważne jest to: Interwenci nie wysłali wiadomości, wysłali obiekt. To wystarczyło, by zmienić historię, ale nie by zmienić ją w sposób inteligentny. My musimy wysłać w przeszłość posłańca, który będzie mógł reagować na konkretne okoliczności, który nie tylko wprowadzi jedną zmianę, lecz potem w miarę potrzeby następne. W ten sposób zdołamy zrobić coś więcej, niż tylko uniknąć jednej okropnej ścieżki historii – będziemy mogli świadomie stworzyć nową ścieżkę, która uczyni resztę historii nieskończenie lepszą. Pomyślcie o nas jak o lekarzach przeszłości. Nie wystarczy podać choremu jeden zastrzyk, jedną tabletkę. Trzeba opiekować się pacjentem przez dłuższy czas, przystosowując terapię do przebiegu choroby.

– Chcecie posłać kogoś w przeszłość – podsumował Kemal.

– Jedną osobę lub kilka. Jedna osoba mogłaby zachorować albo zginąć. Wysłanie kilku osób uniezależnia nas od przypadków.

– A zatem ja muszę być jedną z osób, które pošlecie – rzekł Kemal.

– Co takiego?! – krzyknął Hassan. – Ty! Ty, który uważasz, że w ogóle nie powinniśmy interweniować!

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że byłoby głupotą interweniować bez możliwości panowania nad konsekwencjami. Jeśli wyślecie grupę w przeszłość, to chcę znaleźć się w jej składzie. Bym mógł wszystkiego dopilnować. Bym mógł dopilnować, że nie popełnimy karygodnego głupstwa.

– Uważam, że masz nazbyt wygórowane pojęcie o swojej zdolności oceny – rzekł Hassan z krzywym uśmiechem.
– Oczywiście – odparł Kemal. – Ale i tak to zrobię.
– Jeśli w ogóle wyślemy taką grupę – powiedziała Tagiri. – Na razie musimy ponownie prześledzić scenariusz Hunahpu i zebrać dużo więcej danych. Potem zaplanujemy zmiany, jakie chcemy wprowadzić. Tymczasem zaś naukowcy pracują nad maszyną czasu – lecz pracują z ufnością, gdyż widzieliśmy, że fizyczny obiekt można przepchnąć do tyłu w czasie. Gdy wszystkie te prace zostaną zakończone – kiedy będziemy w stanie podróżować w przeszłość, kiedy będziemy wiedzieli, co próbujemy osiągnąć i jak zamierzamy to osiągnąć – wtedy opublikujemy raport, a decyzja będzie zależeć nie od nas, lecz od wszystkich.

W zimną noc Kolumb wrócił śmiertelnie zmęczony – nie drogą do domu, gdyż nie była daleka, lecz raczej ciągłymi pytaniami, odpowiedziami i sporami. Czasem miał ochotę powiedzieć po prostu: “Ojciec Talavera, wyjawilem wam już wszystko, co wiem. Nie znam więcej odpowiedzi. Przygotujcie swój raport”. Jednak jak ostrzegli go franciszkanie z La Rabida, oznaczałoby to zaprzepaszczenie jego szans. Raport Talavery były druzgoczące i dokładny, bez żadnej szczeliny, przez którą Kolumb mógłby wraz ze statkami, załogą i zapasami wymknąć się w podróż.

Momentami Kolumb miał ochotę chwycić cierpliwego, metodycznego, inteligentnego księdza za ramiona i krzyknąć: “Czy myślisz, że nie wiem, jak niemożliwie wygląda to w twoich oczach? Ale Bóg we własnej osobie kazał mi popłynąć na zachód, by dotrzeć do wielkich królestw Wschodu! Tak więc moje rozumowanie musi być słuszne, nie dlatego że mam dowody, lecz ponieważ dał mi słowo Bóg!”

Oczywiście nigdy nie uległ tej pokusie. Wierzył, że gdyby został oskarżony o herezję, Bóg interweniowałby i powstrzymał księży przed poprowadzeniem go na stos, lecz nie chciał sprawdzać Wszechmogącego w tej kwestii. W końcu Bóg zabronił komukolwiek wspominać o objawieniu, więc mógłby go pozostawić własnemu losowi, gdyby z powodu niecierpliwości ryzykował życie.

Tak zatem mijały dni, tygodnie i miesiące, a on miał wrażenie, że tyle samo dni, tygodni i miesięcy – czemu nie lat? – minie jeszcze, zanim ojciec Talavera powie: “Kolumb zdaje się wiedzieć więcej, niż mówi, jednak my

musimy przygotować raport i zakończyć sprawę”. Ile lat ma czekać? Samo myślenie o tym męczyło Kolumba. Czy będę jak Mojżesz? Czy uzyskani zgodę na wysłanie floty, kiedy tak się zestarzeję, że będę mógł tylko stać na brzegu i patrzeć, jak odpływa? Czy sam nigdy nie dotrę do ziemi obiecanej? Gdy tylko położył dłoń na klamce, drzwi otworzyły się i Beatriz wzięła go w ramiona.

– Oszalałaś? – oburzył się Kolumb. – Otworzyłaś drzwi nie pytając nawet, kto za nimi stoi.

– Ale to byłeś ty, czyż nie?

Zatrzasnął drzwi, a potem wyzwolił się z jej uścisku, by założyć rygiel.

– Nadwerężasz swoją reputację powiadamiając całą ulicę, że czekasz w mojej kwaterze i witasz mnie pocałunkami.

– Sądzisz, że cała ulica już o wszystkim nie wie? Nawet małe dzieci wiedzą już, że Beatriz nosi w łonie dziecko Kolumba!

– A więc wyjdź za mnie, Beatriz.

– Mówisz tak tylko, Cristobal, ponieważ wiesz, że odmówię.

Zaprotestował, ale w głębi ducha wiedział, że to prawda. Obiecał Felipie, że Diego będzie jego jedynym spadkobiercą, nie mógł więc ożenić się z Beatriz i uznać owocu ich związku. A w dodatku...

– Nie możesz kłopotać się mną i dzieckiem, kiedy dwór przeniesie się do Salamanki na wiosnę – powtórzyła Beatriz kolejny już raz. – Poza tym bywasz teraz na dworze jako szlachcic, który przestawał w Portugalii z równymi i wyższymi od siebie. Jesteś wdowcem po kobiecie wysokiego rodu. Ożeń się ze mną i kim będziesz? Mężem kuzynki genueńskich kupców. To nie uczyni cię szlachcicem. No i markiza de Moya też nie byłaby wtedy tobą tak zachwycona...

Ach tak, markiza, jego druga “przygoda serca”, bliska przyjaciółka Izabeli. Na próżno wyjaśniał Beatriz, że Izabela jest tak pobożna, iż nie tolerowałaby nawet najmniejszej aluzji o romansie Kolumba z przyjaciółką. Beatriz była przekonana, że Kolumb sypia z markizą regularnie, lecz udawała, że jej to nie obchodzi.

– Markiza de Moya służy mi przyjaźnią i pomocą, ponieważ jest zausznicką królowej i ponieważ wierzy w moją sprawę – rzekł Kolumb. – Nic mnie w niej nie pociąga prócz imienia.

– De Moya? – droczyła się Beatriz.

– Ochrzczono ją Beatriz. Kiedy słyszę to imię, przepełnia mnie miłość, ale tylko do ciebie. – Położył dłoń na jej brzuchu. – Przykro mi, że obciążylem

cię owocem grzesznego uczucia.

– Twoje dziecko nie jest dla mnie ciężarem, Cristobal.

– Nigdy nie będę mógł uczynić go moim prawowitym potomkiem. Jeśli zdobędę tytuły i fortunę, wszystko będzie należało do syna Felipy, Diega.

– Nasze dziecko będzie miało w żyłach krew Cristofora Colona, będzie miało moją miłość i miłość, którą mnie obdarzyłeś. Takie będzie jego dziedzictwo.

– A jeśli mi się nie powiedzie? Jeśli nie wyruszę z wyprawą, a przez to nie zdobędę żadnej fortuny i tytułów? Kim będzie wtedy twoje dziecko? Nieślubnym synem genueńskiego poszukiwacza przygód, który próbował skłonić koronowane głowy Europy, by sfinansowały jego szalony pomysł pożeglowania w nieznane rejony oceanu.

– Na pewno ci się powiedzie. – Beatriz przytuliła się do niego. – Bóg jest z tobą.

Naprawdę jest ze mną? – pomyślał Kolumb. A może kiedy poddałem się namiętności i wszedłem do twego łóżka, grzech ten pozbawił mnie łaski Boga? Czy powinienem porzucić cię teraz i żałować, że cię pokochałem, żeby odzyskać Jego przychylność? Czy też powinienem złamać przysięgę daną Felipie i ożenić się po raz drugi?

– Bóg jest z tobą – powtórzyła Beatriz. – Bóg dał mi ciebie. Myśli o małżeństwie musisz się wyzbyć ze względu na swoją wielką misję, ale z pewnością Bóg nie chce, byś był kapłanem żyjącym w celibacie i nie kochanym.

Zawsze tak mówiła, toteż nawet zastanawiał się, czy Bóg dał mu wreszcie kogoś, z kim może podzielić się wizją, jakiej doświadczył na plaży niedaleko Lagos. Ale nie odważył się na taką szczerość. A jednak wiara Beatriz w święty fundament jego misji była niezachwiana i podtrzymywała go w chwilach największego zniechęcenia.

– Musisz jeść – powiedziała, stawiając kolację na stole. – Musisz mieć siłę na toczenie potyczek z kapłanami.

Był głodny, lecz najpierw ją pocałował, by była pewna, iż jest dla niego najważniejsza na świecie, ważniejsza niż jedzenie, ważniejsza niż jego sprawa. I kiedy się całowali, pomyślał: Gdybym był tak uważny wobec Felipy... gdybym poświęcił jej odrobinę czasu potrzebną, by rozproszyć jej wątpliwości, nie popadłaby w rozpacz i nie umarła tak młodo, byłaby szczęśliwa. Przecież nie jest to trudne, ale nic o tym nie wiedziałem.

Czy mam teraz szansę naprawienia błędów, które popełniłem z Felipą? Czy też jedynie okazję popełnienia następnych?

Nieważne. Jeśli Bóg chce pokarać go za nieślubny związek z Beatriz, niech tak się stanie. Ale jeśli Bóg nadal chce posłać go w podróż na zachód, pomimo jego grzechów i słabości, to on zrobi wszystko, żeby cel osiągnąć. Jego przewiny nie były gorsze niż grzechy króla Salomona, o niebo łagodniejsze niż popełnione przez króla Dawida, a im obu Bóg dał wielkość. Zjadł kolację ze smakiem, potem pobaraszkował z Beatriz w łóżku, aż wreszcie zasnął. Były to jedyne jasne chwile w te mroczne, zimne dni i rozkoszował się nimi bez względu na to, czy Bóg miał go pokarać za grzechy, czy nie.

Tagiri włączyła Hunahpu do programu “Kolumb”, przydzielając jemu i Diko zadanie stworzenia planu interwencji w przeszłości. Przez godzinę lub dwie Hunahpu czuł uniesienie; pragnął wrócić na swoje stare stanowisko, tylko by się pożegnać, by ujrzeć zazdrość na twarzach kolegów i przełożonych, z taką pogardą traktujących jego prywatne badania – badania, które teraz stanowiły oś wielkiego programu Kemala. Wkrótce jednak blask tryumfu przygasł, Hunahpu poczuł lęk: będzie musiał pracować z ludźmi przyzwyczajonymi do wnikliwego myślenia, analizowania. Będzie musiał nadzorować pracę innych – on, który nigdy nie słuchał przełożonych. Jakże miałby dać sobie radę? Wszyscy wkrótce odkryją, że się nie sprawdza, i ci ponad nim, i ci poniżej. Diko pomogła mu przetrwać te pierwsze dni, starając się nie narzucać własnych opinii, lecz pilnując, by wszystkie decyzje były podejmowane wspólnie; za każdym razem gdy prosił ją o radę, choćby w kwestii możliwych wyborów, odpowiadała mu, gdy byli sami, by nikt nie zaczął uważać jej za nieformalnego szefa grupy pracującej nad planem interwencji. I wkrótce Hunahpu zaczął odzyskiwać pewność siebie, a potem oboje naprawdę poprowadzili zespół, często spierając się na temat różnych kwestii, lecz nigdy nie podejmując decyzji bez obopólnej zgody. Nikt poza samymi Hunahpu i Diko nie był zaskoczony, kiedy po kilku miesiącach oboje zaczęli zdawać sobie sprawę, że ich współpraca zrodziła uczucie głębokie i bardzo osobiste.

Hunahpu cierpiał. Chociaż każdego dnia był coraz bardziej pewny, że ona go również kocha, odrzucała wszelkie zawołowane propozycje, wszelkie aluzje, wszelkie otwarte prośby.

– Dlaczego nie? – pytał. – Dlaczego nie?

– Jestem zmęczona – odpowiadała. – Mamy zbyt wiele do zrobienia.

Normalnie tego rodzaju odpowiedź uciszyłaby go, ale nie dzisiaj, nie tym razem.

– Nasz program rozwija się doskonale – przekonywał. – Pracujemy bez najmniejszych zgrzytów, a zespół, który zebraliśmy, jest godny zaufania i w pełni profesjonalny. Codziennie wracamy do domu o zwykłej porze. Mamy czas, gdybyś tylko się zgodziła na... choćby na zjedzenie wspólnej kolacji. Na to by usiąść i porozmawiać jak mężczyzna i kobieta.

– Na to nie mamy czasu – odparła.

– Dlaczego?! – zawołał. – Nasz program zbliża się do finału, natomiast Kemal wciąż zwleka z raportem na temat możliwych wersji przyszłości, a maszyny czasu są dopiero w fazie eksperymentów. Mamy dużo czasu. – Zazwyczaj niezadowolenie na jej twarzy wystarczało, by zamilkł, ale nie teraz. – Obowiązki zawodowe nie muszą czynić cię nieszczęśliwą. Twój rodzice pracowali razem tak jak my, a jednak wzięli ślub i mieli dzieci.

– Tak – odparła. – Ale my tego nie zrobimy.

– Dlaczego nie?! O co chodzi, o to że jestem o tyle niższy od ciebie? To nie moja wina, że Majowie są o tyle niżsi od ludów z grupy Turko-Dongotona.

– Nie gadaj głupstw, Hunahpu. Ojciec też jest niższy od matki. Sądzisz, że jestem idiotką?

– Przecież kochasz mnie tak samo jak ja ciebie, więc czemu nie chcesz tego przyznać? Czemu odmawiasz nam nawet szansy spróbowania bycia razem?

Ku jego zaskoczeniu, w oczach Diko pojawiły się łzy.

– Nie chcę o tym mówić – powiedziała.

– Ale ja chcę.

– Wydaje ci się, że mnie kochasz.

– Wiem, że cię Kocham.

– I wydaje ci się, że ja Kocham Ciebie.

– Mam taką nadzieję.

– Być może, masz rację – rzekła. – Ale jest coś, co oboje Kochamy bardziej.

– Cóż takiego?

– To – odparła i zatoczyła dłonią krąg pokazując pomieszczenie wypełnione maszynami TruSite i Tempoview, komputerami, biurkami i fotelami.

– Pracownicy Instytutu Czasu żyją i Kochają jak normalne istoty ludzkie – rzekł.

– Nie chodzi o Instytut Czasu, Hunahpu, ale o nasz program. O program “Kolumb”. Uda nam się. Nasza trzyosobowa grupa cofnie się w przeszłość, a wtedy wszystko to przestanie istnieć. Po co mielibyśmy brać ślub i mieć

dziecko w świecie, który i tak zniknie z naszego powodu już za parę lat?

– Tego nie wiemy. Matematycy mają podzielone zdania. Może interweniując w przeszłości tworzymy tylko rozwidlenie w czasie, tak że obie wersje przyszłości istnieją równorzędnie.

– Wiesz, że ta możliwość jest mało prawdopodobna. Więcej zwolenników ma teoria metaczasu. Wszystko, co wysyłasz do przeszłości, wypada ze strumienia przyczynowo-skutkowego. Nie podlega już żadnym czynnikom zachodzącym w strumieniu czasu, z którego pierwotnie pochodziło, a kiedy wchodzi do strumienia czasu w innym punkcie, staje się nie spowodowanym czynnikiem sprawczym. Jeśli zmienimy przeszłość, obecna teraźniejszość przestanie istnieć.

– Teoretycy wciąż się spierają, która z dwóch koncepcji jest trafniejsza, teoria metaczasu czy rozwidlenia, ale obie dają podstawę do zbudowania maszyny czasu – rzekł Hunahpu. – Nie wykorzystuj przeciwko mnie swej lepszej znajomości teorii czasu i matematyki.

– To i tak nie ma znaczenia – odparła Diko. – Nawet jeśli nasz czas będzie istniał dalej, mnie w nim nie będzie.

Diko była uparta. Zakładała, że będzie jedną z trzech osób, które udadzą się w podróż w przeszłość.

– To śmieszne – prychnął. – Wysoka czarna kobieta mieszkająca pomiędzy Taino?

– Wysoka czarna kobieta posiadająca szczegółową wiedzę na temat przyszłości sąsiednich szczepów – odparła. – Sądzę, że dam sobie radę.

– Rodzice nigdy ci na to nie pozwolą.

– Rodzice zrobią wszystko, co będzie potrzeba, żeby zapewnić misji powodzenie – rzekła Diko. – Mam lepsze kwalifikacje niż ktokolwiek inny. Cieszę się doskonałym zdrowiem. Znam języki, które będą przydatne – łacinę, hiszpański, dialekt genueński, dwa dialekty Arawakow, jeden dialekt Karibów oraz stary język ciboney używany podczas rytuałów w wiosce Putukam. Kto inny może pochwalić się podobnymi osiągnięciami? A poza tym znam plan, każdy jego szczegół, i byłam przy wszystkich etapach jego powstawania. Kto lepiej potrafi dostosować plan do warunków, jeśli okażą się inne od oczekiwanych? Tak więc udam się tam, Hunahpu. Ojciec i matka będą przeciwni, lecz rozumieją, że jeżeli liczą na sukces, powinni posłać mnie.

Hunahpu milczał. Wiedział, że to prawda. Diko wybuchnęła śmiechem.

– Ty hipokryto! Robiłeś dokładnie to samo – zaprojektowałeś plan dotyczący

Ameryki Środkowej w ten sposób, byś tylko ty mógł go zrealizować.

To również było prawdą.

– Jestem równie oczywistym kandydatem co ty – nawet bardziej, bo jestem Maja.

– Maja, który jest o trzydzieści centymetrów wyższy od Majów i Zapoteków z tamtych czasów! – odparowała Diko.

– Znam dwa dialekty Majów, poza tym języki nahuatl, zapotec, hiszpański, portugalski oraz oba liczące się dialekty tarascańskie. I wszystkie twoje argumenty mają zastosowanie również wobec mnie. Poza tym znam technologie, jakie będziemy próbowali wykorzystać, i szczegółowe historie ludzi, z którymi będziemy mieli do czynienia. Nie ma lepszego kandydata ode mnie.

– Wiem – powiedziała Diko. – Nie musisz mnie przekonywać.

– No tak, wszystko jasne – westchnął tylko.

– Jesteś hipokrytą. – W głosie Diko brzmiała nuta uczucia. – Byłeś przygotowany, że sam to zrobisz, ale oczekiwałeś, że ja zostanę tutaj. Snułeś idiotyczne marzenia, że weźmiemy ślub i będziemy mieli dzieci, a potem ja zostanę wierząc naiwnie, że jednak będzie tutaj jakaś przyszłość, ty zaś przeniesiesz się w czasie i wypełnisz swoje przeznaczenie.

– Nie – zaprotestował. – W gruncie rzeczy nigdy nie myślałem o małżeństwie.

– A więc o czym? O wymykaniu się na potajemne randki? Nie jestem twoją Beatriz, Hunahpu. Mam co robić, nie będę tylko wspierała ciebie w twojej szczytnej misji. I w odróżnieniu od Europejczyków oraz, jak widać, Indian, wiem, że utrzymywanie z kimś stosunków bez małżeństwa jest aspołeczne, jest odmową zajęcia właściwego miejsca w ludzkiej wspólnoty. Nie będę parzyła się jak zwierzę, Hunahpu. Wezmę ślub jak człowiek. I nie będzie to w tym strumieniu czasu. Jeśli gdziekolwiek wyjdę za mąż, to w przeszłości, bo jest to jedyne miejsce, gdzie czeka mnie jakaś przyszłość.

Słuchał z ciężkim sercem.

– Szansa, że będziemy żyli wystarczająco długo, by się tam spotkać, jest niewielka – rzekł.

– I właśnie dlatego odrzucam wszystkie twoje zaproszenia, by przenieść naszą znajomość poza te mury. Nie ma dla nas przyszłości.

– Liczy się dla ciebie tylko przyszłość i przeszłość? Nie zostawiasz choćby odrobiny miejsca na teraźniejszość?

– Nie. – Łzy pociekły jej po policzkach. Wytarł te łzy palcami, a potem

dotknął własnej twarzy.

– Nie będę kochał nikogo oprócz ciebie.

– Tak mówisz dzisiaj. Zwalniam cię z tego przyrzeczenia i wybaczam ci już w tej chwili, że pokochasz jakąś inną kobietę i się z nią ożenisz, a jeśli kiedykolwiek się spotkamy, powitamy się radośnie jak przyjaciele i nie będziemy żałować, że nie zachowaliśmy się głupio teraz.

– Będziemy żałować, Diko. W każdym razie ja będę. Żałuję teraz, będę żałował wtedy i zawsze. Nikt, kogo spotkamy w przeszłości, nie będzie rozumiał, kim naprawdę jesteśmy, nie tak jak my rozumiemy siebie nawzajem. Nikt tak jak my nie snuł wspólnie marzeń i nie pracował tak ciężko nad ich spełnieniem. Nikt nie będzie cię znał i kochał tak jak ja. Jeśli nawet masz rację, jeśli nie ma dla nas przyszłości, ja przynajmniej wolałbym stawić czoło mojej przyszłości ze świadomością, że mieliśmy siebie przez chwilę.

– A zatem jesteś romantycznym głupcem, tak jak matka zawsze twierdziła!

– Mówiła tak?

– Matka nigdy się nie myli – rzekła Diko. – Mówiła również, że nigdy nie będę miała lepszego przyjaciela od ciebie.

– Miała zatem rację.

– Bądź moim przyjacielem, Hunahpu. Nigdy więcej nie poruszaj tego tematu. Pracuj ze mną, a kiedy przyjdzie czas udać się w przeszłość, udaj się tam wraz ze mną. Niech naszym małżeństwem będzie wspólna praca, a naszym potomstwem przyszłość, którą zbudujemy. Pozwól mi stanąć kiedyś przed mężem bez obciążających mnie wspomnień innego męża lub innej miłości. Pozwól mi zachować wiarę w twoją przyjaźń, nie obarczaj poczuciem winy spowodowanym odrzuceniem lub przyjęciem twojej propozycji. Zrobisz to dla mnie?

Nie! – wykrzyknął Hunahpu w duchu. Nie jest to konieczne, nie musimy się niczego wyrzekać, możemy być szczęśliwi teraz i być szczęśliwi w przyszłości, a ty się mylisz, kompletnie się mylisz!

Tyle że jeśli Diko wierzyła, iż małżeństwo lub romans z nim uczynią ją nieszczęśliwą, to tak by się stało, a więc ze swojego punktu widzenia miała rację. Czy kochał tę dziewczynę, czy też tylko jej pragnął? Czy chodziło mu o szczęście Diko, czy też o zaspokojenie własnego pożądania?

– Tak – odparł. – Zrobię to dla ciebie.

Wtedy pocałowała go; złożyła pocałunek na jego wargach, nie przelotny, ale i nie namiętny. Pełen miłości, zwyczajnej miłości, jeden pocałunek, a potem

odeszła i zostawiła go samego.

8 – MROCZNA PRZYSZŁOŚĆ

Ojciec Talavera słuchał długich, metodycznych, czasem namiętnych dyskusji, ale wiedział od początku, że ostateczną decyzję na temat Golona będzie musiał podjąć sam. Ileż to lat słuchali Golona – i przemawiali do niego również – tak że byli już zmęczeni nie kończącym się powtarzaniem tych samych rozmów? Przez lata, od kiedy królowa poprosiła, by Talavera zajął się zbadaniem sprawy Golona, nic się nie zmieniło. Maldonado wciąż zdawał się uważać samo istnienie Golona za afront, a Deza sprawiał wrażenie, jakby był w Genuńczyku zakochany. Inni przychylali się ku jednemu lub drugiemu stanowisku, lub – jak Talavera – pozostawali neutralni. A raczej sprawiali wrażenie neutralnych. Byli po prostu jak trawa, uginająca się tak, jak powiał wiatr. Ileż to razy każdy z nich przychodził do niego potajemnie i przez długie godziny wykladał swoje poglądy, które zawsze sprowadzały się do jednego: że zgadzają się z każdym.

Tylko ja jestem prawdziwie neutralny, pomyślał Talavera. Tylko ja zachowuję równowagę w natłoku argumentów. Tylko ja słysząc, jak Maldonado cytuje zdania ze starożytnych, dawno zapomnianych dzieł pisanych w językach tak tajemnych, że zapewne nikt nimi nie mówił poza samym twórcą dzieła – tylko ja słysząc go rozumiem, że ten człowiek za żadną cenę nie dopuści, by jakaś nowa idea zepsuła jego zrozumienie świata. Tylko ja słysząc, jak Deza peroruje na temat geniuszu Golona, rozumiem, że ten człowiek pragnie być błędnym rycerzem rodem z poezji trubadurów, chce walczyć o sprawę, która jest wzniosła jedynie dlatego, że on o nią walczy.

Tylko ja jestem neutralny, pomyślał Talavera, ponieważ tylko ja pojmuję elementarny bezsens całej dyskusji. Który z owych starożytnych, jakich wszyscy cytują z taką pewnością, został uniesiony ręką Boga, by móc objąć spojrzeniem Ziemię? Który z nich dostał cyrkiel z ręki Boga, by móc dokonać pomiaru średnicy globu? Nikt nic nie wie, taka jest prawda. Jedyna poważna próba zmierzenia wielkości Ziemi, podjęta więcej niż tysiąc lat wcześniej, mogła być katastrofalnie niedokładna ze względu na choćby najdrobniejszy błąd w pierwotnych obserwacjach. Żadne argumenty nie mogły zmienić faktu, że jeśli logiczne rozumowanie opiera się na

domniemaniach, wnioski również będą domniemaniami.

Oczywiście Talavera nie mógł dzielić się z nikim tymi przemyśleniami. Nie zdobył swojej obecnej pozycji kwestionowaniem mądrości starożytnych, wręcz przeciwnie – wszyscy, którzy go znali, byli przekonani, że wyznaje poglądy ortodoksyjne. Talavera usilnie pracował nad taką opinią. W pewnym sensie była zresztą prawdziwa. Po prostu on definiował ortodoksję inaczej niż pozostali.

Talavera nie wierzył Arystotelesowi ani Ptolemeuszowi. Już dawno zdał sobie sprawę z tego, co badanie Golona pokazywało z taką jasnością: że dla każdego starożytnego autorytetu istnieje autorytet przeciwstawny równie starożytny i – jak podejrzewał – wnioskujący z równie błędnych danych. Niech inni uczeni twierdzą, że Platon słyszał szept Boga pisząc “Ucztę”; Talavera nie był tak głupi. Arystotelesa cechowała wybitna inteligencja, ale jego przemyślane stwierdzenia nie musiały być ani na jotę bardziej prawdziwe niż opinie innych wybitnie inteligentnych ludzi.

Talavera wierzył jednemu człowiekowi: Jezusowi Chrystusowi. Tylko Jego słowa obchodziły Talavere, tylko sprawa Chrystusa leżała mu na sercu. Każda inna sprawa, każda inna idea, każdy inny plan, każda frakcja lub pojedyncza osoba musiała być oceniana w świetle tego, jak przysłuży się albo zaszkodzi sprawie Chrystusa. Talavera już na początku swej kariery w strukturach Kościoła zdał sobie sprawę, że monarchowie Kastylii i Aragonii dobrze służą sprawie Chrystusa, toteż przystał do ich obozu. Znaleźli w nim cennego sługę, ponieważ był zręczny w pozyskiwaniu zasobów Kościoła dla ich celów.

Jego metoda była prosta: sprawdź, czego monarchowie pragną i czego potrzebują, by uczynić Hiszpanię jeszcze bardziej katolickim królestwem poprzez odebranie niewiernym władzy i wpływów, a następnie zinterpretuj wszystkie odpowiednie teksty w celu wykazania, że Ewangelie, tradycja kościelna i autorzy starożytni są jednomyślni w poparciu dla sprawy, o którą monarchowie już wcześniej zdecydowali się walczyć. Śmieszne – lub, gdy wpadał w inny nastrój, smutne – było to, że nikt nigdy nie poznał się na jego metodzie. Kiedy nieodmiennie wysuwał uczone argumenty na poparcie sprawy Chrystusa i monarchów Hiszpanii, wszyscy zakładali, że oznacza to, iż sprawa, o którą walczą monarchowie, jest słuszna, a nie że Talavera manipuluje tekstami. Jakby nikt nie zdawał sobie sprawy, że tekstami można manipulować.

A przecież wszyscy nimi manipulowali, poddając je interpretacjom i

przeróbkom. Z pewnością Maldonado robił to, by obronić swe z góry wyrobione sądy, a Deza – by je atakować. Jednak żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, co czyni. Wydawało im się, że odkrywają prawdę.

Ileż to razy Talavera pragnął przemówić do nich z najwyższą pogardą. Chciał powiedzieć: Oto jedyna prawda, jaka się liczy – Hiszpania toczy wojnę, oczyszczając Półwysep Iberyjski na chwałę Chrystusa. Król dowodzi w tej wojnie zręcznie i cierpliwie, i wygra, usuwając ostatnich Maurów z półwyspu. Królowa za mądrym przykładem Anglii zamierza wypędzić Żydów ze swego królestwa. (Nie chodziło o to, że Żydzi są niebezpieczni z natury – Talavera nie podzielał fanatycznej wiary Torquemady w ich podstępne knowania. Nie, Żydów trzeba było usunąć, ponieważ dopóki chrześcijanie widzieli, jak niewierni prosperują, jak żenią się, mają dzieci i wiodą normalne, uczciwe życie, dopóty nie byliby pewni w swojej wierze, że tylko w Chrystusie może istnieć szczęście. Żydzi musieli odejść, tak jak Maurowie musieli odejść.) A co miał z tym wszystkim wspólnego Colon? Podróż na zachód... Nawet jeśli miał rację, co by to dało? Nawrócenie pogan w odległej krainie, kiedy sama Hiszpania nie była jeszcze zjednoczona w chrześcijaństwie? To byłoby oczywiście wspaniałe i warte zachodu – ale pod warunkiem że w żaden sposób nie przeszkodziłoby w prowadzeniu wojny przeciwko Maurom. Tak więc, gdy inni dyskutowali na temat rozmiarów Ziemi i możliwości przepłynięcia oceanu, Talavera zawsze rozważał istotniejsze kwestie. Jak wieści o takiej ekspedycji wpłynęłyby na prestiż korony? Jakie byłyby koszty i czy ich przydzielenie mogłoby mieć wpływ na toczoną właśnie wojnę? Czy poparcie Golona umocniłoby, czy osłabiło sojusz Aragonii i Kastylii? Na czym naprawdę zależy królowi i królowej? Gdyby Golona odesłano, dokąd by się udał i co by zrobił?

Jak na razie wszystkie odpowiedzi były wystarczająco jasne. Król nie miał zamiaru wydawać ani jednego peso na cokolwiek poza wojną przeciwko Maurom, królowa zaś bardzo pragnęła poprzeć ekspedycję Golona. To oznaczało, że każda decyzja osłabiłaby sojusz obu krajów. Przy delikatnej równowadze sił pomiędzy królem i królową, pomiędzy Aragonią i Kastylią, każda decyzja dotycząca wyprawy Golona spowodowałaby obawy jednej ze stron, iż balans władzy został niebezpiecznie naruszony. Podejrzenia i zazdrość natychmiast by wzrosły.

A zatem Talavera, bez względu na wszystkie argumenty, był zdecydowany nie dopuścić do jakiegokolwiek werdyktu, dopóki sytuacja nie ulegnie zmianie. Było to proste z początku, ale w miarę jak lata mijały i stawało się

jasne, że Colon nie ma nic nowego do zaoferowania, coraz trudniej było utrzymać zainteresowanie jego planem. Na szczęście Colon jedyny wydawał się to rozumieć. Lub też jeśli tego nie rozumiał, przynajmniej współpracował z Talavera do pewnego stopnia: nieustannie czynił aluzje, że wie więcej, niż może powiedzieć. Zawołane odniesienia do informacji, jakie zdobył w Lizbonie lub na Maderze, napomknięcia o dowodach, które nie zostały jeszcze przedstawione – to wszystko pozwalało Talaverze nie zamykać dochodzenia.

Kiedy Maldonado (i Deza, choć z zupełnie innych powodów) żądał, by zmusić Golona do wyjawienia tych wielkich sekretów w celu rozstrzygnięcia sprawy raz na zawsze, Talavera zgadzał się, że byłoby to wielce pomocne, lecz bez wątpienia wszystko, czego Colon dowiedział się w Portugalii, zostało mu przekazane pod świętą przysięgą. Gdyby chodziło tu tylko o lęk przed odwetem Portugalczyków, Colon niczego by nie zataił, jest bowiem człowiekiem odważnym i nie lękał się króla Joao. Jeśli jednak była to kwestia honoru, jak mogli nalegać, by złamał przysięgę i zdradził tajemnicę? To tak jakby prosili Golona, żeby skazał się na wieczne potępienie! Muszą zatem uważnie słuchać wszystkiego, co Colon mówi, w nadziei że, jako ludzie inteligentni i uczeni, wyłuskają spomiędzy wierszy to, czego nie chce powiedzieć im otwarcie.

I – Bogu niech będą dzięki! – Colon chyba to pojmował. Z pewnością inni brali go na bok przy tej czy innej okazji, próbując poznać głęboko skrywane sekrety. Przez długie lata nigdy nawet jedną aluzją nie zdradził, czego owe sekretne informacje dotyczą. Co równie ważne, nigdy nie napomknął również, że żadnych tajemnic w istocie nie ma.

Talavera nie zgłębiał już argumentów – przeniknął ich istotę na samym początku i nic nowego nie zostało dodane przez te wszystkie lata. Nie, Talavera starał się zrozumieć Golona. Z początku zakładał, że Colon jest kolejnym dworakiem próbującym się wybić, ale to wrażenie szybko minęło. Genuńczyk wykazywał absolutną, graniczącą z fanatyzmem determinację w kwestii swojej podróży na zachód i żadne przywileje nie odwiodłyby go od planów. Stopniowo jednak Talavera zdał sobie sprawę, że ta podróż nie jest celem samym w sobie. Colon marzył. Nie o osobistym bogactwie czy sławie, raczej o władzy. Chciał coś osiągnąć, a wyprawa na zachód miała temu służyć. Ale cóż to było, co chciał osiągnąć? Talavera zastanawiał się nad tym miesiącami, latami.

Dzisiaj wreszcie poznał odpowiedź. Maldonado zaniechał uczonych

argumentów i z rozdrażnieniem stwierdził, że Colon jest samolubny, gdyż próbuje odwieść uwagę monarchów od prowadzonej przez nich wojny z Maurami. Colon wybuchnął nagle gniewem.

– Po co toczyć wojnę z Maurami?! Żeby wypchnąć ich z Granady, z małego skrawka tego jałowego półwyspu?! Mając bogactwa Wschodu, moglibyśmy wyrzucić Turków z Konstantynopola, a stamtąd byłby już tylko mały krok do Armagedonu i wyzwolenia Ziemi Świętej! A ty mówisz, że nie powinienem o nic prosić, ponieważ utrudniam prowadzenie wojny z Granadą? Równie dobrze mógłbyś powiedzieć matadorowi, żeby nie zabijał byka, ponieważ przeszkodzi mu to rozdeptać mysz!

Colon od razu pożałował swojego wybuchu i szybko zapewnił obecnych, że jest najszczerzym zwolennikiem wojny przeciwko Granadzie.

– Wybaczcie słowa podyktowane namiętnością, panowie. Niczego tak nie pragnę jak zwycięstwa naszych chrześcijańskich armii nad Maurami.

Talavera natychmiast mu wybaczył i zakazał komukolwiek powtarzać słowa Golona.

– Wiemy, że twoje słowa powodowane były miłością do Chrystusa, pragnieniem, byśmy osiągnęli nawet więcej niż zwycięstwo przeciwko Granadzie, nie mniej.

Colon, zdawało się, odetchnął z ulgą słysząc odpowiedź Talavery. Mógłby pożegnać się ze swymi planami, gdyby jego uwagi wzięto za dowód braku lojalności – a konsekwencje osobiste również byłyby poważne. Pozostali również mądrze pokiwali głowami. Nie mieli zamiaru denuncjować Golona. Nie przysporzyłoby im chwały, gdyby okazało się, że potrzebowali aż tylu lat, by odkryć, iż Colon jest zdrajcą!

Colon nie wiedział, zresztą żaden z obecnych nie wiedział, jak głęboko zapadły te słowa w serce Talavery. Krucjata! Oswobodzenie Konstantynopola! Złamanie potęgi Turków! Wbicie sztyletu w serce islamu! Kilkoma zdaniem Colon zmusił Talaverę do ujrzenia pracy jego życia w odmiennym świetle. Talavera życie poświęcił sprawie katolickiej Hiszpanii, a teraz zrozumiał, że jego wiara jest śmieszna. Colon ma rację: jeśli służymy Chrystusowi, po co ganiamy mysz, kiedy wielki byk szatana chodzi wolno po największym mieście chrześcijaństwa?

Talavera nagle zdał sobie sprawę, że służenie królowi i królowej nie musi być tożsame ze służeniem Chrystusowi. Zdał sobie sprawę, że rozmawia z człowiekiem dorównującym mu oddaniem Chrystusowi. Tak wielka była moja duma, pomyślał. Tyle lat zmarnowałem, zanim doszedłem do tej

prawdy.

A przez te lata cóż zrobiłem? Trzymałem Golona uwięzionego tutaj, zwodząc go, pilnując, by kwestia pozostała nie rozstrzygnięta, ponieważ podjęcie jakiegokolwiek decyzji osłabiłoby unię pomiędzy Aragonią i Kastylią. A jeśli nie Ferdynand i Izabela, lecz Colon wie, co najlepiej przysłuży się sprawie Chrystusa? Jak ma się oczyszczenie Hiszpanii do wyzwolenia pradawnych ziem chrześcijańskich? Po złamaniu potęgi islamu nic nie przeszkodziłoby w rozgłoszeniu słowa Bożego na całym świecie!

Gdyby tylko Colon przyszedł do nas z planem krucjaty, a nie tej dziwacznej podróży na zachód! Był elokwentny, pewny siebie i miał w sobie coś, co sprawiało, że ludzie chętnie go słuchali, chcieli dać się przekonać. Talavera wyobraził sobie, jak jeździ od króla do króla, od dworu do dworu. Może zdołałby przekonać monarchów Europy, by zjednoczyli się we wspólnej walce przeciwko imperium osmańskiemu.

Colon wybrał inną drogę. Uznał najwidoczniej, że jedynym sposobem doprowadzenia do takiej krucjaty jest ustanowienie bezpośredniego, szybkiego połączenia z wielkimi królestwami Wschodu. Cóż, a jeśli miał rację? Jeśli Bóg zesłał mu taką wizję? Z pewnością nie było to coś, co inteligentny człowiek wymyśliłby sam – najbardziej racjonalna taktyka polegała na opłynięciu Afryki, tak jak robili to Portugalczycy. Ale czy i to nie było traktowane jak szaleństwo? Wszak wielu antycznych pisarzy twierdziło, że Afryka rozciąga się aż do bieguna południowego, nie można jej więc opłynąć! A jednak Portugalczycy trwali w swym uporze, chociaż odkrywali raz po raz, że choć płyną i płyną daleko na południe, Afryka wciąż tam jest, dużo dłuższa niż myśleli. I proszę, rok wcześniej Diaz wrócił w końcu z dobrymi wieściami – opłynęli przyłodek i odkryli, że linia brzegowa biegnie na wschód, nie na południe; a potem skręca na północny wschód, a potem na północ. Opłynęli Afrykę. Irracjonalny upór Portugalczyków okazał się całkiem racjonalny.

Czy irracjonalne plany Golona nie mogły przynieść podobnych efektów? Tylko że nie przekonywał do wypraw trwających latami. Jego droga na Wschód przyniosłaby zyski o wiele szybciej. A na dodatek plan Golona nie wzbogaciłby jednego maleńkiego państewka jak Portugalia, lecz doprowadziłby w końcu do zwycięstwa Kościoła Chrystusowego na całym świecie!

Teraz więc zamiast myśleć, jak przeciągać dochodzenie w sprawie Golona i oczekiwać, aż pragnienia monarchów same się wypełnią, Talavera w swej

surowej komnacie zastanawiał się, jak przyspieszyć sprawę. Nie mógł nagle, po tylu latach, przy braku jakichkolwiek nowych argumentów, ogłosić, że ni stąd, ni zowąd komisja podjęła decyzję na korzyść Golona. Maldonado i jego zwolennicy protestowaliby przed ludźmi króla, wywiązałyby się zaciekle walka. Królowa przegrałaby niemal na pewno, ponieważ poparcie, jakiego udzielali jej możni panowie z Kastylii, w dużej mierze opierało się na powszechnej opinii, iż królowa “myśli jak mężczyzna”. Publiczna kłótnia z królem zadałaby kłam tej opinii. A zatem otwarte poparcie Colona zapewne pogrzebałoby szansę na wyprawę.

Nie, pomyślał Talavera, nie mogę poprzeć Colona otwarcie. Co więc mogę zrobić?

Mogę zwrócić mu wolność. Zakończyć dochodzenie i pozwolić mu udać się do następnego władcy, na następny dwór. Talavera dobrze wiedział, że przyjaciele Colona dyskretnie zasięgali informacji na dworach Francji i Anglii. Portugalczycy odkryli wreszcie afrykański szlak na wschód, teraz mogli zapewne wykosztować się na niewielką ekspedycję w kierunku zachodnim. Z pewnością inni władcy musieli zazdrościć Portugalii przewagi w handlu ze Wschodem. Colon mógłby odnieść sukces gdzie indziej. Cokolwiek więc jeszcze się zdarzy, muszę niezwłocznie zakończyć dochodzenie, zdecydował Talavera.

A może uda się zakończyć dochodzenie i jednocześnie pokierować sprawami w sposób korzystny dla zwolenników Colona?

Mając na poły uformowany plan w głowie, Talavera posłał królowej liścik z prośbą o potajemną audiencję w sprawie Colona.

Tagiri nie rozumiała swojej reakcji na wiadomości o sukcesie naukowców pracujących nad maszyną czasu. Powinna być szczęśliwa. Powinna radować się wiedząc, że praca jej życia może doczekać realizacji. A jednak od czasu spotkania z zespołem fizyków, matematyków i inżynierów zajmujących się projektem podróży w przeszłość była rozdrażniona, podenerwowana, wystraszona. Odwrotnie niż się spodziewała.

Tak, powiedzieli naukowcy, możemy wysłać żywego człowieka w przeszłość. Ale jeśli to zrobimy, to nie ma żadnej, absolutnie żadnej szansy, by nasz obecny świat przetrwał w jakiegokolwiek formie. Wysłanie kogoś w przeszłość w celu jej zmienienia oznacza koniec nas samych.

Z ogromną cierpliwością wyjaśniali zawilości fizyki temporalnej grupie

historyków.

– Jeśli nasz czas zostanie zniszczony, to czy zniszczeniu nie ulegną również ludzie, których wysłamy w przeszłość? – pytał Hassan. – Jeśli żaden z nas w ogóle się nie narodzi, to ludzie, których wysłamy, również się nie narodzą, a zatem nie będą mogli być wysłani.

Nie, odparli naukowcy, mylicie przyczynowość z czasem. Czas sam w sobie, jako zjawisko, jest całkowicie linearny i jednokierunkowy. Każda chwila wydarza się tylko raz i przechodzi w następną chwilę. Nasza pamięć rejestruje ten jednokierunkowy przepływ czasu, który utożsamiamy z przyczynowością. Wiemy, że jeśli A powoduje B, to A musi następować wcześniej niż B. Ale fizyka czasu nie potwierdza takiej konieczności. Pomyślcie o tym, co zrobili wasi poprzednicy. Urządzenie, które posłali w przeszłość, było efektem długiego łańcucha przyczynowo-skutkowego. Wszystkie przyczyny były rzeczywiste i urządzenie naprawdę istniało. Wysłanie go wstecz w czasie nie wymazało żadnego z wydarzeń, które doprowadziły do jego powstania. Ale w chwili gdy urządzenie odtworzyło wiadomość przed Kolumbem na plaży u wybrzeży Portugalii, zaczęło jednocześnie przekształcać łańcuch przyczynowo-skutkowy, tak że nie prowadził on już do tego samego punktu. Wszystkie przyczyny i skutki naprawdę się wydarzyły – te prowadzące do powstania urządzenia i te, które nastąpiły po jego uruchomieniu się w piętnastym stuleciu.

– Ale w takim razie twierdzicie, że ich przyszłość nadal istnieje! – zaprotestował Hunahpu.

To zależy od tego, jak zdefiniuje się istnienie, wyjaśnili. Jako część łańcucha przyczynowo-skutkowego prowadzącego do obecnej chwili, tak, tamci ludzie istnieją w tym sensie, że pewna część ich łańcucha przyczynowo-skutkowego, która doprowadziła do istnienia ich urządzenia w naszym czasie, wciąż wywiera wpływ na obecny świat. Ale żadne inne zdarzenie nie ma obecnie żadnego wpływu na nasz strumień czasowy. Wszystko w ich historii, co w wyniku wprowadzenia urządzenia do naszego czasu zostało wymazane, jest całkowicie i nieodwołalnie stracone. Nie możemy cofnąć się w naszą przeszłość i obejrzeć jej, ponieważ ona się nie wydarzyła.

– Ale ona się wydarzyła, ponieważ ich urządzenie istnieje.

Nie, tłumaczyli spokojnie. Przyczynowość może być odwracalna, ale czas nie. Wszystkie wydarzenia, które zostały wymazane w rezultacie uruchomienia ich maszyny, w rzeczywistości w ogóle nie miały miejsca. Nie ma momentu w czasie, kiedy by istniały. A zatem nie można ich zobaczyć

ani odwiedzić, ponieważ ich miejsca w czasie zajmowane są teraz przez inne chwile. Dwa sprzeczne zestawy wydarzeń nie mogą zajmować tego samego miejsca w czasie. Trudno wam to pojąć, gdyż nie potraficie oddzielić przyczynowości od czasu. To naturalne, ponieważ czas jest czymś racjonalnym. Przyczynowość jest irracjonalna. Przez stulecia bawiliśmy się w spekulacje w ramach matematyki czasu, ale nigdy nie dostrzeglibyśmy rozróżnienia pomiędzy czasem i przyczynowością, gdybyśmy nie musieli wyjaśnić istnienia tego urządzenia z przyszłości.

– Twierdzicie więc – zasugerowała Diko – że tamta inna historia nadal istnieje, tylko że my nie potrafimy jej zobaczyć za pomocą naszych maszyn. Wcale tego nie twierdzimy, odparli z niezmierną cierpliwością. O niczym, co nie było w ciągu przyczynowo-skutkowym powiązane z powstaniem tamtego urządzenia, nie można powiedzieć, że w ogóle kiedykolwiek istniało. Wszystko zaś, co było powiązane z powstaniem urządzenia i jego wprowadzeniem do naszego czasu, istnieje na podobnej zasadzie co choćby liczby nierzeczywiste.

– Ale oni istnieli naprawdę! – krzyknęła Tagiri z pasją, która ją samą zaskoczyła. – Przecież istnieli.

– Nie – powiedział stary Manjam, który dotąd pozwalał wypowiadać się młodszym kolegom. – My, matematycy, nie zastanawiamy się nad tym problemem. Nigdy nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi do rzeczywistości. Ale oczywiście twój umysł się buntuje, ponieważ twój umysł istnieje w czasie. Musisz jednak zrozumieć, że przyczynowość nie jest rzeczywista. Przyczynowość nie istnieje w czasie. Moment A nie powoduje w rzeczywistości momentu B. Moment A istnieje, a potem moment B istnieje, a pomiędzy nimi są momenty od Aa do Aż, a pomiędzy Aa i Ab są momenty od Aaa do Aaz. Żaden z tych momentów nie styka się wcale z pozostałymi. Tym właśnie jest rzeczywistość – nieskończonym szeregiem odrębnych momentów nie połączonych między sobą, ponieważ żaden moment w czasie nie ma wymiaru linearnego. Kiedy urządzenie Interwencji zostało wprowadzone do naszej historii, od tej chwili nowy nieskończony zestaw chwil całkowicie zastąpił poprzedni nieskończony zestaw chwil. Nie zostały żadne puste miejsca, w których stare chwile mogłyby przetrwać. A ponieważ nie ma dla nich czasu, nie istnieją. Jednak na przyczynowość nie ma to wpływu. Przyczynowość nie jest geometryczna. Stosuje się do zupełnie innej matematyki, takiej, która niezbyt pasuje do pojęć przestrzeni i czasu, a z całą pewnością nie pasuje do niczego, co mogłabyś określić jako “rzeczywiste”.

Nie ma czasu ani miejsca, w którym te wydarzenia mogły nastąpić.

– Co to oznacza? – zapytał Hassan. – Czy ktoś posłany w przeszłość nagle zapomni wszystko o czasie, z którego przybył, ponieważ ten czas przestanie istnieć?

– Osoba posłana w przeszłość jest odrębnym wydarzeniem – wyjaśnił Manjam. – Jej mózg będzie zawierał wspomnienia. Jeśli ta osoba zaktualizuje swoje wspomnienia, będzie sądzić, że pamięta coś rzeczywistego, jakiś świat i jakąś historię. Lecz w rzeczywistości będzie istniała tylko ta osoba i jej mózg. Łańcuch przyczynowo-skutkowy będzie zawierał tylko te połączenia przyczynowe, które doprowadziły do powstania fizycznego ciała tej osoby, w tym stanu jej mózgu, a wszystkie części łańcucha przyczynowo-skutkowego nie przynależne do nowej rzeczywistości można będzie uznać za nie istniejące.

Tagiri była wstrząśnięta.

– Nie obchodzi mnie, że niewiele rozumiem – powiedziała. – Wiem tylko, że nie chcę dłużej tego słuchać.

– Spotkanie z czymś, co kłóci się z intuicją, zawsze napawa nas lękiem – rzekł Manjam.

– Nieprawda! – Tagiri drżała na całym ciele. – Nie powiedziałam, że się boję. Wcale nie. Jestem tylko wściekła i... zawiedziona. Przerażona.

– Przerażona matematyką czasu?

– Przerażona tym, co robimy, tym, co zrobili Interwenci. Chyba zawsze czułam, że w jakimś sensie oni istnieli dalej. Że wysłali swoje urządzenie, a potem dalej żyli, pocieszając się, iż w jakiś sposób pomogli swoim przodkom.

– Ale to nigdy nie było możliwe – odparł Manjam.

– Wiem – rzekła Tagiri. – Więc kiedy się nad tym zastanawiałam, wyobrażałam sobie, jak wysyłają urządzenie i w tej samej chwili... znikają. Czysta bezbolesna śmierć dla wszystkich. Ale przynajmniej żyli wcześniej, do tego momentu.

– Cóż, czy czyste bezbolesne nieistnienie jest w jakikolwiek sposób gorsze od czystej bezbolesnej śmierci?

– Nie jest w żaden sposób gorsze. Ani lepsze dla samych zainteresowanych.

– Jakich zainteresowanych? – Manjam wzruszył ramionami.

– Dla nas, Manjam. Mówimy o zrobieniu tego sami sobie.

– Jeśli to zrobicie, to będzie tak, jakby nas nigdy nie było. Jedynymi aspektami naszego łańcucha przyczynowo-skutkowego posiadającymi

jakąkolwiek przyszłość albo przeszłość będą te powiązane z powstaniem fizycznych ciał i stanów umysłu osób, które pošlecie w przeszłość.

– Głupia dyskusja – powiedziała Diko. – Kogo obchodzi, co jest realne, a co nie? Czy nie tego właśnie chcieliśmy przez cały czas? Sprawić, że okropne wydarzenia z naszej historii nigdy nie miały miejsca? Jeśli zaś chodzi o naszą własną historię, o te fragmenty, które ulegną wymazaniu, to kogo obchodzi, czy matematycy będą używać wobec nas obelg takich jak “nierzeczywisty”? Takie same kalumnie rzucają na przykład na pierwiastek z minus dwóch.

Zaśmiali się wszyscy, ale Tagiri milczała. Oni nie postrzegali przeszłości tak samo jak ona. Lub raczej nie czuli tak przeszłości. Kiedy patrzyła przez Tempoview i TruSite II, przeszłość była dla niej czymś żywym i realnym. Tylko dlatego że tamci ludzie byli martwi, nie oznaczało, iż nie stanowią nadal części teraźniejszości, ponieważ ona mogła przywrócić ich światu. Zobaczyć ich, posłuchać. Nawet przed powstaniem maszyn do obserwowania historii zmarli istnieli w pamięci, w jakimś rodzaju pamięci. Ale to się diametralnie zmienia, jeśli zmieniają przeszłość. Nie było łatwo prosić dzisiejszą ludzkość o zgodę na stworzenie nowej rzeczywistości. A co dopiero sięgnąć wstecz i zabić nieżywych, ich również wymazać... w dodatku oni nie mogli decydować. Nie można było ich zapytać o zdanie.

Nie wolno nam tego zrobić, pomyślała. To będzie gorsza zbrodnia niż te, którym próbujemy zapobiec.

Wstała i opuściła salę. Diko i Hassan chcieli wyjść z nią, ale zatrzymała ich ruchem ręki.

– Muszę być sama – powiedziała, zostali więc, wracając do rozmowy, która bez niej musiała przerodzić się w chaos. Przez chwilę czuła żal, że tak gwałtownie zareagowała na radość fizyków, ale kiedy szła ulicami Juby, ten żal zniknął, zastąpiony przez inny, o wiele głębszy.

Dzieci bawiące się nago w piasku i krzakach. Mężczyźni i kobiety zajmujący się swoimi sprawami. Przemówiła do nich wszystkich w duchu. Czy chcielibyście umrzeć? I nie tylko wy, lecz także wasze dzieci i ich dzieci? I nie tylko one, lecz także wasi rodzice? Wróćmy na cmentarze, pootwierajmy groby i zabijmy zmarłych. Wszystko, co zrobili dobrego i złego, wszystkie ich radości, wszystkie cierpienia, wszystkie decyzje – wykasujmy, wymażmy. Sięgajmy wstecz, coraz bardziej wstecz, aż wreszcie dotrzemy do tego złotego momentu, który wybraliśmy, uznając, że jest wart istnieć, ale z inną przyszłością uciepioną jego końca. A dlaczego wy musicie zginąć? Dlaczego wasi przodkowie muszą zginąć? Ponieważ według naszej oceny

świat, który stworzyli, nie był dość dobry. Błędy, jakie popełniali po drodze, były tak ciężkie, że przeważały dobro, jakie również sprawili. Wszystko musi zostać wykasowane.

Jak śmiem? Jak śmiemy? Nawet jeśli uzyskamy jednomyślną zgodę wszystkich ludzi naszego czasu, w jaki sposób mamy zapytać umarłych?

Zeszła skarpą nad rzekę. O zmierzchu upał wreszcie trochę zelżał. W oddali hipopotamy brodziły w wodzie, pożywiały się lub drzemały. Ptaki wyśpiewywały trele, czekając na pojawienie się nocnych owadów – na ucztę. Co chodzi wam po głowie, ptaki, hipopotamy, owady? Czy podoba wam się, że żyjecie? Czy boicie się śmierci? Zabijacie, by żyć; umieracie, by żyć mogli inni; to ścieżka wyznaczona dla was przez ewolucję, przez samo życie. Ale gdybyście mieli tę możliwość, czy nie ocalilibyście siebie?

Siedziała wciąż nad rzeką, kiedy nadszedł mrok i pojawiły się gwiazdy. Patrząc przez chwilę na pradawny blask gwiazd pomyślała: Dlaczego się przejmuję wymazaniem tak wielkiej części ludzkiej historii? Dlaczego się przejmuję, że będzie zapomniana? Gorzej – nieznana! Dlaczego miałoby to być zbrodnią, kiedy cała ludzka historia jest zaledwie mgnieniem oka w porównaniu z miliardami lat istnienia gwiazd? Wszyscy zostaniemy zapomniani w ostatnim wydechu naszej historii; jakie to ma zatem znaczenie, że jedni będą zapomniani wcześniej niż inni, a niektórzy w ogóle nie zaistnieją?

Och, to takie mądre, porównywać ludzkie życie z życiem gwiazd. Tylko że takie porównanie działa w dwie strony. Jeśli w ostatecznym rozrachunku nie ma znaczenia, że wymazujemy miliardy istnień, by ocalić naszych przodków, to w ostatecznym rozrachunku ocalenie naszych przodków również nie ma znaczenia, więc po co w ogóle się trudzić i zmieniać przeszłość?

Liczą się jedynie ludzie. My jesteśmy jedynymi, którym na tym zależy; jesteśmy aktorami i zarazem publicznością, każdy z nas. I krytykami. Jesteśmy również krytykami.

Zobaczyła światło latarki kołyszące się w ciemnościach i jednocześnie usłyszała kroki.

– To światło przyciągnie drapieżniki, lepiej je zgaś – powiedziała.

– Wracaj do domu – poprosiła Diko. – Tu nie jest bezpiecznie, ojciec się niepokoi.

– Dlaczego się niepokoi? Moje życie nie istnieje. Nigdy nie żyłam.

– Żyjesz teraz, tak samo jak ja i jak krokodyle.

– Jeśli pojedyncze istnienia nie mają znaczenia, to po co cofać się w czasie,

by je naprawić? A jeśli mają znaczenie, to jak śmiemy wymazywać jedne dla dobra drugich?

– Pojedyncze istnienie ma znaczenie – powiedziała Diko. – Ale życie jako takie również jest ważne. Życie jako całość. O tym właśnie zapomniałaś dzisiaj. O tym zapomniał również Manjam i pozostali naukowcy. Mówią o momentach, oddzielnych, nigdy się nie stykających, i mówią, że są jedyną rzeczywistością. Tak jak jedyną rzeczywistością ludzkiego życia są pojedynczy ludzie, odrębni osobnicy, którzy w gruncie rzeczy nigdy się nie znają, nie stykają się nigdy w żadnym punkcie. Bez względu na to, jak blisko z kimś jesteś, zawsze jesteście oddzielni.

Tagiri potrząsnęła głową.

– To nie ma nic wspólnego z moim zmartwieniem.

– Ależ ma – odparła Diko. – Ponieważ ty wiesz, że to jest kłamstwo. Wiesz, że matematycy myślą się co do odrębnych momentów, o których mówią. Te momenty jednak się stykają. Wprawdzie nie potrafimy dotknąć przyczynowości, połączeń między momentami, lecz nie oznacza to, że one nie istnieją. Tak samo gdy patrząc na rasę ludzką, społeczność, rodzinę, widzisz tylko pojedynczych ludzi, nie oznacza to, że rodzina nie jest realna. Kiedy odpowiednio dokładnie przyjrzesz się molekułom, będziesz widziała atomy. Nie istnieje pomiędzy nimi fizyczne połączenie. A jednak molekula jest realna ze względu na wpływ, jaki atomy wywierają na siebie nawzajem.

– Jesteś taka sama jak oni – mruknęła Tagiri. – Na rozpacz odpowiadasz analogiami.

– Analogie to wszystko, co mam – odparła Diko. – Prawda to wszystko, co mam, a prawda nigdy nie jest przyjemna. Nauczyłaś mnie szukać prawdy i próbować ją pojąć. Oto więc prawda. Czym jest życie ludzkie, czemu służy? Tworzeniu społeczności. Niektóre z nich są dobre, niektóre złe, a niektóre sytuują się gdzieś pomiędzy. Istnieją również społeczności całych społeczności, grupy grup oraz...

– A co czyni je dobrymi lub złymi? – zapytała Tagiri. – Jakość życia pojedynczych ludzi. Tych, których chcemy wymazać.

– Nie – odparła Diko. – Chcemy tylko cofnąć się i poddać korekcie ostateczną społeczność społeczności, ludzką rasę jako całość, historię naszej obecności tutaj na Ziemi. Stworzymy nową wersję tej historii, taką, która da jej uczestnikom o wiele większą szansę na szczęście i godne życie. To jest realne, mam, i dobre. Warto to zrobić. Naprawdę.

– Nigdy nie znałam żadnych grup – westchnęła Tagiri. – Tylko ludzi.

Pojedynczych ludzi. Dlaczego ci ludzie mieliby płacić za to, żeby ta wyimaginowana “historia ludzkości” mogła stać się lepsza? Lepsza dla kogo? – Ależ mam, pojedynczy ludzie zawsze poświęcają się dla dobra społeczności. Czasem nawet dobrowolnie umierają w obronie społeczności. Poświęcają się na tysiące innych sposobów. A dlaczego? Dlaczego rezygnujemy z naszych osobistych pragnień, dlaczego ciężko pracujemy nad zadaniami, których nie znosimy albo się lękamy, ponieważ wymaga tego interes ogółu? Dlaczego zniosłaś tyle bólu, by urodzić mnie i Acho? Dlaczego poświęciłaś tyle czasu na wychowanie nas?

Tagiri spojrzała na córkę.

– Nie wiem, ale kiedy cię słucham, zaczynam myśleć, że było warto. Ponieważ ty rozumiesz inaczej niż ja. Jesteś inna niż ja. Chciałam stworzyć kogoś różnego od siebie, lepszego, i świadomie zrezygnowałam z części własnego życia, żeby to osiągnąć. I oto jesteś. I mówisz mi, że tacy właśnie będą ludzie naszego czasu dla mieszkańców nowej historii, którą stworzymy. Że poświęcimy się, by stworzyć ich historię, tak jak rodzice poświęcają się, by wychować zdrowe, szczęśliwe dzieci.

– Tak, mam – powiedziała Diko. – Manjam się myli. Ludzie, którzy przesłali Kolumbowi wizję na plaży, naprawdę istnieli. Byli rodzicami naszej ery; my jesteśmy ich dziećmi. A teraz sami staniemy się rodzicami następnej ery.

– Co dowodzi tylko, że człowiek zawsze znajdzie piękne i szlachetne słowa na opisanie strasznych rzeczy, tak by dało się z nimi żyć.

Diko przez długą chwilę milczała. Potem cisnęła latarkę na ziemię u stóp matki i odeszła w mrok.

Spotkanie z Talavera nappełniało Izabelę lękiem. Wiedziała, że będzie dotyczyło Golona. Najwyraźniej kapłan podjął już decyzję.

– Czuję się dziwnie – powiedziała do damy Felicii. – Tak się niepokoję, jakby to mnie sądzono i miano właśnie wydawać wyrok.

Dama Felicia mruknęła coś niezobowiązującego.

– Być może, jestem sądzona.

– Jaki sąd na ziemi może osądzić królową, Wasza Wysokość? – zapytała retorycznie dama Felicia.

– O to właśnie chodzi. Kiedy Cristobal przemówił do mnie po raz pierwszy, tyle lat temu, czułam, że Matka Boża daje mi coś bardzo słodkiego i

delikatnego, jak owoc z Jej własnego ogrodu, grono z winorośli pielęgnowanej Jej rękami.

– To fascynujący człowiek, Wasza Wysokość.

– Ja powiedziałabym, że jest miły i pełen pasji. – Izabela uważała, by nigdy, w żadnych okolicznościach, nie sugerować innym, iż jakkolwiek mężczyzna poza mężem wywołuje w niej choćby cień pożądania. – Ale nie o nim mówiłam. Królowa Niebios dawała mi szansę otworzenia wielkich drzwi, które tak długo były zamknięte. – Westchnęła. – Jednak władza królowych nie jest nieograniczona. Nie mam statków na zawołanie, a koszt udzielenia natychmiastowej zgody byłby zbyt wielki. Dziś Talavera podjął decyzję i obawiam się, że będzie chciał zamknąć drzwi, do których klucz dostałam tylko jeden raz. Klucz ten przejdzie w inne ręce, a ja będę żałowała tego po wsze czasy.

– Niebo nie może potępić Waszej Wysokości, skoro zrobienie czegoś nie leżało w twojej mocy, pani.

– Nie kłopotczę się w tej chwili potępieniem niebios. To sprawa pomiędzy mną i moimi spowiednikami.

– Pani, nie mówiłam, że grozi Waszej Wysokości jakiegokolwiek potępienie ze strony...

– Nie, nie, Felicio, nie martw się, wiem, że pragnęłaś mnie tylko uspokoić.

Felicia, wciąż zakłopotana, wstała, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi i wszedł ojciec Talavera.

– Czy poczekaś przy drzwiach, droga Felicio? – poprosiła Izabela.

Talavera pokłonił się nad dłonią królowej.

– Wasza Wysokość, zamierzam poprosić ojca Maldonado o napisanie werdyktu.

Najgorsze z możliwych rozwiązań. Izabela usłyszała, jak wrota niebios zamykają się przed nią z trzaskiem.

– Dlaczego akurat dzisiaj? – zapytała. – Tyle lat zajmowaliście się Colonem, a dzisiaj nagle jest to sprawa, którą trzeba rozstrzygnąć natychmiast?

– Sądzę, że tak – odparł kapłan.

– A dlaczegoż to?

– Ponieważ zwycięstwo w Granadzie jest bliskie.

– Och, czyżby Bóg przemówił do ojca w tej kwestii?

– Nie Bóg, oczywiście, ale Jego Wysokość król dał mi to odczuć. Jest w nim świeża energia. Ty też to czujesz, pani. Jego Wysokość przygotowuje się do zadania ostatecznego ciosu i z pewnością mu się uda. Nadchodzącego lata.

Pod koniec roku 1491 Hiszpania będzie wolna od Maurów.

– I to oznacza, że trzeba przyspieszyć sprawę podróży Colona?

– Oznacza to – odparł Talavera – że ktoś, kto chce przedsięwziąć coś tak zuchwałego, musi czasem postępować bardzo ostrożnie. Wyobraź sobie, pani, co by się stało, gdyby nasz werdykt był korzystny. Założmy, że powiemy: “Ta wyprawa może się powieść”. Co wtedy? Natychmiast Maldonado i jego zwolennicy zaczną szeptać królowi do ucha, krytykując pomysł podróży. Będą też przekonywać wielu innych, wkrótce wyprawa ta będzie traktowana jako kaprys. Kaprys Izabeli.

Królowa uniosła brew.

– Mówię tylko, co będą twierdzić ludzie o złośliwych sercach – ciągnął Talavera. – A teraz proszę sobie wyobrazić, że werdykt zostanie wydany po zakończeniu wojny, gdy Jego Wysokość będzie mógł poświęcić mu wiele uwagi. Kwestia tej wyprawy mogłaby z łatwością stać się kością niezgody pomiędzy dwoma królestwami.

– Widzę, że według ojca poparcie Golona byłoby równoznaczne z katastrofą.

– A teraz proszę sobie wyobrazić, Wasza Wysokość, że werdykt jest niekorzystny. Że Maldonado wręcz sam go napisał. W takim razie Maldonado nie miałby o czym plotkować. Nie byłoby żadnej szeptanej propagandy.

– Nie byłoby też wyprawy.

– Czy aby na pewno? – zapytał Talavera. – Wyobrażam sobie dzień, w którym pewna królowa mówi do małżonka: “Ojciec Talavera przyszedł do mnie i zgodziliśmy się, że ojciec Maldonado powinien napisać werdykt”.

– Ale ja się nie zgodziłam.

– Wyobrażam sobie tę królową, jak mówi do swego męża: “Zgodziliśmy się, że Maldonado powinien napisać werdykt, ponieważ wiemy, że wojna z Granadą jest najbardziej palącą kwestią w całym królestwie. Nie chcemy, by cokolwiek przeszkadzało tobie albo komukolwiek innemu w prowadzeniu świętej wojny przeciwko Maurom. Przede wszystkim zaś nie chcemy dawać królowi Joao z Portugalii powodu, by myślał, iż planujemy jakąś podróż przez wody, które on uważa za swoje własne. Potrzebujemy jego niezachwianej przyjaźni podczas ostatecznej rozprawy z Granadą. Tak więc chociaż w głębi serca niczego nie pragnę bardziej niż posłać Golona na zachód, by zaniósł krzyż wielkim królestwom Wschodu, odstawiłam to marzenie na bok”.

– Jakże elokwentną królową wyobraziłeś sobie, ojczu – rzekła Izabela.

– Wszelkie kontrowersje wygasają. Król postrzega królową jako monarchinię o wielkiej mądrości politycznej. Dostrzega również jej poświęcenie dla obu królestw i dla sprawy Chrystusa. Wyobraźmy sobie teraz, że czas mija. Wojna zostaje wygrana. Pośród powszechnej radości królowa przychodzi do króla i mówi: “A teraz sprawdźmy, czy ten Colon nadal pragnie pożegłować na zachód”.

– A król odpowiada: “Myślałem, że sprawa jest zakończona. Komisja pod przewodnictwem Maldonada położyła już kres tym nonsensom”.

– Tak by powiedział? – zdziwił się Talavera. – Na szczęście królowa jest zręcznym politykiem i odpowiada: “Och, ale wiesz przecież, że Talavera i ja wyraziliśmy zgodę, by werdykt napisał Maldonado. Dla dobra wysiłku wojennego. Kwestia nigdy nie została ostatecznie rozstrzygnięta. Wielu członków komisji uważało projekt Golona za interesujący i rokujący wielkie nadzieje. Kto zresztą zna prawdę? Przekonamy się, wysyłając Golona w podróż na zachód. Jeśli wróci ze skarbami Orientu, będziemy wiedzieli, że miał rację, i niezwłocznie pošleme kolejne ekspedycje. Jeśli wróci z pustymi rękami, wsadzimy go do więzienia za oszukanie korony. A jeśli nie powróci w ogóle, nie będziemy więcej marnowali sił na podobne projekty”.

– Królowa, którą sobie wyobrażasz, jest bardzo oschła – zauważyła Izabela. – Przemawia jak kostywny urzędnik.

– To mój błąd – rzekł Talavera. – Nie miałem okazji przysłuchiwać się wielkim damom prowadzącym intymne konwersacje z małżonkami.

– Sądzę, że ta królowa powiedziała do męża: “Jeśli ten Colon popłynie i nigdy nie powróci, stracimy tylko kilka karawel. Piraci zabierają nam więcej każdego roku. Ale jeśli popłynie i wyprawa zakończy się sukcesem, dzięki trzem karawelom osiągniemy więcej niż Portugalia po stuleciu kosztownych, niebezpiecznych wypraw wzdłuż wybrzeży Afryki”.

– Masz rację, pani, to brzmi o wiele lepiej. Król, którego sobie wyobrażasz, nie lubi przegrywać we współzawodnictwie.

– Portugalia jest jak cierń w jego boku – rzekła Izabela.

– Zgadzasz się więc ze mną, że Maldonado powinien napisać werdykt?

– Zapominasz o jednej rzeczy – powiedziała Izabela.

– A mianowicie?

– O Colonie. Kiedy pozna werdykt, opuści nas i uda się do Francji albo Anglii. Albo do Portugalii.

– Są dwa powody, dla których tego nie zrobi, Wasza Wysokość.

– Jakież to?

- Po pierwsze, Portugalia ma Diaza i afrykański szlak do Indii, ja zaś dowiedziałem się z pewnych źródeł, że pierwsze próby nawiązania kontaktu przez Golona z Paryżem i Londynem, podjęte za pośrednictwem osób trzecich, nie spotkały się z ciepłym przyjęciem.
 - Zwrócił się już do innych królów?
 - Po pierwszych czterech latach – odparł Talavera kąśliwie – cierpliwość zaczęła go opuszczać.
 - A jaki jest drugi powód, dla którego Colon nie opuści Hiszpanii po wydaniu werdyktu, a przed zakończeniem wojny z Granadą?
 - Zostanie poinformowany o werdykcie komisji specjalnym listem. List ten, choć nie będzie zawierał żadnych obietnic, da mu do zrozumienia, że kiedy wojna dobiegnie końca, sprawę będzie można rozważyć ponownie.
 - Werdykt zamyka drzwi, ale list otwiera okienko?
 - Uchyła je tylko. Ale jeśli choć trochę znam Golona, ta szpara w oknie mu wystarczy. To człowiek wielkiej nadziei i wielkiej wytrwałości.
 - Czy mam rozumieć, ojcze Talavera, że osobiście skłaniałbyś się ku werdyktowi za wyprawą?
 - Wcale nie. Gdybym miał decydować, który obraz świata jest bardziej słuszny, prawdopodobnie stanąłbym po stronie Ptolemeusza i Maldonado. Ale zgadywałbym tylko, ponieważ nikt tego nie wie i nie może wiedzieć.
 - Dlaczego więc przyszedłeś tutaj dzisiaj z tymi... sugestiami?
 - Wolę je raczej traktować jako teoretyczne rozmyślania, Wasza Wysokość. Nie śmiałybym sugerować czegokolwiek. – Uśmiechnął się. – Gdy inni próbowali ustalić, co jest słuszne, ja myślałem bardziej w kategoriach dobra i zła. Myślałem o świętym Piotrze wysiadającym z czółna i idącym po wodzie.
 - Dopóki nie ogarnęło go zwątpienie.
 - Kiedy to został podniesiony dłonią Zbawiciela.
- Oczy Izabeli napełniły się łzami.
- Czy sądzisz, że Colon może być wypełniony Duchem Świętym?
 - Dziewica Orleańska była albo świętą, albo szaloną.
 - Albo czarownicą. Spalono ją na stosie.
 - Kto może wiedzieć na pewno, czy Bóg przemawiał jej ustami? A jednak pokładając w niej ufność jako w służebnicy Pańskiej, Francuzi wyrzucili Anglików ze swej ziemi. A gdyby była szalona? Co wtedy? Przegraliby tylko jeszcze jedną bitwę. Co by to zmieniło? Przegrali już tak wiele.
 - A więc jeśli Colon jest szaleńcem, ryzykujemy tylko parę karaweli, trochę pieniędzy, nieudaną wyprawę.

- Poza tym, jeśli choć trochę znam Jego Wysokość, podejrzewam, że znajdzie sposób, by zdobyć łodzie za bardzo niską cenę.
 - Mówią, że monety z jego podobizną skrzeczą, kiedy bierze się je do ręki. Talavera szeroko otworzył oczy ze zdumienia.
 - Ktoś powtórzył Waszej Wysokości ten żarcik?
- Ściszyli głos. Mówili już tak cicho, że dama Felicia na drugim końcu sali nie mogła ich słyszeć; mimo to Talavera nachylił się ku królowej, by usłyszeć jej szept.
- Ojczye Talavera, niech to pozostanie pomiędzy nami... ten żarcik był opowiadany po raz pierwszy w mojej obecności. Mówiąc zupełnie szczerze, kiedy ten żarcik po raz pierwszy był opowiadany, ja znajdowałam się przy głosie.
 - Potraktuję to wyznanie jak spowiedź, a więc obowiązuje mnie dyskrecja.
 - Jesteś takim dobrym kapłanem, ojczye. Przynieś mi werdykt. Powiedz ojcu Maldonado, żeby nie był zbyt okrutny.
 - Wasza Wysokość, powiem mu, żeby był łagodny. Ale łagodność ojca Maldonado potrafi zostawiać blizny.

Kiedy Diko wróciła do domu, ojciec i matka nie spali. Byli ubrani, jakby gdzieś się wybierali.

- Manjam chce się z nami zobaczyć – rzekł ojciec.
- O tej porze? – zdziwiła się Diko. – Idźcie więc.
- Z nami. Z tobą również.

Spotkali się w jednej z mniejszych sal Instytutu Czasu, zaprojektowanej z myślą o odtwarzaniu nagrań TruSite II. Diko sądziła, że Manjam wybrał ją kierując się wyłącznie chęcią zachowania dyskrecji. Do czego mógłby potrzebować TruSite II? Nie był przecież pracownikiem Instytutu Czasu. Był uznanym matematykiem, a to oznaczało, że nie potrzebuje niczego z realnego świata. Żonglował liczbami, a jego narzędziem był komputer. Oraz, oczywiście, własny umysł. Przywitał Hassana, Tagiri i Diko, i poprosił, by chwilę poczekali. Dopiero gdy przybyli Hunahpu i Kemal, wszyscy usiedli.

- Muszę zacząć od przeprosin – rzekł Manjam. – Zdaję sobie teraz sprawę, że moje wyjaśnienia dotyczące efektów temporalnych były krańcowo nieporadne.
- Wręcz przeciwnie – odparła Tagiri – nie mogłeś mówić jaśniej.
- Nie przepraszam za brak jasności. Przepraszam za brak empatii. Z nią

matematycy nie są za pan brat. W gruncie rzeczy myślałem, że was uspokoję, jeśli powiem, iż nasz czas przestanie istnieć. Mnie by to uspokoilo, rozumiecie. Ale z drugiej strony ja nie poświęciłem życia badaniu historii. Nie rozumiałem wielkiego... współczucia, jakie wam tutaj towarzyszy. Szczególnie odnosi się to do ciebie, Tagiri. Wiem teraz, co powinienem był powiedzieć. Że koniec będzie bezbolesny. Nie będzie żadnego kataklizmu. Nie będzie poczucia straty, rozpacz, żaloby. Powstanie nowa Ziemia. Nowa przyszłość. A w tej nowej przyszłości, dzięki planom stworzonym przez Diko i Hunahpu, ludzie będą mieli większą szansę na szczęście i spełnienie niż w naszym czasie. Wciąż będzie istniało cierpienie, ale nie będzie ono tak przeważające. To właśnie powinienem był powiedzieć. Ze uda wam się wymazać wiele niedoli, nie tworząc jednocześnie nowych jej źródeł.

– Tak – zgodziła się Tagiri. – To właśnie powinienem był powiedzieć.

– Nie jestem przyzwyczajony do myślenia w kategoriach szczęścia i niedoli. Widzisz, matematyka niedoli nie istnieje. Niedola nie występuje w mojej dziedzinie zawodowej. A jednak ten problem jest dla mnie ważny. – Manjam westchnął. – Bardziej niż myślisz.

Coś w jego słowach zabrzmiało fałszywie w uszach Diko. Gdy tylko zdała sobie sprawę, co to było, powiedziała jednym tchem:

– Hunahpu i ja nic jeszcze nie postanowiliśmy.

– Na pewno? – zapytał Manjam. Podszedł do TruSite II i, ku zdumieniu Diko, zaczął manipulować suwakami z wprawą eksperta. Po krótkiej chwili wybrał ekran kontrolny, jakiego Diko nigdy nie widziała, i skutecznie przeszedł blokadę podając podwójne hasło. Chwilę później holograficzny ekran ożył.

Diko, oniemiała ze zdziwienia, ujrzała siebie i Hunahpu.

– To nie wystarczy, żeby powstrzymać Cristoforo – mówiła Diko na ekranie.

– Musimy pomóc jemu i jego załodze na Hispanioli stworzyć nową kulturę w połączeniu z Taino. Nowe chrześcijaństwo, które zaadaptuje się pośród Indian, tak jak zaadaptowało się w Grecji drugiego wieku. Ale to również nie wystarczy.

– Miałem nadzieję, że tak właśnie na to spojrzysz – powiedział Hunahpu na ekranie. – Ponieważ ja zamierzam udać się do Meksyku.

– Jak to, do Meksyku?

– Tego nie było w twoich planach?

– Chciałam powiedzieć, że musimy błyskawicznie rozwinąć technologię, do momentu, w którym nowa kultura-hybryda stanie się godnym przeciwnikiem

dla Europy.

– Tak, domyślałem się, że to właśnie powiesz. Ale oczywiście nie da się zrobić tego na wyspie Haiti. Och, Hiszpanie będą próbowali, ale Taino zwyczajnie nie są jeszcze gotowi na przyjęcie tego rodzaju technologii. Pozostanie ona hiszpańska, a to oznacza trwały podział klasowy na białych właścicieli maszyn i ciemnoskórą siłę roboczą. Przecież nie o taką sytuację nam chodzi.

Manjam zatrzymał nagranie. Postacie na ekranie znieruchomiały.

– Te urządzenia teoretycznie pokazują obrazy od stu lat wstecz – powiedział Hassan.

– Normalnie tak jest – zgodził się Manjam.

– Skąd matematyk wie, jak używać TruSite II? – zapytał Hunahpu. – Instytut Czasu skopiował już przecież wszystkie zagubione notatki wielkich matematyków z przeszłości.

– To niedopuszczalne pogwałcenie prawa do prywatności – rzekł Kemal lodowato.

Diko była równie oburzona, ale od razu przeszła do najbardziej palącego zagadnienia.

– Kim naprawdę jesteś, Manjam?

– Och, nazywam się Manjam, naprawdę. Nie protestuj, rozumiem sens twojego pytania. – Przyglądał się im spokojnie przez chwilę. – Nie rozpowiadamy tego, czym naprawdę się zajmujemy, ponieważ ludzie by nie zrozumieli. Myśleliby, że tworzymy jakiś tajny spisek rządzący światem zza zamkniętych drzwi, a nic nie mogłoby być dalsze od prawdy.

– To mnie zupełnie uspokaja – powiedziała Diko z sarkazmem.

– Nie zajmujemy się polityką. Rozumiecie? Nie mamy nic wspólnego z rządem. Interesuje nas bardzo, co robią rządy, ale kiedy chcemy osiągnąć jakiś cel, działamy otwarcie. Do urzędnika rządowego zwracałbym się osobiście, jako Manjam. Albo kiedy przemawiałbym w radio, wyrażając swoje opinie. Rozumiecie? Nie jesteśmy sekretnym gabinetem cieni. Nie posiadamy władzy nad ludzkim życiem.

– A jednak szpiegujecie nas.

– Obserwujemy każde interesujące wydarzenie na świecie. A ponieważ mamy do dyspozycji TruSite II, możemy robić to bez wysyłania szpiegów lub otwartego rozmawiania z ludźmi. Obserwujemy tylko, a potem, kiedy dzieje się coś ważnego, wspieramy to.

– Tak, tak – rzekł Hassan. – Z pewnością jesteście bardzo szlachetni i łagodni

w waszej boskiej roli. Kim są inni?

– Nazywam się Manjam, ja do was przyszedłem.

– I dlaczego nam to pokazałeś? – zapytała Tagiri.

– Ponieważ musicie zrozumieć, że wiem, o czym mówię. I muszę pokazać wam pewne rzeczy, byście zrozumieli, dlaczego wasz projekt był tak popierany, dlaczego nikt wam nie przeszkadzał, dlaczego mogliście zgromadzić tak liczny zespół od momentu, gdy Tagiri i Hassan odkryli, że można sięgnąć wstecz i zmienić przeszłość. A przede wszystkim od kiedy Diko odkryła, że ktoś już to zrobił, wymazał swój własny czas tworząc nową przyszłość.

– Zatem nam pokaż – zażądał Hunahpu.

Manjam wystukał nowe dane. Obraz się zmienił. Teraz była to panorama z lotu ptaka rozległej kamienistej równiny, upstrzonej równomiernie pustynnymi roślinami i przeciętej wstęgą szerokiej rzeki, wzdłuż której rosły potężne drzewa i bujne trawy.

– Co to jest, projekt rekultywacji Sahary? – zapytał Hassan.

– To Amazonka – odparł Manjam.

– Niemożliwe! – wymamrotała Tagiri. – Tak źle to wyglądało, zanim rozpoczęła się rekultywacja?

– Nie rozumiecie – powiedział Manjam. – To jest Amazonka w tej chwili. Lub też, dokładniej mówiąc, piętnaście minut temu. – Obraz przesuwiał się, kilometr za kilometrem, wzdłuż rzeki i nic nie ulegało zmianie, dopiero jakiś tysiąc kilometrów dalej ujrzeli wreszcie sceny znane z raportów telewizyjnych: bujną roślinność będącą efektem rekultywacji równikowej dżungli. Ale po kilku chwilach zielona dżungla się skończyła i znowu mieli przed sobą kamienistą, jałową płaszczyznę, ciągnącą się aż do bagnistej delty, gdzie rzeka wpadała do morza.

– To wszystko? To była cała amazońska dżungla? – zdziwił się Hunahpu.

– Ale ten projekt jest realizowany od czterdziestu lat! – zaprotestował Hassan.

– Nie było tak źle, kiedy zaczynali – rzekła Diko.

– Czyżby nas okłamywali? – zapytała Tagiri.

– Dajcie spokój – powiedział Manjam. – Wszyscy słyszeliście o straszliwych ubytkach warstwy gleby. Wszyscy wiecie, że gdy lasy zniknęły, erozja postępowała w zastraszającym tempie.

– Przecież sadzili trawy.

– Które się nie przyjęły. Teraz pracują nad nowymi gatunkami, zdolnymi żyć

na jałowych ziemiach. Nie bądźcie tacy ponurzy. Natura jest po naszej stronie. Za dziesięć tysięcy lat Amazonka będzie wyglądała jak dawniej.

– Dziesięć tysięcy lat?! To więcej niż... niż trwa cywilizacja!

– Zwykle mgnienie oka w ekologicznej historii Ziemi. Po prostu potrzeba czasu na przywiezienie żyznej ziemi z Andów i rozsypanie jej wzdłuż brzegów rzeki, by drzewa i trawy mogły rozrosnąć się stopniowo na dalsze obszary. W tempie jakichś sześciu do dziesięciu metrów na rok w przypadku trawy, na najlepszych terenach. Również okresowe wylewy byłyby bardzo przydatne, rozniosłyby bowiem nową glebę dalej. Przydałby się wybuch wulkanu w Andach – popiół bardzo użyźnia glebę. A szansę, że dojdzie do erupcji w ciągu najbliższych dziesięciu tysięcy lat, są spore. Pamiętajmy też o warstwie uprawnej nawiewanej poprzez Atlantyk z Afryki. Widzicie? Perspektywy są dobre.

Manjam promieniał optymizmem, ale Diko odebrała to jako ironię.

– Dobre? Ten teren jest martwy!

– Och, cóż... tak, na razie.

– A co z projektem rekultywacji Sahary? – zapytała Tagiri.

– Postępuje bardzo dobrze. Obliczam go na jakieś pięćset lat.

– Pięćset! – zawołała Tagiri.

– Przy założeniu, że nastąpi wzrost opadów, oczywiście. Ale potrafimy coraz lepiej przepowiadać pogodę na poziomie klimatycznym. Pracowałeś nad tym wcześniej, Kemal.

– Mówiliśmy wtedy o zrekultywowaniu Sahary w ciągu stu lat.

– Cóż, tak by zapewne było, gdybyśmy nie musieli przesunąć części ludzi do innych zadań. Co będzie konieczne przez co najmniej następne dziesięć lat.

– Dlaczego?

Ponownie obraz się zmienił. Sztormowe fale oceanu biją o groble. Przełamują ją. Ściana wody morskiej zalewa pola pszenicy.

– Co to jest? – zapytała Diko ostro.

– Z pewnością słyszeliście o przerwaniu tamy w stanie Karolina. W Ameryce.

– Pięć lat temu – rzekł Hunahpu.

– Zgadza się. Pięćdziesiąt lat temu, kiedy podniósł się poziom wód, straciliśmy przybrzeżne wysepki tworzące barierę ochronną. Tę część wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej, dotychczas produkującą tytoń i drewno, zasiano pszenicą, by nie nastał głód, a po wyschnięciu północnoamerykańskiej prerii i upadku tamtejszych farm zaglądał już

ludziom w oczy. Teraz rozległe pola znalazły się pod wodą.

– Ale odnosimy sukcesy w poszukiwaniach metod na redukcję efektu cieplarnianego – rzekł Hassan.

– To prawda. Sądzymy, że uda nam się znacząco zmniejszyć efekt cieplarniany w ciągu najbliższych trzydziestu lat. Ale wtedy, widzicie, wcale nie będziemy już chcieli go zmniejszać.

– Dlaczego? – zdziwiła się Diko. – Poziom wód oceanów podnosi się w miarę topnienia pokrywy lodowej. Musimy powstrzymać globalne ocieplenie.

– Wyniki naszych badań nad klimatem pokazują, że ten problem sam się koryguje. Podwyższenie temperatury i zwiększenie powierzchni oceanu prowadzą do zwiększonego parowania i zróżnicowania temperatur na całym świecie. Zwiększa się pokrywa chmur, przez co Ziemia lepiej odbija promieniowanie ultrafioletowe. Wkrótce będzie odbijać więcej światła słonecznego niż kiedykolwiek po ostatnim zlodowaceniu.

– Ale satelity meteorologiczne... – zaczął Kemal.

– Pilnują, żeby wartości krańcowe nie zostały gdzieś przekroczone. Jak długo działa taki satelita?

– Można je wymieniać, kiedy się starzeją – powiedział Kemal.

– Na pewno? Już teraz zabieramy ludzi z fabryk i przenosimy ich na pola. Ale i to niewiele pomoże, gdyż praktycznie cała żyzna ziemia została już oddana pod zasiewy. A ponieważ od jakiegoś czasu osiągnęliśmy maksymalne plony, zaczynamy zauważać wpływ zwiększonej pokrywy chmur – mamy mniejsze zbiory z hektara.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytała Diko. – Że jest już za późno na uratowanie Ziemi?

Manjam nie odpowiedział. W zamian włączył TruSite II i pokazał panoramę równiny, na której stoją rzędy silosów zbożowych. Przybliżył obraz i pokazał wnętrza kolejnych silosów.

– Puste – wymamrotała Tagiri.

– Przejadamy zapasy – rzekł Manjam.

– Dlaczego nie są racjonowane?

– Ponieważ politycy nie mogą tego zrobić, dopóki cała ludzkość nie dostrzeże zagrożenia. Na razie ludzie go nie dostrzegają.

– A więc ostrzeżcie ich! – wykrzyknął Hunahpu.

– Och, sygnały o zbliżającym się niebezpieczeństwie są widoczne. Wkrótce ludzie zaczną o nich mówić. Ale nie zrobią nic, z tego prostego powodu, że

nic nie da się zrobić. Plony będą coraz niższe.

– A co z oceanem? – zapytał Hassan.

– Ocean to odrębny problem. Co mamy zrobić? Odcedzić cały plankton, żeby i ocean umarł? Odławiamy maksymalne dopuszczalne ilości ryb. W tym momencie nie możemy już zwiększać połowów. Czy nie widzicie? Szkody, jakie poczynili nasi przodkowie, były zbyt wielkie. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać procesów, które zostały uruchomione setki lat temu. Gdybyśmy teraz zaczęli racjonowanie żywności, głód nadszedłby nie za sześć lat, lecz za dwadzieścia. Ale oczywiście nie zaczniemy racjonować, dopóki nie zacznie się głód. I nawet wtedy rejony produkujące dość żywności nie będą zachwycone, że muszą zaciskać pasa, by nakarmić odległe krainy. Teraz czujemy, że cała ludzkość to jedno wielkie plemię, toteż nikt nigdzie nie jest głodny. Ale ile czasu upłynie, zanim producenci żywności zaczną słyszeć błagania swoich dzieci o chleb, a statki będą uwozić zboże do innych krajów? Czy politykom uda się powstrzymać siły, które zostaną wtedy wyzwolone na całym świecie?

– Co robi w związku z tym wasz zupełnie jawny spisek? – zapytał Hassan.

– Nic – odparł Manjam. – Tak jak powiedziałem, sprawy zaszły już za daleko. Według nawet najbardziej optymistycznych prognoz, obecny system załamie się za nie więcej niż trzydzieści lat. I to pod warunkiem że nie będzie wojen. Po prostu nie starczy żywności na wykarmienie obecnej populacji. Nie można utrzymywać gospodarki przemysłowej bez bazy rolnej. Tak więc gospodarka zaczyna podupadać. Mamy mniej traktorów. Fabryki produkują mniej nawozów, a dystrybucja kuleje ze względu na trudności transportowe. Produkcja żywności spada jeszcze bardziej. Satelity pogodowe zużywają się i nie ma ich kto wymieniać. Nastają susze. Powodzie. Coraz mniej jest ziemi uprawnej. I coraz wyższa śmiertelność. W związku z tym podupada przemysł. Stąd niższa produkcja żywności. Sprawdziliśmy milion różnych scenariuszy i każdy prowadził do tego samego punktu. Światowa populacja na poziomie około pięciu milionów ludzi, zanim sytuacja się ustabilizuje. Akurat na czas, by zlodowacenie mogło rozpocząć się na dobre. W tym momencie liczba ludności znowu zacznie spadać, aż osiągnie poziom dwóch milionów. Oczywiście wciąż zakładamy, że nie wybuchną jakieś wojny. Wszystkie te prognozy zakładają, że reakcja będzie całkowicie pokojowa. Ale wiemy, jak to jest. Wystarczy jedna wojna z udziałem któregoś z liczących się producentów żywności i spadek będzie dużo gwałtowniejszy, a liczba ludności zatrzyma się na dużo niższym poziomie.

Nikt nie mógł nic na to odpowiedzieć. Wszyscy rozumieli sens słów Manjama.

– Na szczęście obraz nie jest całkowicie ponury. Ród ludzki przetrwa. Gdy zlodowacenie ustąpi, nasi odlegli potomkowie zaczną ponownie budować cywilizacje. Do tego czasu lasy równikowe już się odrodzą. Stada zwierząt będą pasły się ponownie na trawiastych równinach Sahary, Rab al-Chali i Gobi. Niestety, wszystkie dostępne złoża rud żelaza zostały wyczerpane. Podobnie złoża rud miedzi i cyny. W gruncie rzeczy można się zastanawiać, w jaki sposób wydobudują się z epoki kamiennej przy braku metali. Skąd wezmą surowce energetyczne, kiedy cała ropa została zużyta. Jest jeszcze odrobinę torfu w Irlandii. Oczywiście dzięki odrodzeniu lasów będą mieli węgiel drzewny, dopóki nie spalą wszystkiego, a wówczas cały cykl zacznie się na nowo.

– Sugerujesz, że ludzkość nie podniesie się z upadku?

– Sugeruję, że zużyliśmy wszystkie łatwo dostępne surowce – odparł Manjam. – Istoty ludzkie są bardzo pomysłowe. Może znajdą sposoby na zbudowanie lepszej przyszłości. Może odkryją, jak zbudować baterie słoneczne z porzeczonych resztek drapaczy chmur.

– Pytam ponownie – rzekł Hassan. – Co robicie, żeby temu zapobiec?

– A ja odpowiadam ponownie: nic. Niczemu nie da się zapobiec. Ostrzeżenia nie odniosą skutku, ponieważ żadna zmiana zachowań ludzkich nie sprawi, że problem zniknie. Nasza obecna cywilizacja nie przetrwa nawet kolejnego pokolenia. I ludzie w jakiś sposób to wyczuwają. Odnotowujemy spadek liczby narodzin na całym świecie. Są po temu różne powody, ale ogólny efekt jest właśnie taki. Ludzie nie chcą mieć dzieci, które będą konkurowały z nimi o te nikłe zasoby, jakie jeszcze posiadamy.

– Dlaczego więc pokazałeś nam to wszystko, skoro nic nie da się zrobić? – zapytała Tagiri.

– A dlaczego ty badałaś przeszłość, przekonana, że nic nie możesz zmienić?

– odpowiedział pytaniem Manjam. – Poza tym nigdy nie mówiłem, że wy nie możecie nic zrobić. Mówiłem jedynie, że my jesteśmy bezsilni.

– To dlatego pozwolono nam pracować nad projektem podróży w czasie – pokiwał głową Hunahpu. – Byśmy mogli cofnąć się i zapobiec temu wszystkiemu.

– Byliśmy zrezygnowani, dopóki nie odkryliście, że przeszłość jest zmienna

– rzekł Manjam. – Do tego czasu zajmowaliśmy się archiwizowaniem. Zbieraniem całości ludzkiego doświadczenia i wiedzy i magazynowaniem ich

w jakiejś trwałej formie, która przetrwałaby co najmniej dziesięć tysięcy lat. Udało nam się skonstruować doskonałe, niewielkie rozmiarami bloki pamięci. Oraz proste, niemechaniczne czytniki, zdolne działać za dwa czy trzy tysiące lat. To było już bardzo dużo. Oczywiście nie udało nam się zebrać całości ludzkiej wiedzy. Idealnym rozwiązaniem było podzielenie tego, co mieliśmy, na proste lekcje. Krok po kroku przez nagromadzoną mądrość ludzkości. Opisaliśmy w ten sposób algebrę i podstawy genetyki, ale musieliśmy zrezygnować z tej metody, bo była bardzo czasochłonna. Przez ostatnie dziesięć lat pakowaliśmy już tylko informacje do naszych banków danych i powielaliśmy je. Niech nasze wnuki znajdą sposób na posegregowanie tego wszystkiego, jeśli oczywiście znajdą nośniki, na których całość została upchnięta. Po to właśnie istniał nasz mały spiszek. Dla zachowania pamięci rasy ludzkiej. A potem odkryliśmy was.

Tagiri płakała.

– Mamo, co się stało? – zapytała Diko.

Hassan objął żonę ramieniem i przytulił do siebie. Tagiri podniosła zapłakaną twarz.

– Och, Diko, a ja myślałam, że żyjemy w raju!

– Tagiri to kobieta obdarzona nieprawdopodobną empatią – rzekł Manjam. – Kiedy ją znaleźliśmy, obserwowaliśmy z miłością i podziwem. Jak udawało jej się znieść ból tylu ludzi? Nigdy nie przypuszczaliśmy, że to jej współczucie, a nie zdolności naszych najbystrzejszych ludzi pozwolą nam uniknąć nadciągającej katastrofy. – Uklęknął przed Tagiri. – Musiałem pokazać ci to wszystko, bo obawialiśmy się, że postanowisz zablokować program “Kolumb”.

– Zrobiłam to już. Zablokowałam go – powiedziała Tagiri.

– Zapytałem pozostałych. Zdecydowali, że musimy pokazać to tobie. Chociaż wiedzieliśmy, że nie ujrzysz tego jako spalonej ziemi, suchych danych statystycznych czy czegokolwiek bezpiecznego, odległego i możliwego do przyjęcia. Wiedzieliśmy, że zobaczysz w tym każde zmarnowane życie, każdą zawiedzioną nadzieję. Że usłyszysz głosy dzieci rodzących się dzisiaj, jak dorastają przeklinając swoich rodziców za to, że nie zabili ich, kiedy były jeszcze w łonie matki. Przykro mi, że sprawiam ci taki ból. Musisz zrozumieć, że jeśli Kolumb rzeczywiście jest centralnym punktem historii i powstrzymanie go daje szansę stworzenia nowej przyszłości dla rodu ludzkiego, nie możemy się przed tym cofnąć.

Tagiri pokiwała powoli głową. Otarła łzy z policzków.

– Ale nie w tajemnicy – rzekła mocnym głosem.

Manjam uśmiechnął się blado.

– Tak, niektórzy z nas ostrzegali, że taki postawisz warunek.

– Ludzie muszą zgodzić się na wysłanie kogoś w przeszłość w celu wymazania naszego świata. Muszą na to przystać.

– A zatem będziemy musieli poczekać – stwierdził Manjam. – Gdybyśmy zapytali ich dzisiaj, odpowiedzieliby: nie.

– Kiedy więc? – zapytała Diko.

– Będziecie wiedzieli kiedy. Kiedy zacznie brakować jedzenia.

– A jeśli będę wtedy zbyt stary, by odbyć podróż? – zapytał Kemal.

– Wyślemy kogoś innego – rzekł Hassan.

– A jeśli ja będę za stara? – zapytała Diko.

– Nie będziesz – odparł Manjam. – Więc przygotuj się. A kiedy niebezpieczeństwo zawiśnie nad nami i ludzie zobaczą, że ich dzieci są głodne, że sąsiedzi umierają, wtedy zgodzą się na to, co chcecie zrobić. Ponieważ wtedy zobaczą wreszcie sytuację w odpowiednim świetle.

– Co to znaczy?

– Najpierw próbujemy ratować siebie – tłumaczył Manjam. – Kiedy przekonujemy się, że to niemożliwe, próbujemy ratować nasze dzieci. Potem naszych krewnych, naszą wioskę i szczerp, a kiedy widzimy, że nie możemy uratować nawet ich, wtedy staramy się uratować naszą pamięć. A jeśli i tego nie możemy zrobić, co nam pozostaje? Wreszcie widzimy sytuację w takim świetle, że możemy spróbować zrobić coś dla dobra całej ludzkości.

– Albo popadamy w rozpacz – powiedziała Tagiri.

– Tak, cóż, to druga możliwość – zgodził się Manjam – ale jej nie warto rozważać. A więc kiedy świat zacznie już się walić, pokażemy ludziom szansę ratunku i prawdopodobnie zgodzą się, byście podjęli próbę.

– Jeśli się nie zgodzą, nic nie zrobimy – powiedziała Tagiri z pełnym przekonaniem.

Diko nie odezwała się, ale wiedziała, że decyzja nie należy już do matki. Dlaczego przedstawiciele jednego pokolenia mieliby mieć prawo do zablokowania jedynej szansy uratowania przyszłości rodu ludzkiego? Ale nie miało to już znaczenia. Jak zauważył Manjam, ludzie zgodzą się, gdy ujrzą wokół siebie śmierć i zniszczenie. O co modlili się stary szaman i tamta kobieta na wyspie Haiti? Nie o wybawienie, nie. W rozpacz modlili się o szybką i bezbolesną śmierć. Jeśli wszystko inne zawiedzie, program “Kolumb” im to zapewni.

Cristoforo usiadł wygodniej i zaczął przysłuchiwać się, jak ojciec Perez i ojciec Antonio analizują treść wiadomości z dworu. Dla niego ważne było tylko, gdy ojciec Perez rzeki:

– Oczywiście, że to od królowej. Czy sądzisz, że po tylu latach pozwoliłaby na przesłanie ci wiadomości, której starannie by nie sprawdziła? W liście mowa jest o możliwości wznowienia dochodzenia “w bardziej odpowiednim terminie”. Takich słów nie rzuca się na wiatr. Monarchowie nie mają czasu na wysłuchiwanie petentów, którym udzielono stanowczej odprawy. Królowa wprost zachęca cię, byś nękał ją dalej. A więc sprawa nie jest zamknięta.

Sprawa nie jest zamknięta. Nieomal pragnął, żeby mu udzielono stanowczej odprawy. Nieomal pragnął, żeby Bóg wybrał kogoś innego.

Potem odrzucił od siebie tę myśl i pozwolił umysłowi błędzić, podczas gdy franciszkanie omawiali kolejne możliwości. Argumenty nie miały już znaczenia. Liczyło się tylko to, że Bóg, Jezus Chrystus i gołębica Ducha Świętego ukazali mu się na plaży i wezwali, by pożegłował na zachód. Cała reszta musiała być prawdziwa, gdyż po co Bóg by mu się ukazywał, po co by do niego przemawiał? Cristoforo nie chciał nikomu udowadniać swoich racji. Chciał popłynąć na zachód dla... dla Boga, tak. A dlaczego dla Boga? Dlaczego sprawa Chrystusa stała się dla niego tak ważna? Inni ludzie – nawet zakonnicy – nie zmieniali swojego życia do tego stopnia co on. Kierowali się osobistymi pragnieniami. Robili kariery, planowali swoją przyszłość. I co dziwne, Bóg wydawał się łagodniejszy dla tych, którzy niewiele poświęcali dla Jego królestwa, w każdym razie mniej niż Cristoforo.

Dlaczego ja chcę poświęcić tak wiele?

Cristoforo patrzył na ścianę, ale nie widział wiszącego tam krucyfiks. Przed jego oczami pojawiło się wspomnienie. Matka siedzi przy stole. Mówi coś półgłosem, słysząc jakieś krzyki w oddali. Co to za wspomnienie? Dlaczego teraz do niego wróciło?

Ja miałem matkę; biedny Diego nie ma. Ojca zresztą też nie ma, prawdę mówiąc. Pisze mi, że pobyt w La Rabida już go męczy. Ale co mogę zrobić? Jeśli mi się powiedzie, zdobędę dla niego fortunę, będzie synem wielkiego człowieka, a zatem sam będzie wielkim człowiekiem. Jeśli mam ponieść porażkę, przynajmniej zapewnię mu staranne wykształcenie, a tym nikt nie zajmie się lepiej niż franciszkanie, tacy jak ci dobrzy ojczulkowie. Nic, co Diego zobaczyłby lub usłyszał w Salamance – czy gdziekolwiek udam się w

poszukiwaniu przychylności władców – nie przygotowuje go na koleje losu, jakie zapewne będą jego udziałem.

Stopniowo, gdy głowa ciążyła mu coraz bardziej, zdał sobie sprawę, że pod krucyfiksem stoi czarnoskóra dziewczyna, odziana w niewymyślne, lecz kolorowe szaty, i przygląda mu się uważnie. Wiedział, że nie ma jej tam naprawdę, ponieważ wciąż widział krzyż na ścianie za nią. Była bardzo wysoka, głową sięgała krucyfiksu. Dlaczego śni mi się czarna kobieta? – pomyślał. Tylko że wcale nie śnię, ponieważ nie zasnąłem. Wciąż słyszę ojca Pereza rozprawiającego z ojcem Antoniem. Mówią o tym, by Perez osobiście udał się do królowej. Cóż, jest to pomysł. Dlaczego ta dziewczyna mi się przygląda?

Czyżbym miał widzenie? – zastanawiał się leniwie. Wizja nie jest tak wyraźna jak wtedy na plaży. I z pewnością nie mam przed sobą Boga. Czy ten obraz czarnej kobiety może być dziełem szatana? Czy widzę szatańską nałożnicę?

Przeczył temu krucyfiks, pod którym stoi. Kobieta jak ze szkła, z czarnego szkła. Wewnątrz jej głowy widać krzyżyk. Czy to znaczy, że marzy o ponownym ukrzyżowaniu Chrystusa? Czy też że Syn Maryi jest stale obecny w jej myślach? Nie potrafię analizować treści snów i widzeń. Jeśli więc to Ty wysłałeś ten obraz, Boże, i chcesz mi za jego pośrednictwem coś przekazać, musisz wyrażać się jaśniej.

Jakby w odpowiedzi, czarnoskóra dziewczyna zniknęła i Cristoforo zdał sobie sprawę, że ktoś inny stoi w rogu pomieszczenia. Ktoś wcale nie przezroczysty; cielesny i w pełni realny. Młody mężczyzna, wysoki i przystojny, lecz o wzroku zdradzającym niepewność. Był podobny do Felipy. Tak bardzo podobny. Tak jakby była w nim obecna, jako stała wymówka wobec Cristofora, jako nie wysłuchana prośba. Kochałem cię, Felipo. Ale bardziej kochałem Chrystusa. To nie może być grzech, prawda?

Przemów do mnie, synu. Domagaj się tego, co należy ci się z przyrodzenia: mojej uwagi, mojego szacunku. Nie stój tam jak słabeusz, nie czekaj, w nadziei że przypadnie ci okruch z mojego stołu. Czyżbyś nie wiedział, że synowie muszą być silniejsi od ojców, gdyż w przeciwnym razie świat umrze?

Diego nic nie mówi. Nic nie mówi.

Nie wszyscy ludzie muszą być silni, pomyślał Cristoforo. Wystarczy, że niektórzy są po prostu dobrzy. Jeśli mój syn będzie dobrym człowiekiem, to wystarczy, żebym go kochał. Będę silny za nas dwóch.

– Diego, mój dobry synu – powiedział.
Teraz chłopak się odezwał.
– Słyszałem głosy.
– Nie chciałem cię budzić – rzekł Cristoforo.
– Myślałem, że to kolejny sen.
– On często śni o tobie – wyszeptał ojciec Perez.
– Ja śnię o tobie, mój synu – rzekł Cristoforo. – Czy ty również śniesz o mnie?
Diego skinął głową, nie spuszczając wzroku z ojca.
– Czy sądzisz, że Duch Święty zsyła nam te sny, byśmy nie zapomnieli o wielkiej miłości, jaką mamy dla siebie nawzajem? – zapytał Cristoforo.
Diego ponownie skinął głową. Podszedł do ojca, niepewny z początku; potem jednak, gdy Cristoforo wstał i wyciągnął ramiona, kroki chłopca stały się bardziej zdecydowane. A kiedy się objęli, Cristoforo był zaskoczony tym, jak chłopiec wyrósł, jak długie ma ręce, jak jest silny. Tulił go do piersi przez długi czas.
– Mówią, że dobrze rysujesz, Diego.
– To prawda.
– Pokaż mi.
Ruszyli do pokoju Diega.
– Sam też znowu rysuję – mówił Cristoforo. – Quintanilla obciął mi fundusze parę lat temu, ale wyprowadziłem go w pole. Nie odjechałem. Rysuję mapy dla ludzi. Rysowałeś kiedyś mapę?
– Wujek Bartolomeo nauczył mnie, jak to robić. Sporządziłem mapę całego klasztoru. Łącznie z wszystkimi mysimi dziurami!
Śmiali się przez całą drogę po schodach.

– Czekamy i czekamy – powiedziała Diko. – Nie stajemy się młodszy.
– Kemal przez cały czas pracuje na powietrzu – rzekł Hunahpu. – Trenuje zaniedbując pozostałe zajęcia.
– Musi być silny, by podplłynąć pod statki i założyć ładunki wybuchowe.
– Sądzę, że powinniśmy znaleźć kogoś młodsze.
Diko potrząsnęła głową.
– A jeśli będzie miał atak serca? – zachnął się Hunahpu. – Posyłamy go w przeszłość, żeby powstrzymał Kolumba, on umiera w wodzie. Jaki to ma sens? Ja będę pomiędzy Zapotekami. Czy ty odpalisz ładunki i zatrzymasz Kolumba? Czy też odpłynie on do Europy i wszystko pójdzie na marne?

- Już sama nasza podróż coś zmieni. Pamiętaj, że będziemy zarażeni wirusami.
- A więc Nowy Świat stanie się odporny na odrę i ospę. Tyle z tego pożytku, że więcej tubylców będzie cierpiało pod butem najeźdźców.
- Hiszpanie nie mieli aż takiej przewagi technologicznej. Bez chorób, świadczących o nieprzychylności bogów, Indianie zachowają wolę walki. Hunahpu, tak czy owak coś poprawimy, przynajmniej do pewnego stopnia. A Kemal da sobie radę.
- On jest jak twoja matka – rzekł Hunahpu. – Nigdy nie rezygnuje.
- Diko zaśmiała się gorzko.
- Nigdy o tym nie mówi, ale i tak ma to w swoich planach.
- Co ma w swoich planach?
- Nie wspominał o tym od lat. Raz tylko powiedział o tym, jakby była to przelotna myśl, a potem zwyczajnie postanowił to zrobić.
- Ale co?
- Zrezygnować. Umrzeć.
- Co masz na myśli?
- Mówił o tym jeszcze w... ach, dawno temu. Mówił, że zatonięcie jednego statku to nieszczęście. Dwóch – to tragedia. Trzech – to kara Boska. Co to da, jeśli Kolumb będzie myślał, że Bóg jest przeciwko niemu?
- Cóż, jest to problem. Ale statki muszą zatonąć.
- Posłuchaj, Hunahpu. On mówił dalej. Powiedział: “Gdyby tylko wiedzieli, że ich karawele wysadził Turek. Niewierny. Wróg Chrystusa”. Zaśmiał się. A potem przestał się śmiać.
- Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?
- Ponieważ on postanowił o tym nie mówić. Ale pomyślałam, że powinienes wiedzieć, dlaczego nie traktuje pozostałych zadań poważnie. Po prostu nie zamierza dożyć do momentu, kiedy trzeba będzie je wykonać. Potrzebuje tylko tężyzny fizycznej, znajomości materiałów wybuchowych oraz paru zdań po hiszpańsku, łacinie albo w jakimś innym języku, żeby powiedzieć Kolumbowi, że to on wysadził jego statki i zrobił to w imię Allacha.
- A potem się zabije?
- Żartujesz? Oczywiście, że nie. Pozwoli, żeby chrześcijanie go zabili.
- To nie będzie przyjemne.
- Ale za to dostanie się do nieba. Umrze za islam.
- Czy naprawdę jest wierzący? – zapytał Hunahpu.
- Ojciec twierdzi, że tak. Mówi, że im jesteś starszy, tym bardziej wierzysz w

Boga, bez względu na to, jaką przybiera On postać.

Lekarz wrócił do pokoju, uśmiechnięty.

– Wszystko poszło doskonale, tak jak przewidywałem. Jeszcze nikt nigdy nie miał w głowie tyle wiedzy co wy i Kemal!

– To nie tylko wiedza, ale i elektromagnetyczne bomby czasowe – powiedział Hunahpu.

– Tak, to prawda, kiedy urządzenie sygnałowe zostanie uruchomione, po kilku dziesięcioleciach może powodować raka. Ale nadawać zaczniesz dopiero po stu latach, wtedy będziecie już tylko szkieletami w ziemi i rak nie będzie wam straszny.

– To nie człowiek, to upiór – mruknął Hunahpu.

– Tak jak wszyscy lekarze – dorzuciła Diko. – Uczą tego na jednym z fakultetów podczas studiów medycznych.

– Ocalcie świat, młody mężczyzno, młoda kobieto. Stwórzcie nowy, lepszy świat dla moich dzieci.

Przez jedną straszliwą chwilę Diko myślała, że doktor nie rozumie, iż kiedy udadzą się w podróż, jego dzieci zostaną wykasowane, tak jak wszyscy w tym ślepym zaułku czasu. Gdyby Chińczycy bardziej przykładali się do nauki angielskiego, lepiej by zrozumieli, co mówi reszta świata.

Lekarz zaśmiał się, widząc konsternację na ich twarzach.

– Sądziacie, że jestem dość inteligentny, by wkładać wam sztuczne kości do głowy, ale poza tym głupi jak but? Chińczycy byli mądrzy, kiedy reszta ludzkości nurzała się jeszcze w głupocie. Gdy przeniesiecie się w przeszłość, młody mężczyzno, młoda kobieto, wtedy wszyscy ludzie nowej przyszłości staną się moimi dziećmi. A gdy usłyszą przekaz z waszych sztucznych kości, znajdą archiwa, dowiedzą się o mnie i o wszystkich innych ludziach. Będą wiedzieć, że jesteśmy ich przodkami. To bardzo ważne. Powinni wiedzieć, że jesteśmy ich przodkami. Niech o nas pamiętają. – Skłonił się i wyszedł.

– Głowa mnie boli – jęknęła Diko. – Jak sądzisz, Hunahpu, czy mam poprosić o zwiększenie dawki lekarstw?

Santangel spoglądał to na królową, to na swoje księgi, próbując wydedukować, czego chcą od niego monarchowie.

– Czy królestwo stać na tę ekspedycję? Trzy karawele, zapasy, załoga... Wojna z Granadą dobiegła końca. Tak, skarb może sobie na to pozwolić.

– Bez trudu? – zapytał król Ferdynand. A więc naprawdę miał nadzieję, że

zablokuje sprawę z uwagi na względy finansowe. Santangel musiałby tylko powiedzieć: “Nie bez trudu, Wasza Wysokość, nie, będzie się to wiązało z dużymi wyrzeczeniami”, a król odrzekłby: “W takim razie poczekajmy na bardziej sprzyjającą chwilę” i sprawa byłaby przegrana na zawsze.

Santangel nie zerknął na królową, mądry dworzanin nigdy bowiem nie pozwalał sobie na budzenie podejrzeń, że przed odpowiedziem na pytanie jednego z monarchów musi skonsultować się wzrokiem z drugim. Kątem oka ujrzał jednak, że Izabela ścisnęła oparcie tronu. A więc zależy jej na tym, pomyślał. Ma to dla niej znaczenie. Króla zaś sprawa irytuje, ale poza tym nie wzbudza w nim żadnych silniejszych uczuć.

– Jeśli Wasza Wysokość ma jakiegokolwiek wątpliwości, czy skarb na tę wyprawę stać – powiedział – chętnie poręczę własnym majątkiem.

Na moment ucichły wszystkie rozmowy, a potem podniósł się lekki szmer. Jednym posunięciem Santangel zmienił nastrój panujący w sali. Ludzie dobrze wiedzieli, że Luis de Santangel zna się na finansach. Nie musiał oszukiwać korony, by się wzbogacić – posiadał ogromny majątek, gdy obejmował urząd, i potrafił z łatwością pomnażać go nie stając się pasożytem królewskiego dworu. Jeśli więc miał tak entuzjastyczny stosunek do wyprawy, że gotów był sam ją sfinansować...

Król uśmiechnął się lekko.

– A jeśli przyjmę tę szczodłą ofertę?

– Byłby to wielki honor, gdybym dzięki Waszej Wysokości mógł połączyć swe imię z wyprawą señor Golona.

Uśmiech króla zniknął. Santangel wiedział dlaczego. Ferdynand był bardzo wrażliwy na opinie. I tak musiał już pilnować delikatnej równowagi władzy pomiędzy sobą i panującą królową, by zapewnić pokojowe zjednoczenie Aragonii i Kastylii, gdy jedno z nich umrze. Nie zamierzał prowokować nieprzyjaznych plotek. Poniosłoby się w świat, że król Ferdynand nie chciał dać pieniędzy na tę wielką ekspedycję. Tylko Luis de Santangel był dość przewidujący...

– Twoja oferta jest zaiste szczodra, przyjacielu – rzekł król – ale Aragonia nie ucieka przed odpowiedzialnością.

– Podobnie jak Kastylija – powiedziała królowa. Jej dłonie spoczywały już luźno.

Czy wiedziała, że zauważę, jak bardzo jest spięta? Czy był to rozmyślny sygnał?

– Zbierzcie nową radę – rozkazał król. – Jeśli jej werdykt będzie korzystny,

damy temu podróżnikowi karawele, o które prosi.

I tak się to zaczęło, w każdym razie pozornie. Santangel, obserwując wszystko z dystansu, spostrzegł wkrótce, że tym razem sprawa jest przesądzona. W skład nowej rady weszła większość zwolenników Golona z poprzedniej grupy oraz ledwie kilku konserwatywnych teologów, którzy tak zaciekle mu się przeciwstawiali. Nic więc dziwnego, że dokonali pobieżnej oceny propozycji Golona i powrócili z korzystnym werdyktem. Królowej pozostało tylko wezwać Colona na dwór i powiadomić go o tym.

Santangel spodziewał się, że po latach oczekiwania, w parę miesięcy po tym, gdy wszystko wydawało się stracone, Colon będzie uradowany. Genuńczyk jednak stanął na dworze i zamiast z wdzięcznością przyjąć królewski dar, zaczął stawiać żądania. Było to niewiarygodne. Po pierwsze, ten człek z pospólstwa żądał dla siebie tytułu szlacheckiego odpowiedniego do honorarium, które mu proponowano. A to był jedynie początek.

– Kiedy powrócę z Orientu – mówił – będę autorem odkrycia, jakiego żaden kapitan nie próbował nawet dokonać. Muszę zatem płynąć mając autorytet i rangę admirała oceanu, odpowiadający randze wielkiego admirała Kastylii. Poza tym należą mi się plenipotencje wicekróla i gubernatora generalnego dla wszystkich ziem, które odkryję w imię Hiszpanii. Co więcej, owe tytuły i plenipotencje muszą być dziedziczne, i przejdą na mojego syna, a potem na jego synów po wsze czasy. Będzie również słuszne, jeśli otrzymam prowizję w wysokości dziesięciu procent od handlu pomiędzy Hiszpanią i nowymi ziemiami, a także identyczną prowizję od wszelkich bogactw mineralnych znalezionych tamże.

Czyżby Colon po latach, kiedy nie okazywał nawet śladu osobistej interesowności, teraz ujawnił się jako kolejny chciwy dworak?

Królowa na chwilę oniemiała. Potem uprzejmie odpowiedziała, że rozważy te prośby, i odprawiła Colona.

Gdy Santangel powiadomił króla o żądaniach Colona, monarcha wpadł we wściekłość.

– On śmie stawiać żądania? Przybył do nas jako petent. Czy spodziewa się, że król będzie zawierał kontrakty z człowiekiem z gminu?

– W istocie rzeczy nie, Wasza Wysokość – odparł Santangel. – Spodziewa się, że Wasza Wysokość uczyni go szlachcicem najpierw, a dopiero potem podpisze z nim kontrakt.

– I nie chce ustąpić w tych kwestiach?

– Jest bardzo uprzejmy, ale nie, nie ustępuje nawet o krok.

– A zatem odeślijcie go – rzekł król. – Wraz z Izabelą przygotowujemy się do tryumfalnego wjazdu do Granady jako oswobodziciele Hiszpanii i rzecznicy sprawy Chrystusa. Rysownik map z Genui śmie żądać tytułu wicekróla i admirała? Nie zasługuje nawet na zwracanie się do niego “señor”.

Santangel był pewien, że Colon się ugnie, kiedy usłyszy odpowiedź króla. Genuńczyk natomiast spokojnie zapowiedział swój wyjazd i zaczął się pakować.

Wokół króla i królowej przez cały wieczór panowało zamieszanie. Santangel zaczął dostrzegać, że Colon nie był jednak takim głupcem wysuwając swoje żądania. Przez długie lata musiał pokornie czekać, gdyby bowiem opuścił Hiszpanię i udał się do Anglii albo Francji ze swoją propozycją, miałby już za sobą dwie porażki. Dlaczego Anglia albo Francja miałyby okazać zainteresowanie, kiedy dwa wielkie żeglarskie narody Europy już go odrzuciły? Teraz jednak było powszechnie wiadomo, iż władcy Hiszpanii przyjęli propozycję Kolumba i zgodzili się sfinansować wyprawę. Spór nie dotyczył tego, czy dać mu statki, lecz tego, ile powinna wynosić jego nagroda. Mógł odejść dzisiaj i być pewny ciepłego przyjęcia w Paryżu czy Londynie. Och, Ferdynand i Izabela nie chcieli cię wynagrodzić? Cóż za skapstwo! Zobaczcie, jak Francja nagradza swoich wielkich żeglarzy, zobaczcie, jak Anglia honoruje tych, którzy niosą banderę króla ku krainom Orientu! Po długim oczekiwaniu Colon negocjował wreszcie z pozycji siły. Mógł odrzucić ofertę Hiszpanii, ponieważ Hiszpania dała mu już najważniejszą rzecz, jakiej potrzebował – i to dała mu ją za darmo.

Cóż za negocjator! – pomyślał Santangel. Szkoda, że nie zajmuje się handlem. Wiele mógłbym osiągnąć mając takiego człowieka na swoje usługi! Wkrótce byłbym właścicielem hipoteki bazyliki Świętego Piotra w Rzymie! Hagii Sophii w Konstantynopolu! Kościoła Grobu Świętego!

A potem pomyślał: Gdyby Colon zajmował się interesami, nie byłby moim pełnomocnikiem, lecz konkurentem. Santangel zadrżał.

Królowa się wahała. Naprawdę chciała, by wyprawa doszła do skutku. Król jednak był nieugięty. Dlaczego miałby choćby rozważać absurdalne żądania tego cudzoziemca?

Santangel obserwował, jak ojciec Diego de Deza bezskutecznie próbuje przekonać króla. Czy ten człowiek nie ma pojęcia, jak należy rozmawiać z monarchami? Santangel był wdzięczny, kiedy ojciec Talavera wkrótce odprawił Dezę. Sam Santangel nie zabierał głosu, dopóki król nie poprosił go o opinię.

– Oczywiście, te żądania są absurdalne i niemożliwe do spełnienia. Monarcha, który wyrzucił Maurów z Hiszpanii, nie nada takich tytułów nie sprawdzonemu obcokrajowcowi.

Obecni mądrze pokiwali głowami. Wszyscy zakładali, że Santangel pochlebia królowi, i jak na ostrożnych dworaków przystało, pamiętali, by szybko przyłączyć się do pochwały monarchy. W ten sposób Santangelowi udało się przemycić stwierdzenie, na którym mu najbardziej zależało: “nie sprawdzony obcokrajowiec”.

– Oczywiście, jeśli wyprawa, którą Wasze Królewskie Wysokości zgodziły się już sfinansować, powróci odniósłszy sukces, to korony Hiszpanii zdobędą taką sławę i bogactwa, że Colon będzie zasługiwał na nagrody, jakich się domaga, nawet na więcej. Jest tak pewny sukcesu, że czuje, iż należą mu się one już teraz. Jeśli jednak jest tak pewny, zaakceptuje zastrzeżenie ze strony Waszej Wysokości – iż otrzyma powyższe nagrody dopiero po powrocie.

Król uśmiechnął się.

– Santangel, ty stary lisie. Wiem, że chcesz, żeby ten Colon popłynął. Ale nie zdobyłeś majątku płacąc ludziom, zanim coś dla ciebie zrobili. Niech oni ryzykują, prawda?

Santangel uklonił się skromnie, a król odwrócił się do sekretarza.

– Spisz umowę zgodnie z żądaniami Golona. Poczyń jednak zastrzeżenie, że nabierze ona mocy dopiero po jego powrocie z Orientu. – Ferdynand uśmiechnął się przebiegle do Santangela. – Wielka szkoda, że jestem monarchą katolickim i nie uprawiani hazardu. Założyłbym się z tobą, że nigdy nie będę musiał nadawać tych tytułów Colonowi.

– Wasza Wysokość, tylko głupiec szedłby o zakład ze zdobywcą Granady – odparł Santangel. W myślach dodał: Lecz tylko jeszcze większy głupiec nie doceniałby Golona.

Postanowienia umowy zostały spisane wczesnym rankiem, po gorączkowych konsultacjach pomiędzy doradcami króla i królowej. Posłaniec, który o świcie miał przekazać wiadomość Colonowi, powrócił skonsternowany i gniewny.

– Nie ma go! – wykrzyknął.

– Oczywiście, że go nie ma – rzekł ojciec Perez. – Powiedziano mu, że jego warunki nie zostały przyjęte. Wyjechał jednak dopiero o świcie. I podejrzewam, że nie jedzie zbyt szybko.

– A więc zawróćcie go – rozkazała królowa. – Przekażcie, żeby natychmiast stawił się przede mną, gdyż jestem gotowa zakończyć wreszcie tę sprawę.

Nie, nie mówcie “wreszcie”. Jedź za nim – zwróciła się do posłańca.
Dworzanin wybiegł z sali.

Kiedy czekali na powrót Golona, Santangel wziął ojca Pereza na stronę.

– Colon nie wydaje mi się człowiekiem chciwym.

– To prawda – rzekł ojciec Perez. – Jest człowiekiem skromnym. Ambitnym, ale nie w taki sposób jak myślisz, panie.

– W jaki zatem, jeśli nie w taki jak myślę?

– Chciał, by tytuły były dziedziczne, ponieważ całe życie walczył o tę wyprawę – rzekł ojciec Perez. – Nie ma innego dziedzictwa dla swego syna, żadnego majątku, nic. Jednak dzięki tej wyprawie będzie mógł teraz uczynić swego syna nie tylko szlachcicem, lecz wielkim panem. Żonę pochował wiele lat temu i nosi w sobie wiele smutku. Jest to również podarek dla niej i dla jej rodziny, która zalicza się do drobniejszej szlachty portugalskiej.

– Znam tę rodzinę – powiedział Santangel.

– Zna pan również matkę żony Golona?

– Czy ona nadal żyje?

– Tak mi się wydaje – odparł Perez.

– Ach, a więc stara dama uświadomiła mu, że wszelkie pretensje do szlachectwa zawdzięcza jej rodzinie. Colon byłby szczęśliwy, gdyby mógł odwrócić sytuację, tak by to ona zawdzięczała mu awans na prawdziwą arystokratkę.

– A więc rozumiesz, panie – rzekł Perez.

– Nie, ojciec Juanie Perez, niczego jeszcze nie rozumiem. Dlaczego Colon zaryzykował, że wyprawa się nie odbędzie, tylko po to, by uzyskać dumnie brzmiące tytuły i absurdalne prowizje?

– Może dlatego – odparł zakonnik – że ta wyprawa nie jest końcem jego misji, lecz jej początkiem.

– Początkiem! Co człowiek może jeszcze zrobić, odkrywając rozległe nowe ziemie dla Chrystusa i królowej? Uzyskawszy tytuł wicekróla i admirała? Zdobywszy majątek trudny do wyobrażenia?

– Panie, ty, chrześcijanin, pytasz mnie o to? – rzekł Perez i odszedł.

Santangel uważał się za chrześcijanina, ale nie był pewny, co Perez miał na myśli. Rozważał różne możliwości, ale okazywały się nedorzeczne; żaden człowiek nie mógłby marzyć o osiągnięciu celów tak wzniosłych.

Lecz z drugiej strony żaden człowiek nie mógłby marzyć o zdobyciu poparcia monarchów dla nader ryzykownej wyprawy na nieznanie zachodnie morza. A jednak Colonowi się udało. Jeśli więc marzył o odrodzeniu

cesarstwa rzymskiego albo wyzwoleniu Ziemi Świętej, albo wyrzuceniu Turków z Bizancjum, albo zbudowaniu mechanicznego ptaka, który poleciałby na księżyc, Santangel nie ryzykowałby twierdzenia, że to niemożliwe.

Panował już głód, tylko w Ameryce Północnej co prawda, ale nigdzie nie było nadwyżki żywności. Wysłanie pomocy oznaczało racjonowanie w wielu innych miejscach. Opowieści o chaosie i krwawych walkach między głodującymi przekonały mieszkańców Europy i Ameryki Południowej do zaakceptowania wyrzeczeń. Wysłano pomoc, była jednak niewystarczająca.

Ta beznadziejna niemożność wywołała wstrząs pośród ludzi na całym świecie. Od dwóch pokoleń wierzyli, iż świat stał się wreszcie dobry i bezpieczny. Wierzyli, iż ich czas jest czasem odbudowy, odrodzenia, odnowy. Teraz dowiedzieli się, że uczestniczą jako tylna straż w wojnie, której wynik został postanowiony, zanim jeszcze się narodzili. Wysiłali się na próżno, ponieważ nic nie mogło się ostać. Ziemia była zbyt zniszczona.

Pośród rozpaczki wywołanej tą świadomością pojawiły się pierwsze wieści o programie "Kolumb". Dyskusja była ponura. Decyzję podjęto niejednoznacznie, lecz przewaga głosów była przytłaczająca. Jakie inne możliwości mieli ludzie? Patrzeć bezczynnie, jak ich dzieci umierają z głodu? Raz jeszcze chwycić za broń i walczyć o ostatnie skrawki ziemi uprawnej? Kto zdecydowałby się z czystym sumieniem na życie w jaskiniach, zimnie i niewiedzy, kiedy istniał inny wariant, jeśli nie dla niego i jego dzieci, to przynajmniej dla rodu ludzkiego jako całości?

Manjam siedział obok Kemala. Czekali na zakończenie głosowania. Kiedy ogłoszono wynik, Kemal już wiedział, że naprawdę wybierze się w podróż w przeszłość. Był jednocześnie uradowany i przestraszony. Można ze spokojem planować własną śmierć, kiedy perspektywa jest odległa. Teraz jednak było już tylko kwestią dni, zanim przeniesie się w przeszłość, a potem tygodni, zanim stanie z pogardą przed Kolumbem i powie: "Czy sądziłeś, że Allah pozwoli chrześcijaninowi odkryć te nowe ziemie? Pluję na waszego Chrystusa! Nie miał siły ochronić was przed mocą Allacha! Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem!"

A potem któregoś dnia, być może, przyszedł badacz Instytutu Czasu ujrzy go stojącego tam, skinie głową i powie: "Oto był człowiek, który powstrzymał Kolumba. Oto człowiek, który oddał życie, by mógł powstać dobry i

bezpieczny świat, mój świat. Oto człowiek, który dał ludzkości przyszłość. Tak jak Yewesweder przed nim, ten człowiek ustalił kierunek rozwoju ludzkości”.

Za coś takiego warto zginąć, pomyślał Kemal. Zasłużyć na miejsce w historii obok samego Yeweswedera.

– Wydajesz się nieco melancholijny, przyjacielu – rzekł Manjam.

– Tak. Jestem smutny i szczęśliwy jednocześnie.

– Jaka według ciebie będzie reakcja Tagiri?

Kemal wzruszył ramionami z pewnym zniecierpliwieniem.

– Kto potrafi zrozumieć zachowanie tej kobiety? Poświęca całe swoje życie tej sprawie, a potem musimy niemal zatkać jej usta, żeby nie przekonywała ludzi, by głosowali dokładnie przeciwko temu, czemu się poświęciła!

– Wcale nietrudno ją zrozumieć, Kemal – rzekł Manjam. – Tak jak powiedziałeś, dzięki sile jej woli nasz program dotarł do punktu, w którym się znajduje dzisiaj. Ona była za to odpowiedzialna. Niestety, ciężar był zbyt wielki, by sama mogła go dźwignąć. Teraz jednak może być zadowolona, że przeciwstawiła się zniszczeniu naszego czasu, że ostateczna decyzja została powzięta poza nią, została jej narzucona przez ogromną większość ludzkości. Odpowiedzialność za koniec naszego czasu nie spoczywa już tylko na niej. Będzie dzielona przez wielu, dźwigana na wielu ramionach. Tagiri może być teraz spokojna.

Kemal zachichotał ponuro.

– Może być teraz spokojna... Jak długo? Przez ile dni? Zniknie, wymazana z istnienia, razem z resztą ludzkości w tym świecie. Czy cokolwiek innego ma znaczenie?

– Oczywiście – odparł Manjam – ponieważ te parę dni to cała jej przyszłość. Tagiri przeżyje te dni mając czyste dłonie i spokój w sercu.

– I to nie jest hipokryzja? – zapytał Kemal. – Przecież Tagiri spowodowała to wszystko, prawda?

– Hipokryzja? Nie. Hipokryta wie, kim naprawdę jest, i stara się to ukryć przed innymi, żeby ich wykorzystać. Tagiri wyczuwa moralną dwuznaczność w tym, co musi zrobić. Nie byłaby spokojna zaniechawszy działania, a jednak boi się, że również kiedy to zrobi, nie zyska spokoju. Tłumi więc swoje uczucia, by poddać się konieczności.

– Jeśli jest tutaj jakaś różnica, to cholernie trudno ją zauważyć – rzekł Kemal.

– To prawda – zgodził się Manjam. – Jest tutaj różnica. I cholernie trudno ją zauważyć.

W drodze do Palos Cristoforo od czasu do czasu przyciskał dłoń do piersi, by poczuć sztywny zwitek pergaminu wetknięty pod płaszcz. Dla Ciebie, mój Panie, mój Zbawco. Dałeś mi szansę, a teraz ja dla Ciebie ją wykorzystam. Dzięki Ci, dzięki za wysłuchanie mojej modlitwy, za pozwolenie, by był to również dar dla mojego syna, dla mojej zmarłej żony.

Gdy tak jechał z milczącym ojcem Perezem u boku, w pewnym momencie naszło go wspomnienie. Ojciec gorliwie podbiega do stołu, przy którym siedzą bogato odziani mężczyźni i nalewa im wino. Co się miało wtedy wydarzyć? Ojciec jest tkaczem. Dlaczego nalewa wino? Co mi się przypomina? I dlaczego właśnie teraz?

Żadna odpowiedź nie przyszła mu na myśl, a koń stapał do przodu, wzbijając kurz z każdym krokiem. Cristoforo dumiał, co go czeka. Wiele pracy, przygotowanie do wyprawy. Czy będzie pamiętał, co trzeba zrobić, po tylu latach od ostatniej prawdziwej wyprawy, w jakiej brał udział? Nieważne. Będzie pamiętał dość, by dotrzeć do celu. Najgorszą przeszkodę miał już za sobą. Został wydzwignięty rękami Chrystusa, Chrystus zanieś go teraz ponad wodą i sprowadzi z powrotem do domu. Nikt i nic nie może go już powstrzymać.

9 – POŻEGNANIA

Cristoforo przy sterze obserwował, jak marynarze przygotowują karawelę do wypłynięcia. Skrycie pragnął opuścić tę wyniosłą siedzibę i przyłączyć się do pracy, wciągać żagle, wnosić na pokład najświeższe zapasy, wprawić w ruch ręce, nogi, całe ciało, stać się członkiem załogi, elementem żywego organizmu statku.

Ale jego rola tutaj była inna. Bóg wybrał go, by przewodził, i taka była natura rzeczy, że kapitan statku, nie mówiąc już o przywódcy ekspedycji, musiał pozostać niedostępny dla załogi jak sam Chrystus dla Kościoła, którego był głową.

Cristoforo wiedział, że ludzie zebrani na brzegu i wzgórzach nad morzem nie

przyszli tu, by wznosić okrzyki na jego cześć. Znaleźli się tutaj, ponieważ Martin Pinzon, ich ulubieniec pośród żeglarzy, ich bohater, faworyt, zabierał załogę złożoną z ich synów, braci, wujów, kuzynów i przyjaciół w otwarte morze na wyprawę tak śmiałą, że wydawała się szaleństwem. Czy też tak szaleńczą, że wydawała się śmiałością? W Pinzonie pokładali wiarę, Pinzon miał przyprowadzić ich bliskich z powrotem do domu. Kim był dla nich Cristobal Colon? Dworakiem, który wkradł się w łaski korony i za pomocą dekretu zdobył władzę, jakiej nigdy nie uzyskałby dzięki zdolnościom żeglarskim. Ci ludzie nie wiedzieli o latach, jakie Cristoforo spędził w młodości w dokach Genui. Nie wiedzieli nic o jego wyprawach, studiach, planach i marzeniach. Przede wszystkim zaś nie mieli pojęcia, że Bóg przemówił do niego na plaży u wybrzeży Portugalii, nie tak znowu wiele mil stąd na zachód. Nie zdawali sobie sprawy, że ta podróż już teraz jest cudem; nigdy nie mogłaby się zdarzyć, gdyby nie poparcie Boga, i dlatego musi się powieść.

Wszystko było gotowe. Gorączkowy ruch zamarł, zapadła cisza. Wszyscy zwrócili oczy ku Colonowi.

Patrzcie na mnie, pomyślał Cristoforo. Kiedy uniosę rękę, zmienię świat. Nikt z was nie mógłby czegoś takiego dokonać.

Zacisnął dłoń w pięść, podniósł wysoko nad głowę. Tłum zakrzyknął głośno, gdy marynarze rzucili cumy i karawele poczęły oddalać się od lądu.

Trzy puste szare półkule tworzyły trójkąt, niczym trzy miski ustawione na stole do obiadu. Każda wypełniona była sprzętem, którego do swoich misji mieli użyć Diko, Hunahpu i Kemal. W każdej znajdowała się część archiwum, jakie zgromadził Manjam wraz z tajemniczymi towarzyszami. Gdyby któryś z podróżników dotarł w przeszłość i zmienił ją, tak że przyszłość zostałaby zniszczona, przypadająca na niego część archiwum zawierałaby dość informacji, by pewnego dnia ludzie nowej przyszłości mogli dowiedzieć się o przyszłości, która umarła za nich. By mogli tworzyć nowe dzieła na podstawie odkryć współbraci, zdumiewać się ich historią, czerpać korzyści z ich technologii, wyciągać nauki z ich błędów. Smutna jest zawartość tych mis, pomyślała Tagiri. Ale taki jest świat. Zawsze coś musi umrzeć, by inny organizm mógł żyć. A teraz cała społeczność, światowa społeczność, musi zamienić swoje umieranie w ucztę możliwości dla innych. Diko i Hunahpu stali obok siebie słuchając ostatnich wyjaśnień Są Ferreiry;

Kemal trzymał się z boku, skupiony, ale jakby nieobecny. Był już daleko, niczym antylopa w szczękach geparda, poza strachem, poza troską. Chrześcijańscy męczennicy musieli wyglądać podobnie, gdy wchodzili do klatki z lwami, pomyślała Tagiri. Nie był to wyraz ponurej rozpacz, jaki widziała na twarzach niewolników przykuwanych łańcuchami pod pokładem portugalskich statków. “Śmierć to śmierć, jest zawsze taka sama” – powiedział ktoś kiedyś Tagiri, ale nie uwierzyła. Kemal wie, że idzie na śmierć, ale ta śmierć będzie miała sens, będzie coś znaczyła, to apoteoza, nadająca sens jego życiu. Takiej śmierci nie należy się lękać, trzeba wyjść jej na spotkanie. Jest w tym duma, tak, ale duma szlachetna, nie próżna, opromieniona blaskiem świętej ofiary.

Tak powinniśmy czuć się wszyscy, ponieważ wszyscy umrzemy dzisiaj, zabici przez te maszyny. Kemal czuje w duchu, że zginie pierwszy, ale jest inaczej. Ze wszystkich ludzi na świecie w tym dniu, w tej godzinie, on będzie jednym z trojga, którzy nie umrą, gdy dźwignia zostanie przesunięta i te szare półkule cisną swoją zawartość w czas miniony.

A jednak to, że napawał się perspektywą śmierci, nie było złe. Miał umrzeć otoczony nienawiścią i gniewem, zabity przez ludzi, którzy nie rozumieli motywów jego działań, lecz ich nienawiść miała być rodzajem czci, ich gniew nagrodą za jego wyczyn.

Są Ferreira prawie już kończył.

– Przejdźmy od spraw poważnych do banalnych. Nie wychylajcie się poza kopułę. Nie wstawajcie, nie podnoście rąk, dopóki nie zobaczycie, że jesteście na miejscu. – Wskazał kable i przewody zwisające z sufitu nad środkiem każdej z półkul. – Te kable podtrzymujące generatory pola zostaną przerwane, gdy tylko spełnią swoje zadanie. Tak więc oddzielenie was od strumienia czasu będzie praktycznie natychmiastowe. Powstanie pole i w tym samym momencie generator straci całą moc, pole przestanie istnieć. Oczywiście nie będziecie tego świadomi. Spozrzeżecie tylko, że generator nagle opadnie. Ponieważ żadna część waszego ciała nie będzie znajdowała się pod generatorem – mam nadzieję, że nie będziecie ryzykowali złamania nogi dla sprawdzenia, czy mam rację...

Diko zaśmiała się nerwowo. Hunahpu i Kemal nie zareagowali.

– ...Upadek generatora w najmniejszym stopniu nie będzie dla was niebezpieczny. Generator pociągnie jednak za sobą kable. Są ciężkie, ale na szczęście droga spadania jest krótka, więc nie zdążą nabrać przyspieszenia. Mimo to bądźcie świadomi, że mogą was uderzyć. Choć więc pewnie korci

was, by ustawić się w szlachetnej, godnej pozie, błagam o przyjęcie maksymalnie skulonej postawy, byście nie narazili na szwank siebie, a przez to powodzenia misji.

– Tak, tak – rzeki Kemal. – Zwiniemy się w kłębek jak płód w brzuchu.

– A więc wszystko jasne. Czas ruszać.

Nastąpiła chwila wahania. Zaczęli się żegnać. Niemal w milczeniu Hunahpu został uściskany przez braci, a Hassan i Tagiri oraz Acho pocałowali Diko po raz ostatni. Kemal stał samotnie. Tagiri podeszła i pocałowała go lekko w policzek. Hassan chwycił Kemala za ramiona i powiedział coś cicho, jakiś cytat z Koranu, a potem pocałował go w usta.

Kemal wdrapał się samotnie do swojej półkuli. Hunahpu odprowadził Diko; zanim się rozstali, objął ją i pocałował delikatnie. Tagiri nie słyszała słów, jakie padły między nimi, ale wiedziała – wszyscy wiedzieli, lecz nie mówili o tym – że Diko i Hunahpu także złożyli osobistą ofiarę, może nie tak wielką jak Kemal, ale bolesną, pełną słodkiej goryczy. Było możliwe, że Kemal i Diko zobaczą się jeszcze kiedyś, oboje bowiem udawali się na wyspę Hispaniola – nie, na Haiti, gdyż ta tubylcza nazwa miała teraz przetrwać. Ale Hunahpu wyprawiał się na trzęsawiska Chiapas w Meksyku i najprawdopodobniej on albo Diko nie dożyje momentu, kiedy ich ścieżki będą mogły skrzyżować się ponownie.

Zresztą nie było wcale pewne, że wszystkie trzy półkule dotrą na miejsce. Nie rozwiązano problemu jednoczesności. Chociaż przewody zmierzono nader dokładnie, tak by wyrównać czas przebiegu sygnału od włącznika do trzech komputerów i od komputerów do trzech generatorów pola, naukowcy wiedzieli, że żadne obliczenia nie zagwarantują naprawdę jednoczesnego dotarcia sygnałów. Wystąpi minimalna, lecz realna różnica w czasie. Jeden z sygnałów dotrze pierwszy. Jedno z pól będzie istniało, choćby tylko przez nanosekundę, zanim pozostałe dwa zostaną uaktywnione. I możliwe, że w ogóle nie powstaną w efekcie zmian spowodowanych przez pierwsze pole. Przyszłość, w której generatory będą wówczas istniały, zostanie zniszczona. Postanowiono zatem, że każdy z trójki podróżników musi działać tak, jakby pozostałej dwójce się nie powiodło. Każdy musi wykonywać swoje zadanie, jakby zależało od niego powodzenie całej misji.

Mieli jednak nadzieję, że wszystkie trzy maszyny zadziałają, że cała trójka podróżników dotrze do punktów przeznaczenia. Diko miała pojawić się na Haiti w roku 1488, Kemal w 1492; Hunahpu w Chiapas w roku 1475. “Natura jest w pewnym sensie nieporządna – tłumaczył Manjam. –

Absolutnej precyzji nie można osiągnąć, tak więc wszystko, co się wydarza, podlega prawom prawdopodobieństwa, zawsze jest niewielki margines, odrobina miejsca na pomyłki i błędy. Molekuły kwasu DNA mają wbudowany pewien zakres odchyłeń, mogą radzić sobie ze stratami, uszkodzeniami lub dodatkowymi sekwencjami. Położenie poruszającego się elektronu jest nieprzewidywalne, ponieważ liczy się tylko to, by pozostawał on w stałej odległości od jądra. Planety mają zmienne orbity, a jednak krążą przez miliardy lat nie poddając się przyciąganiu gwiazdy. Powinno więc istnieć miejsce na mikro, mili, centy, czy nawet decy-sekundy różnicy pomiędzy zadziałaniem trzech pól. Nie ma jednak możliwości eksperymentalnego zbadania, jaka jest to tolerancja. Być może, grubo ją przekroczyliśmy. Możemy pomylić się o milionową część sekundy. Być może, pobłądziliśmy tak bardzo, że całe to przedsięwzięcie jest tylko stratą czasu. Kto wie?”

Dlaczego martwię się o Diko? – pomyślała Tagiri. Martwię się o nią, chociaż wiem, iż za kilka minut ja, mój drogi mąż i mój wspaniały syn Acho przestaniemy istnieć. Diko przecież będzie żyła. Ona ma przyszłość. A jednak jakaś zwierzęca część mnie samej, ta część, która odczuwa emocje, nie pojmuje faktu, że czeka mnie śmierć. To nie śmierć, kiedy cały świat umiera z tobą. Nie, zwierzęca część mnie wie tylko, że moje dziecko mnie opuszcza, i dlatego jestem smutna.

Patrzyła, jak Hunahpu pomaga Diko wejść po drabince, a potem podchodzi do swojej półkuli i wspina się do środka.

Teraz nadeszła kolej na nią. Pocałowała Hassana i Acho, po czym podeszła do zamkniętej klatki. Nacisnęła przycisk, by ją otworzyć, w momencie gdy Manjam i Hassan również przyciskali włączniki, a Diko, Hunahpu i Kemal dotknęli sensorów w swoich generatorach pola. Zamek szczęknął, Tagiri pchnęła drzwi klatki i weszła do środka.

– Jestem – powiedziała. – Zwolnijcie przyciski, podróżnicy.

– Przyjąć pozycję! – zawołał Są.

Tagiri znajdowała się teraz powyżej półkul. Widziała, jak Kemal, Diko i Hunahpu zwijają się w kłębek na skrzynkach ze sprzętem i zapasami, by żadną częścią ciała nie znaleźć się na linii upadku generatora i nie wykroczyć poza granicę kuli, jaką wytworzy generator pola.

– Gotowi?! – krzyknął Są.

– Tak – odparł Kemal natychmiast.

– Gotowy – rzekł Hunahpu.

– Jestem gotowa – powiedziała Diko.

– Czy ich widzicie?! – zawołał Są, zwracając się teraz do Tagiri i pozostałych trzech obserwatorów. Wszyscy potwierdzili, że podróżnicy zajęli odpowiednią pozycję.

– Zaczynaj, Tagiri – polecił Są.

Tagiri zawahała się tylko na moment. Zabijam wszystkich, żeby wszyscy mogli żyć, przypomniała sobie. Sami zdecydowali, tak jak potrafili przy swoim niepełnym rozumieniu. Od momentu narodzin wszyscy jesteśmy skazani na śmierć, dobrze więc, że przynajmniej możemy wiedzieć, iż nasza dzisiejsza śmierć przyniesie coś dobrego, uczyni świat lepszym. Ta litania usprawiedliwień szybko się skończyła; Tagiri ponownie została sam na sam z bólem, który dręczył ją od tygodni, od lat, przez czas trwania programu.

Przez moment żałowała, że w ogóle podjęła pracę w Instytucie Czasu, skoro musi przeżywać tę chwilę, skoro własną dłońią musi trzymać dźwignię.

A kto inny potrafiłby unieść tę odpowiedzialność, jeśli ja tego nie potrafię? – zapytała w duchu. Wszyscy niewolnicy czekają, bym zwróciła im wolność. Wszystkie nie narodzone dzieci niezliczonych pokoleń ludzkości czekają, bym uratowała je przed ekologiczną śmiercią świata. Diko czeka, bym posłała ją w przeszłość, ku pracy jej życia.

Chwyliła rączkę dźwigni.

– Kocham was – powiedziała. – Kocham was wszystkich.

I pociągnęła.

10 – POWITANIA

Czy Pan powiedział, że Cristoforo pierwszy ujrzy nowy ląd? Jeśli tak, to proroctwo musi się spełnić. Lecz jeśli nie, to Cristoforo mógł pozwolić Rodrigo de Trianie na twierdzenie, iż to on pierwszy dostrzegł zarys brzegu. Dlaczego Cristoforo nie mógł przypomnieć sobie dokładnie słów Pana? W najważniejszej chwili życia zawodzi go pamięć.

O pomyłce jednak nie mogło być mowy. W świetle księżyca przesączaającym się przez chmury wszyscy widzieli ląd; bystrooki Rodrigo de Triana ujrzął go pierwszy przed godziną, o drugiej nad ranem, kiedy był jeszcze tylko

odmiennie zabarwionym cieniem na zachodnim horyzoncie. Marynarze zebrali się teraz wokół Rodriga, gratulując mu i przypominając o długach, prawdziwych i wymyślonych. Czynili słusznie, temu bowiem, który pierwszy zobaczy ląd, przysługiwała nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy maravedises rocznie do końca życia. Suma ta wystarczała na utrzymanie eleganckiego domu ze służbą; wystarczała na uczynienie de Triana szlachcicem.

Ale co Cristoforo ujrzał wcześniej tej nocy, około dziesiątej? Ląd musiał być już wtedy blisko. Cristoforo widział światło, poruszające się w górę i w dół, jakby dawało mu znaki, przyzywało. Bóg pokazał mu ląd i jeśli miały wypełnić się słowa Pana, Cristoforo musiał zażądać dla siebie palmy pierwszeństwa.

– Przykro mi, Rodrigo – odezwał się ze swojego miejsca przy sterze – ale ten ląd ujrzałem cztery godziny przed tobą.

Gwar ucichł nagle.

– Don Pedro Gutierrez podszedł na moje wołanie – ciągnął Cristoforo. – Była dziesiąta. Don Pedro, co obaj zobaczyliśmy?

– Światło – rzekł don Pedro. – Na zachodzie, tam gdzie teraz widać ląd. – Gutierrez był zausznikiem króla – czy też, by rzec brutalnie, jego szpiegiem. Nie darzył Golona szczególną sympatią. A jednak w oczach zwykłych marynarzy wszyscy szlachetnie urodzeni byli uczestnikami wymierzonego w nich spisku, jak dowodziła tego choćby ta chwila.

– Ja pierwszy krzyknąłem “ziemia” – twierdził de Triana uparcie. – Ty nie dałeś żadnego znaku, don Cristobal.

– Przyznam, że nie miałem pewności – odparł Cristoforo. – Morze było niespokojne, a ja wątpiłem, czy ziemia może znajdować się tak blisko. Przekonałem sam siebie, że to nie może być ląd, i nic nie powiedziałem, nie chciałem bowiem budzić fałszywych nadziei. Ale don Pedro jest świadkiem, że widziałem ziemię, i to, co wszyscy mamy przed oczami, potwierdza moje słowa.

De Triana był oburzony. Przecież to zwykła kradzież!

– Tyle godzin wyteżądałem wzrok w kierunku zachodu. Światło na niebie to nie ląd. Nikt nie widział lądu przede mną, nikt!

Sanchez, królewski inspektor – oficjalny przedstawiciel króla i płatniczy wyprawy – przemówił niezwłocznie, a jego słowa odbiły się od pokładu niczym uderzenia bicia.

– Dość tego! To jest królewska wyprawa; czy ktoś śmie kwestionować słowa

królewskiego admirała oceanu?

Była to odważna wypowiedź, ponieważ dopiero po dotarciu do Cipango i bezpiecznym powrocie do Hiszpanii tytuł admirała oceanu miał należeć do Kolumba. A Cristoforo dobrze wiedział, że wieczorem, kiedy don Pedro potwierdził, że widzi to samo światło, Sanchez upierał się, że nie ma żadnego światła, że na zachodzie nic nie ma. Sanchez pierwszy mógł podać pierwszeństwo Cristofora w wątpliwość. A jednak poparł – jeśli nie twierdzenie Kolumba, to jego autorytet.

To było wystarczające.

– Rodrigo, zaiste masz bystry wzrok – rzekł Cristoforo. – Gdyby ktoś na brzegu nie rozniecił ognia lub nie świecił pochodnią, nie zobaczyłbym nic. Jednak Bóg tym światłem przyciągnął mój wzrok ku brzegowi i ty potwierdziłeś tylko to, co już wcześniej zostało mi pokazane przez Boga.

Marynarze milczeli. Chwilę wcześniej cieszyli się nagłym wzbogaceniem jednego spośród nich; jak zwykle, nagrodę wyrwano z rąk prostego człowieka. Zakładali, oczywiście, że Cristoforo i don Pedro skłamali, powodowani chciwością. Nie mogli rozumieć, że Cristoforo wypełnia misję zleconą przez Boga, nie musi więc okradać zwykłego marynarza, bo i tak zostanie wynagrodzony hojnie przez Boga. Cristoforo nie śmiał jednak nie wypełnić Boskich poleceń choćby w jednym szczególe. Jeśli Pan orzekł, że on pierwszy dosięgnie wzrokiem odległych królestw Orientu, to Cristoforo nie mógł sprzeciwiać się woli Boskiej w tej kwestii, nawet ze współczucia dla de Triany. Nie mógł też podzielić się nagrodą z marynarzem, gdyż wyszłoby to na jaw i ludzie zaczęliby myśleć, że nie litość i poczucie sprawiedliwości, lecz raczej wyrzuty sumienia kazały mu tak postąpić. Jego pewność co do tego, że pierwszy ujrzał ląd, musi pozostać niezachwiana, w przeciwnym razie nie zostanie spełniona wola Boska. Co zaś do Rodrigo de Triany, Bóg bez wątpienia jakoś wynagrodzi mu tę stratę.

Może teraz, gdy cierpliwe starania zaczynały wreszcie przynosić owoce, Bóg pozwoli, by wydarzenia toczyły się bez komplikacji.

Żadne obliczenia nie są absolutnie precyzyjne. Pole temporalne miało stworzyć idealną kulę dopasowaną do kształtu generatora, tak by pasażer ze sprzętem przeniósł się w przeszłość, a metalowa misa pozostała na miejscu w przyszłości. Tymczasem Hunahpu odkrył, że kołysze się na kawałku półkuli, wygiętym fragmencie metalu tak cienkim, że widzi przez niego liście. Przez

chwilę zastanawiał się, jak się wydostanie, gdyż metal tak cienki miał z pewnością krawędź zdolną go pokaleczyć. Potem jednak odłamek pękł pod jego ciężarem i opadł na ziemię w postaci delikatnych płatków. Skrzynie z wyposażeniem potoczyły się po ziemi.

Hunahpu wstał i pozbierał cienkie płatki, składając je na kupkę pod drzewem. Naukowcy obawiali się, że kula pola temporalnego przetnie jakieś drzewo, a wtedy korona zawali się na podróżnika i cenny sprzęt. Umieścili więc Hunahpu jak najbliżej plaży. Ale obliczenia nie były dokładne. Jedno duże drzewo znajdowało się mniej niż trzy metry od krawędzi pola.

Nieważne. Nie trafił w nie. Pole zaś, zamiast za duże, mogłoby przecież być za małe i straciłby część sprzętu. A tak, przy odrobinie szczęścia, znalazł się, być może, wystarczająco blisko właściwego odcinka czasowego, by wykonać zadanie przed przybyciem Europejczyków.

Był wczesny ranek. Hunahpu nie chciał zostać dostrzeżony zbyt wcześnie. Odcinek plaży, na którym wylądował, wybrano, ponieważ był rzadko odwiedzany; gdyby jednak pomylili się o kilka tygodni, ktoś mógłby go zauważyć. Musiał działać tak, jakby wydarzyło się najgorsze. Musiał być ostrożny.

Wkrótce ukrył wszystko w zaroślach. Ponownie spryskał się płynem odstraszającym owady, na wszelki wypadek, po czym zaczął z mozołem przenosić kolejne rzeczy z brzegu do kryjówki, jaką znalazł pomiędzy skałami kilometr w głąb lądu.

Zajął mu to prawie cały dzień. Odpoczywając, pozwolił sobie na luksus rozważenia własnej przyszłości. Jestem na ziemi moich przodków, a przynajmniej w jej pobliżu. Nie mam odwrotu. Jeśli mi się nie uda, skończę jako ofiara dla Huitzilopochtli albo jakiegoś zapotekańskiego boga. Nawet jeśli Diko i Kemalowi się udało, wylądowali daleko stąd i kilkanaście lat później. Jestem sam w tym świecie, wszystko zależy ode mnie. Nawet jeśli inni poniosą porażkę, jestem zdolny sam powstrzymać Kolumba. Muszę tylko przekształcić Zapoteków w wielki naród, połączyć ich sojuszem z Tarascańczykami, przyspieszyć rozwój umiejętności obrabiania metali i budowania statków, powstrzymać Tlaxcalańczyków i obalić Azteków, wreszcie przygotować tych ludzi na nową ideologię nie opartą na składaniu ofiar z ludzi. Drobnostka.

Wszystko wyglądało tak łatwo na papierze. Tak logicznie: zwykłe przechodzenie od jednego etapu do następnego. Ale teraz, gdy nikogo tu nie znam, pozostawiony sam sobie z tym sprzętem, którego nie można będzie

naprawić ani wymienić, jeśli się zepsuje...

Wystarczy, powiedział sobie. Mam jeszcze trochę czasu do zmierzchu. Muszę się dowiedzieć, w którym momencie przybyłem. Jestem umówiony w paru miejscach.

Przed nastaniem zmroku zlokalizował najbliższą zapotekańską wioskę, Atetulka, a ponieważ obserwował ją wielokrotnie na ekranie TruSite II, po zachowaniu ludzi natychmiast rozpoznał, jaki jest dzień. Jeśli chodzi o datę, w polu temporalnym nie było większego błędu. Przybył zgodnie z założeniami i mógł ujawnić się mieszkańcom wioski następnego ranka.

Skrzywił się na myśl o czekających go przygotowaniach. W swej kryjówce poczekał na jaguara, którego oglądał tyle razy, powalił go za pomocą strzałki ze środkiem usypiającym, po czym zabił. Przybędzie do Atetulka w jego skórze. Zapotekowie nie podniosą łatwo ręki na Człowieka Jaguara, szczególnie jeśli przedstawi się jako król Majów z niezbadanej podziemnej krainy Xibalba. Dni potęgi Majów należały już do przeszłości, ale nie były zapomniane. Zapotekowie żyli bezustannie w cieniu wspianiałej cywilizacji Majów sprzed stuleci. Interwenci stanęli przed Kolumbem ubrani na podobieństwo Boga, w którego wierzył; Hunahpu miał uczynić tak samo. Różnica polegała na tym, że on będzie musiał mieszkać z ludźmi, których oszuka, i będzie musiał zwodzić ich skutecznie do końca swego życia.

Wszystko to kiedyś wydawało się tak wspianiałym pomysłem.

Cristoforo nie zgodził się na popłynięcie ku lądowi przed świtem. Chociaż wszyscy pragnęli postawić znowu stopę na twardym gruncie, nie było sensu ryzykować utraty nawet jednej karaweli na rafach albo podwodnych skałach. Przecież nie znali tych wód.

W świetle poranka okazało się, że postąpił słusznie. Podejścia były zdradliwe, tylko dzięki zręcznemu manewrowaniu Cristoforo zdołał doprowadzić statki do brzegu. Niech teraz powiedzą, że nie jestem żeglarzem, pomyślał. Czy Pinzon dałby sobie radę lepiej niż ja?

A jednak marynarze nie wyrażali uznania. Wciąż byli markotni z powodu sprawy de Triany. Cóż, niech się dąsają. Zanim ta podróż dobiegnie końca, każdy zdąży się obłowić. Czyż Bóg nie przyrzekł tyle złota, że wielka flotylla nie będzie w stanie go przewieźć? Czy może Cristoforo sam dopowiedział sobie te słowa?

Że też nie pozwolono mu zapisać wszystkiego, kiedy wydarzenie miał

jeszcze świeżo w pamięci! Z pewnością jednak było tutaj złoto i on zawiezie je do domu.

– Na tej szerokości jesteśmy zapewne u wybrzeży Cipango – rzekł do Sancheza.

– Tak sądzisz? Nie znam żadnego odcinka hiszpańskiego wybrzeża, gdzie nie byłoby śladu ludzkich siedzib.

– Zapominasz o świetle, które widzieliśmy w nocy – powiedział don Pedro. Sanchez milczał.

– Czy widzieliście kiedykolwiek tak soczystą zieloną krainę? – zachwycił się don Pedro.

– Bóg uśmiecha się do tego miejsca – powiedział Kolumb – i dał je w prezencie naszemu katolickiemu królowi i królowej.

Karawele poruszały się powoli, z obawy przed mieliznami. Gdy przybliżyli się do lśniącej białej plaży, z mroków dżungli wyłoniło się kilka postaci.

– Ludzie! – krzyknął jakiś marynarz.

Nie mieli na sobie żadnego odzienia, poza przepaską wokół bioder. Byli ciemni, lecz nie tak ciemni jak mieszkańcy Afryki. Poza tym ich włosy były proste, nie zaś mocno kręcone jak u Murzynów.

– Takich ludzi nigdy dotąd nie widziałem – powiedział Sanchez.

– Bo nigdy dotąd nie byłeś w Indiach – odparł Kolumb.

– Nie byłem też na księżycu – mruknął Sanchez.

– Czyżbyś nie czytał Marco Polo? Nie są to Chińczycy, ponieważ nie mają skośnych, wąskich oczu. Ich skóra nie ma odcienia żółtego, raczej czerwonawy, co dowodzi, że są mieszkańcami Indii.

– A więc nie jest to jednak wybrzeże Cipango? – zapytał don Pedro.

– Wysunięta wyspa. Pożeglowaliśmy za daleko na północ. Cipango leży na południe lub na południowy zachód stąd. Nie możemy być pewni dokładności obserwacji Marco Polo. On nie był nawigatorem.

– A ty jesteś? – zapytał Sanchez oschle.

Cristoforo nie okazał mu pogardy, na jaką zasługiwał.

– Powiedziałem, że dotrzemy do Orientu żeglując na zachód, señor, i oto jesteśmy.

– Gdzie jesteśmy, Bóg jeden raczy wiedzieć – odparł Sanchez.

– Na święte rany Chrystusa, człowieku, mówię ci, że znajdujemy się u wrót Orientu!

– Podziwiam pewność admirała.

I znowu ten tytuł – admirał. Słowa Sancheza zdawały się zdradzać

wątpliwość, a jednak użył tytułu, który mógł należeć do Kolumba dopiero po sukcesie ekspedycji. Czy też użył go ironicznie? Czyżby szydził z Kolumba?

– Czy kierujemy się do brzegu, panie? – odezwał się sternik.

– Morze jest wciąż zbyt niespokojne – odrzekł Cristoforo. – Widzisz fale rozbijające się o skały. Musimy okrążyć wyspę i znaleźć zatokę. Żegluj dwa stopnie na południowy zachód, aż okrążymy południowy kraniec rafy, a potem na zachód.

Tę samą komendę przekazano dwóm pozostałym karawelom. Indianie na brzegu machali do nich, krzycząc coś niezrozumiałego. Nadzy i prymitywni – emisariusze katolickich monarchów nie będą nawiązywać pierwszych kontaktów z najbiedniejszymi mieszkańcami tej nowej ziemi. Jezuici dotarli do najdalszych zakątków Wschodu. Z pewnością ktoś znający łacinę pojawi się na ich powitanie, kiedy zostali już zauważeni.

Około południa, gdy płynęli na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy, znaleźli zatokę tworzącą dobre wejście. Stało się jasne, że wyspa, którą odkryli, jest bardzo mała. Nawet misjonarze by się nią nie interesowali, toteż Kolumb pogodził się z myślą o kilkudniowym oczekiwaniu, zanim przybędzie ktoś godny przyjęcia emisariuszy króla i królowej.

Niebo przejaśniło się i słońce paliło mocno, gdy Cristoforo zszedł do szalupy. Za nim po drabince zeszli Sanchez i don Pedro oraz, roztrzęsiony jak zwykle, biedny Rodrigo de Escobedo, notariusz flotylli, który miał za zadanie spisywać wszystkie akty prawne dokonane w imieniu Ich Królewskich Wysokości. Na dworze obiecujący młody urzędnik prezentował się świetnie, jednak na statku szybko zamienił się w wymiotujące widmo. Jeśli miał siłę wstać z koi, ciągle tylko biegał ze swej kabiny nad burtę i chwiejnie wracał z powrotem. Do tego momentu zdążył już przyzwyczaić się do kołysania statku i nawet jadł, a posiłki nie kończyły za burtą. Sztormy poprzedniego dnia jednak powaliły go ponownie, było więc z jego strony dowodem wielkiej siły woli, że zszedł na brzeg, by pełnić obowiązki. Cristoforo podziwiał go na tyle za jego milczącą determinację, że postanowił, iż w dzienniku okrętowym nie znajdzie się żadna wzmianka o chorobie morskiej Escobedo. Dzielny urzędnik zachowa godność w oczach potomnych.

Cristoforo zauważył, że zanim wszyscy królewscy urzędnicy wsiedli do szalupy, podobne czółno odbiło od karaweli Pinzona. Niech uważa, pomyślał Kolumb, jeśli sądzi, że pierwszy postawi stopę na tej ziemi. Cokolwiek myśli o mnie jako o marynarzu, wciąż jestem emisariuszem króla Aragonii i królowej Kastylii, i byłoby aktem zdrady, gdyby próbował ubiec mnie w

takiej chwili.

Pinzon musiał zdać sobie z tego sprawę w połowie drogi, jego szalupa bowiem wciąż jeszcze kołysała się na wodzie, gdy Kolumb i jego towarzysze minęli ją i dotarli do brzegu. Zanim łódź zaryła się w piasek, Cristoforo wyskoczył i ruszył brodząc przez wodę, która zmoczyła go do pasa, szarpiąc miecz u biodra. Uniósł królewską flagę wysoko nad głowę i ruszył po gładkim wilgotnym piasku plaży. Szedł, aż dotarł do linii przyływu, na suchym piasku uklęknął i pocałował ziemię. Wstał i odwrócił się – inni padli na kolana i całowali ziemię tak jak on.

– Ta mała wyspa będzie od tej chwili nosić imię Zbawiciela, który nas tu przyprowadził.

Escobedo napisał na papierze z małej skrzyneczki, którą zabrał ze statku: “San Salvador”.

– Ziemia ta jest odtąd własnością Ich Królewskich Wysokości króla Ferdynanda i królowej Izabeli, naszych władców i służebników Chrystusa.

Poczekali, aż Escobedo skończy zapisywać te słowa. Cristoforo podpisał dokument, po nim uczynili to wszyscy obecni. Żaden nie miał śmiałości postawić swego podpisu ponad sygnaturą Cristofora ani stawiać liter równie zamaszystych jak jego.

Dopiero wtedy tubylcy zaczęli wyłaniać się z lasu. Było ich wielu, wszyscy nadzy, nie uzbrojeni, brązowi jak kora drzewna. Na tle soczystej zieleni drzew i krzewów ich skóra miała niemal czerwony odcień. Podchodzili nieśmiało, z szacunkiem, pełni podziwu.

– Czy wszyscy są dziećmi? – zapytał Escobedo.

– Dziećmi? – zdziwił się don Pedro.

– Nie mają bród – wyjaśnił pisarz.

– Nasz admirał też goli twarz – rzekł don Pedro.

– Nie mają wcale wąsów – powiedział Escobedo.

Sanchez, słysząc ich rozmowę, zaśmiał się donośnie.

– Są całkiem nadzy, a wy patrzycie im na brody, by stwierdzić, czy są mężczyznami?

Pinzon usłyszał żart i zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem, przekazując go następnym. Tubylcy przyłączyli się do wesołości. Nie mogli powstrzymać się i wyciągali ręce, muskając brody stojących najbliżej. Hiszpanie dostrzegając całkowitą niewinność tego gestu, pozwalali się dotykać, śmiejąc się i żartując.

Choć Cristoforo nie miał brody, było oczywiste, że jest przywódcą, i do niego podszedł najstarszy z wyspiarzy. Cristoforo próbował porozumieć się z

nim po łacinie, hiszpańsku, portugalsku i w dialekcie genueńskim, ale bez skutku. Escobedo zagadnął wodza po grecku, a brat Pinzona, Vicente Yañez, w łamanym narzeczu mauretańskim, jakiego nauczył się w czasie długich lat uprawiania szmuglerki wzdłuż wybrzeży.

– W ogóle nie znają języka – powiedział Cristoforo. Potem sięgnął po złotą ozdobę, którą wódz nosił w uchu.

Tubylec bez słowa wyjął ozdobę z ucha i położył ją w dłoni Cristofora.

Hiszpanie odetchnęli z ulgą. A więc ci ludzie rozumieli wystarczająco dużo, z pomocą języka czy bez. Wszystko złoto, jakie posiadali, należało teraz do Hiszpanii.

– Więcej – powiedział Kolumb. – Gdzie wykopujecie to z ziemi?

Nie został zrozumiany, więc odegrał scenkę kopania w ziemi i “znalezienia” tam złotej ozdoby. Potem wskazał w głąb lądu.

Stary mężczyzna potrząsnął energicznie głową i wskazał na morze. Na południowy zachód.

– Złoto najwyraźniej nie pochodzi z tej wyspy – powiedział Kolumb. – Nie możemy jednak oczekiwać, by na tak małym i biednym skrawku lądu była kopalnia złota, gdyż w przeciwnym razie przybyliby tu urzędnicy z Cipango w celu nadzorowania robót. Wkrótce ujrzymy złoto w takich ilościach, że to jest tylko fraszka. – Położył ozdobę z powrotem w dłoni tubylca.

Jednak starzec nie chciał przyjąć złota z powrotem. Siłą wcisnął je Cristoforo do ręki. Na taki wyraźny sygnał Cristoforo czekał. Złoto tej krainy było mu dawane przez Boga. Żaden człowiek nie oddałby dobrowolnie czegoś tak cennego, gdyby Bóg go do tego nie nakłonił. Wymarzona krucjata, wyzwolenie Konstantynopola i Ziemi Świętej zostanie sfinansowana dzięki ozdobom dzikusów.

– Biorę to zatem w imieniu moich prawowitych władców króla i królowej Hiszpanii – oznajmił. – A teraz wyruszmy na poszukiwanie miejsca, skąd to złoto pochodzi.

Nie była to najbezpieczniejsza grupa Zapoteków jak na pierwsze spotkanie – wojownicy szukali jeńca na ofiarę na rozpoczęcie pory deszczowej. Z początku myśleli, że Hunahpu jest idealnym kandydatem. Dużo wyższy i silniejszy od nich, wydawał się w sam raz na ofiarę wyjątkowej wartości.

Musiał więc ich uprzedzić – ukazać się im jak ktoś, kto należy już do bogów. W ostatecznym rozrachunku oni mieli stać się jego jeńcami. W Jubie był

absolutnie pewny, że plan się powiedzie. Tutaj, gdzie otaczał go śpiew ptaków i szum owadów podmokłej krainy Chiapas, jego plan wydawał się śmieszny, nieporadny i rozpaczliwy.

Będzie musiał odtworzyć najdzikszy znany człowiekowi królewski rytuał ofiarny, w wyniku którego król nie rozstaje się z życiem. Dlaczego Majowie mieli swoje ciało w takiej pogardzie?

Wszystko inne było gotowe. Ukrył archiwum straconej przyszłości w przeznaczonej dla niego kryjówce i zamknął wejście. Wszystkie przedmioty, których będzie potrzebował później, schował do wodoodpornych pojemników i zanotował w pamięci szczegóły terenu, dzięki którym będzie mógł je odnaleźć. Przedmioty potrzebne już teraz, przez najbliższe miesiące, umieścił w zawiniątku, które nie powinno wyglądać zbyt dziwnie w oczach Zapoteków. Był nagi, pomalował całe ciało, włosy przystroił piórami, paciorkami i klejnotami. Wyglądał jak król Majów po wielkim zwycięstwie. Co zaś najważniejsze, okryty był skórą jaguara, którego zabił.

Miał trzydzieści minut, zanim wojownicy z wioski dotrą do jego polanki. Jeśli jego krew miała być świeża, musiał czekać do ostatniej chwili. Chwila ta już nadeszła. Westchnął, uklęknął na miękkiej pokrywie liści i sięgnął po roztwór środka przeciwbólowego. Majowie robili to bez znieczulenia, przypomniał sobie, nacierając płynem penis i czekając kilka minut, aż straci w nim czucie. Potem zastrzykami znieczulił cały obszar genitalny, mając nadzieję, że będzie mógł to powtórzyć za jakieś cztery godziny, kiedy działanie specyfiku zacznie mijać.

Jeden prawdziwy kolec płaszczki i pięć imitacji sporządzonych z różnych metali. Brał je po kolei i przebijał na wylot napletek na czubku penisa. Krew płynęła obficie, ściekała mu po nogach. Oryginalny kolec płaszczki, potem igła srebrna, złota, miedziana, brązowa i żelazna. Chociaż nie czuł bólu, pod koniec zaczęło mu się kręcić w głowie. Z powodu upływu krwi? Nie, to z pewnością efekt psychologiczny wywołany aktem samookaleczenia. Być królem wśród Majów to poważna sprawa. Czy dałby sobie radę bez środka przeciwbólowego? Chyba nie, pomyślał, oddając hołd swoim przodkom i jednocześnie dziwiąc się ich barbarzyństwu.

Gdy wojownicy bezszelestnie weszli na polankę, Hunahpu stał w strumieniu światła. Halogen umieszczony pomiędzy jego nogami sprawiał, że metalowe pręty lśniły jak promienie słońca. Tak jak miał nadzieję, wojownicy natychmiast spostrzegli krew ciekącą mu po udach i kapiącą z czubka penisa. Ich uwadze nie uszły również malunki na jego ciele. Od razu

rozpoznali, kogo mają przed sobą. Padli na ziemię.

– Jestem Jeden Hunahpu – powiedział w języku Majów. Potem powtórzył po zapotekańsku: – Jestem Jeden Hunahpu. Przybywam z Xibalba do was, psy z Atetulka. Postanowiłem, że nie będziecie już dłużej psami, lecz staniecie się ludźmi. Jeśli mnie posłuchacie, wszyscy, którzy mówią językiem Zapoteków, będą wkrótce panami tej ziemi. Wasi synowie nie będą już szli na ołtarz Huitzilopochtli, złamię bowiem kark Aztekom, wyrwę serce Tlaxcalańczykom i wasze statki dotkną brzegów każdej wyspy świata.

Wojownicy drżeli, zaczęli jęczeć głośno.

– Rozkazuję wam powiedzieć, dlaczego się boicie, głupie psy!

– Huitzilopochtli to straszny bóg! – zawołał Yax. Hunahpu znał ich, gdyż badał tę wioskę i główne postacie w innych zapotekańskich wioskach przez długie lata.

– Huitzilopochtli jest prawie tak straszny jak Gruba Kobieta Jaguar – rzekł.

Yax uniósł głowę słysząc imię swojej żony, a kilku Indian zachichotało.

– Gruba Kobieta Jaguar bije cię kijem, kiedy sądzi, że zasiałeś kukurydzę niewłaściwe pole – mówił Hunahpu – ale ty wciąż siejesz kukurydzę tam, gdzie chcesz.

– Jeden Hunahpu! – zakrzyknął Yax. – Kto powiedział ci o Grubej Kobiecie Jaguar?

– W Xibalba was obserwowałem. Śmiałem się z ciebie, kiedy jęczałeś pod kijem Grubej Kobiety Jaguar. A ty, Jedząca Kwiaty Małpo, czy myślisz, że nie widziałem, jak sikasz do mąki starego Wielkiego Czaszki Zero i robisz z niej placki dla niego? Śmiałem się, kiedy je jadł.

Wojownicy również się śmiali. Jedząca Kwiaty Małpa podniósł głowę.

– Podobają ci się moja zemsta?

– Opowiedziałem o twoich małpich sztuczkach panom Xibalba, a oni śmiali się, aż pociekły im łzy. A kiedy oczy Huitzilopochtli wypełnione były łzami, wepchnąłem w nie kciuki. Huitzilopochtli nie ma już oczu, bo mu je zabrałem! – Hunahpu sięgnął do worka zwisającego mu na ramieniu z ramienia i wydobył dwie akrylowe gałki oczne. – Teraz Huitzilopochtli musi być prowadzony po Xibalba przez chłopca, który mówi mu, co widzi. Inni panowie Xibalba stawiają przeszkody na jego drodze i śmieją się, kiedy upada. A teraz ja przybyłem na ziemię, by uczynić z was ludzi.

– Zbudujemy świątynię i złożymy ci w ofierze każdego Azteka, o Jeden Hunahpu! – zawołał Yax.

Dokładnie takiej reakcji oczekiwał. Cisnął jedną gałką oczną w Yaxa, który

zaskamlał i zaczął pocierać sobie ramię w miejscu, w które trafiła. Hunahpu był niezłym miotającym w dziecięcej lidze baseballu; rzucał celnie i mocno.

– Podnieście oko Huitzilopochtli i wysłuchajcie moich słów, psy z Atetulka!

Yax grzebał pomiędzy liśćmi, aż znalazł akrylową gałkę.

– Dlaczego według was panowie Xibalba byli zadowoleni i nie ukarali mnie, kiedy wyjąłem Huitzilopochtli oczy? Ponieważ stał się on tłusty od krwi tylu ludzi. Był chciwy, a Aztekowie karmili go krwią, zamiast siał kukurydzę na polach. Teraz panowie Xibalba mają już dość krwi, Huitzilopochtli będzie musiał głodować, aż stanie się smukły jak młode drzewo.

Jęknęli znowu. Lęk przed Huitzilopochtli był głęboko zakorzeniony – Aztekowie już tego dopilnowali – i słuchanie tak okropnych gróźb przeciwko potężnemu bogu stanowiło dla nich ciężką próbę. Cóż, to twarde sukinsyny, pomyślał Hunahpu. A ja dodam im odwagi, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila.

– Panowie Xibalba wezwali swego króla do powrotu z odległej krainy. Król Xibalba nie pozwoli im już pić krwi mężczyzn i kobiet. Sam upuści sobie krew, a kiedy będą pili jego krew i spożywali jego ciało, nie będą nigdy głodni ani spragnieni.

Hunahpu pomyślał o swoim bracie księdzu, zastanawiając się, co powiedziałby na taką trawestację chrześcijańskiej ewangelii. Pewnie w końcu by na nią przystał, ale nie obyłoby się bez protestów.

– Wstańcie i spójrzcie na mnie. Udawajcie, że jesteście ludźmi. – Podnieśli się ostrożnie z ziemi. – Tak jak ja upuszczam sobie tutaj krew, król Xibalba upuścił sobie krew dla panów Xibalba. Oni będą pili i nigdy już nie odczują pragnienia. Tego dnia ludzie przestaną umierać, by nakarmić swego boga. W zamian będą symbolicznie umierać w wodzie i rodzić się ponownie, a potem będą spożywać ciało i pić krew króla Xibalba, tak jak czynią to panowie Xibalba. Król Xibalba umarł w dalekim królestwie, a jednak żyje ponownie. Król Xibalba powraca, zmusi Huitzilopochtli do oddania mu pokłonu i nie pozwoli mu pić swej krwi ani spożywać swego ciała, aż Huitzilopochtli stanie się ponownie chudy, co zajmie tysiąc lat, gdyż ten stary warchlak jadł i pił zbyt dużo!

Powiódł wzrokiem po ich pełnych zdumienia twarzach. Oczywiście trudno było im to wszystko przyjąć, ale Hunahpu drobiazgowo opracował wraz z Diko i Kemalem doktrynę, której miał nauczyć Zapoteków i którą miał powtarzać tak często, aż tysiące, miliony mieszkańców basenu Morza Karaibskiego zaczną opowiadać ją dobrowolnie. Ona przygotowuje ich na

przybycie Kolumba, jeśli pozostałym się powiedzie, ale nawet jeśli nie, nawet jeśli Hunahpu jako jedyny z podróżników w czasie dotarł na miejsce przeznaczenia, przygotowuje ona Zapoteków na przyjęcie chrześcijaństwa. Mogli zaakceptować naukę Chrystusa nie zdradzając ani na jotę swojej religii. Chrystus będzie po prostu królem Xibalba, a jeśli jego rany znajdą się według kanonu Zapoteków w miejscu niezbyt często przedstawianym w sztuce chrześcijańskiej, z tą herezją katolicy będą zmuszeni się pogodzić – pod warunkiem że Zapotekowie posiadają odpowiednią technologię i zbudują potęgę militarną zdolną przeciwstawić się Europie. Jeśli chrześcijanie zaakceptowali nauki greckich filozofów i przejęli dziesiątki pogańskich świąt i rytuałów udając, że były przez cały czas chrześcijańskie, poradzą sobie też z nieco perwersyjną modyfikacją doktryny o ofierze Chrystusa.

– Zastanawiacie się, czy jestem królem Xibalba – rzekł Hunahpu. – Nie. Jestem tylko tym, którzy przychodzi przed królem, by ogłosić jego przybycie. Nie jestem godzien, by wpleść pióro w jego włosy.

Przełknij to, Juanie Batisto.

– Otrzymacie znak, że on przyjdzie. Każdy z was zachoruje, podobnie jak każdy mieszkaniec waszej wioski. Choroba rozprzestrzeni się po całej krainie, ale nie umrzecie, jeśli wasze serce nie należy do Huitzilopochtli. Przekonacie się, że nawet pomiędzy Aztekami niewielu jest takich, którzy szczerze kochają tego żarłocznego boga!

Niech ta opowieść towarzyszy rozchodzeniu się epidemii. Wojownicy z Atetulka już zarażali się od niego łagodną formą czarnej ospy, dymienicy morowej, cholery, odry, ospy wietrznej, żółtej febry, malarii, śpiączki i wielu innych chorób, jakie udało się zebrać naukowcom w straconej przyszłości. Szczepionka zabije nie więcej niż jedną osobę na dziesięć tysięcy, a uodporni resztę. Odtąd choroby zakaźne będą nękały głównie dzieci, zarażając i uodporniając na nowo każde kolejne pokolenie – zarażając również Europejczyków po ich przybyciu, a potem całą Afrykę i Azję i wszystkie wyspy na morzu. Infekcje będą nadal znane – nikt nie był na tyle głupi, by sądzić, że inne bakterie i wirusy nie wypełnią nisz powstałych po zwalczeniu dawnych morderców. Żadna choroba zakaźna nie da jednak przewagi jednej stronie nad drugą w nadchodzącym starciu kulturowym. Zarażone ospą koce nie staną się przyczyną zagłady upartych szczepów indiańskich.

Hunahpu kucnął i chwycił koszyk z reflektorem leżący pomiędzy jego stopami.

– Panowie Xibalba dali mi ten koszyk światła. Zawiera on w sobie mały

kawałek słońca, ale działa tylko dla mnie. – Zaświecił wojownikom w oczy, oślepiając ich na chwilę, a potem wetknął palec w szparę w koszyku i nacisnął płytkę kontrolną. Światło zgasło. Trzeba oszczędzać baterie – ten “koszyk światła” nie będzie działał wiecznie, nawet z ogniwami słonecznymi wokół krawędzi, i Hunahpu nie chciał używać go na darmo.

– Kto z was zanieś dary, które panowie Xibalba dali Jeden Hunahpu, kiedy przyszedł na ten świat, żeby opowiedzieć wam o przybyciu króla?

Wkrótce wszyscy z czcią dźwigali worki ze sprzętem, którego Hunahpu miał potrzebować w ciągu nadchodzących miesięcy. Medykamenty, by dokonywał przygodnych uzdrowień. Broń, by odbierał odwagę wrogim armiom. Narzędzia. Encyklopedie i podręczniki na nośnikach cyfrowych. Odpowiednie kostiumy. Sprzęt do nurkowania. Różne rekwizyty do sztuczek magicznych.

Podróż nie była łatwa. Z każdym krokiem igły szarpały skórę, otwierając rany i powodując obfite krwawienie. Hunahpu zastanawiał się, czy nie przeprowadzić już teraz ceremonii ich usuwania, ale zdecydował inaczej. Pierwszą igłę powinien usunąć wódz wioski, ojciec Yaxa, Na-Yaxhal, czym scementuje związek z Hunahpu, a jednocześnie ugruntuje swą władzę. Hunahpu szedł powoli, krok za krokiem. Miał nadzieję, że nie straci zbyt wiele krwi, i żałował, że nie wybrał miejsca trochę bliżej wioski.

Kiedy byli już niedaleko, wysłał Yaxa przodem, z okiem Huitzilopochtli. Nie wiadomo, ile Yax zrozumiał ze słów Hunahpu, lecz sens był wystarczająco jasny i cała wioska będzie oczekiwała w podnieceniu na przybycie boga.

Czekali. Wszyscy mężczyźni z wioski, uzbrojeni w dzidy, gotowi do ataku. Kobiety i dzieci ukryły się pomiędzy drzewami. Hunahpu zaklął. Wybrał tę wioskę specjalnie dlatego, że Na-Yaxhal wyróżniał się inteligencją. Wcale sobie nie wyobrażał, że wódz z miejsca uwierzy w opowieść syna o królu Majów z Xibalba.

– Zatrzymaj się, kłamco i szpiegu! – krzyknął Na-Yaxhal.

Hunahpu odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, jednocześnie uruchamiając reflektor.

– Na-Yaxhal, czy człowiek, któremu dwukrotnie w ciągu nocy kiszki odmawiały posłuszeństwa, śmie stawać przed Jeden Hunahpu, przynosząc koszyk światła z Xibalba? – Mówiąc to zaświecił Na-Yaxhalowi prosto w oczy.

– Oszczędź mojego głupiego męża! – wrzasnęła żona Na-Yaxhala, Sześć Córka Kauila.

– Cisza, kobieto! – krzyknął Na-Yaxhal.

– On naprawdę dwa razy wstawał w nocy, tak mu się kiszki skręcały, i jęczał przy tym z bólu! – zawołała Indianka. Pozostałe kobiety stęknęły głośno, słysząc potwierdzenie tajemnej wiedzy przybysza. Dzidy zafalowały i opadły.

– Na-Yaxhal, sprawię, że naprawdę zachorujesz. Przez dwa dni będzie z ciebie płynęło jak ze źródła, ale potem uzdrowię cię i uczynię człowiekiem, który służy królowi Xibalba. Będziesz władał wieloma wioskami i zbudujesz statki, które popłyną ku wszystkim brzegom, ale tylko jeśli teraz oddasz mi cześć. W przeciwnym razie sprawię, że padniesz z dziurą w ciele, która nie przestanie krwawić, aż umrzesz!

Nie będę musiał go zabijać, powiedział do siebie Hunahpu. Zgodzi się i zostaniemy przyjaciółmi. Ale jeśli mnie do tego zmusi, zastrzelę go.

– Dlaczego człowiek z Xibalba wybiera do tych wielkich zadań mnie, który jestem tylko psem? – zapytał Na-Yaxhal. Była to z jego strony bardzo obiecująca pozycja retoryczna.

– Wybieram ciebie, ponieważ jesteś najbliższy człowiekowi ze wszystkich psów, które szczekają po zapotekańsku, i ponieważ twoja żona już teraz jest kobietą przez dwie godziny każdego dnia. – Proszę, to w nagrodę dla starej więdźmy, że stanęła po stronie Jeden Hunahpu.

Na-Yaxhal powziął decyzję i niezgrabnie – sztywniały mu stawy, starzał się; miał już prawie trzydzieści pięć lat – rozciągnął się na ziemi. Pozostali mężczyźni uczynili to samo.

– Gdzie są kobiety z Atetulka? Wyjdźcie z ukrycia, wy i wasze dzieci. Wyjdźcie, by mnie zobaczyć! Pomiedzy ludźmi byłbym królem, ale jestem tylko najpokorniejszym sługą króla Xibalba. Wyjdźcie, by mnie zobaczyć! – Połóżmy podstawy pod nieco równiejsze traktowanie kobiet już teraz, na samym początku. – Stańcie wraz ze swymi rodzinami!

Zaczęli się tłoczyć, ale trwało to tylko chwilę – zawsze orientowali się wedle klanu i rodziny, nawet w obliczu wroga, toteż ustawili się błyskawicznie.

– Teraz wystąp naprzód, Na-Yaxhal. Wyjmij pierwszy kolec z mego penisa i zabarw moją krwią swe czoło, będziesz bowiem pierwszym władcą królestwa Xibalba na ziemi, pod warunkiem że będziesz służył mnie, gdyż ja jestem sługą króla Xibalba!

Na-Yaxhal postąpił naprzód i wyciągnął kolec płaszczki. Hunahpu nie drgnął, ponieważ nie czuł bólu, ale wyobrażał sobie, jakie katusze będzie cierpiał w nocy. Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę Diko, nie będę chciał słuchać

skarg na temat wyrzeczeń, jakich wymagała jej misja. A potem pomyślał o cenie, jaką zamierzał zapłacić Kemal, i zrobiło mu się wstyd.

Na-Yaxhał pomalował sobie czoło, nos, usta i podbródek krwią z kolca płaszczy.

– Sześć Córko Kauila! – zawołał Hunahpu. Kobieta wyłoniła się spomiędzy gromady członków wiodącego klanu wioski. – Wyciągnij następny kolec. Z czego jest zrobiony?

– Ze srebra.

– Pomaluj sobie szyję moją krwią.

Sześć Córka Kauila przeciągnęła igłą po szyi.

– Będziesz matką królów, a twoja siła znajdzie się w statkach ludu Zapoteków, jeśli będziesz służyć królowi Xibalba na ziemi i mnie, słudze króla Xibalba!

– Będę wam służyć – wymamrotała.

– Mów głośniej! – nakazał Hunahpu. – Nie szeptałaś, kiedy mówiłaś o zdradliwych kiszkiach swojego męża! Głos kobiety może być równie donośny co głos mężczyzny w królestwie Xibalba na ziemi!

Tyle na razie możemy zrobić na rzecz egalitaryzmu, pomyślał Hunahpu, ale i tak skutek będzie wystarczająco rewolucyjny, kiedy historia się rozniesie.

– Gdzie jest Yax?!

Młody wojownik bojaźliwie wystąpił naprzód.

– Czy będziesz posłuszny ojcu, a kiedy Na-Yaxhał zostanie zabrany do Xibalba, poprowadzisz swój lud w łasce i mądrości?

Yax padł na twarz.

– Wyjmij następny kolec – polecił Hunahpu. – Z czego jest zrobiony?

– Ze złota.

– Pomaluj sobie pierś moją krwią. Całe złoto świata będzie na twe rozkazy, gdy staniesz się godny, by być królem, ale pamiętaj, iż należy ono do króla Xibalba, a nie do ciebie i nie do żadnego innego człowieka. Będziesz dzielił się nim dobrowolnie i sprawiedliwie ze wszystkimi, którzy spożywają ciało i piją krew króla Xibalba. – Dzięki temu Kościół katolicki łatwiej zaakceptuje tych dziwnych heretyckich proto-chrześcijan, kiedy dojdzie do spotkania obu kultur. Jeśli złoto bez przeszkód popłynie do skarbca Kościoła, którego wyznawcy będą musieli przyznać, iż piją krew i spożywają ciało Boga, herezja powinna bez większych kłopotów stać się akceptowanym wariantem katolickiego dogmatu. Ciekawe, pomyślał Hunahpu, czy zostanie ogłoszony świętym. Z pewnością nie będzie tu brakowało cudów.

– Bacab, wytwórco narzędzi, kowalu!

Chudy młody mężczyzna wystąpił z tłumu i Hunahpu kazał mu wyciągnąć kolejną igłę.

– To miedź, panie Jeden Hunahpu – rzekł Bacab.

– A więc znasz miedź. Czy potrafisz ją obrabiać?

– Jak nikt w tej wiosce, choć z pewnością gdzieś daleko są ludzie, którzy potrafią obrabiać ją lepiej niż ja.

– Nauczysz się mieszać miedź z wieloma metalami. Stworzysz narzędzia, jakich nikt nigdy dotąd nie widział. Pomaluj moją krewią swój brzuch!

Po królu, żonie króla i synu króla, kowale mieli być teraz najbardziej poważanymi ludźmi w królestwie.

– Gdzie jest Xocol-Ha? Gdzie jest budowniczy łodzi?

Wysoki, barczysty mężczyzna wyszedł z grupy stanowiącej odrębny klan, uśmiechając się z dumy i klepiąc po ramionach na znak pokory.

Wydobądź następny kolec, Xocol-Ha. Ty, który nosisz imię wielkiej rzeki w okresie wylewów, musisz mi powiedzieć, czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś ten metal?

Xocol-Ha dotknął brązu, walając sobie palce krewią.

– Wygląda jak miedź, tylko jest jaśniejszy – powiedział. – Nigdy go nie widziałem.

Bacab spojrział na igłę i również potrząsnął głową.

– Oddaj mocz na ten metal, Xocol-Ha. Niech popłynie nań zawarty w tobie prąd oceanu. Nie pomalujesz bowiem swego ciała moją krewią, dopóki nie odnajdziesz tego metalu w dalekiej krainie. Zbudujesz statki i będziesz żeglował, aż odnajdziesz krainę na północy, gdzie znają nazwę tego metalu. Kiedy wrócisz z tym kolcem do mnie, pomalujesz sobie pachwinę moją krewią.

Pozostała już tylko żelazna igła.

– Gdzie jest Xoc? Gdzie niewolnica, tak brzydka, że nikt nie chciał się z nią ożenić?

Wypchnięto naprzód brudną piętnastolatkę z zajęczką wargą.

– Wyjmij ostatni kolec, Xoc. Pomaluj sobie stopy moją krewią. Mocą tego metalu król Xibalba wyzwoli wszystkich niewolników. Od dzisiaj jesteś wolną obywatelką królestwa Xibalba na ziemi, Xoc. Nie należysz do żadnego mężczyzny ani kobiety, żaden mężczyzna ani kobieta nie należą do nikogo innego. Tak nakazuje król Xibalba! Nie ma jeńców, nie ma niewolników, nie ma sługów na całe życie w królestwie Xibalba na ziemi!

Dla ciebie, Tagiri.

Jednak godna współczucia niewolnica okazała się dumną kobietą. Xoc, tak jak zrobiłaby to królowa Majów, przeklęła sobie język na wylot. Krew pociekła jej po brodzie, igła i wargi stworzyły dziwaczny krzyż.

Ludzie zamarli w zdumieniu. Xoc nie domagała się łaskawości pana wobec niewolnika, lecz czci króla dla królowej, która urodzi jego dzieci.

Co teraz począć? Kto mógł przypuszczać, obserwując pokorę Xoc w trakcie długich miesięcy niewoli, że dziewczyna ma takie ambicje? Co chciała osiągnąć? Hunahpu spojrzał jej w twarz i dostrzegł – co, wyzwanie? Tak jakby go przejrzała i robiła na złość.

Ale nie, to nie wyzwanie, lecz odwaga w obliczu strachu. Ten królewski mężczyzna, twierdzący, że przybywa z krainy bogów, był jej pierwszą szansą wydobycia się z niedoli. Kto mógł winić ją za to, że zachowała się desperacko? Co miała do stracenia? W jej położeniu wszelkie wybawienie wydawało się równie niemożliwe. Dlaczego więc nie spróbować zostać królową, skoro Jeden Hunahpu wydaje się jej sprzyjać?

Jest taka brzydka.

Ale bystra i dzielna. Po co zatrzaskiwać drzwi?

Wyciągnął igłę z jej języka.

– Niech prawda, na podobieństwo tej krwi, zawsze spływa z twoich ust. Nie jestem królem, nie mam więc u boku królowej. Ale ponieważ zmieszałaś swoją krew z moją, obiecuję ci, że do końca życia codziennie przez chwilę będę słuchał, co chcesz mi powiedzieć.

Xoc uroczyście skinęła głową, a na jej twarzy odmalowała się ulga i duma. Wprawdzie nie będzie królową, ale zaakceptował ją jako doradczynię. Gdy uklękła i zaczęła malować sobie stopy zakrwawioną igłą, zrozumiała, że jej życie zostało zmienione całkowicie i na zawsze. Jeden Hunahpu uczynił Xoc wielką w oczach ludzi, którzy ją poniżyli.

Gdy wstała, Hunahpu pochylił się, zbliżając usta do jej uszu.

– Nie szukaj zemsty teraz, gdy masz władzę – powiedział w czystym języku Majów, wiedząc, że jej rodzinny dialekt brzmi wystarczająco podobnie. – Zdobądź mój szacunek szczerością i dobrocią.

– Dzięki ci – odparła Xoc.

Wracajmy do pierwotnego scenariusza, pomyślał. Mam nadzieję, że nie będzie więcej niespodzianek tego typu.

Ależ oczywiście będą. Musiał improwizować. Jego plany mogły się zmieniać, tylko cele pozostawały te same.

Wyprostował się, spoglądając na tłum.

– Niech Bacab dotknie tego metalu. Niech Xocol-Ha także weźmie ten kolec do ręki.

Mężczyźni podeszli, ze zdumieniem badając żelazną igłę. Tylko ona jedna spośród pięciu nie dała się zgiać, nawet odrobinę.

– Nigdy nie widziałem metalu tak mocnego – rzekł Bacab.

– I tak czarnego – dodał Xocol-Ha.

– Istnieje wiele królestw, daleko za morzem, gdzie ten metal jest równie powszechny jak miedź tutaj. Ludzie tam wiedzą, jak go polerować, aż zacznie błyszczeć niczym srebro. Królestwa te znają już króla Xibalba, ale ukrył on przed nimi wiele sekretów. Jest wolą króla Xibalba, by ludzie królestwa Xibalba na ziemi odnaleźli ten metal i nauczyli się go obrabiać, jeśli są tego godni! Na razie jednak ta igła z czarnego metalu pozostanie przy Xoc, która kiedyś była niewolnicą, a wy będziecie przychodzić do niej albo do jej dzieci, by sprawdzić, czy znaleźliście twardy czarny metal. Ludzie z daleka nazywają go “ferro” i “herro”, i “żelazo”, i “fer”, ale wy będziecie nazywali go “xibex”, pochodzi bowiem z Xibalba i musi być używany tylko na usługi króla.

Wszystkie kolce zostały już wyjęte z jego ciała. Czuł się dziwnie lekki, jakby ich ciężar ściągał go w dół.

– Przyniosłem wam znak, że król Xibalba dotyka wszystkich mężczyzn i kobiet tego świata. Wasza wioska zostanie zaatakowana przez chorobę, ale nikt nie umrze. – Ta obietnica mogła się nie spełnić; immunolodzy przewidywali, że średnio jedna osoba na dziesięć tysięcy zarażonych nie przeżyje. W porównaniu z milionami, które umarły na ospę i inne choroby w starej wersji historii, niewielka to cena. – Choroba rozejdzie się z tej wioski do wszystkich krain, aż wszyscy ludzie zostaną dotknięci palcem króla. I wszyscy powiedzą: z Atetulka przybyła choroba panów Xibalba. Przybyła najpierw do was, ponieważ król Xibalba was wybrał, byście przewodzili światu. Nie tak jak przewodzą mu Aztekowie, we krwi i okrucieństwie, lecz tak jak przewodzi król Xibalba, w mądrości i potędze. – Niech i wirusy podane w szczepionce zostaną włączone do tego boskiego pokazu.

Spojrzał na twarze wokół. Zdumienie, zaskoczenie, a tu i tam żal. Cóż, tego należało oczekiwać. Struktura władzy w tej wiosce ulegnie wielokrotnym przekształceniom, zanim dzieło zostanie doprowadzone do końca. Ci ludzie zamienią się w przywódców wielkiego imperium. Ilu stanie na wysokości zadania? Będzie wielu niezadowolonych, którzy nie chcą zmian, bo nie mają

wielkich ambicji, są świetnie przystosowani do życia w małej wiosce i nie potrafią znaleźć dla siebie miejsca w nowej sytuacji. Nie jest to dyshonor, ale będą się czuli odrzuceni i skrzywdzeni. Hunahpu postara się nauczyć ich, by czerpali dumę z osiągnięć innych. Ale nie zmieni ludzkiej natury. Niektórzy pójdą do grobu nienawidząc go za zmiany, jakie przyniósł. A on nigdy im nie opowie, jakich nieszczęść by zaznali, gdyby nie wmieszał się w ich los.

– Gdzie będzie mieszkał Jeden Hunahpu? – zapytał.

– W moim domu! – zawołał Na-Yaxhal natychmiast.

– Czy wezmę dom króla Atetulka, kiedy ten dopiero teraz staje się człowiekiem? Do dziś był to dom mężczyzny psa i kobiety psa! Nie, musicie wybudować dla mnie nowy dom, tutaj, właśnie tutaj. – Hunahpu siadł ze skrzyżowanymi nogami na trawie. – Nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie stanie wokół mnie nowy dom przykryty dachem ze strzechy z wszystkich dachów Atetulka. Na-Yaxhal, udowodnij mi, że jesteś królem. Każ swoim ludziom wziąć się do pracy, niech zbudują mi dom przed nadejściem nocy, i tak dobrze wyjaśnij im ich obowiązki, by mogli zrobić to bez wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Było już południe i chociaż zadanie mogło wydawać się Indianom niemożliwe, Hunahpu wiedział, że są w stanie je wykonać. Opowieść o zbudowaniu domu dla Jeden Hunahpu rozniesie się i sprawi, że inni uwierzą, iż wioska Atetulka jest godna, by stać się największym miastem nowego królestwa Xibalba na ziemi. Takie opowieści były potrzebne przy wykuwaniu narodu mającego ambicje stworzenia imperium. Ludzie musieli mieć niezachwianą wiarę we własne możliwości.

A gdyby nie udało im się ukończyć pracy przed zmrokiem, Hunahpu włączyłby halogen i oznajmił, że panowie Xibalba przedłużają dzień za pomocą tego kawałka słońca, by ludzie z Atetulka mogli wykonać, co im nakazano. Tak czy inaczej, opowieść będzie robiła wrażenie.

Ludzie szybko rozeszli się do zajęć wyznaczonych im przez Na-Yaxhala. Hunahpu mógł się wreszcie odprężyć. Wydobył środek dezynfekujący z jednej z toreb i przemył rany na penisie. Środek miał działanie wspomagające krzepnięcie krwi i gojenie, toteż upływ krwi powinien stopniowo ustać. Hunahpu drżały ręce, gdy wykonywał zabieg. Nie z bólu, gdyż znieczulenie ciągle jeszcze działało, nie z powodu utraty krwi nawet, lecz raczej z ulgi, jaka przyszła po napięciu dopiero co zakończonych ceremonii.

Teraz widział, że przestraszenie Indian było łatwe, tak jak się spodziewał, przedstawiając swój plan naukowcom w straconej przyszłości. Łatwe, lecz

Hunahpu nigdy w życiu nie był tak przerażony. W jaki sposób udało się Kolumbowi tak śmiało stworzyć nową przyszłość? Po prostu nie wiedział, jak wiele może się nie udać, uznał Hunahpu, tylko dzięki ignorancji mógł bez lęku kształtować świat.

– Trudno uwierzyć, że to są owe wielkie królestwa Wschodu, o których czytaliśmy w relacji Marco Polo – powiedział Sanchez.

Cristoforo nie mógł się z nim spierać. Colba wydawała się wystarczająco rozległa, by stanowić część głównej masy lądu, ale Indianie upierali się, że jest wyspą, i że następna wyspa na południowy wschód, zwana Haiti, jest o wiele żyźniejsza i bogatsza w złoto. Czy to mogło być Cipango? Być może. Trudno jednak było nieustannie przekonywać marynarzy, a przede wszystkim królewskich urzędników, że od niewypowiedzianych bogactw dzieli ich zaledwie kilka dni żeglugi.

Kiedy Bóg pozwoli mu na chwilę tryumfu? Kiedy wszystkie obietnice złota i wielkich królestw zostaną w sposób oczywisty, bezdyskusyjny spełnione, a on będzie mógł powrócić do Hiszpanii jako wicekról i admirał oceanu?

– Jakie to ma znaczenie? – rzekł don Pedro. – Znaleźliśmy już największe bogactwo tej krainy.

– Co masz na myśli? – zapytał Sanchez. – Według mnie ta ziemia obfituje tylko w drzewa i owady.

– I w ludzi – dopowiedział don Pedro. – Spokojnych, łagodnych jak dzieci. Zapędźmy ich do pracy, będą doskonale posłuszni swoim panom. Nie ma w nich ani krztyny agresji, czyż nie widzicie tego? Wyobraźcie sobie, jaką cenę mogliby uzyskać jako najbardziej potulni z niewolników!

Cristoforo zmarszczył czoło. Myślał o tym już wcześniej, ale nie bez pewnego niepokoju. Czy takie właśnie było pragnienie Boga, by Indianie zostali nawróceni, a jednocześnie zamienieni w niewolników? Lecz przecież tutaj, na tej ziemi, ku której Bóg go poprowadził, nie było żadnego innego źródła bogactwa, a ci dzikusy z pewnością nie nadawali się na żołnierzy w krucjacie.

Gdyby Bóg chciał, by byli wolnymi chrześcijanami, nauczyłby ich nosić ubrania, nie chodziliby nadzy.

– Oczywiście – rzekł Cristoforo. – Wracając zabierzemy kilka egzemplarzy tego ludu dla Ich Królewskich Wysokości. Wydaje mi się jednak, że większe korzyści przyniesie zostawienie ich tutaj, na tej ziemi, do której są

przyzwyczajeni, by wydobywali złoto i inne cenne metale, podczas gdy my będziemy ich nauczać o Chrystusie, by zostali zbawieni.

Pozostali wysłuchali go nie protestując – jak mogliby spierać się z czymś tak oczywistym? Poza tym wciąż byli osłabieni po chorobie, która zaatakowała załogi wszystkich trzech statków, zmuszając ich do rzucenia kotwicy i kilkudniowej rekonwalescencji. Nikt nie umarł – choroba nie była tak złośliwa jak zarazy, na jakie Portugalczycy natykali się w Afryce, zmuszając ich do budowania fortów na przybrzeżnych wysepkach. Cristoforo nie czuł się jednak dobrze, wciąż bolała go głowa. Podobne dolegliwości musiały też trapić innych. Niemal pragnął, by trwały wiecznie, powstrzymywały bowiem jego towarzyszy przed podnoszeniem głosu. Królewscy urzędnicy byli łatwiejsi do zniesienia, kiedy ból głowy utrzymywał ich w ryzach.

Kilka dni wcześniej usłyszeli o mieście Cubanacan. Cristoforo sądził, że ostatnia sylaba nazwy może odnosić się do wielkiego chana z relacji Marco Polo, lecz kiedy dotarli do “miasta”, o którym bełkotali tubylcy, okazało się żalosną zbieraniną chat, może nieco bardziej rozległą od nędznych wiosek, jakie widzieli po drodze. Rzeczywiście, miasto chana! Sanchez miał wtedy czelność podnieść głos, i to przed jego ludźmi. Choroba była pewnie karą za jego nieodpowiedzialne narzekania. Może Bóg chciał, by trochę pocierpieł.

Jutro lub pojutrze wyruszą na Haiti. Być może, tam natkną się na jakieś ślady wielkich cywilizacji Cipango i Kataju. A te nędzne wysepki będą źródłem niewolników. To wystarczający powód do wysłania następnej wyprawy, jeśli nie uda im się odnaleźć wielkiego chana już za pierwszym razem.

Kemal w ponurym nastroju siedział na krawędzi przylądka, wyglądając żagla na północnym zachodzie. Kolumb się spóźnił.

Cały plan przestawał mieć sens. Oznaczało to, że jakaś zmiana została już wprowadzona, że coś zatrzymało Kolumba na Colbie. Kemal początkowo uznał to za dowód, iż któremuś z pozostałych również udało się dotrzeć w przeszłość, ale przecież zmiana mogła być spowodowana przez niego samego. Znajdował się tu dopiero od dwóch miesięcy, ale wirusy mogły już przenieść się z Haiti na Colbę za pośrednictwem jakiegoś podróżującego po morzu kanoe. Hiszpanie musieli się zarazić.

Albo stało się coś gorszego. Niegroźna z pozoru choroba mogła spowodować zmianę w zachowaniu Indian. Mogło dojść do rozlewu krwi, na tyle poważnego, że Europejczycy postanowili wracać do domu. Lub też Kolumb

mógł dowiedzieć się czegoś, co skłoniło go do zmiany kursu – na przykład okrążenia Haiti w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, zamiast posuwania się wzdłuż północnego wybrzeża.

Podróżnicy w czasie od początku zdawali sobie sprawę, że epidemia może pokrzyżować im szyki, ponieważ błyskawicznie ogarnie wielkie obszary. A zarazem był to najpewniejszy, najbardziej podstawowy aspekt ich planu. Co by się stało, gdyby do przeszłości przedostał się tylko jeden z nich i został natychmiast zabity? Nawet w takim przypadku zaraziłoby się Indianie, którzy dotykali ciała w ciągu pierwszych kilku godzin. Jeśli żadna inna zmiana nie została wprowadzona, ta jedna mogła wystarczyć, by Indianie nie ulegli zagładzie, zdziesiątkowani falą europejskich chorób.

A więc należy się cieszyć, pomyślał Kemal. Dobrze, że Kolumb się spóźnia, ponieważ oznacza to, że szczepionka działa. Już zmieniliśmy świat. Już odnieśliśmy sukces.

Tylko że wcale nie miał poczucia sukcesu. Żywiąc się racjonowanymi zapasami, mieszkając na tym samotnym cyplu, wyglądając żagli, chciał dokonać jakiegoś aktu odwagi, a nie tylko być nosicielem szczepionki. Allah jest sprawcą wszystkiego, co się dzieje, to prawda, ale Kemal nie był aż tak pobożny, by nie pragnąć wyszeptać paru słów Allahowi do ucha. Paru konkretnych sugestii.

Dopiero trzeciego dnia ujrzał żagiel. Zbyt wcześnie. W starej wersji historii Kolumb przybył o zmroku, dlatego “Santa Maria” rozbiła się na podwodnych skałach. Teraz nie będzie ciemno, prądy i wiatry nie będą te same. Kemal musi zniszczyć wszystkie trzy statki. Co gorsza, jeśli “Santa Maria” nie zacznie tonąć, “Nina” nie będzie miała powodu rzucać kotwicy. Kemal będzie musiał przesuwać się wzdłuż brzegu, obserwując żaglowce, czekając na swoją szansę.

Jeśli mi się nie uda, są jeszcze pozostali. Jeśli Hunahpu zdoła ubiec Tlaxcalańczyków i stworzyć zapotekotaraskańskie imperium nie kultywujące ofiar z ludzi, Hiszpanom nie pójdzie tak łatwo. Jeśli Diko jest gdzieś w górach, może uda jej się stworzyć nową protochrześcijańską religię i – co za tym idzie – zjednoczone karaibskie imperium, którego potęgi Hiszpanie tak łatwo nie złamią. W końcu sukces europejskich najeźdźców zależał niemal wyłącznie od nieumiejętności organizowania się Indian. Jeśli więc nawet Kolumb powróci do Europy, historia i tak będzie inna.

Kemal powtarzał to sobie, próbując się uspokoić, ale w ustach czuł smak goryczy. Jeśli mi się nie uda, Ameryka straci pięćdziesiąt lat przygotowań

przed przybyciem Europejczyków.

Płynęły dwa statki. Nie trzy. Odetchnął z ulgą. Chociaż czy dla niego, mającego zmienić historię, nie byłoby lepiej, gdyby cała flota Kolumba trzymała się razem? Pinzon odłączył się z “Pintą”, tak jak w poprzedniej wersji dziejów. Kto mógł jednak teraz zagwarantować, że Pinzon zmieni zdanie i pożegluje z powrotem na Haiti, by dołączyć do Kolumba? Tym razem mógł zwyczajnie popłynąć na wschód, by przybyć do Hiszpanii jako pierwszy i sobie przypisać całą chwałę.

To nie zależy już ode mnie, pomyślał Kemal. “Finta” przyplynie albo nie. Mam “Ninę” i “Santa Marię”, i muszę dopilnować, by przynajmniej one nigdy nie wróciły do Hiszpanii.

Ujrzał, że statki zawracają na południe, okrążając przylądek San Nicolas. Czy obiorą ten sam kurs co w poprzedniej historii, żeglując kawałek na południe, a potem zawracając, by zbadać północne wybrzeże Haiti? Nic nie było już pewne, nawet jeśli logika podpowiadała, że te same czynniki, które powodowały zachowaniem Kolumba wtedy, będą działały również teraz.

Ostrożnie zszedł nad wodę, gdzie w kępie drzew ukrył ponton – w odróżnieniu od zwykłych szalup nie jaskrawopomarańczowy, lecz zielonobłękitny, by nie odróżniał się kolorem od wody. Kemal włożył kombinezon do nurkowania, również zielonobłękitny, i wyciągnął ponton z ukrycia. Potem załadował go dostateczną ilością ładunków wybuchowych, by poradzić sobie zarówno z “Santa Marią, jak i z “Niną”, gdyby przydarzyła się taka okazja. Potem uruchomił silnik i wypłynął na morze.

Zajęło mu pół godziny oddalenie się od brzegu na tyle, by nie dostrzegli go sokolowcy obserwatorzy z hiszpańskich karawel. Dopiero wtedy skierował się na zachód, aż ujrzał żagle Hiszpanów. Ku jego radości okazało się, że rzucili kotwicę u przylądka San Nicolas i teraz małe łodzie płynęły w stronę brzegu. Mógł być dziewiąty grudnia zamiast szóstego, ale Kolumb podejmował te same decyzje. Pogoda psuła się, Kolumb będzie miał te same problemy z pokonaniem kanału pomiędzy Tortugą i Haiti aż do czternastego grudnia. Może Kemal zrobiłby lepiej, gdyby wrócił na brzeg i poczekał, aż historia się powtórzy.

Ale może nie. Bo gdyby Kolumb chciał gonić za Pinzonem na wschód, by ubiec go w drodze do Hiszpanii, tym razem mógłby okrążyć Tortugę, łapiąc sprzyjające pasaty i zupełnie unikając zdradliwych wiatrów przybrzeżnych, które zepchnęłyby go na skały. To mogła być ostatnia szansa Kemala.

Z drugiej jednak strony przylądek San Nicolas znajdował się daleko od

miejsca, gdzie żył szczep, do którego udała się Diko. Jeśli zdołała wtopić się w życie wioski, której mieszkańcy pierwsi zwrócili się do ludzi z przyszłości o pomoc, po co utrudniać jej pracę?

Zostanie w ukryciu i będzie czekał.

Z początku, gdy “Pinta” zaczęła zostawać coraz bardziej w tyle, Cristoforo myślał, że Pinzon okrąży jakąś przeszkodę wodną. Potem, gdy karawela zbliżyła się do horyzontu, Cristoforo starał się uwierzyć w to, co mówili mu marynarze – że “Pinta” nie odczytała sygnałów wysyłanych przez Cristofora. Był to oczywiście nonsens. “Nina” również szła po ich lewej burcie i nie miała żadnych kłopotów z utrzymaniem się na kursie. Gdy “Pinta” zniknęła za horyzontem, Cristoforo wiedział już, że Pinzon go zdradził, że niegdysiejszy pirat zamierza pożeglować ku Hiszpanii i złożyć raport Ich Królewskim Wysokościom, zanim Cristoforo zdoła to uczynić. Nieważne, że to on, Cristoforo, był oficjalnie uznany za dowódcę ekspedycji lub że królewscy urzędnicy obecni na karawelach zdemaskują perfidię Pinzona – Pinzon pierwszy skąpie się w blasku chwały, Pinzon przejdzie do historii jako pierwszy człowiek, który powrócił do Europy po podróży do Orientu zachodnią trasą.

Pinzon nigdy nie wypuścił się wystarczająco daleko na zachód, by wiedzieć, że ów stały wschodni wiatr na niższych szerokościach ustępuje wiatrowi zachodniemu, który Cristoforo poznał pływając na okrętach Portugalczyków. Istniała więc szansa, że jeśli Cristoforo zdoła pożeglować wystarczająco daleko na południe, osiągnie Hiszpanię na długo przed Pinzonem, który będzie w tym czasie trudził się halsowaniem po Atlantyku. Istniała szansa, że postępy Pinzona będą tak powolne, iż będzie zmuszony wrócić na wyspy w celu uzupełnienia zapasów.

Wszystko to było możliwe, lecz wcale nie pewne, i Cristoforo, myśląc o niełojalności Pinzona, ledwie hamował furję. Co najgorsze, nie było nikogo, komu mógłby się zwierzyć – marynarze życzyli Pinzonowi powodzenia, przed oficerami zaś i urzędnikami królewskimi Cristoforo nie mógł okazać nawet cienia słabości.

Zajął się badaniem wybrzeża wyspy zwanej przez tubylców Haiti, a przez niego ochrzczonej Hispaniolą. Kreślenie map dostarczyłoby mu więcej przyjemności, gdyby stale posuwali się do przodu, jednak wschodni wiatr był przeciwko nim przez całą drogę. Musieli czekać całymi dniami w miejscu

nazwanym przez marynarzy Zatoką Moskitów, a potem przez kilka dni w Rajskiej Zatoce. Marynarze wiele korzystali z tych postojów, gdyż ludzie byli tutaj wyżsi i dorodniejsi, a dwie z kobiet miały na tyle jasną skórę, że zostały przez marynarzy Hiszpankami. Jako dowódca chrześcijański, Cristoforo udawał, że nie wie, co jeszcze dzieje się pomiędzy członkami załogi i kobietami zbliżającymi się do karawel. W Rajskiej Zatoce nastroje uległy poprawie, tylko Cristoforo nadal był posępny, bo każdy dzień zwłoki traktował jako punkt przewagi dla Pinzona.

Wreszcie udało się ponownie ruszyć w drogę. Musieli płynąć w nocy, blisko brzegu, gdzie bryza od lądu równoważyła wpływ wschodnich wiatrów i niosła ich gładko na wschód. Chociaż niebo było bezchmurne, ryzykowali wiele, żeglując nocą wzdłuż nie znanego wybrzeża, gdzie nie wiadomo jakie groźby mogły kryć się pod powierzchnią wody. Jednak Cristoforo nie widział innego sposobu. Mógł albo płynąć na zachód i południe wokół wyspy, narażając się, że będzie to trwało miesiącami, albo też żeglować nocą wykorzystując przybrzeżną bryzę. Bóg ochroni jego statki, bo w przeciwnym razie wyprawa poniesie porażkę, przynajmniej w pojęciu Cristofora. Teraz ważne było dotarcie do Hiszpanii i złożenie dumnie brzmiących raportów mających ukryć małe ilości złota i niski poziom cywilizacji tubylców, tak by Ich Królewskie Wysokości wyekwipowały prawdziwą flotę, na czele której Cristoforo mógłby dalej prowadzić poszukiwania, aż znalazłby ziemie opisane przez Marco Polo.

Najbardziej niepokoiło Cristofora coś, czego nie mógł wyjaśnić nawet sam sobie. Za dnia, kiedy rzucali kotwicę, pracował nad mapami wybrzeża. Czasem odwracał się od brzegu i spoglądał na otwarte morze. Wtedy wydawało mu się, że widzi coś na wodzie. Nikt inny o tym nie wspominał. Cristoforo jednak był pewny, że to widział – smugę wody różniącą się barwą od fal dookoła, a nawet człowieka wystającego do połowy ponad wodę. Za pierwszym razem gdy zobaczył ludzką sylwetkę, przypomniał sobie opowieści genueńskich marynarzy o syrenach i innych potworach głębin. Cokolwiek to jednak było, nie zbliżało się, zawsze pozostawało daleko w tyle. Czy to jakieś zjawisko natury duchowej, jakiś znak od Pana? Czy też raczej znak wrogości szatana, obserwującego, czekającego na okazję zniszczenia tej chrześcijańskiej ekspedycji?

Raz, tylko raz Cristoforo ujrzał odbłysk światła, jakby to coś miało własną lunetę i przyglądało mu się, tak jak on przyglądał się jemu.

Nie zapisywał tych obserwacji w dzienniku pokładowym. W gruncie rzeczy

kładł wszystko na karb jakiegoś drobnego zaburzenia psychicznego wywołanego tropikalnymi warunkami i niepokojem związanym z Pinzonem. Dopóki wczesnym rankiem w dniu Bożego Narodzenia nie wydarzyła się katastrofa.

Cristoforo był w kajucie. Trudno mu było zasnąć, kiedy statek poruszał się tak niebezpiecznie blisko brzegu, toteż prawie całą noc spędzał studiując mapy, prowadząc zapiski w dzienniku pokładowym i osobistym pamiętniku. Tej nocy jednak leżał beczynn timer na koi, rozmyślając nad tym, jak szczęśliwie ułożyły się sprawy pomimo wszelkich przeciwności. Modlił się, dziękując Panu za to, co kiedyś wyglądało jak Boskie zaniedbanie, lecz teraz przypominało cudowne prowadzenie prosto do celu. Wybacz mi, że Cię nie rozumiałem, mówił w duchu, za to, że oczekiwałem, iż będziesz mierzył czas ludzką miarą. Wybacz mi obawy i wątpliwości, jakie miałem po drodze, widzę bowiem teraz, że zawsze mi sprzyjałeś, chroniłeś mnie i pomagałeś spełnić Twoją wolę.

Chwilę później drżenie przebiegło przez kadłub statku, a na pokładzie rozległ się krzyk.

Kemal patrzył przez noktowizor, ledwo dowierzając swemu szczęściu. Dlaczego w ogóle się martwił? Pogoda była przyczyną zwłoki Kolumba w poprzedniej historii, ta sama pogoda determinowała teraz jego postępy. Czekał na sprzyjające wiatry, ale dotarł do tego miejsca za przylądkiem Haitien w wigilię Bożego Narodzenia, z tolerancją czasową nie przekraczającą piętnastu minut względem poprzedniej przeszłości, znanej Kemalowi. Te same prądy i podobne wiatry sprawiły, że "Santa Maria" wpadła na skałę, tak samo jak przedtem. Wszystko nadal mogło ułożyć się dobrze.

Oczywiście, zawsze się obawiano zmiany czynnika ludzkiego, a nie pogody. Przy okazji gadaniny o skrzydełku motyla w Pekinie wywołującym huragan na Karaibach, Manjam wyjaśnił Kemalowi, że pseudo-chaotyczne systemy, takie jak pogoda, dostosowują się w istocie rzeczy do regularnych ukrytych wzorców, niwelując przypadkowe drobne fluktuacje.

Prawdziwym problemem były decyzje podejmowane przez ludzi w trakcie podróży. Czy oni robią to, co zrobili wcześniej? Kemal oglądał zatonięcie "Santa Marii" setki razy, ponieważ tak wiele zależało od tego faktu. Statek zatonął w wyniku jednoczesnego zajścia kilku okoliczności, które wcale nie

były niezmiennie. Po pierwsze, Kolumb musiał żeglować w nocy – i ku uldze Kemal, zdecydował się na to, by uniknąć przeciwnych wiatrów. Dalej, zarówno Kolumb, jak i Juan de la Cosa, właściciel i szyper “Santa Marii”, musieli znajdować się pod pokładem, zostawiając ster w rękach Peralonsa Nino, pilota. Nino jednak uciął sobie drzemkę, przekazując ster jednemu z majtków i każąc mu żeglować wedle gwiazdy, co wystarczyłoby w czasie rejsu po oceanie, ale było wielce ryzykowne w trakcie żeglugi wzdłuż zdradliwego i nie znanego wybrzeża.

Jedyna różnica w całym wydarzeniu polegała na tym, że za sterem stanął inny majtek – po budowie ciała i zachowaniu Kemal poznał, że tym razem jest to Andres Yevenes, chłopak odrobinę starszy od swego odpowiednika w poprzedniej wersji historii. Może był bardziej doświadczony, lecz doświadczenie nie mogło mu wiele pomóc – mapy wybrzeża Haiti nie istniały i nawet najlepszy pilot by nie wiedział, że zupełnie niewidoczne rafy koralowe znajdują się tak blisko powierzchni wody.

Jeszcze w tym momencie sytuacja mogła się odwrócić, gdyż Kolumb natychmiast wydał rozkazy, które, gdyby zostały wypełnione, doprowadziłyby do uratowania statku. Naprawdę odpowiedzialny za zatonięcie “Santa Marii” był jej właściciel, Juan de la Cosa, który wpadł w panikę i nie tylko nie wykonał rozkazów Kolumba, lecz także uniemożliwił wykonanie ich innym. Od tego momentu karawela skazana była na pójście na dno.

Kemal, analizując życie de la Cosy od początku po sam koniec, nie był w stanie pojąć, dlaczego Hiszpan postąpił w sposób tak niewytłumaczalny. De la Cosa nigdy nie podawał dwukrotnie tego samego wyjaśnienia, najwyraźniej kłamał za każdym razem. Kemal doszedł jedynie do wniosku, że de la Cosa wpadł w panikę, przerażony perspektywą zatonięcia statku, i po prostu ewakuował się jak najszybciej. Gdy stało się jasne, że było dużo czasu na zabranie z pokładu ludzi bez większego ryzyka, zrobiło się już o wiele za późno na uratowanie statku. De la Cosa nie mógł przyznać się do tchórzostwa.

Statek zatrzęsł się od uderzenia, a potem przechylił. Kemal nie spuszczał z niego oka. Był w kombinezonie, gotowy podpłynąć i założyć ładunek wybuchowy, jeśli wydawałoby się, że Kolumb jest w stanie karawelę uratować. Byłoby jednak lepiej, gdyby poszła na dno bez żadnych niewytłumaczalnych pożarów lub eksplozji.

Juan de la Cosa wyszedł chwiejnie z kajuty i wspiał się na tylny pokład, nie całkiem rozbudzony, lecz z pewnością przeżywając koszmar. Jego karawela wpadła na skałę! Jak coś takiego mogło się przydarzyć? Colon był już na pokładzie. Juana jak zawsze ogarnął gniew na sam widok genueńskiego dworaka. Gdyby dowodził Pinzon, nie byłoby takich nonsensów jak żeglowanie w nocy. Juan zasypiał z największym trudem, wiedząc, że jego karawela płynie w ciemnościach wzdłuż nie znanego brzegu. I teraz, tak jak się obawiał, wpadli na skały. Statek zaraz pójdzie na dno. Wszyscy się potopią.

Jeden z majtków okrętowych – Andres, cieszący się względami Nina w tym tygodniu – stał przerażony za sterem.

– Wpatrywałem się w gwiazdę, którą mi wskazano, i utrzymywałem maszt na linii z nią – tłumaczył się żałośnie.

Statek przechylił się mocniej na lewą burtę. Zatonimy, pomyślał Juan. Stracę wszystko.

– Moja karawela! – zawołał. – Mój piękny statek, coście z nim zrobili!

Colon zwrócił się ku niemu z lodowatym spokojem.

– Dobrze spałeś? – zapytał kwaśno. – Bo Nino chrapał głośno.

A czyż właściciel statku nie miał prawa spać? Juan nie był pilotem i nie był nawigatorem. Był tylko właścicielem. Czy nie dano mu jasno do zrozumienia, że nie ma praktycznie żadnej władzy, chyba że z woli Colona? Juan, Bask, był takim samym cudzoziemcem pomiędzy tymi Hiszpanami jak Colon, tak więc Włoch traktował go protekcyjnie, królewscy urzędnicy z pogardą, a marynarze szydęrczo. Teraz jednak okazuje się, że to z jego winy statek wpadł na skały?!

Statek przechylił się jeszcze bardziej.

Colon mówił coś, ale Juan miał trudności ze skupieniem się na jego słowach.

– Rufa jest ciężka. Wpadliśmy na podwodną rafę albo skałę. Nie możemy płynąć do przodu. Nie mamy innego wyjścia niż ściągnąć statek.

To była najgłupsza rzecz, jaką Juan w życiu słyszał. Jest ciemno, statek tonie, a Colon chce wykonywać jakiś idiotyczny manewr, zamiast ratować ludzkie życie? Tego właśnie można oczekiwać od Włocha – kim są dla niego Hiszpanie? I jeśli już o to chodzi, kim jest dla Hiszpanów jakiś Bask? Colon i oficerowie wsiądą pierwsi na łódzie, lecz nikt nie będzie się troszczył o to, co stanie się z Juanem de la Cosa. Marynarze zaś nigdy nie wpuściliby go do szalupy. Zawsze to widział w ich oczach.

– Ściągnijcie statek – powtórzył Colon. – Spuście szalupę, przewieźcie kotwicę na rufę, rzućcie ją i za pomocą kabestanu ściągnijcie nas ze skały.

– Wiem, jak to się robi – warknął Juan w odpowiedzi. Czy ten głupiec sądzi, że może uczyć go sztuki żeglarskiej?

– W takim razie bierz się do roboty! – nakazał Cristoforo. – Czy chcesz stracić swoją karawelę na tych wodach?

Cóż, niech Colon wydaje rozkazy – nie wie nic. Juan de la Cosa jest lepszym chrześcijaninem niż którykolwiek z tych ludzi. Jedynym sposobem na uratowanie załogi było sprowadzenie do pomocy szalup z “Nini”. Nie ma co myśleć o przeciąganiu kotwicy – to byłoby zbyt czasochłonne i ludzie mogliby zginąć. Juan ocali życie każdego człowieka na tym okręcie, marynarze będą wiedzieli, kto naprawdę o nich dba. Nie ten bufon Pinzon, który samolubnie odłączył się od reszty. Z pewnością nie Colon, który myśli tylko o powodzeniu swej ekspedycji, a nie o ludziach, którzy mogliby w jej trakcie stracić życie. Tylko ja, Juan de la Cosa, Bask, przybłąda z północy. Tylko ja pomogę wam ocalić życie, byście mogli wrócić do matek i żon w Hiszpanii.

Juan natychmiast wyznaczył kilku ludzi do spuszczenia szalupy. Słyszał, jak Colon wydaje rozkazy zwinięcia żagli i zwolnienia kotwicy. Och, cóż za wspaniały pomysł! – pomyślał Juan. Statek pójdzie na dno ze zwiniętymi żaglami. To naprawdę sprawi wielką różnicę rekinom.

Szalupa spadła na wodę z głośnym pluskiem. Natychmiast trzech okrętowych wioślarzy spuściło się na dół po linach i zaczęło rozplątywać węzły, by odłączyć szalupę od karaweli. Juan próbował zejść po drabince sznurowej, która, ze względu na przechył statku, wisiała w powietrzu i dyndała niebezpiecznie. Pozwól mi dotrzeć do szalupy, Matko Boża, modlił się Juan, a wtedy będę bohaterem, który uratuje pozostałych.

Jego stopy znalazły szalupę, ale palce nie chciały puścić drabinki.

– Puść! – zawołał Peña, jeden z marynarzy.

Staram się, pomyślał Juan. Dlaczego dłonie mnie zawodzą?

– Co za tchórz! – mruknął Bartolome.

Udają, że mówią cicho, pomyślał Juan, ale zawsze pilnują, żebym wszystko usłyszał.

Jego palce się rozwarły. Wszystko trwało tylko chwilę. Nikt nie może zachowywać się zupełnie spokojnie, kiedy znajduje się o krok od śmierci.

Przeszedł ponad Peña, by zająć miejsce na rufie, przy sterze.

– Wiosłujcie – powiedział.

Gdy marynarze pociągnęli wiosłami, Bartolome, siedzący na dziobie, zaczął podawać rytm. Był kiedyś żołnierzem w hiszpańskiej armii, aresztowano go jednak za kradzież – jak wielu członków załogi, zaciągnął się licząc na amnestię. Przestępcy byli w większości źle traktowani przez pozostałych marynarzy, ale Bartolome, dzięki swemu doświadczeniu wojskowemu, zyskał coś w rodzaju ich niechętnego szacunku i ślepe oddanie kryminalistów.

– Rrraz! – dyrygował. – Rrraz!

Chwilę później Juan skierował ster mocno na lewo.

– Co robisz? – zapytał ostro Bartolome, widząc, że szalupa oddala się od “Santa Marii”, zamiast płynąć w stronę dziobu, gdzie kotwica obniżała się już ku wodzie.

– Rób swoje, a ja będę robił swoje! – krzyknął Juan.

– Mamy czekać pod kotwicą!

– Czy złożysz swoje życie w ręce tego Genuńczyka? Płyniemy do “Nini” po pomoc!

Marynarze zamarli. Było to bezpośrednie sprzeciwienie się rozkazom admirała, graniczące z buntem. Nikt nie chwycił ponownie za wiosła.

– De la Cosa – rzekł Peña – czy nie zamierzasz ratować karaweli?

– To mój statek! – wrzasnął Juan. – I wasze życie! Weźcie się za wiosła, a uratujemy wszystkich! Wiosłować! Wiosłować!

Bartolome podjął rytmiczny zakrzyk i marynarze jęli wiosłować.

Dopiero teraz Colon zauważył, co się dzieje. Juan słyszał, jak krzyczy z tylnego pokładu:

– Wracajcie! Co robicie? Wracajcie i czekajcie pod kotwicą!

Ale Juan spojrzał gwałtownym wzrokiem na marynarzy.

– Jeśli chcecie jeszcze kiedyś ujrzeć Hiszpanię, to nie możemy teraz słyszeć nic poza uderzeniami wiosel! – zawołał Juan do marynarzy.

Wiosłowali energicznie. “Nina” rosła przed nimi, a “Santa Maria” powoli malała w tyle.

Zdumiewające, które wydarzenia okazują się nieuniknione, myślał Kemal, a które można zmienić. Wszyscy marynarze spali tym razem z innymi kobietami w Rajskiej Zatoce, tak więc najwyraźniej dobór partnerek dyktowany był przypadkiem. Jednak kiedy przyszło do sprzeciwienia się jednemu rozkazowi, który mógł uratować “Santa Marię”, Juan de la Cosa

podjął najwyraźniej tę samą decyzję. Miłość jest przypadkowa; lęk jest nieunikniony. Szkoda, że nigdy nie będę miał okazji opublikować tego odkrycia.

Mam już dość opowiadania historii. Mogę tylko odegrać koniec mego życia. Kto wtedy oceni znaczenie mojej śmierci? Ja to zrobię, najlepiej jak potrafię. Ale wtedy nie będzie to już zależało ode mnie. Zrobią ze mnie, cokolwiek będą chcieli, jeśli w ogóle będą mnie pamiętali. Świat, w którym odkryłem wielką tajemnicę przeszłości i stałem się sławny, już nie istnieje. Teraz jestem w świecie, w którym nigdy się nie narodziłem i gdzie nie mam przeszłości. Muzułmański sabotażysta, który w jakiś sposób przedostał się do Nowego Świata? Kto w przyszłości uwierzy w tak nieprawdopodobną opowieść? Kemal wyobraził sobie uczone artykuły, wyjaśniające psychologiczne i społeczne źródła legendy o samotnym muzulmańskim zamachowcu z czasów podróży Kolumba. Śmieszne.

Załoga “Santa Marii” wiosłowała uparcie w stronę “Nini”.

Diko wróciła do Ankuasz z dwiema stągwiemi wody. Była najsilniejsza w wiosce. Ludzie wstydziła się, że z taką łatwością nosi wodę, podczas gdy dla nich jest to ogromny wysiłek. Sporządziła więc nosidło, by móc dźwigać dwa razy tyle, a potem zaczęła chodzić po wodę sama, by nikt się z nią nie porównywał. Trzy razy dziennie wyprawiała się do strumienia poniżej wodospadu. Dzięki dźwiganiu wody utrzymywała się w formie, a chwile samotności pozwalały jej odpocząć.

Pozostali mieszkańcy wioski czekali na nią, oczywiście – woda ze stągwi była nalewana do wielu mniejszych naczyń, w większości glinianych misek. Widziała jednak z daleka, że są podnieceni. Mają zatem jakieś nowiny.

– Kanoë białego człowieka zostało zaatakowane przez duchy wody! – zawołała Putukam, gdy Diko była już wystarczająco blisko. – Dokładnie w tym dniu, kiedy przepowiedziałaś!

– A więc może teraz Guacanagari uwierzy w ostrzeżenie i będzie chronił swoje młode dziewczęta.

Guacanagari był kacykiem władającym większością północno-zachodniego Haiti. Czasem pochlebiał sobie, że jego władza rozciąga się aż po góry Cibao i Ankuasz, chociaż nigdy nie próbował dowieść tego w bitwie – tak wysoko w górach nie było nic, co by go interesowało. Marzenia o zdobyciu panowania nad całą Haiti doprowadziły Guacanagarego w poprzedniej wersji

historii do zawarcia fatalnego w skutkach sojuszu z Hiszpanami. Gdyby nie jego ludzie, szpiegujący dla Hiszpanów i czasem nawet walczący u ich boku, sprawy prawdopodobnie potoczyłyby się innym torem; wodzowie Taino mogliby zjednoczyć Haiti w skutecznym oporze. Teraz jednak będzie inaczej. Paląca ambicja nadal pokieruje Guacanagarim, jego działania jednak nie będą miały tak niszczycielskiego wpływu. Guacanagari bowiem może być przyjacielem silnych. Gdy Hiszpanie zaczną słabnąć, stanie się ich śmiertelnym wrogiem. Diko znała kacyka zbyt dobrze, by nie ufać jego słowu nawet na chwilę. Był jednak nadal użyteczny, ponieważ łatwo mogła przewidzieć zachowanie człowieka opętanego żądzą chwały.

Kucnęła zdejmując nosidło z ramion. Pozostali chwycili stągwie i zaczęli przelewać wodę do mniejszych naczyń.

– Guacanagari miałby słuchać kobiety z Ankuasz? – powiedział Baiku sceptycznie. Nalewał wodę do trzech garnków. Mały Inoxtla przewrócił się i skaleczył mocno; Baiku przygotowywał dla niego okład, herbatę i napar.

Jedna z młodszych kobiet natychmiast stanęła w obronie Diko.

– Guacanagari musi uwierzyć Widzącej w Ciemnościach! Wszystkie jej przepowiednie zawsze się sprawdzają.

Diko jak zwykle zaprzeczyła, jakoby posiadała zdolności profetyczne, chociaż dokładna znajomość przyszłości ratowała ją przed zostaniem niewolnicą lub piątą żoną kacyka.

– Wizje ma Putukam, a uzdrawia Baiku. Ja tylko noszę wodę.

Zamilkli, gdyż nie rozumieli, dlaczego Diko tak mówi. Przecież to oczywista nieprawda. Czemu Widząca w Ciemnościach odmawia przyznania się do tego, co zrobiła dobrze? A jednak ona była najsilniejsza, najwyższa, najmądrzejsza i najświętsza, musiał więc być w tym jakiś sens, choć na pewno nie dosłowny.

Myślcie, co chcecie, powiedziała Diko w duchu. Nadszedł już dzień, kiedy nie będę znała przyszłości lepiej niż wy, ponieważ nie będzie to przyszłość, którą zapamiętałam.

– A co z Milczącym Człowiekiem? – zapytała.

– Och, mówią, że jest wciąż na swojej łodzi zbudowanej z wody i powietrza, wciąż obserwuje.

Ktoś inny dodał:

– Mówią, że biali ludzie w ogóle go nie widzą. Czy są ślepi?

– Nie potrafią patrzeć – odparła Diko. – Nie potrafią zobaczyć czegoś, czego się nie spodziewają. Taino z wybrzeża potrafią zobaczyć zbudowaną z wody i

powietrza łódź Milczącego Człowieka, ponieważ widzieli, jak ją budował i kładł na wodę. Spodziewają się ją zobaczyć. Ale biali ludzie nie widzieli jej nigdy, więc ich oczy nie wiedzą, jak ją znaleźć.

– Mimo to są bardzo głupi, że jej nie widzą – rzekł Goala, nastolatek świeżo po męskiej inicjacji.

– Jesteś bardzo odważny – pochwaliła go Diko. – Nie chciałabym być twoim wrogiem.

Goala napuszył się, a Diko mówiła dalej:

– Ale jeszcze bardziej nie chciałabym być twoim przyjacielem w bitwie. Jesteś pewny, że twój wróg jest głupi, ponieważ postępuje inaczej niż ty. To sprawi, że będziesz nieostrożny, przez co wróg cię zaskoczy i twój przyjaciel zginie.

Ludzie wybuchnęli śmiechem. Goala milczał.

– Nie widziałeś łodzi z wody i powietrza – powiedziała Diko. – Nie wiesz więc, jak trudno lub łatwo jest ją zobaczyć.

– Chcę ją zobaczyć – odezwał się Goala cicho.

– Nie przyniesie ci to żadnej korzyści – stwierdziła Diko – ponieważ nikt na świecie nie potrafi zbudować takiej łodzi, i nikt nie będzie potrafił przez więcej niż czterysta lat. – Chyba że technologia będzie rozwijała się szybciej w tej nowej historii. Przy odrobinie szczęścia, tym razem technologia nie pozbawi ludzi zdolności panowania nad nią, usuwania jej szkodliwych skutków.

– Mówisz zupełnie bez sensu – rzekł Goala.

Mieszkańcom Ankuasz zaparło dech w piersiach – tylko bardzo młody mężczyzna mógł przemówić tak bezczelnie do Widzącej w Ciemnościach.

– Goala myśli – tłumaczyła Diko – że mężczyzna powinien zobaczyć rzecz, która będzie widziana tylko raz w ciągu pięciuset lat. Ja jednak mówię wam, że tylko rzecz, dzięki której mężczyzna może się czegoś nauczyć i którą może wykorzystać dla dobra plemienia i swej rodziny, warta jest zobaczenia. Mężczyzna, który zobaczy łódź z wody i powietrza, będzie powtarzał zadziwiającą opowieść, ale jego dzieci nie uwierzą. A mężczyzna, który nauczy się budować wielkie drewniane kanoe, jakimi pływają Hiszpanie, będzie mógł pokonywać oceany z wielkim ładunkiem i wieloma pasażerami. Kanoe Hiszpanów powinniście zobaczyć, a nie łódź z wody i powietrza.

– Ja w ogóle nie chcę widzieć białych ludzi – powiedziała Putukam z drżeniem.

– To tylko ludzie. Niektórzy są bardzo źli, inni bardzo dobrzy. Wszyscy z

nich wiedzą, jak robić rzeczy, których nikt na Haiti nie potrafi robić, a jednak jest wiele rzeczy, które wie każde dziecko na Haiti, a ci ludzie nie rozumieją ich w ogóle.

– Opowiedz nam! – zawołali Indianie.

– Już wam opowiadałam o przybyciu białych ludzi. I dzisiaj mamy wiele pracy.

Wyrazili swoje rozczarowanie jak dzieci. I dlaczego by nie? Członkowie plemienia nie obawiali się wyrażać swoich pragnień. Ukrywać przed pobratymcami musieli tylko naprawdę wstydlive uczucia, jak strach czy niechęć.

Diko zanosła nosidła i puste stągwie do swojej chaty – właściwie szałas. Szczęśliwie nikt na nią nie czekał. Ona i Putukam były jedynymi kobietami posiadającymi własne domy, a kiedy Diko po raz pierwszy przyjęła do siebie Indiankę, którą mąż chciał pobić, Putukam również uczyniła swoją chatę schronieniem dla kobiet. Z początku wywołało to wielkie napięcie, ponieważ Nugkui, kacyk, słusznie ujrzał w Diko rywala mogącego zagrozić jego władzy. Do przemocy doszło tylko raz, gdy trzech mężczyźni przyszli pod osłoną nocy, uzbrojeni we włócznie. Diko jakieś dwadzieścia sekund zajęło rozbicie wszystkich trzech i połamanie ich włóczy. Odeszli kulejący, posiniaczeni. Nie dorównywali jej siłą ani umiejętnościami walki wręcz.

Nie przeszkodziłoby im to zaatakować później – strzałą, zatrutą strzałką, ogniem – gdyby Diko nie zareagowała od razu z samego rana. Zebrała swoje rzeczy i zaczęła rozdawać je kobietom jako podarki. To natychmiast poruszyło całą wioskę.

– Dokąd się udajesz? – pytali. – Dlaczego odchodzisz?

Odpowiedziała obłudnie:

– Przybyłam do was, ponieważ słyszałam głos, który mnie tutaj wzywa. Dziś w nocy jednak miałam wizję trzech mężczyzn skradających się z włóczniami w ciemnościach. A więc tylko mi się wydawało, że słyszę głos. Nie jest to ta wioska, ponieważ ta wioska mnie nie chce. Muszę iść i znaleźć wioskę, która potrzebuje wysokiej czarnej kobiety do noszenia wody.

Po długich dąsach zgodziła się zostać na następne trzy dni.

– Gdy ten czas minie, odejdę, jeśli wszyscy w Ankuasz nie poproszą mnie, bym została, i nie obiecują uczynić mnie swoją ciotką, siostrą lub siostrzenicą. Jeśli choć jedna osoba nie będzie mnie tu chciała, odejdę.

Nugkui nie był głupcem. Chociaż mógł się denerwować, zazdrościć Diko poważania, wiedział, że dzięki jej obecności prestiż mieszkańców Ankuasz

ciągle wzrasta w oczach Taino żyjących niżej na zboczu góry. Czy nie przysyłali oni teraz chorych po uzdrowienie do Ankuasz? Czyż nie przysyłali posłańców z prośbą o wyjaśnienie sensu zdarzeń lub dowiedzenie się, co Widząca w Ciemnościach przepowiedziała na przyszłość? Przed przybyciem Diko mieszkańcy Ankuasz traktowani byli z pogardą jako ludzie mieszkający w zimnym miejscu na górze. Dopiero Diko wyjaśniła, że ich plemię jako pierwsze zamieszkało na Haiti, że ich przodkowie jako pierwsi mieli odwagę przepłynąć z jednej wyspy na drugą.

– Przez długi czas Taino żyli tutaj tak, jak chcieli, a potem Karibi pragnęli ich zmusić do przejścia swych obyczajów – wyjaśniła. – Nadchodzi jednak czas, kiedy Ankuasz poprowadzą wszystkich ludzi zamieszkujących Haiti. Jest to bowiem wioska, która okiełzna białych ludzi.

Nugkui nie miał zamiaru pozwolić, by ta wspaniała przyszłość wymknęła mu się z rąk.

– Chcę, żebyś została – burknął.

– Miło mi to słyszeć. Czy pokazałeś Baiku to rozcięcie na czole? Co się stało? Czyżbyś wpadł na drzewo, kiedy poszedłeś się wysuszać w nocy?

Spojrzał na nią pałającym wzrokiem.

– Niektórzy mówią, że nie postępujesz, jak przystoi kobiecie.

– Jeśli jednak tak postępuję, to znaczy, że uważam moje uczynki za właściwe.

– Mówią, że uczysz nasze żony buntowania się i lenistwa.

– Nigdy nie uczę nikogo lenistwa. Pracuję najciężej z was i kobiety w Ankuasz idą za moim przykładem.

– Pracują ciężko, ale nie zawsze robią to, co każą im mężowie.

– Ale robią niemal wszystko, o co mężowie je proszą – odparła Diko. – Zwłaszcza jeśli mężowie robią wszystko, o co one proszą.

Nugkui siedział w milczeniu długą chwilę, przeżuając gniew.

– Skaleczenie na twoim ramieniu nie wygląda najlepiej – powiedziała Diko. – Czyżby ktoś był nieostrożny i zranił cię oszczepem podczas wczorajszego polowania?

– Wszystko zmieniasz – rzekł Nugkui.

Nadszedł kluczowy moment negocjacji.

– Nugkui, jesteś odważnym i mądrym wodzem. Przyglądałam się tobie przez długi czas, zanim tu przybyłam. Gdziekolwiek bym się udała, musiałabym wprowadzić zmiany, ponieważ wioska, która nauczy białych, jak być ludźmi, musi być inna od zwykłych wiosek. Nadejdą niebezpieczne czasy. Kiedy

biali ludzie nie będą jeszcze okiełznani, może będziesz musiał poprowadzić mężczyzn na wojnę. A nawet w czasie pokoju ty jesteś wodzem. Kiedy ludzie przychodzą do mnie po sąd, czyż nie odsyłam ich zawsze do ciebie? Czyż nie okazuję ci zawsze szacunku?

Niechętnie przyznał jej rację.

– Widziałam straszliwą przyszłość, w której biali ludzie przybywają, tysiące za tysiącami, i naszych ludzi zabijają albo zamieniają w niewolników. Widziałam przyszłość, w której na całej Haiti nie ma ani jednego Taino, ani jednego Kariba, ani jednego mężczyzny, kobiety czy dziecka z Ankuasz. Przybyłam tutaj, by zapobiec tej strasznej przyszłości. Ale nie mogę zrobić tego sama. Do tego potrzebny jesteś ty, tak samo jak ja. Nie chcę, żebyś wykonywał moje rozkazy. Nie chcę tobą rządzić. Jaka wioska szanowałaby Ankuasz, gdyby wódz słuchał rozkazów kobiety? Ale jaki wódz zasługuje na szacunek, jeśli nie przyjmuje mądrych rad tylko dlatego, że udziela ich kobieta?

Patrzył na nią beznamiętnie, a potem powiedział:

– Widząca w Ciemnościach jest kobietą, która okiełzuje mężczyzn.

– Mężczyźni z Ankuasz nie są zwierzętami. Widząca w Ciemnościach przybyła tutaj, ponieważ mężczyźni z Ankuasz okiełznali już sami siebie. Kiedy kobiety chroniły się w mojej chacie albo u Putukam, mężczyźni z tej wioski mogli zniszczyć ściany i pobić swoje żony, zabić je – albo Putukam, czy nawet mnie, bo choć jestem mądra i silna, nie jestem nieśmiertelna i można mnie zabić.

Nugkui słuchał uważnie.

– Jednak mężczyźni z Ankuasz są ludźmi, nie zwierzętami – ciągnęła Diko. – Byli źli na żony, ale uszanowali drzwi mojej chaty i drzwi chaty Putukam. Zostali na zewnątrz, czekali, aż ich gniew ostygł. Wtedy ich żony wyszły i żadna nie została pobita, i znowu zapanowała zgoda. Są tacy, którzy mówią, że Putukam i ja sprawiliśmy kłopoty, ale ty jesteś wodzem. Ty wiesz, że pomagałyśmy zaprowadzić pokój. Ale udało się to tylko dlatego, że mężczyźni i kobiety z tej wioski pragnęli pokoju. Udało się tylko dlatego, że ty, wódz, pozwoliłeś, by się udało. Gdybyś ujrzał innego wodza zachowującego się tak, jak ty się zachowałeś, czy nazwałbyś go mądrym?

– Tak – rzekł Nugkui.

– Ja również nazywam cię mądrym. Nie zostanę jednak, jeśli nie będę mogła nazwać cię moim wujkiem.

Nugkui potrząsnął głową.

– Tak nie można. Nie jestem twoim wujkiem, Widząca w Ciemnościach. Nikt by w to nie uwierzył. Wszyscy wiedzieliby, że udajesz tylko moją siostrzenicę.

– A zatem nie mogę zostać tutaj. – Diko wstała.

– Usiądź – rzekł. – Nie mogę być twoim wujkiem ani siostrzeńcem, ale mogę być twoim bratem.

Diko upadła przed kacykiem na kolana i go objęła.

– Och, Nugkui, takiego człowieka miałam nadzieję spotkać!

– Jesteś moją siostrą – powtórzył – ale dziękuję wszystkim duchom z okolicznych lasów, że nie jesteś moją żoną. – Po tych słowach wstał i wyszedł z chaty.

Od tej pory byli sprzymierzeńcami – Nugkui nie łamał słowa ani nie pozwalał na to żadnemu z gniewnych mężczyzn. Rezultat był nieunikniony. Mężczyźni nauczyli się, że zamiast narażać się na publiczne upokorzenie, gdy ich żony schronią się w domu Diko lub Putukam, lepiej powściągnąć gniew. Minął rok, a w Ankuasz żadna żona nie została pobita. Teraz kobiety przychodziły częściej do Diko, by poskarżyć się na męża, który przestał się nimi interesować, lub by poprosić o zakłęcie czy przepowiednię. Diko nie dawała im ani jednego ani drugiego, w zamian oferując współczucie i rady oparte na zdrowym rozsądku.

Sama w chacie, wydobyła skrycie prowadzony notatnik i przebiegła w myślach wydarzenia, jakie miały nadejść w ciągu najbliższych kilku dni. Na wybrzeżu Hiszpanie zwrócą się do Guacanagarego o pomoc. Tymczasem Kemal – Indianie zwali go Milczącym Człowiekiem – zniszczy pozostałe hiszpańskie statki. Jeśli mu się nie uda lub jeśli Hiszpanie zdołają zbudować nowe statki i poześlą do domu, zadaniem Diko będzie zjednoczenie Indian, by mogli pokonać białych, którzy przybędą później. Jeśli jednak Hiszpanie zostaną uwięzieni na wybrzeżu, musi rozpuścić opowieści, które przywiodą Kolumba do niej. W ekspedycji załamię się porządek społeczny – rzecz niemal pewna, gdy zostaną uwięzieni na lądzie – i Kolumb będzie szukał schronienia. Znajdzie je w Ankuasz, a Diko będzie musiała zdobyć władzę nad nim i tymi, z którymi przyjdzie. Jeśli musiała oszukać Indian, żeby ją zaakceptowali, niech tylko zobaczą, w jaki sposób potraktuje białych.

Ach, Kemal. Przygotowała dla niego grunt opowiadając, że nadejdzie potężny człowiek, milczący mężczyzna, który dokona cudów, lecz będzie trzymał się na uboczu. “Zostawcie go w spokoju” – powtarzała zawsze opowiadając tę historię. Przez cały ten czas nie miała pojęcia, czy Kemal

rzeczywiście się pojawi – mogła być jedyną z całej trójki, która dotarła do miejsca przeznaczenia. Doznała wielkiej ulgi, kiedy dotarły do niej wiadomości, że Milczący Człowiek mieszka w lesie niedaleko wybrzeża. Przez kilka dni zastanawiała się, czy nie złożyć mu wizyty. Był jeszcze bardziej samotny niż ona, odłączona od swego własnego czasu, od wszystkich, których kochała, ale wśród ludzi. Nie mogła go jednak odwiedzić. Gdy Kemal wykona swoje zadanie, Hiszpanie potraktują go jako znienawidzonego wroga; ona nie powinna być z nim łączona, nawet w indiańskiej legendzie, gdyż wkrótce wszystkie te opowieści dotrą do Hiszpanów. Rozpowiedziała więc w wiosce, że chce znać wszystkie jego ruchy – i że według niej lepiej zostawić go w spokoju. Jej opinie nie były równoznaczne z rozkazami, ale Widząca w Ciemnościach była otoczona taką czcią, nawet pośród mieszkańców odległych wsi, którzy nigdy z nią nie rozmawiali, że radę dotyczącą dziwnego brodatego mężczyzny potraktowano poważnie.

Ktoś zapukał do jej chaty.

– Proszę – powiedziała.

Kłapa z plecionej trzciny została odsłonięta i do środka weszła Chipa. Była to młoda dziewczyna, może dziesięcioletnia, lecz bardzo bystra. Diko wybrała ją na posłanniczkę do Cristofora.

– Estas pronta ? – zapytała Diko.

– Pronta mas estoy con miedo. Jestem gotowa, ale się boję. Hiszpański Chipy był bez zarzutu. Diko uczyła ją od dwóch lat – pomiędzy sobą rozmawiały tylko w tym języku. Oczywiście Chipa płynnie posługiwała się taino, stanowiącym lingua franca na Haiti, mimo że mieszkańcy Ankuasz często używali pomiędzy sobą innego i znacznie starszego języka, zwłaszcza w podniosłych i uroczystych momentach. Chipa miała talent do języków. Będzie dobrą tłumaczką.

Kolumb nie miał do dyspozycji tłumacza w trakcie swej pierwszej wyprawy. Za pomocą gestykulacji i mimiki nie można było przekazać zbyt wiele. Brak wspólnego języka zmuszał zarówno Indian, jak i Europejczyków do zgadywania, co miała na myśli druga strona. Powstawały fatalne nieporozumienia. Każda sylaba brzmiąca jak “chan” sprawiała, że Kolumb rzucał się na poszukiwania Kataju. W tym momencie, w głównej wsi Guacanagarego, Cristoforo niewątpliwie pytał, gdzie można znaleźć więcej złota; kiedy Guacanagari wskaże góry i powie: “Cibao”, Cristoforo potraktuje to jako wersję “Cipango”. Gdyby naprawdę było to Cipango, samurajowie

błyskawicznie rozprawiliby się z nim i jego ludźmi. Jednak najbardziej niepokojące było to, że w poprzedniej wersji historii Cristoforo nigdy nie przyszło na myśl, iż nie ma prawa pójść do dowolnej kopalni złota na Haiti i przejąć jej w posiadanie.

Diko pamiętała, co Cristoforo zapisał w swym dzienniku, kiedy ludzie Guacanagarego pracowali długo i wytrwale, pomagając mu znieść cały sprzęt i zapasy z rozbitej “Santa Marii”: “Miłują bliźniego swego jak siebie samego”. Widział w nich chrześcijańskie cnoty – a potem odwrócił się na pięcie i przyjął, że ma prawo zabrać im wszystko, co posiadają. Kopalnie złota, jedzenie, nawet ich wolność i życie – nie potrafił myśleć o nich jak o ludziach. Byli obcy. Ciemnoskórzy. Nie mówili żadnym znanym językiem. A zatem nie byli ludźmi.

To budziło największe protesty wśród nowicjuszy w Instytucie Czasu. Nie pojmowali, dlaczego zwykle ludzie w przeszłości potrafili rozmawiać z ludźmi innych nacji, układać się z nimi, składać obietnice, a następnie odchodzić i zachowywać się tak, jakby ci ludzie byli zwierzętami. Czym są obietnice złożone zwierzętom? Jaki szacunek można mieć dla własności, do której roszczą sobie prawo zwierzęta? Jednak badacze przeszłości w końcu musieli przyjąć do wiadomości, że empatia ograniczona była do pojedynczego klanu lub plemienia. Ludzie nie będący członkami plemienia nie byli ludźmi, lecz zwierzętami – niebezpiecznymi drapieżnikami, wartościowym łupem lub zwierzętami pociągowymi. Tylko od czasu do czasu jakiś wielki prorok deklarował, że ludzie innych szczepów czy nawet innych języków lub ras są ludźmi. Stopniowo powstały prawa obowiązujące gości i gospodarzy. Nawet wśród współczesnych badaczy czasu, gdy ideę równości i braterstwa wszystkich ludzi głoszono na każdym rogu, coraz to dawało o sobie znać powszechne przekonanie, iż obcy nie jest człowiekiem równie godnym szacunku jak krajan.

Czego właściwie spodziewam się po Kolumbie? – zastanawiała się Diko. Proszę go, by wykształcił w sobie empatię wobec innych ras, a taka wrażliwość nie stanie się istotnym czynnikiem w ludzkim życiu jeszcze przez pięćset lat po jego wielkiej podróży, rozpowszechni się dopiero po wielu krwawych wojnach, okresach głodu i zarazach. Proszę Kolumba, by przerósł swój czas i stał się kimś innym.

Ta dziewczynka zaś, Chipa, przeprowadzi pierwszą lekcję i pierwszy egzamin. Jak Kolumb ją potraktuje? Czy w ogóle jej wysłucha?

– Masz prawo się bać – powiedziała Diko po hiszpańsku. – Biali ludzie są

niebezpieczni i zdraдлиwi. Ich obietnice nic nie znaczą. Jeśli nie chcesz iść, nie będę cię zmuszać.

– Po co w takim razie uczyłaś mnie hiszpańskiego? – zapytała Chipa.

– Żebyśmy mogły opowiadać sobie sekrety – odrzekła Diko z uśmiechem.

– Pójdę – zdecydowała Chipa. – Chcę ich zobaczyć.

Diko skinęła głową, akceptując jej decyzję. Chipa była zbyt młoda i za mało wiedziała, by zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa; z drugiej jednak strony także ludzie dorośli zwykle nie zdają sobie sprawy z możliwych konsekwencji swych decyzji. A Chipa była zarówno bystra, jak i życzliwa – ta kombinacja powinna jej dobrze posłużyć.

Godzinę później Chipa stała na centralnym placu wioski, skubiąc spódniczkę z plecionej trawy, którą Diko dla niej zrobiła.

– Źle się w tym czuję – powiedziała w taino. – Dlaczego mam to nosić?

– W kraju białego człowieka ludzie nie chodzą nago, bo się wstydzą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Czemu? Czy są tak brzydcy?

– Jest tam czasem bardzo zimno – tłumaczyła Diko – ale nawet w lecie okrywają swoje ciała w ten sposób. Ich Bóg kazał im nosić ubrania.

– Lepiej jest składać krwawą ofiarę kilka razy do roku, tak jak czynią to Taino – powiedział Baiku – niż żeby wszyscy musieli cały czas nosić na swoim ciele takie brzydkie małe domy.

– Mówią – rzekł młody Goala – że biali ludzie noszą skorupy niczym żółwie.

– Te skorupy są mocne, włócznie ich nie przebijają – powiedziała Diko.

Mieszkańcy wioski zamilkli. Zastanawiali się, co mogłoby to oznaczać, gdyby doszło do bitwy.

– Dlaczego wysyłasz Chipę do tych ludzi-żółwi? – zapytał Nugkui.

– Ci ludzie-żółwie są niebezpieczni, ale są również potężni i niektórzy mają dobre serca, trzeba ich tylko nauczyć być ludźmi. Chipa sprowadzi białych ludzi tutaj, a kiedy będą gotowi uczyć się ode mnie, będę ich uczyła. I wy też będziecie ich uczyć.

– Czego możemy nauczyć ludzi, którzy budują kanoe sto razy większe od naszych?

– Oni też będą nas uczyć. Ale dopiero kiedy będą gotowi.

Nugkui wciąż wyglądał na nie przekonanego.

– Nugkui – powiedziała Diko. – Wiem, co myślisz.

Wódz czekał, co powie dalej.

– Nie chcesz, żebym wysyłała Chipę jak dar dla Guacanagarego, ponieważ

wódz Karibów będzie myślał, że Ankuasz podlega jego władzy.

Nugkui wzruszył ramionami.

– On już tak myśli. Ale dlaczego miałbym go w tym utwierdzać?

– Ponieważ on będzie musiał oddać Chipę białym ludziom. A kiedy Chipa będzie z nimi, zaczniesz służyć Ankuasz.

– Służyć Widzącej w Ciemnościach, chciałaś powiedzieć – odezwał się któryś z mężczyzn spoza jej pleców.

– Nazywasz się Yacha – powiedziała nie odwracając głowy – ale nie zawsze jesteś mądry, mój kuzynie. Jeśli jednak nie jestem jedną z was, powiedz mi to, a odejdę do innej wioski i pozwolę, by jej mieszkańcy stali się nauczycielami białych ludzi.

Natychmiast podniosła się wrzawa. Kilka chwil później Baiku i Putukam prowadzili Chipę w dół po zboczu góry, poza Ankuasz, poza Ciboą, by zaczęły się jej chwile grozy i chwały.

Kemal wpłynął pod kadłub “Nini”. Miał dwugodzinny zapas tlenu w butlach, pięć razy więcej niż potrzebował, jeśli wszystko pójdzie tak jak podczas treningów. Zeskrobywanie skorupiaków z pasa kadłuba w pobliżu linii wodnej trwało dość długo, bo trudno operować dłutem pod wodą. Wkrótce jednak skończył i z woreczka u pasa wydobyl zestaw odpowiednio ukształtowanych urządzeń zapalających. Przytwierdził je powierzchnią grzewczą do kadłuba, a następnie zwolnił klamry, które mocno wbiły się w drewno. Pociągnął za sznur i od razu poczuł, jak woda robi się cieplejsza. Pomimo że urządzenia większość energii kierowały na kadłub, i tak wydzielały tyle ciepła na zewnątrz, że woda wkrótce się zagotuje. Kemal odpłynął szybko w stronę pontonu.

Po pięciu minutach drewno wewnątrz kadłuba karaweli strzeliło płomieniami. Urządzenia nadal promieniowały gorącem, pomagając w rozprzestrzenianiu się ognia.

Hiszpanie nie będą mieli pojęcia, w jaki sposób w zenie wybuchł pożar. Zanim ponownie znajdą się w pobliżu “Nini”, drewno kadłuba zamieni się w popiół, a metalowe pokrywy urządzeń zapalających opadną na dno morza. Przez kilka dni będą emitowały słaby sygnał ultradźwiękowy, co pozwoli Kemalowi odnaleźć je i zabrać. Hiszpanie nie będą podejrzewali, że pożar na “Nini” nie był zwykłym tragicznym wypadkiem. Podobnie nie nabierze podejrzeń nikt przeszukujący w przyszłych stuleciach miejsce zatonięcia

statku.

Teraz wszystko zależało od tego, czy Pinzon zachowa się zgodnie ze swoją rolą i przyprowadzi "Pintę" z powrotem na Haiti. Jeśli to uczyni, Kemal wysadzi jego karawelę w powietrze. Wtedy nie będzie już można uwierzyć w wypadek. Każdy zrozumie: to robota wroga.

11 – KONFRONTACJA

Chipa była przerażona, kiedy kobiety Guacanagarego prowadziły ją naprzód. Słuchanie o brodatych białych mężczyznach to coś innego niż stawanie w ich obecności. Byli wielcy i mieli na sobie zadziwiające groźne szaty. Naprawdę każdy nosił dom na ramionach i dach na głowie! Metal hełmów błyszczał jaskrawo w świetle słońca. A barwy ich sztandarów były jak pióra papug. Gdybym potrafiła utkać takie płótno, pomyślała Chipa, nosiłabym ich flagi i mieszkała pod zrobionym z metalu dachem, który oni wkładają sobie na głowy.

Guacanagari pospiesznie przekazywał jej ostatnie polecenia i Chipa udawała, że słucha – otrzymała przecież wskazówki od Widzącej w Ciemnościach, a gdy zacznie rozmawiać po hiszpańsku z białymi mężczyznami, plany Guacanagarego przestaną się liczyć.

– Powiedz mi dokładnie, co oni naprawdę mówią – rzekł Guacanagari. – I nie dodawaj ani jednego słowa ponad to, co ja powiem tobie. Zrozumiałaś mnie, ty mały ślimaku z gór?

– Wielki wodzu, zrobię wszystko, co mi każesz.

– Jesteś pewna, że potrafisz posługiwać się ich okropnym językiem?

– Jeśli nie, wkrótce będzie to widoczne na ich twarzach.

– W takim razie powiedz im: wielki Guacanagari, władca całego Haiti od Cibao do morza, jest dumny, że znalazł tłumaczkę.

Znalazł tłumaczkę? Chipa nie była zaskoczona, że kacyk próbuje pomniejszyć rolę Widzącej w Ciemnościach, ale i tak doznała uczucia obrzydzenia. Odwróciła się do białego mężczyzny w najbardziej ekstrawaganckim kostiumie i zaczęła mówić. Po pierwszym słowie Guacanagari mocno pchnął ją od tyłu nogą, powalając twarzą w dół na ziemię.

– Okaż szacunek, górski robaku! – wrzasnął. – Zresztą to wcale nie jest wódz, głupia dziewczyno. Wodzem jest tamten mężczyzna z białymi włosami.

Powinna była wiedzieć – nie po barwach ubrania, lecz po wieku, szacunku, jaki wzbudzały jego lata, powinna była poznać człowieka, którego Widząca

w Ciemnościach nazywała Colonem.

Leżąc na ziemi, zaczęła ponownie. Jąkała się nieco, lecz wymawiała hiszpańskie słowa bardzo wyraźnie.

– Mój panie, don Cristobalu, przybyłam tłumaczyć dla ciebie.

Odpowiedziała jej cisza. Podniosła głowę. Biali mężczyźni, bardzo zdumieni, konferowali pomiędzy sobą. Wyteżyła słuch, ale mówili zbyt szybko.

– Co mówią? – zapytał Guacanagari.

– Skąd mam wiedzieć, kiedy wszystko zagłuszasz? – odpowiedziała Chipa. Wiedziała, że zachowuje się zuchwale, ale jeśli Diko miała rację, Guacanagari wkrótce nie będzie miał nad nią żadnej władzy.

Colon wystąpił wreszcie naprzód i przemówił.

– Jak nauczyłaś się hiszpańskiego, moje dziecko?

Mówił szybko, z innym akcentem niż Widząca w Ciemnościach, ale takiego pytania kazano jej oczekiwać.

– Poznałam ten język, by rozumieć nauki o Chrystusie.

Wcześniej byli zdumieni jej znajomością hiszpańskiego, teraz wpadli w prawdziwą konsternację. Ponownie rozległy się gorączkowe szepty.

– Co mu powiedziałaś? – zapytał ostro Guacanagari.

– Zapytał mnie, jak nauczyłam się jego języka, a ja mu odpowiedziałam.

– Zabroniłem ci mówić cokolwiek o Widzącej w Ciemnościach! – rozgniewał się kacyk.

– Nie mówiłam o niej, tylko o Bogu, którego czczą.

– Kłamiesz, na pewno chcesz mnie zdradzić – powiedział Guacanagari.

– Wcale nie – rzekła Chipa.

Colon znowu wystąpił naprzód, obok niego stał teraz mężczyzna w obszernej szacie.

– Ten człowiek to Rodrigo Sanchez de Segovia, królewski inspektor flotylli – rzekł Colon. – Chciałby zadać ci pytanie.

Tytuły nie znaczyły nic dla Chipy. Kazano jej rozmawiać z Colonem.

– Skąd wiesz o Chrystusie? – zapytał Segovia.

– Widząca w Ciemnościach kazała nam czekać na przybycie człowieka, który nauczy nas o Chrystusie.

Segovia uśmiechnął się.

– Ja jestem tym człowiekiem.

– Nie, panie. Tym człowiekiem jest Cristobal Colon.

Łatwo było odczytać wyraz twarzy białych ludzi – okazywali wszystko, co czuli. Segovia był wściekły. Cofnął się jednak, zostawiając Golona samego

kilka kroków przed pozostałymi.

– Kim jest Widząca w Ciemnościach? – zapytał Colon.

– Moją nauczycielką. Przysłała mnie jako dar dla Guacanagarego, by on przyproceedził mnie do ciebie. Ale Guacanagari nie jest moim panem.

– Widząca w Ciemnościach jest twoją panią?

– Nie mam innego pana poza Chrystusem – odpowiedziała Chipa. Zdanie to, wedle słów Diko, było najważniejsze w całej rozmowie. A teraz, gdy Colon spoglądał na nią oniemiały, wypowiedziała zdanie, którego nie rozumiała, było bowiem w innym języku – w dialekcie genueńskim. Tylko Cristoforo mógł ją zrozumieć, gdy wypowiedziała słowa, które słyszał już kiedyś, na plaży w pobliżu Lagos: – Ocaliłem cię, byś niósł krzyż.

Cristoforo opadł na kolana. Powiedział coś w tym samym dziwnym języku.

– Nie znam tej mowy, panie.

– Co się dzieje? – zapytał ostro Guacanagari.

– Wódz gniewa się na mnie – powiedziała Chipa po hiszpańsku. – Zbije mnie, bo mówię co innego, niż mi kazał.

– Nie bój się wodza – rzekł Colon. – Jeśli oddajesz siebie Chrystusowi, jesteś pod moją ochroną.

– Panie, nie prowokuj Guacanagarego ze względu na mnie. Straciłeś dwa statki. Potrzebujesz jego przyjaźni.

– Dziewczyna ma rację – wtrącił Segovia. – Nie lituj się nad nią, nie pierwszy raz dostanie w skórę.

Byłby to pierwszy raz, pomyślała Chipa. Czy biali ludzie w swoim kraju biją dzieci?

– Panie, jeśli poprosisz wodza, dostaniesz mnie w darze – powiedziała Chipa.

– Jesteś zatem niewolnicą?

– Guacanagari tak sądzi, ale nigdy nikt nie był moim panem. Ty nie uczynisz mnie niewolnicą, prawda? – Widząca w Ciemnościach powtarzała jej często, że jest bardzo ważne, by wypowiedziała te słowa.

– Nigdy nie będziesz niewolnicą – rzekł Colon. – Powiedz wodzowi, że jesteśmy bardzo zadowoleni i dziękujemy za jego dar.

Chipa spodziewała się, że Colon o nią poprosi. Ale natychmiast zauważyła, że to było o wiele lepsze – jeśli Colon zakładał, że dar należy już do niego, Guacanagari nie mógł zabrać go z powrotem. Odwróciła się więc do Guacanagarego i rozciągnęła się przed nim, tak jak zrobiła to nie dalej niż poprzedniego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała kacyka z wybrzeża.

– Wielki biały wódz, Colon, jest ze mnie bardzo zadowolony. Dziękuje ci za

podarowanie mu tak użytecznego prezentu.

Guacanagari nie dał nic po sobie poznać, ale Chipa wiedziała, że jest wściekły.

– Powiedz mu – rzekł Colon z tyłu – że daję mu własny kapelusz, którego nigdy nie dałbym nikomu poza wielkim królem.

Chipa przetłumaczyła jego słowa na taino. Kacyk wybałuszył oczy ze zdumienia. Wyciągnął rękę.

Colon zdjął kapelusz i zamiast dać go do ręki kacykowi, własnoręcznie umieścił mu na głowie. Guacanagari uśmiechnął się. Chipa pomyślała, że wygląda jeszcze śmieszniej niż biali mężczyźni, nosząc taki dach na głowie. Widziała jednak, że pozostali Taino i sam Guacanagari są uszczęśliwieni. Była to korzystna wymiana. Kapelusz, potężny talizman, w zamian za nieposłuszną, kłopotliwą dziewczynę z gór.

– Podnieś się, dziewczyno – powiedział Colon. Podał jej dłoń, pomagając wstać. Palce miał długie i gładkie. Czyżby nigdy nie pracował? – Jak się nazywasz?

– Chipa – odparła. – Ale Widząca w Ciemnościach powiedziała, że dasz mi nowe imię, kiedy zostanę ochrzczona.

– Nowe imię – powtórzył Colon. – I nowe życie. – A potem cicho, by tylko ona mogła go usłyszeć, spytał: – Czy możesz mnie zaprowadzić do kobiety, którą nazywasz Widząca w Ciemnościach?

– Tak – rzekła Chipa i choć Widząca w Ciemnościach nie byłaby z tego zadowolona, dodała jeszcze: – Powiedziała mi kiedyś, że zrezygnowała z rodziny i mężczyzny, którego kochała, żeby móc spotkać się z tobą.

– Ja również niejednego się wyrzekłem. Czy mogłabyś teraz coś przetłumaczyć? Potrzebuję pomocy Guacanagarego przy budowie szałasów dla moich ludzi. Muszę też wysłać posłańca z listem do kapitana trzeciego statku, prosząc go, by wrócił i zabrał nas wszystkich do domu. Czy pojedziesz z nami do Hiszpanii?

Widząca w Ciemnościach nie mówiła nic o Hiszpanii. Biali ludzie mieli nigdy nie opuścić Haiti. Chipa uznała jednak, że nie jest to najlepszy moment na cytowanie tej akurat przepowiedni.

– Jeśli ty tam pojedziesz – powiedziała – pojedę z tobą.

Pedro de Salcedo miał siedemnaście lat. Był paziem i adiutantem admirała, lecz z tego powodu nigdy nie patrzył z góry na zwykłych marynarzy lub

majtków pokładowych. Nie, miał poczucie wyższości dlatego, że ci mężczyźni i chłopcy pożąдали brzydkich indiańskich kobiet. Słyszał czasem, jak rozmawiają – chociaż nauczyli się nie wciągać go w te rozmowy. Najwyraźniej nie potrafili przełknąć faktu, że indiańskie kobiety chodzą nagie.

Ale nie Chipa, pomyślał. Ona nosi ubranie, mówi po hiszpańsku. Wszyscy byli tym zdumieni, wszyscy prócz niego. Ubrania i znajomości hiszpańskiego należało oczekiwać od cywilizowanych ludzi. A ona z pewnością była cywilizowana, nawet jeśli nie była jeszcze chrześcijanką.

W gruncie rzeczy nie była chrześcijanką w ogóle, w ocenie Pedra. Słyszał oczywiście wszystko, co powiedziała admirałowi, ale gdy przydzielono mu zadanie znalezienia jej bezpiecznej kwatery, skorzystał z okazji i zaczął rozmowę. Szybko przekonał się, że dziewczyna nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest Chrystus, a jej znajomość chrześcijańskiej doktryny jest w najlepszym razie żałosna. Z drugiej jednak strony powiedziała przecież, iż owa tajemnicza Widząca w Ciemnościach obiecała, że Colon będzie ją nauczać o Chrystusie.

Widząca w Ciemnościach. Cóż to za imię? I jak to się stało, że indiańska kobieta głosiła przepowiednię, w której była mowa o Colonie i Chrystusie? Musiała mieć wizję pochodzącą od Boga. Ale czy Bóg przemówiłby do kobiety? I to do tego poganki?

Chociaż, myślał Pedro dalej, Bóg przemówił też do Mojżesza, do Żyda. Stało się to w czasach, kiedy Żydzi byli jeszcze narodem wybranym, a nie parszywymi złodziejami mordującymi chrześcijan, ale i tak trudno się z tym pogodzić.

Pedro zajmował myśli wszystkim, byleby zapomnieć o Chipie. Ponieważ myśli o niej mocno go niepokoiły. Czasem zastanawiał się, czy nie są równie niskie i wulgarne jak myśli marynarzy i majtków, tak skłonnych do folgowania chuciom, że nawet indiańskie kobiety wydawały im się ponętne. Ale w gruncie rzeczy nie o to chodziło. Nie pożądał Chipy. Była brzydka, a poza tym, na miłość boską, ta dziewczynka nie miała nawet kształtów kobiety, jaki zboczeniec mógłby jej pożądać? Zarazem jednak coś w jej głosie, w jej twarzy czyniło ją piękną w jego oczach.

Co to było? Jej nieśmiałość? Duma, z jaką wypowiadała trudne zdania po hiszpańsku? Ciekawość, z jaką pytała o szaty i broń członków ekspedycji? Te słodkie drobne gesty, jakie wykonywała zawstydzona po zrobieniu błędu? Owa półprzezroczystość jej twarzy, jakby światło przeświecało spod skóry?

Nie, to niemożliwe, Chipa wcale nie łśni. To tylko złudzenie. Zbyt długo byłem samotny.

A jednak odkrył, że ogromną przyjemność sprawia mu opiekowanie się Chipą, prowadzenie z nią rozmów. Przebywał z nią możliwie jak najdłużej, zaniehbując czasem inne obowiązki. Wcale nie naumyślnie; po prostu zapominał o wszystkim innym, kiedy był z nią. Zresztą wcale nie marnował czasu, prawda? Chipa uczyła go języka taino. Wkrótce będzie dwoje tłumaczy, nie tylko jeden. Ekspedycji przyda się drugi tłumacz, prawda?

On z kolei uczył ją alfabetu. Uczyła się z zapałem i robiła błyskawiczne postępy. Pedro nie rozumiał, dlaczego tak jej na tym zależy, skoro w życiu kobiety nieprzydatna jest umiejętność czytania. Jeśli jednak sprawiało to Chipie radość i pomagało lepiej zrozumieć hiszpański, to dlaczego nie?

Pedro rysował więc litery na piasku, a Chipa je odczytywała, kiedy Diego Bermudez go odszukał.

– Szef cię potrzebuje – powiedział. Miał dwanaście lat, nie umiał się jeszcze zachować. – I dziewczyny też. Wyrusza na wyprawę.

– Dokąd? – zapytał Pedro.

– Pewnie na księżyc. Wszędzie indziej już byliśmy.

– Idzie w góry – rzekła Chipa. – Spotkać się z Widzącą w Ciemnościach.

Pedro spojrział na nią skonsternowany.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ Widząca w Ciemnościach powiedziała, że on do niej przyjdzie.

Znowu ta tajemnicza gadanina. Kim była Widząca w Ciemnościach, czarownicą? Pedro nie mógł się doczekać spotkania. Wcześniej trzykrotnie owinie sobie dłoń różańcem i przez cały czas będzie trzymał w dłoni krzyż. Nie ma sensu ryzykować.

Chipa dobrze poradziła sobie z zadaniem, uznała Diko. Przez cały ranek posłańcy wbiegali na górę, informując o zbliżaniu się białych ludzi. Najbardziej gniewne wiadomości przysyłał Guacanagari, pełne niemal jawnych gróźb na wypadek, gdyby tak podła górską miejscina jak Ankuasz próbowała przeszkodzić wielkiemu kacykowi w realizacji jego planów. Biedny Guacanagari – w poprzedniej wersji historii również uległ złudzeniu, że wykorzysta przybycie Hiszpanów do własnych celów. W rezultacie skończył jako kolaborant, zdradzając innych indiańskich wodzów, a sam również zginął marnie. Nie był głupszy od innych, którzy wmówili sobie, że

okiełznali tygrysa tylko dlatego, że trzymają się jego ogona.

Wczesnym popołudniem Cristoforo wszedł na główny plac. Diko nie było jednak wśród zgromadzonych. Nasłuchiwała z wnętrza swej chaty, czekała.

Nugkui z wielką pompą powitał wielkiego białego kacyka, Cristoforo również wdzięcznie odegrał swoją rolę. Diko z przyjemnością słuchała głosu Chipy. Wciąż pamiętała jej śmierć z poprzedniej wersji historii. Wtedy Chipa miała niewiele ponad dwadzieścia lat i zanim zginęła w zbiorowym gwałcie, zobaczyła jeszcze, jak zamordowano jej dzieci. Teraz nie doświadczy tego koszmaru.

Ceremonia powitania dobiegła końca, Cristoforo zapytał o Widzącą w Ciemnościach. Nugkui oczywiście ostrzegł go, że rozmowa z czarną olbrzymką jest stratą czasu, ale to tylko zaintrygowało Cristofora jeszcze bardziej, tak jak Diko się spodziewała. Wkrótce stanął przed jej drzwiami. Chipa wskoczyła do środka.

– Czy może wejść? – zapytała w taino.

– Radzisz sobie doskonale, moja siostrzenico – powiedziała Diko. Od tak dawna rozmawiały wyłącznie po hiszpańsku, że z trudem przestawiła się na miejscowy język. Było jednak konieczne, żeby przynajmniej w tej chwili Cristoforo nie rozumiał, co między sobą mówią.

Chipa uśmiechnęła się figlarnie.

– Przyprowadził swojego pazia i adiutanta, który jest bardzo wysoki, piękny i lubi mnie.

– Żebyś tylko ty nie polubiła go za bardzo. Nie jesteś jeszcze kobietą.

– Ale on jest mężczyzną! – Dziewczyna zaśmiała się głośno. – Czy mam ich wpuścić?

– Kto jest z Cristoforo?

– Wszyscy mężczyźni w wielkich domach. Segovia, Arana, Gutierrez, Escobedo. Nawet Torres. – Chipa zachichotała. – Czy wiesz, że przywieźli go ze sobą jako tłumacza? Nie mówi ani słowa w taino.

Nie mówił również po chińsku, japońsku, w dialekcie kantońskim czy językami hindi, malajskim ani żadnym innym narzeczem używanym na Dalekim Wschodzie, dokąd Cristoforo zamierzał dotrzeć. Pozbawieni wyobraźni Europejczycy posłali Torresa, ponieważ umiał czytać po hebrajsku i aramejsku, które uważali za matrycę wszelkich języków.

– Niech admirał wejdzie – powiedziała Diko. – I możesz też przyprowadzić pazia, Pedra de Salcedo.

Chipa nie była zaskoczona, że Diko zna to imię. Wyszła na zewnątrz po

gości.

Diko nie mogła opanować zdenerwowania – nie, po co się oszukiwać? Była przerażona. W końcu go spotka, mężczyznę, któremu poświęciła całe życie. A scena, która się rozegra, nie istniała dotąd nigdy w żadnej historii. Diko zawsze wiedziała, co on powie, zanim jeszcze otworzył usta. Co stanie się teraz, gdy będzie mógł ją zaskoczyć?

Nieważne. Miała o wiele większe możliwości zaskoczenia jego i natychmiast to wykorzystała, odzywając się w dialekcie genueńskim.

– Długo czekałam na to spotkanie, Cristoforo.

Nawet w ciemnościach chaty ujrzała, jak jego twarz spływa rumieńcem gniewu wywołanego tym brakiem szacunku. Potrafił jednak opanować się i nie nalegać, by używała właściwych tytułów.

– Skąd znasz język mojej rodziny?

Odpowiedziała po portugalsku:

– Czy to jest język twojej rodziny? Nim właśnie posługiwała się twoja żona, a twój starszy syn wciąż ubiera myśli w portugalskie słowa. Czy wiedziałeś o tym? Czy rozmawiałeś z nim dość często, by wiedzieć, co myśli?

Cristoforo był rozgniewany i przestraszony. Właśnie taką reakcję chciała wywołać.

– Wiesz o sprawach, o których nie wie nikt. – Nie mówił oczywiście o szczegółach rodzinnych.

– Królestwa padną u twych stóp. – Starła się naśladować głos Interwentów z plaży niedaleko Lagos. – A miliony, którym zapewnisz zbawienie, będą cię błogosławić.

– Nie potrzebujemy tłumacza, prawda? – Cristoforo patrzył na nią z niedowierzaniem i lękiem.

– Możemy pozwolić dzieciom odejść.

Rzekł coś cicho do Chipy i Pedra. Pedro natychmiast wyszedł, ale Chipa nawet nie wstała z miejsca.

– Chipa nie jest twoją służącą – powiedziała z naciskiem Diko. – Poproszę ją, żeby wyszła. – W taino rzekła: – Mojej rozmowy z admirałem nikt nie powinien słyszeć. Czy zgodzisz się wyjść?

Chipa wstała. Diko zauważyła z przyjemnością, że Pedro przytrzymał jej klapę przy wyjściu. Chłopiec myślał już o niej nie tylko jak o człowieku, lecz jak o damie. Był to zasadniczy przełom, nawet jeśli nikt jeszcze tego nie zauważył.

Zostali sami.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Cristoforo. – O obietnicach, że królestwa będą padały u mych stóp, że...

– Wiem o nich, ponieważ przybyłam tutaj za sprawą tej samej siły, która na początku przekazała ci te słowa. – Niech odczyta to, jak zechce; później, kiedy zrozumie więcej, Diko przypomni mu, że nie kłamała.

Wydobyła małą latarkę na baterie słoneczne z jednej ze swoich toreb. Kiedy ją włączyła, osłonił sobie oczy. Jego palce ułożyły się w znak krzyża.

– To nie czary – powiedziała. – To narzędzie skonstruowane przez mój lud, żyjący daleko stąd, gdzie nigdy nie mógłbyś dotrzeć, wielki podróżniku. Jak każde narzędzie, kiedyś przestanie działać, ale ja nie będę potrafiła zbudować następnego.

Jego oczy przyzwyczyły się do mroku.

– Jesteś ciemna jak Mauryjka.

– Jestem Afrykanką. Nie z krainy Maurów, lecz z ziem położonych o wiele dalej na południe.

– Jak zatem przybyłaś tutaj?

– Czy sądzisz, że jesteś jedynym podróżnikiem? Sądzisz, że jesteś jedynym, który może być wysłany do odległych krajów z misją ocalenia dusz pogan?

Zerwał się na równe nogi.

– Widzę, że po wszystkich moich zmaganiach dopiero teraz napotkałem prawdziwą przeszkodę. Czy Bóg posłał mnie do Indii tylko po to, by pokazać mi Murzynkę z magiczną lampą?

– To nie są Indie – poprawiła go Diko. – Ani Kataj, ani Cipango. Jesteś w zupełnie innej stronie świata.

– Powtarzasz słowa wypowiedziane do mnie przez Boga, a potem mówisz, że Bóg się mylił?

– Jeśli się skupisz, przypomnisz sobie, że Bóg nigdy nie użył słowa “Kataj”, “Cipango”, “Indie” ani żadnego podobnego.

– Skąd o tym wiesz?

– Widziałam cię klęczącego na plaży i słyszałam, jak składasz przysięgę w imię Ojca, Syna, i Ducha Świętego.

– A więc dlaczego ja ciebie nie widziałem? Jeśli mogłem widzieć Świętą Trójkę, dlaczego ty byłaś niewidoczna?

– Marzysz o wielkim zwycięstwie chrześcijan – powiedziała Diko, puszczając jego pytanie mimo uszu, gdyż w tej chwili nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź dla niego zrozumiała. – O wyzwoleniu Konstantynopola.

- Będzie to tylko krok do oswobodzenia Jerozolimy – rzekł Cristoforo.
 - A ja mówię ci, że tutaj, na tej ziemi, są miliony ludzi, którzy przyjęliby chrześcijaństwo, gdybyś tylko podał im je w sposób pokojowy, pełen miłości.
 - W jakiż inny sposób mógłbym to zrobić?
 - W jaki inny? Już napisałeś w swoich dziennikach, jak łatwo będzie zmusić tych ludzi do pracy. Już mówisz o uczynieniu z nich niewolników.
- Spojrzał na nią przenikliwie.
- Kto pokazał ci moje dzienniki?
 - Nie jesteś jeszcze gotów, by krzewić wśród tych ludzi chrześcijaństwo, Cristoforo, ponieważ sam nie jesteś jeszcze chrześcijaninem.
- Podniósł rękę do uderzenia. Zaskoczyło ją to, gdyż nie był człowiekiem gwałtownym.
- Och, czyż w ten sposób chcesz dowieść swej żarliwej wiary? Tak, pamiętam historie, jak Jezus chłostał Marię Magdalenę. I jak spuścił łanie Marii i Marcie.
 - Nie uderzyłem cię – powiedział.
 - Ale taki był twój pierwszy odruch, prawda? Dlaczego? Jesteś najcierpliwszym z ludzi. Przez tyle lat pozwalałeś kapłanom dręczyć cię i zasypywać pytaniami, i nigdy nie straciłeś panowania nad sobą. A jednak teraz chciałeś podnieść na mnie rękę. Dlaczego, Cristoforo?
- Milczał.
- Powiem ci dlaczego. Ponieważ dla ciebie nie jestem człowiekiem. Jestem psem, mniej niż psem, gdyż nie uderzyłbyś psa, prawda? Tak jak Portugalczycy, w ciemnoskórej kobiecie widzisz tylko niewolnicę. A ty możesz nauczyć ludzi o brązowej skórze Ewangelii Chrystusa i ich ochrzcić, ale to nie przeszkadza ci robić z nich niewolników i kraść ich złota.
 - Możesz nauczyć psa, by chodził na dwóch nogach, ale to nie czyni go człowiekiem.
 - Cóż za mądrość! Podobnych argumentów wielmoże używają wobec ludzi pokroju twojego ojca. Och, może ubierać się w zdobne szaty, ale i tak jest zwykłym prostakiem, niegodnym traktowania z szacunkiem.
 - Jak śmiesz tak mówić o moim ojcu! – zawołał Cristoforo z gniewem.
 - Mówię ci, że dopóki będziesz traktował tych ludzi nawet gorzej, niż wielmoże z Genui traktowali twojego ojca, nigdy nie będziesz miły Bogu.
- Mata w drzwiach uchyliła się, Pedro i Escobedo wetknęli głowy do środka.
- Krzyknąłeś, panie! – rzekł Escobedo.
 - Wychodzę – powiedział Cristoforo.

Diko wyłączyła lampę i wyszła za nim. Wszyscy mieszkańcy wioski zebrali się wokół, a Hiszpanie trzymali dłonie na rękojeściach mieczów. Kiedy ujrzeni ją – tak wysoką, tak ciemną – zaparło im dech w piersiach, niektórzy zaczęli wysuwać miecze z pochew. Cristoforo dał im jednak znak, by schowali broń.

– Idziemy – rozkazał. – Nic tu dla nas nie ma.

– Wiem, gdzie jest złoto! – zawołała Diko po hiszpańsku. Tak jak oczekiwała, wszyscy biali stanęli jak wryci. – Nie pochodzi z tej wyspy, lecz z krainy położonej dalej na zachód. Wiem, gdzie to jest. Mogę pokazać wam tyle złota, że historie o nim będą opowiadane po wsze czasy.

– A więc pokaż nam, kobieto – odezwał się Segovia, królewski inspektor.

– Jak tam popłyniecie? W jakiej łodzi?

Hiszpanie milczeli.

– Choćby i Pinzon powrócił, nie będzie mógł zabrać was do Hiszpanii – powiedziała w ciszy.

Spojrzeni na siebie zdumieni. Skąd ta kobieta wie tak dużo?

– Colon, czy wiesz, kiedy pokażę ci złoto?

Odwrócił się ku niej.

– Kiedy?

– Kiedy będziesz kochał Chrystusa bardziej niż złoto.

– Już kocham Go bardziej – rzekł Cristoforo.

– Będę wiedziała, kiedy pokochasz Chrystusa bardziej niż złoto. – Wskazała mieszkańców wioski. – Nastąpi to wtedy, gdy patrząc na nich nie będziesz widział niewolników, służących, obcych, wrogów, lecz braci i siostry, równych tobie w oczach Boga. Lecz dopóki to nie nastąpi, Cristobalu Colon, dopóki nie nauczysz się pokory, będziesz doznawał jednej klęski po drugiej.

– To diabeł! – krzyknął Segovia. Hiszpanie przeżegnali się.

– Nie przeklinam cię – mówiła Diko – lecz błogosławię. Wszelkie zło, jakie zstąpi na ciebie, będzie karą Boską, ponieważ spojrzawsz na Jego dzieci i ujrzałeś tylko niewolników. Jezus ostrzegł cię: ktokolwiek uczyni coś jednemu z tych maluczkich, byłoby lepiej, gdyby uwiązał sobie kamień młyński do szyi i rzucił się do morza.

– Nawet diabeł może cytować Pismo – rzekł Segovia, ale głos mu drżał.

– Pamiętaj o tym, Cristoforo – powiedziała Diko. – Kiedy wszystko będzie stracone, kiedy twoi wrogowie strącą cię na samo dno rozpacz, przyjdź do mnie w pokorze, a ja pomogę ci wykonać Boską pracę w tym miejscu.

– Bóg pomoże mi wykonać Boską pracę – odparł Cristoforo. – Nie

potrzebuję pogańskiej czarownicy, kiedy mam Go u swego boku.

– Nie będzie Go u twojego boku, dopóki nie poprosisz tych ludzi o przebaczenie, gdyż myślałeś o nich jak o dzikusach. – Odwróciła się do niego tyłem i weszła do chaty.

Słyszała klótnie Hiszpanów. Przekrzykiwali się, chcieli pojmać ją i uśmiercić. Cristoforo ich powstrzymywał. Chociaż był wściekły, pamiętał, że ta czarna kobieta powtórzyła słowa, które tylko jemu powiedział Bóg.

Poza tym Indianie mieli przewagę liczebną. Cristoforo był człowiekiem wyjątkowo ostrożnym. Nie rozpoczynaj bitwy, jeśli nie jesteś pewny zwycięstwa – taka była jego filozofia.

Kiedy odeszli, Diko ponownie wyłoniła się ze swej chaty. Nugkui był poruszony.

– Jak śmiesz zachowywać się tak bezczelnie wobec tych białych ludzi? Teraz zostaną przyjaciółmi Guacanagarego i nigdy więcej nas nie odwiedzą.

– Niech lepiej nie będą twoimi przyjaciółmi, dopóki nie nauczą się być ludźmi – odparła Diko. – Guacanagari będzie błagał ich, żeby zaprzyjaźnili się z kimś innym, zanim ta historia dobiegnie końca. Powiem ci coś jednak: bez względu na to, jak dalej potoczą się sprawy, niech wszystkim będzie wiadome, że nic nie może się stać temu, którego nazywają Colonem, białowłosemu, wodzowi. Rozgłoś to w każdej wiosce i w każdym klanie: jeśli skrzywdzicie Golona, klątwa Widzącej w Ciemnościach spadnie na wasze głowy.

Nugkui patrzył na nią pałającym wzrokiem.

– Nie martw się, Nugkui – powiedziała. – Myślę, że Colon wróci.

– Może wcale nie chcę, żeby wracał – odburknął wódz. – Może wolałbym, żebyście oboje odeszli! – I on, i Diko wiedzieli jednak, że reszta wioski nigdy nie zgodzi się na jej odejście. Nugkui odwrócił się i zagłębił się w las. Dopiero wtedy Diko wróciła do chaty, gdzie usiadła na macie do spania, cała drżąca. Czy nie tak właśnie wszystko zaplanowała? Rozgniewać Cristofora, lecz jednocześnie zaszcześcić w jego umyśle ziarno przemiany? A jednak wyobrażając sobie to spotkanie, nigdy nie przypuszczała, że Cristoforo jest osobowością aż tak potężną. Obserwowała go, była świadkiem jego władzy nad ludźmi, a jednak aż do tego dnia nigdy nie stanęła z nim twarzą w twarz. To spotkanie zaniepokoiło ją tak samo jak wszystkich Europejczyków, którzy mieli z nim do czynienia. Zwiększyło jej szacunek dla tych, którzy mu się oparli, i zrozumienie dla tych, którzy ulegli jego woli. Nawet Tagiri nie miała tak płomiennego wzroku jak ten mężczyzna. Nic dziwnego, że Interwencji

wybrali go jako swoje narzędzie. Gdyby stało się, co miało się stać, Cristoforo z pewnością osiągnąłby swój cel.

Jak mogłam kiedykolwiek wyobrazić sobie, że okiełznam tego człowieka i nagnę go do własnych planów?

Nie, powiedziała w duchu, nie próbuję go okiełznać. Próbuję tylko pokazać mu lepszy sposób spełnienia jego marzeń. Kiedy to zrozumie, spojrzy na mnie z łagodnością, nie z furją.

Niektórzy z Hiszpanów mieli ochotę wyładować swój gniew na Chipie. Cristoforo był zajęty rozmyślaniami, kiedy zdał sobie sprawę, że Pedro z trudem osłania dziewczynę przed szturchańcami i obelgami Arany i Gutierrezza.

– Zostawcie ją w spokoju – powiedział.

Pedro spojrzał na niego z wdzięcznością, dziewczyna też.

– Ona nie jest niewolnicą – ciągnął Cristoforo. – Ani żołnierzem. Pomaga nam z własnej woli, byśmy mogli nauczać ją o Chrystusie.

– Jest pogańską czarownicą, tak jak tamta! – odciął się Arana.

– Zapominasz się – rzekł Cristoforo.

Arana ponuro skłonił głowę ustępując starszemu rangą.

– Jeśli Pinzon nie wróci, będziemy potrzebowali pomocy tubylców przy budowie nowego statku. Bez tej dziewczyny znowu zaczniemy porozumiewać się z nimi za pomocą znaków, chrząknięć i gestów.

– Twój paż uczy się ich bełkotu – stwierdził Arana.

– Mój paż nauczył się raptem parudziesięciu słów – odparł Cristoforo.

– Jeśli cokolwiek stanie się tej dziewczynie, wrócimy na górę i zmusimy tamtą czarną sukę, żeby dla nas tłumaczyła.

– Ona nigdy nie będzie wam posłuszna! – krzyknęła Chipa z pasją.

Arana zarechotał rubasznie.

– Och, kiedy byśmy z nią skończyli, byłaby posłuszna jak dziecko! Dobrze by jej zrobiło, gdyby poznała, gdzie jest jej właściwe miejsce w świecie.

Cristoforo słuchał słów Arany z mieszanymi uczuciami. Podzielał jego uprzedzenia, lecz nie mógł zapomnieć tego, co powiedziała mu Widząca w Ciemnościach. Dopóki nie spojrzy na tubylców jak na równych sobie...

Ta myśl sprawiła, że zadrzał. Ci dzikusci równi jemu? Gdyby Bóg chciał, żeby byli mu równi, pozwoliliby im narodzić się jako chrześcijanom. A jednak nie można było zaprzeczyć, że Chipa jest równie bystra i sympatyczna jak każda

chrześcijańska dziewczyna. Chciała poznać słowo Chrystusa, chciała być ochrzczona.

Ochrzcić ją, ubrać w piękną suknię, a wciąż będzie brązowoskóra i brzydka. Równie dobrze można by w suknię ubrać małpę. Widząca w Ciemnościach występowała przeciwko naturze, twierdząc, że może być inaczej. Najwyraźniej była ostatnią próbą diabła powstrzymania go. Tak samo jak diabeł skłonił Pinzona, żeby odpłynął na "Fincie".

Było już prawie ciemno, kiedy dotarł do na poły ukończonej palisady, gdzie obozowali Hiszpanie. Słyszał śmiechy i radosne okrzyki dochodzące ze środka. Był gotów zbesztać swoich ludzi za brak dyscypliny, dopóki nie zrozumiał, co się stało. Oto przy dużym ognisku, zabawiając marynarzy opowieściami, stał Martin Alonzo Pinzon. Wrócił.

Gdy Cristoforo szedł przez otwartą przestrzeń między bramą i ogniskiem, ludzie zamilkli. Pinzon zaczął się tłumaczyć.

– Admirale, nie wyobraża pan sobie mojej rozpacz, kiedy zgubiłem was we mgle w czasie rejsu z Colby.

Cóż za kłamstwo, pomyślał Cristoforo. "Finta" była doskonale widoczna, kiedy przybrzeżna mgła się rozviała.

– Pomyślałem sobie: Dlaczego trochę nie pomyszkować, kiedy już się rozłączyliśmy? Zatrzymaliśmy się na wyspie Babeque, gdzie według mieszkańców Colby mieliśmy znaleźć złoto, ale nie było tam ani okrucha. Jednak na wschód stamtąd, wzdłuż wybrzeża tej wyspy, były jego duże ilości. Za niewielki kawałek wstążki dawano mi bryłki złota wielkości dwóch palców, a czasem nawet tak duże jak moja dłoń!

Cristoforo nadal nie odpowiadał, chociaż stał już nie dalej niż półtora metra od kapitana "Pinty".

– Oczywiście przedstawię pełny spis zdobytego złota i dołożysz je do wspólnego skarbcza – rzekł Segovia.

Pinzon poczerwieniał.

– O co mnie oskarżasz? – zapytał ostro.

Mógłby oskarżyć cię o zdradę, pomyślał Cristoforo. A z pewnością o bunt. Dlaczego wróciłeś? Ponieważ wschodni wiatr utrudniał ci żeglugę tak samo jak mnie? Czy też dlatego że zdałeś sobie sprawę, iż jeśli powrócisz do Hiszpanii beze mnie, postawią ci pytania, na które nie będziesz mógł odpowiedzieć? Jesteś więc nie tylko nielojalny i niegodny zaufania, lecz także zbyt tchórzliwy, by doprowadzić do końca zamysł o zdradzie.

Cristoforo milczał długo. Jego wściekłość na Pinzona, chociaż równie

usprawiedliwiona jak gniew na Widzącą w Ciemnościach, nie miała nic wspólnego z powodem, dla którego Bóg przysłał go tutaj. Królewscy urzędnicy mogli podzielać pogardę jaką Cristoforo żywił dla kapitana “Pinty”, lecz marynarze spoglądali na niego, jakby był Charlemagnem albo El Cidem. Gdyby Cristoforo uczynił go swoim wrogiem, załoga by się zbuntowała. Segovia, Arana i Gutierrez tego nie rozumieli. Wierzyli, że władza pochodzi od króla. A przecież w tym miejscu, pomiędzy tymi ludźmi Pinzon miał o wiele większą władzę niż król. Tak więc Cristoforo musiał przełknąć gniew, by móc wykorzystać Pinzona w spełnieniu woli Bożej.

– On nie oskarża cię o nic – rzekł Cristoforo. – Jakże ktokolwiek mógłby cię oskarżać? Ten, który się zgubił, powrócił. Gdybyśmy mieli tłustą krowę, zarznąłbym ją teraz na twoją cześć. W imieniu Ich królewskich Wysokości witam cię, kapitanie Pinzon.

Pinzon wyraźnie doznał ulgi, chociaż w jego oczach czaiła się przebiegłość. Sądzi, że mu się udało, pomyślał Cristoforo. Sądzi, że wszystko może ująć mu na sucho. Ale kiedy wrócimy do Hiszpanii, Segovia poprze moją wersję wypadków. Wtedy zobaczymy, kto wygrał.

Cristoforo uśmiechnął się, wyciągnął ramiona i objął kłamliwego sukinsyna.

Hunahpu patrzył, jak trzej taraskańscy kowale podziwiają żelazną sztabę, wytopioną dzięki jego wskazówkom, przy użyciu węgla drzewnego, wytworzonego również dzięki jego wskazówkom. Patrzył, jak sprawdzają ją przeciwko brązowym ostrzom i grotom strzał. Patrzył, jak sprawdzają ją na kamieniu. A kiedy sprawdzian dobiegł końca, wszyscy trzej rozciągnęli się przed nim na ziemi.

Czekał cierpliwie, aż okażą mu swą uległość – był to szacunek należny bohaterowi z Xibalba. Teraz kazał im się podnieść.

– Panowie Xibalba obserwowali przez długie lata, jak pracujecie z brązem. Widzieli, jak wy trzej pracujecie z żelazem. I dyskutowali pomiędzy sobą. Niektórzy chcieli was zniszczyć.

Inni jednak mówili: “Nie, Taraskańczycy nie są tak żądni krwi jak Aztekowie czy Tlaxcalańczycy. Nie użyją tego czarnego metalu do mordowania ludzi, tak że nie będzie miał kto obsiać pól”.

– Nie, nie – zgodzili się Taraskańczycy.

– Proponuję wam więc teraz to samo przymierze, jakie zaproponowałem Zapotekom. Słyszeliście już tę historię przynajmniej z dziesięć razy.

– Tak, tak.

– Jeśli przysięgniecie, że nigdy więcej nie złożycie ludzkiego życia w ofierze żadnemu bogu, że będziecie walczyć tylko w obronie własnej lub by ochronić innych kochających pokój ludzi, wtedy nauczę was kolejnych sekretów. Nauczę was, jak uczynić ten czarny metal jeszcze twardszym, aż będzie błyszczał jak srebro.

– Zrobimy wszystko, żeby poznać te sekrety. Tak, składamy tę przysięgę. Będziemy posłuszni wielkiemu Jeden Hunaphu we wszystkim.

– Nie jestem tutaj jako wasz król. Macie swojego króla. Proszę tylko, byście dotrzyмали tego przymierza. I niech wasz król stanie się bratem Na-Yaxhala, króla Zapoteków, i niech Tarascańczycy będą braćmi i siostrami dla Zapoteków. Zapotekowie są mistrzami wielkich kanoë pływających po otwartym morzu, a wy jesteście mistrzami ognia zamieniającego kamień w metal. Wy przekażecie im wszystkie sekrety kowalstwa, a oni przekażą wam wszystkie sekrety budowania statków i żeglugi. W przeciwnym razie powrócę do Xibalba i powiem panom, że nie jesteście wdzięczni za dar wiedzy!

Słuchali z szeroko otwartymi oczami, obiecując wszystko. Jego słowa wkrótce zostaną przekazane królowi, jednak kiedy kowale pokażą żelazo i ostrzegą, że Jeden Hunahpu wie, jak wytworzyć jeszcze twardszy metal, król zgodzi się na zawarcie sojuszu. Spisek Hunahpu osiągnie wtedy swój cel. Aztekowie i Tlaxcalańczycy otoczeni będą przez nieprzyjaciela posiadającego żelazną broń i duże szybkie statki. Huitzilopochtli, stary oszuście, twoje dni picia ludzkiej krwi są już policzone.

Dokonałem tego, pomyślał Hunahpu, i to przed czasem. Nawet jeśli Diko i Kemalowi się nie udało, stłumiłem praktykę składania krwawych ofiar, zjednoczyłem ludy Ameryki Środkowej i dałem im technologię wystarczającą do stawienia oporu Europejczykom.

Gratulując sobie, Hunahpu poczuł nagłą tęsknotę. Niech Diko będzie żywa, modlił się w duchu. Niech wykona zadanie, a wtedy między Europą i Ameryką nigdy nie dojdzie do krwawej wojny.

Była to pora kolacji w hiszpańskim obozie. Wszyscy oficerowie i marynarze zebrali się na posiłek, oprócz czterech wartowników przy palisadzie i dwóch pilnujących statku. Cristoforo oraz królewscy urzędnicy zasiedli z dala od innych, ale jedli to samo. Jedzenie dostarczyli Indianie.

Nie Indianie jednak je podawali. Marynarze radzili sobie sami, majtkowie usługiwali oficerom i urzędnikom. Powstały na tym tle poważne zadrażnienia, bo Chipa odmówiła tłumaczenia rozkazów Pinzona Indianom.

– Oni nie są służącymi – powiedziała. – Są przyjaciółmi.

Pinzon zaczął bić dziewczynkę, a potem Pedra, który stanął w jej obronie. Kiedy admirał zażądał przeprosin, Pinzon chętnie zgodził się przeprosić Pedra.

– Nie powinien był próbować mnie powstrzymać, ale to twój paż i przepraszam za ukaranie go, gdyż ty powinienesz być to zrobić.

– Dziewczynę przeproś również – powiedział Colon.

Pinzon splunął.

– Ta mała suka była nieposłuszna. Służący nie mają prawa odzywać się w ten sposób do szlachciców.

Od kiedy to Pinzon został szlachcicem? – pomyślał Pedro. Zmilczał jednak. Była to sprawa dla admirała, nie dla pazia.

– Ona nie jest twoją służącą – rzekł Colon.

Pinzon zaśmiał się bezczelnie.

– Wszyscy ciemnoskórzy są sługami z natury.

– Gdyby tak było, nie musiałbyś ich bić dla uzyskania posłuchu. Dzielny to mężczyzna, który bije małe dziecko! Bez wątpienia będą układać pieśni o twojej odwadze.

To wystarczyło, żeby uciszyć Pinzona. Od tej chwili nie było już prób wykorzystywania Indian do osobistych posług. Wszyscy wiedzieli jednak, że Pinzon nie wybaczy ani nie zapomni pogardy w głosie admirała i upokorzenia. Pedro namawiał nawet Chipę, żeby odeszła.

– Odejść? – zapytała dziewczyna. – Nie mówisz wystarczająco dobrze w taino, żebyśmy mogła odejść.

– Pinzon cię zabije.

– Widząca w Ciemnościach mnie ochrom.

– Widzącej w Ciemnościach tu nie ma.

– A zatem ty mnie ochronisz.

– Och tak, już raz świetnie mi się to udało.

Nie mógł zapewnić Chipie bezpieczeństwa, a ona nie chciała odejść. Oznaczało to życie w ciągłym lęku, obserwowanie, jak marynarze patrzą na Chipę, jak szepczą za plecami admirała, jak przekazują Pinzonowi oznaki solidarności. Narastał bunt. Krew się poleje pod byle pretekstem. Pedro próbował uprzedzić o tym admirała, lecz został uciszony i usłyszał tylko, że

ludzie nie wystąpią przeciwko prawowitej władzy. Gdyby mógł w to uwierzyć!

Tego wieczora nadzorował majtków obsługujących oficerów. Nie znane owoce były już teraz znane, każdy posiłek stanowił prawdziwą ucztę. Wszyscy ludzie wyglądali jak okazy zdrowia. Na zewnątrz stosunki między admirałem i Pinzonem były doskonałe. W ocenie Pedra jedynymi ludźmi, na których Colon mógłby liczyć w niebezpieczeństwie, byli on sam, Segovia, Arana, Gutierrez, Escobedo i Torres. Innymi słowy, królewscy urzędnicy i paż. Majtkowie okrętowi i niektórzy z rzemieślników sercem byliby również po stronie Golona, nie ośmieliliby się jednak stanąć przeciwko marynarzom. Zresztą królewscy urzędnicy również nie byli lojalni osobiście wobec Golona. Ich lojalność dotyczyła tylko idei właściwego porządku i władzy. Nie, kiedy zaczną się kłopoty, Colon nie znajdzie u swego boku praktycznie nikogo.

Chipa nie przeżyje buntu. Sam ją zabiję, pomyślał Pedro, zanim pozwolę Pinzonowi położyć na niej łapy. Zabiję ją, a potem zabiję siebie. A dlaczego nie zabić Pinzona? Skoro myślę już o mordowaniu, to dlaczego nie wybrać tych, których nienawidzę, zamiast tych, których kocham?

Takie czarne myśli towarzyszyły Pedrowi, kiedy podawał kolejną miskę z plastrami melona Martinowi Pinzonowi. Pinzon mrugnął do niego okiem i uśmiechnął się. Wie, o czym myślę, i śmieje się ze mnie, pomyślał Pedro. Wie, że znam jego zamiary. Wie również, że jestem bezsilny.

Nagle potężna eksplozja wstrząsnęła powietrzem. Niemal w tej samej chwili ziemia zadrżała pod stopami Pedra i powalił go potężny powiew od strony morza. Paż upadł prosto na Pinzona i został obrzucony przekleństwami. Wkrótce Pinzon się zorientował, że upadku nie spowodowała niezgrabność chłopca. Wielu ludzi leżało na ziemi, od strony morza napłynął dym.

– “Pinta”! – krzyknął Pinzon. Wszyscy natychmiast podjęli okrzyk i pobiegli ku brzegowi, gdzie dym się kłębił.

“Pinta” nie płonęła. Po prostu jej nie było.

Wieczorna bryza stopniowo rozwiewała dym. Na brzegu stało dwóch marynarzy, którzy mieli trzymać wartę. Pinzon zaczął okładać ich płazem miecza, ale Colon kazał kilku ludziom go powstrzymać.

– Mój statek! – krzyczał Pinzon. – Coście zrobili z moim statkiem?

– Jeśli przestaniesz ich bić i wrzeszczeć – rzekł Colon – może powiedzą nam, co się stało.

– Mój statek jest zniszczony, a oni mieli go pilnować! – Pinzon próbował

wyrwać się ludziom, którzy go trzymali.

– To był mój statek, oddany mi przez króla i królową – powiedział Colon. – Czy zaczniesz zachowywać się jak szlachcic, panie?

Pinzon skinął wściekle głową i marynarze puścili go na znak Golona.

Jednym z wartowników był Rascon, współwłaściciel “Pinty”.

– Martin, przykro mi, lecz co mogliśmy zrobić? Kazał nam wsiąść do szalupy i wiosłować do brzegu. Potem kazał nam schować się za tą skałą. A potem statek wyleciał w powietrze.

– Kto wam kazał? – zapytał Colon, ignorując fakt, że Rascon zwrócił się do Pinzona, zamiast do admirała.

– Człowiek, który to zrobił.

– Gdzie on jest teraz?

– Nie mógł ujść daleko.

– Pobiegł w tamtą stronę – rzekł Gil Perez, drugi ze strażników.

– Señor Pinzon, proszę zorganizować pościg.

Pinzon mógł wreszcie ukierunkować swoją furię. Błyskawicznie podzielił ludzi na grupy poszukiwawcze, nie zapominając zostawić licznego oddziału do obrony obozu na wypadek ataku. Pedro nie mógł nie zauważyć, że Pinzon jest dobrym przywódcą, bystrym i mającym posłuch. To czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym w oczach Pedra.

Kiedy ludzie rozbiegli się na poszukiwania, Colon stał na brzegu, spoglądając na kawałki drewna unoszące się na falach.

– Nawet gdyby cały proch z ładowni “Pinty” wybuchł w jednej chwili, nie zniszczyłby statku tak kompletnie.

– Kto zatem to uczynił? – zapytał Pedro.

– Bóg – rzekł admirał. – Lub może diabeł. Indianie nie znają prochu strzelniczego. Jeśli znajdziemy tego człowieka, czy okaże się Maurem?

Zapamiętał klątwę kobiety z gór. Jedna klęska za drugą. Co mogło być większym nieszczęściem od utraty ostatniego statku?

Znaleźli go. Nie był Maurem ani Indianinem. Był biały i brodaty, wysoki, silny. Marynarze zdarli z niego dziwaczne szaty. Przyprawdzili go, z garotą wokół szyi, i zmusili, by klęknął przed admirałem.

– Musiałem powstrzymać ludzi, bo nie dotrwałby do spotkania z tobą, panie – rzekł Pinzon.

– Dlaczego to uczyniłeś? – zapytał Colon więźnia.

Mężczyzna odpowiedział po hiszpańsku – z silnym obcym akcentem, ale zrozumiale.

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o twojej ekspedycji, poprzysiągłem, że jeśli ci się uda, nigdy nie powrócisz do Hiszpanii.

– Dlaczego?

– Nazywam się Kemal. Jestem Turkiem. Nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem.

Marynarze zaczęli szemrać gniewnie. Niewierny! Poganin! Diabeł!

– Wrócę do Hiszpanii – powiedział Colon. – Nie powstrzymałeś mnie.

– Głupcze! Jak powrócisz do Hiszpanii, skoro jesteś otoczony przez wrogów?

– Ty jesteś jedynym wrogiem, niewierny psie! – ryknął Pinzon.

– Jak sądzisz, jak bym się tutaj dostał, gdybym nie miał pomocy od nich? – Ruchem głowy Kemal wskazał ludzi wokół siebie. Potem spojrzał Pinzonowi prosto w oczy i mrugnął.

– Kłamca! – wrzasnął Pinzon. – Zabijcie go! Zabijcie!

Marynarze trzymający Turka natychmiast wykonali polecenie, chociaż Colon podniósł głos krzycząc, by się powstrzymali. Było możliwe, że nie słyszeli go w ogólnym hałasie. Turek nie umierał długo. Zamiast go udusić, skrzyżowali garotę tak mocno, że złamali mu kark.

W końcu tumult ustał.

– Durnie! – rzekł Colon. – Zabiliście go zbyt szybko. Nic nam nie powiedział.

– Co mógł nam powiedzieć poza kłamstwami?! – krzyknął Pinzon.

Colon posłał mu długie, uważne spojrzenie.

– Nigdy się nie dowiemy, prawda? Niech się cieszą ci, których mógł wymienić jako swoich współników.

– O co mnie oskarżasz?!

– Nie oskarżyłem cię o nic.

Dopiero w tym momencie Pinzon zdał sobie sprawę, że jego zachowanie mogło budzić podejrzenia. Pokiwał głową.

– Rozumiem, admirale. Znalazłeś wreszcie sposób, by narazić moje dobre imię, nawet jeśli musiałeś wysadzić “Pintę”, by to osiągnąć.

– Uważaj, co mówisz do admirała. – Głos Segovii trzasnął niczym uderzenie bicia.

– Niech on uważa, co mówi do mnie. Nie musiałem przyprowadzać “Pinty” z powrotem. Dowiodłem mojej lojalności. Każdy człowiek tutaj mnie zna. Nie ja jestem obcy. Skąd wiemy, że ten Colon jest w ogóle chrześcijaninem, że jest Genuńczykiem? W końcu czarna wiedźma i mała suka tłumaczka znały jego rodzinny język, którego żaden ucziwy Hiszpan nie zrozumie.

Pinzon nie był obecny przy tych wydarzeniach, zauważył Pedro. Najwyraźniej dużo dyskutowano o tym, kto mówił w jakim języku i do kogo. Colon spojrzał spokojnie na Pinzona.

– Nie byłoby tej ekspedycji, gdybym nie poświęcił połowy życia przekonując do niej władców. Czy zniszczyłbym ją teraz, kiedy powodzenie jest tak blisko?

– I tak nigdy nie dowiozłbyś nas do domu! – wrzasnął Pinzon. – Dlatego wróciłem! Na wschód trzeba żeglować pod wiatr, mój brat i przyjaciele nie wróciliby do domu, bo nie jesteś dość dobrym żeglarzem.

Colon pozwolił sobie na uśmiech.

– Gdybyś był takim wspaniałym żeglarzem, wiedziałbyś, że na północ stąd przeważające wiatry wieją z zachodu.

– A skąd ty o tym wiesz? – Pogarda w głosie Pinzona była niebywała.

– Mówisz do dowódcy floty Ich Królewskich Wysokości! – zgromił go Segovia.

Pinzon zamilkł na chwilę; powiedział więcej, niż zamierzał.

– Kiedy ty byłeś piratem – rzekł Colon spokojnie – ja żeglowałem wzdłuż wybrzeża Afryki z Portugalczykami.

Po groźnym pomruku marynarzy Pedro poznał, że admirał popełnił duży błąd. Rywalizacja między marynarzami z Palos i żeglarzami portugalskiego wybrzeża była wyraźnie odczuwana, tym bardziej że Portugalczycy byli zdecydowanie lepsi, bardziej śmiali. Oskarżył też Pinzona o piracką przeszłość – cóż, tej zbrodni winne było całe Palos w czasie najtrudniejszego okresu wojny z Maurami, kiedy normalny handel był niemożliwy. Colon ośmieszył Pinzona jako nawigatora, ale jednocześnie stracił lojalność marynarzy.

– Zajmijcie się ciałem – polecił i ruszył w stronę obozu.

Posłaniec od Guacanagarego nie mógł powstrzymać się od śmiechu opowiadając historię śmierci Milczącego Człowieka.

– Biali ludzie są tak głupi, że najpierw go zabili, a dopiero potem zaczęli torturować!

Diko doznała ulgi słysząc te słowa. Kemal umarł szybko. A “Pinta” została zniszczona.

– Musimy obserwować wioskę białych ludzi – powiedziała. – Biali ludzie zwrócą się wkrótce przeciwko swojemu wodzowi, a my musimy dopilnować,

by Colon przyszedł do Ankuasz, a nie do żadnej innej wioski.

12 – SCHRONIENIE

Kobieta z gór rzuciła na niego klątwę, ale Cristoforo wiedział, że nie było to za sprawą czarów. Klątwa polegała na tym, że nie mógł myśleć o kimkolwiek innym poza nią, o czymkolwiek poza tym, co powiedziała.

Czy to możliwe, że była przysłana przez Boga? Czy była długo oczekiwanym potwierdzeniem, jakie otrzymał od czasu tamtej wizji na plaży? Wiedziała tak dużo... Znała słowa, jakimi zwrócił się do niego Zbawiciel. Język jego młodości z Genui. Jego poczucie winy wobec syna, którego zostawił na wychowanie zakonnikom z La Rabida.

A jednak trudno uwierzyć, że jest Bożą wysłanniczką. Anioły są oślepiająco białe, czyż nie? Tak ukazują ich artyści. Więc nie jest aniołem. Ale dlaczego Bóg przysłał mu kobietę – i to Murzynkę? Przecież czarne są diabły! W Hiszpanii było powszechnie wiadome, że czarni Maurowie walczą jak demony. Również wśród Portugalczyków nie było tajemnicą, że czarni dzikusy z wybrzeża Gwinei zajmują się magią i diabelskimi sztuczkami, a także rzucają klątwy w postaci chorób, szybko zabijających każdego białego, który odważy się postawić stopę na afrykańskim wybrzeżu.

Z drugiej strony jego celem było ochrzzczenie ludzi, których spotkał u celu swej wyprawy, czyż nie? Jeśli można ich było ochrzcić, to znaczy, że mogli być zbawieni. Jeśli mogli być zbawieni... Czy czarna kobieta miała rację? Czy po nawróceniu ci ludzie staną się chrześcijanami i będą mieli takie same prawa co Europejczycy?

Byli dzikusami. Chodzili nago. Nie potrafili pisać ani czytać.

Ale mogli się nauczyć.

Gdyby tylko potrafił spojrzeć na świat oczami swego pazia. Miody Pedro był najwyraźniej zafascynowany Chipą. Choć ciemnoskóra, niezgrabna i brzydka, miała jednak ładny uśmiech i nikt nie mógł zaprzeczyć, że bystrością nie ustępuje hiszpańskim dzieciom. Uczyła się o Chrystusie. Pragnęła być ochrzczona. Gdy to się stanie, czy nie będzie miała prawa do szacunku jak każdy chrześcijanin?

– Admirale – powiedział Segovia – musisz mnie wysłuchać. Źle się dzieje. Pinzon zachowuje się jak szaleniec – słucha tylko tych rozkazów, z którymi się zgadza, a ludzie słuchają tylko jego.

– I co powinienem zrobić twoim zdaniem? – zapytał Cristoforo. – Zakuć go w kajdany?

– To właśnie zrobiłby król.

– Król ma kajdany. Nasze są na dnie morza. Król ma również tysiące żołnierzy, by dopilnować, że jego polecenia zostaną wykonane. Gdzie są moi żołnierze, Segovia?

– Nie zmuszałeś dość stanowczo ludzi do posłuchu.

– Jestem pewien, że ty postąpiłbyś lepiej na moim miejscu.

– Nie jest to niemożliwe, admirale.

– Widzę, że duch niesubordynacji jest zaraźliwy – rzekł Cristoforo. – Bądź jednak spokojny. Jak powiedziała czarna kobieta na górze, czeka mnie jedna klęska za drugą. Może po następnym nieszczęściu awansujesz na stanowisko dowódcy tej wyprawy jako królewski inspektor.

– Nie mógłbym zachowywać się na tym stanowisku gorzej niż ty.

– Tak, z pewnością – rzekł Cristoforo. – Turek nie wysadziłby “Pinty”, a ty nasikałbyś na “Ninę” i ugasił pożar.

– Zapominasz, w czyim imieniu mówię!

– Bo ty zapomniałeś, z czyjej mocy działałam. Jeśli ty otrzymałeś władzę od króla, łaskawie pamiętaj, że ja mam większą władzę pochodzącą z tego samego źródła. Jeśli Pinzon postanowi zniszczyć resztki tej władzy, nie mnie jedyne będzie to dotyczyć.

Segovia odszedł, a Cristoforo ponownie pogrążył się w rozmyślaniach. Czego oczekuje od niego Bóg? Co powinien zrobić, by ludzie wrócili pod jego komendę? Pinzon kazał im budować statek, ale to nie są cieśle z Palos, lecz zwykli marynarze. Domingo jest dobrym bednarzem, ale zrobienie beczki to nie to samo co położenie kilu. Lopez jest smolarzem, a nie cieślą. Reszta ludzi ma zręczne ręce i chęć do pracy, ale brak im wiedzy, doświadczenia w budowaniu statku.

Muszą jednak spróbować. A jeśli nie powiedzie im się za pierwszym razem, będą musieli spróbować ponownie. Nie ma więc rozbieżności zdań między Cristoforo i Pinzonem w kwestii budowania statku. Rozbieżność dotyczy sposobu, w jaki marynarze traktują Indian, których pomocy potrzebują. Szczodry duch współpracy, jaki ludzie Guacanagarego wykazali przy rozładowywaniu “Santa Marii”, dawno się już ulotnił. Im bardziej Hiszpanie

im rozkazywali, tym mniej chętnie Indianie pracowali. Każdego dnia pojawiało się ich coraz mniej, a więc ową resztkę jeszcze bardziej wykorzystywano. Marynarze byli przekonani, że każdy Hiszpan, bez względu na rangę czy stanowisko, ma prawo wydawać polecenia – lub wymierzać razy – każdemu Indianinowi, bez względu na jego wiek, bez względu na...

Te myśli ona mi zaszczepiła, zdał sobie sprawę Cristoforo. Do czasu rozmowy z nią nie kwestionowałem prawa białych do rozkazywania kolorowym. Dopiero kiedy zatruła mi umysł jej dziwną interpretacją chrześcijaństwa, zacząłem dostrzegać, jak Indianie godnie opierają się niesprawiedliwemu traktowaniu. Gdyby nie ona, myślałbym o nich tak jak Pinzon, jako o nic niewartych, leniwych dzikusach. Teraz jednak widzę, że są spokojni, łagodni, nieskorzy do kłótni. W ciszy wytrzymują bicie – ale potem więcej się już nie pojawiają. Niektórzy wracają jednak, i to z własnej woli. Unikają najbardziej okrutnych z Hiszpanów, ale z całych sił pomagają pozostałym. Czyż nie to Chrystus miał na myśli, mówiąc o nadstawianiu drugiego policzka? Jeśli ktoś zmusza cię, żebyś przeszedł z nim milę, przejdź z nim drugą dobrowolnie – czyż nie tym właśnie jest chrześcijaństwo? Kto więc jest chrześcijaninem? Ochrzczeni Hiszpanie czy nie ochrzczeni Indianie?

Wywróciła jego świat do góry nogami. Indianie nie wiedzą nic o Jezusie, a jednak żyją według Jego przykazań, podczas gdy Hiszpanie, od stuleci walczący w imię Chrystusa, stali się ludźmi brutalnymi i żądnymi krwi. W okrucieństwie dorównują im pozostałe narody Europy. Jak choćby Genuńczycy o dłoniach splamionych krwią, z ich wendetami i morderstwami. Czy jest możliwe, że Bóg sprowadził go tutaj, nie by oświecić pogan, lecz się od nich uczył?

– Taino nie we wszystkim są lepsi od was – powiedziała Chipa.

– My mamy lepsze narzędzia – rzekł Cristoforo. – I lepszą broń.

– Taino zabijają ludzi dla bogów. Widząca w Ciemnościach powiedziała, że kiedy nauczysz nas o Chrystusie, zrozumiemy, że jeden człowiek umarł za wszystkich, by inne ofiary nie były już potrzebne. Wtedy Taino przestaną zabijać ludzi. A Karibi przestaną ich zjadać.

– Mój Boże! – wykrzyknął Pedro. – Są ludożercami?!

– Tak mówią ludzie z nizin. Karibi to okropne potwory. Taino są od nich lepsi. A my z Ankuasz jesteśmy lepsi od Taino. Ale Widząca w Ciemnościach powiedziała, że kiedy przybysz z za morza będzie gotowy nas

uczyć, przekonamy się, że jest najlepszy ze wszystkich.

– Dlatego że biały? Czy dlatego że Hiszpan? – zapytał Pedro.

– Nie, dlatego że taki jest Colon.

To tylko pochlebstwa, powiedział w duchu Colon. Chipę i mieszkańców Ankuasz nauczyła tak mówić Widząca w Ciemnościach. A ja chętnie tych pochlebstw słucham, bo równoważą złośliwe plotki, jakie szerzy się na mój temat wśród załogi. Widząca w Ciemnościach chce, żebym zaczął o mieszkańcach Ankuasz myśleć jak o moich ludziach.

A jeśli to prawda? A jeśli prawdziwym celem tej wyprawy było doprowadzenie mnie tutaj, do ludzi, których Bóg przygotował na przyjęcie słowa Chrystusa?

Nie, to niemożliwe. Bóg mówił o złocie, wielkich narodach, o krucjatach. Nie o małej wiosce w górach.

Powiedziała, że kiedy będę gotowy, pokaże mi złoto.

Musimy zbudować statek. Muszę utrzymać ludzi w ryzach, by zbudować statek, pożegłować do Hiszpanii i wrócić tutaj z większą siłą. Bardziej zdyscyplinowaną. Bez Martina Pinzona. Sprowadzę również księży, wielu księży, żeby uczyli Indian. Widząca w Ciemnościach będzie zadowolona. Wciąż mogę tego wszystkiego dokonać, jeśli tylko zdołam opanować sytuację do czasu zbudowaniu statku.

Putukam cmoknęła z z troskaniem.

– Chipa mówi, że sprawy mają się bardzo źle.

– Jak bardzo? – zapytała Diko.

– Chipa mówi, że młody chłopak, Pedro, ciągle błaga Colona, żeby uchodził. Niektórzy z majtków próbowali ostrzec Pedra, żeby on mógł ostrzec wodza. Chcą go zabić.

Kto?

– Nie pamiętam teraz imion, Widząca w Ciemnościach – odpowiedziała Putukam ze śmiechem. – Czy myślisz, że jestem tak bystra jak ty?

Diko westchnęła.

– Dlaczego on nie chce dostrzec, że musi odejść, że musi przyjść tutaj?

– Jest biały, ale jest też mężczyzną – odparła Putukam. – Mężczyźni zawsze myślą, że wiedzą lepiej, nie słuchają więc rad.

– Jeśli opuszczę wioskę, żeby zejść na dół i pilnować Colona, kto będzie nosił wodę? – zastanawiała się Diko.

- Wcześniej też nosiliśmy wodę. Dziewczęta robią się tłuste i leniwe.
 - Jeśli opuszczę wioskę, żeby pilnować Golona i bezpiecznie sprowadzić go tutaj, kto będzie strzegł mojego domu, by Nugkui nie wpuścił tutaj kogoś innego i nie rozdał moich narzędzi?
 - Baiku i ja będziemy na zmianę trzymali straż.
 - A zatem pójdę – powiedziała Diko. – Ale nie zmuszę go do przyjścia. Musi przyjść tutaj z własnej woli.
- Putukam spojrzała na nią beznamiętnie.
- Nie zmuszam ludzi do robienia czegokolwiek wbrew ich woli – oburzyła się Diko.
- Putukam uśmiechnęła się.
- Nie, Widząca w Ciemnościach. Po prostu nie zostawiasz ich w spokoju, dopóki nie zmienią zdania. Z własnej woli.

Bunt wybuchł rzeczywiście. Stało się to z powodu Rodriga de Triany; choć Rodrigo szczerze nienawidził Golona, który odebrał mu nagrodę za dostrzeżenie łądu, nie zaplanował jednak takiej zemsty. Wszystko zaczęło się, gdy Indianin imieniem Martwa Ryba przybiegł do Pedra i Chipy. Mówił tak szybko, że Pedro nie mógł go zrozumieć, chociaż robił postępy w nauce języka.

– Gwałcą Opierzoną Papugę – przetłumaczyła wzburzona Chipa. – Ona nie jest jeszcze kobietą. Jest młodsza ode mnie.

Pedro natychmiast zawołał do Caro, kowala, by powiadomił oficerów. Potem pobiegł za Chipą i Martwą Rybą poza palisadę.

Opierzona Papuga wyglądała jak martwa. Bezwładna niczym worek szmat. Nad nią stali Mojer i Clavijo, dwaj z kryminalistów, którzy zamustrowali się w nadziei na darowanie kary. To oni najwyraźniej dokonali gwałtu – ale Rodrigo de Triana i paru innych marynarzy z “Pinty” stało obok, śmiejąc się rubasznie.

– Przestańcie! – wrzasnął Pedro.

Mężczyźni spojrzeli na niego jak na pchłę na łóżku, którą trzeba strzepnąć.

– Ona jest tylko dzieckiem! – krzyknął na nich.

– Teraz jest już kobietą – powiedział Mojer, po czym wszyscy ponownie zarechotali.

Chipa ruszyła w stronę dziewczyny. Pedro próbował ją zatrzymać, ale wydawała się nie dostrzegać niebezpieczeństwa. Próbowwała minąć jednego z

mężczyzn, by dostać się do Opierzonej Papugi. Marynarz odepchnął ją – prosto w ręce Rodriga de Triany.

– Pozwólcie mi zobaczyć, czy jeszcze żyje – zaprotestowała Chipa.

– Zostawcie ją w spokoju – powiedział Pedro. Już nie krzyczał.

– Wygląda na to, że mamy ochotniczkę. – Clavijo przeciągnął palcami po policzku Chipy.

Pedro sięgnął po miecz, choć nie miał szans pokonać tych mężczyzn.

– Schowaj broń – usłyszał głos Pinzona za sobą.

Odwrócił się. Pinzon stał na czele grupy oficerów. Admirał był daleko w tyle.

– Puść dziewczynę, Rodrigo – nakazał Pinzon.

Rodrigo usłuchał. Chipa powinna uciec, lecz ruszyła ku dziewczynce, leżącej bez ruchu na ziemi. Położyła głowę na jej piersi, by wyczuć bicie serca.

– Wracajmy do obozu i bierzmy się do pracy – powiedział Pinzon.

– Kto jest za to odpowiedzialny? – zapytał ostro Colon.

– Już załatwiłem tę sprawę – odparł Pinzon.

– Doprawdy? Dziewczyna jest jeszcze dzieckiem. Popełniono zbrodnię. I do tego wielką głupotę. Czy myślisz, że Indianie będą nam teraz pomagać?

– Jeśli nie zrobią tego dobrowolnie – rzekł Rodrigo de Triana – zmusimy ich do roboty.

– A przy okazji weźmiemy ich kobiety i wszystkie zgwałcimy, tego byś chciał, Rodrigo? Czy tak powinni postępować chrześcijanie? – zapytał Colon.

– Jesteś admirałem czy biskupem? – szydził Rodrigo ku ucieście towarzyszy.

– Ja już sprawę załatwiłem, admirale – powtórzył Pinzon.

– Każąc im wrócić do pracy? Co uda nam się zdziałać, jeśli będziemy musieli bronić się przed Indianami?

– Ci Indianie to marni wojownicy. – Mojer zaśmiał się z lekceważeniem. – Mógłbym jedną ręką pokonać każdego mężczyznę z ich wsi, srając przy tym i gwiżdżąc.

– Ona nie żyje! – Chipa podniosła się znad ciała dziewczynki i chciała podejść do Pedra. Rodrigo de Triana chwycił ją za ramię.

– To nie powinno było się stać – rzekł do Colona. – Ale nie jest to też takie ważne. Jak powiedział Pinzon, wracajmy do pracy.

Pedro uznał, że admirał nie podejmie żadnych kroków. Przecież zignorował wiele innych pogardliwych uwag i zawołanych obelg, byle tylko zachować spokój. Pedro rozumiał to, jednak teraz płonął oburzeniem. Ludzie zaczęli się rozchodzić.

– Zabiliście tę dziewczynę! – krzyknął Pedro.

Chipa ruszyła ku niemu, ale Rodrigo chwycił ją ponownie. Powinienem był zamilczeć, pomyślał Pedro.

– Wystarczy! – uciał Pinzon. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Rodrigo nie miał zamiaru usłuchać.

– Nikt nie chciał, żeby umarła – powiedział.

– Gdyby była dziewczyną z Palos – rzekł Pedro – zabilibyście ludzi, którzy by to zrobili. Prawo by tego wymagało!

– Dziewczyny z Palos nie chodzą nagie – odparł Rodrigo.

– I ty uważasz się za człowieka cywilizowanego! – krzyknął Pedro. – Czemu nie pozwalasz Chipie pójść wolno? Ją też zabijesz?!

Poczuł dłoń admirała na swoim ramieniu.

– Chodź tutaj, Chipa – powiedział Colon. – Będę potrzebował twojej pomocy, żeby wytłumaczyć wszystko Guacanagaremu.

Rodrigo próbował ją powstrzymać, ale potem zobaczył, że nikt go nie popiera, i puścił dziewczynę, ale nie mógł odmówić sobie ostatniego słowa.

– A więc, Pedro, wychodzi na to, że jednak obmacujesz indiańskie dziewczyny!

Pedro chwycił za miecz, postąpił do przodu.

– Nigdy jej nie dotknąłem!

– Patrzcie, on zamierza bronić jej honoru! – drwił Rodrigo. – Myśli, że ta mała ciemna suka jest damą!

Marynarze zawtórowali mu śmiechem.

– Schowaj miecz, Pedro – rzekł Colon.

Pedro usłuchał, stanął obok Chipy i Colona.

Ludzie ponownie zaczęli się rozchodzić. Rodrigo wciąż podbechtywał marynarzy, niekiedy podnosząc głos.

– Miła rodzinka – mówił pośród śmiechów. A potem: – Genueńczyk zapewne też orze w niej bruzdę.

Admirał wydawał się go ignorować. Pedro wiedział, że to najmądrzejsze postępowanie, ale nie mógł zapomnieć o martwej dziewczynce leżącej na placu. Czy sprawiedliwość nie istnieje? Czy biali mogą postępować z Indianami tak podle i nikt ich nie ukarze?

Oficerowie pierwsi minęli bramę w palisadzie. Wkrótce dołączyli do nich pozostali. Mężczyźni, którzy brali udział w gwałcie – bezpośrednio bądź tylko jako obserwatorzy – szli ostatni. Gdy brama zamknęła się za nimi, Colon zwrócił się Arany, alguacila flotylli, urzędnika policyjno-sądowego:

– Proszę aresztować tych ludzi. Mój ero i Clavijo są winni gwałtu, a

Triana, Vallejos i Franco niewykonania rozkazu.

Może gdyby Arana się nie zawahał, sama siła głosu Golona wystarczyłaby do wymuszenia posłuchu. Ale zawahał się, a potem przez parę chwil patrzył wokół, zastanawiając się, kto karnie wykona rozkaz.

Rodrigo de Triana miał dość czasu na otrząśnięcie się ze zdumienia.

– Nie róbcie tego! – wrzasnął. – Nie słuchajcie go! Pinzon kazał nam już wracać do pracy. Czy pozwolicie Genuieńczykowi wychłostać nas z powodu drobnego wypadku?

– Aresztuj ich – powiedział Colon.

– Ty, ty, i ty – rzekł Arana. – Umieście Mojera i Clavija w...

– Nie róbcie tego! – wrzeszczał Rodrigo de Triana.

– Jeśli Rodrigo de Triana ponownie wezwie do buntu – powiedział Colon – nakazuję panu go zastrzelić.

– Tego chcesz, Colon! Wtedy nikt nie będzie kwestionował, że ty pierwszy zobaczyłeś ład tamtej nocy!

– Admirale – odezwał się Pinzon spokojnie. – Nie ma potrzeby grozić nikomu śmiercią.

– Wydałem rozkaz zaaresztowania pięciu marynarzy – rzekł Colon. – Czekam na jego wykonanie.

– A zatem będziesz piekielnie długo czekał! – krzyknął Rodrigo.

Pinzon dotknął ramienia Arany, dając mu znak, by się powstrzymał.

– Admirale – powiedział. – Pozwólmy, by wzburzenie opadło.

Pedro wstrzymał oddech, Segovia i Gutierrez byli wstrząśnięci. Pinzon właśnie się zbuntował, świadomie czy też nie. Stał pomiędzy admirałem a alguacilem i uniemożliwił Aranie wykonanie rozkazu Golona. Rzucił wyzwanie.

Colon zignorował go i przemówił do Arany:

– Czekam.

Arana zwrócił się do trzech mężczyzn, których wybrał wcześniej.

– Róbcie, jak wam kazałem.

Nie poruszyli się jednak. Patrzyli na Pinzona, czekali.

Pinzon nie wiedział, co zrobić. Zapewne nie wiedział, czego chce. Stało się teraz oczywiste, że dla marynarzy on jest jedynym dowódcą ekspedycji. A jednak był dobrym dowódcą i rozumiał, że utrzymanie dyscypliny jest niezbędne dla przeżycia. A jeśli chciał kiedyś powrócić do Hiszpanii, nie mógłby uczynić tego z buntem na swoim koncie.

Zarazem jednak, gdyby teraz usłuchał Golona, straciłby poparcie swoich

ludzi. Poczuliby się zdradzeni. Pomniejszyłoby go to w ich oczach.

A więc... co jest dla niego ważniejsze? Oddanie mężczyzn z Palos, czy też prawo morza?

Trudno przewidzieć, co by w końcu wybrał. Colon bowiem nie czekał, aż Pinzon podejmie decyzję, lecz powiedział do Arany:

– Najwyraźniej Pinzon uważa, że może decydować, czy rozkazów admirała należy słuchać, czy nie. Arana, zaaresztujcie Martina Pinzona za niesubordynację i bunt.

Podczas gdy Pinzon zastanawiał się, czy przekroczyć granicę, Colon rozpoznał prosty fakt, że już to uczynił. Cristoforo miał po swojej stronie prawo i sprawiedliwość. Pinzon jednak miał sympatię większości marynarzy. Gdy tylko Colon wydał rozkaz, ludzie podnieśli krzyk. Tłum chwycił Golona oraz oficerów i poniósł ich ku środkowi obozu.

Przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na Pedra i Chipę – marynarze najwyraźniej wystarczająco długo myśleli o buncie, by teraz wiedzieć, kogo muszą obezwładnić. Samego Golona, oczywiście, i królewskich urzędników. Również Giacomina Rico, agenta finansowego; Juana de la Cosę, ponieważ był Baskiem, a zatem nie można było mu ufać; również lekarza Alonso, artylerzystę Lequeitio i bednarza Domingo.

Pedro niepostrzeżenie przesunął się w stronę bramy. Był od niej o trzydzieści metrów, kiedy wiązano oficerów i lojalnych członków załogi, ktoś jednak mógłby zauważyć otwieranie bramy. Wziął Chipę za rękę i powiedział łamanym taino:

– Uciekniemy. Kiedy brama otwarta.

Uścisnęła mu dłoń na znak, że zrozumiała.

Pinzon najwyraźniej zdał sobie sprawę, że źle się stało – on i jego bracia nie zostali związani wraz z pozostałymi oficerami. Jeśli nie zabiją wszystkich urzędników królewskich, ktoś zezna przeciwko niemu w Hiszpanii.

– Zostawcie ich – powiedział donośnym głosem. – Uwolnijcie ich natychmiast!

– Daj spokój, Martin! – zawołał Rodrigo. – On oskarżył cię o bunt.

– Ale nie jestem winien buntowi – odparł Pinzon, mówiąc bardzo wyraźnie, by wszyscy mogli go usłyszeć. – Sprzeciwiam się tym działaniom. Nie pozwalam na uwięzienie królewskich urzędników i oficerów. Musicie mnie również związać.

Po chwili Rodrigo wreszcie zrozumiał.

– Hej, wy, ludzie, schwytajcie kapitana Pinzona i jego braci.

Wydał rozkaz tak naturalnie, jakby robił to co dzień.

Pedro z daleka nie potrafił dostrzec, czy Rodrigo mrugnął, lecz bez wątpienia wszyscy wiedzieli, że Pinzon jest wiązany tylko na własną prośbę. By ochronić go przed oskarżeniem o bunt.

– Nikomu nie róbcie krzywdy – nakazał. – Jeśli chcecie jeszcze zobaczyć Hiszpanię, nie róbcie nikomu krzywdy.

– Ten sukinsyn chciał mnie wy chłostać! – krzyknął Rodrigo. – Niech poczuje smak bicza!

Jeśli ośmielą się wychłostać Colona, zdał sobie sprawę Pedro, dla Chipy nie ma nadziei. Skończy jak Opierzona Papuga, chyba że on wyprowadzi ją poza palisadę, do lasu.

– Widząca w Ciemnościach będzie wiedziała, co zrobić – powiedziała Chipa spokojnie w taino.

– Cicho! – Pedro porzucił taino i mówił po hiszpańsku: – Gdy tylko otworzę bramę, biegnij co tchu i schowaj się w lesie.

Popędził ku bramie, odsunął rygiel.

– Brama! Zatrzymajcie go! Złapcie dziewczynę! Nie pozwólcie jej uciec do wsi! – podniosły się krzyki pomiędzy buntownikami.

Brama była ciężka, uchylił ją z trudem. Wydawało się, że trwa to wieki, chociaż minęło tylko parę chwil. Usłyszał huk muszkietu, ale kula nie uderzyła nigdzie w pobliżu – na tę odległość muszkiety nie były zbyt celne.

Chipa precisnęła się przez szparę, a sekundę później Pedro popędził za nią.

Indianka przemknęła lekko jak sarna przez polanę i skoczyła w zarośla na krawędzi lasu, prawie nie poruszając liści. Pedro w porównaniu z nią biegł jak wół, tupiąc ciężkimi buciorami, cały spocony; miecz obijał mu się o biodro i łydkę. Odgłosy pogoni wydawały się coraz bliższe. Wreszcie, ostatnim wysiłkiem, wskoczył w zarośla, które owinęły mu się wokół twarzy, chwyciły za gardło, próbując wypchnąć z powrotem.

– Przestań się tak szarpać, a nie będą mogli cię znaleźć – powiedziała Chipa.

Odkrył, że poruszając się powoli, z łatwością przeciska się między gałęziami i lianami, które go trzymały. Ruszył za dziewczyną ku drzewu z rozwidlonym konarem. Chipa bez wysiłku usadowiła się na nim.

– Wracają do obozu – stwierdziła.

– Nikt nas nie ściga? – Pedro był odrobinę rozczarowany. – Pewnie uważają, że nie jesteśmy ważni.

– Musimy sprowadzić Widzącą w Ciemnościach.

– Nie ma potrzeby – usłyszeli kobiecy głos.

Pedro rozejrzał się, ale nie potrafił stwierdzić, gdzie stoi czarna kobieta.

– Widząca w Ciemnościach! – krzyknęła Chipa. – Już tutaj jesteś!

Teraz Pedro też ją spostrzegł, ciemny kształt w mroku.

– Chodźcie ze mną – powiedziała. – To bardzo niebezpieczny moment dla Golona.

– Czy potrafisz ich powstrzymać? – zapytał Pedro.

– Bądź cicho i chodź.

Pedro musiał kierować się za Chipą, ponieważ Widząca w Ciemnościach zaraz znikła mu z oczu. Wkrótce znalazł się u podstawy wysokiego drzewa. Zerknąwszy w górę, ujrzał obie siedzące na wysokich gałęziach. Widząca w Ciemnościach trzymała w ręku dziwnie wyglądający muszkiet. Ale jaka broń mogła być skuteczna na taką odległość?

Diko patrzyła przez celownik karabinu usypiającego. Buntownicy rozebrali Cristofora do pasa i przywiązali go do narożnego słupa jednej z chat. Mojer przygotowywał się do wymierzenia chłosty.

Kim byli ci, których gniew napędzał tłum? Rodrigo de Triana, oczywiście, oraz Mojer i Clavijo. Kto jeszcze?

Zza jej pleców odezwała się Chipa:

– Jeśli byłaś w pobliżu, Widząca w Ciemnościach, to dlaczego nie pomogłaś Opierzonej Papudze?

– Obserwowałam obóz. Nic nie wiedziałam, dopóki nie zobaczyłam Martwej Ryby biegnącego po ciebie. Ale Opierzona Papuga żyje.

– Nie słyszałam bicia jej serca.

– Było bardzo słabe. Kiedy wszyscy biali odeszli, dałam jej lekarstwo. I posłałam Martwą Rybę, żeby sprowadził kobiety z wioski.

– Gdybym nie powiedziała wtedy, że Opierzona Papuga nie żyje, nic by się nie...

– I tak musiało się to stać, w ten czy inny sposób – odparła Diko. – Dlatego ciągle byłam w pobliżu.

Chipa uniosła się lekko na gałęzi, patrząc na obóz.

– Biją Golona!

Diko starannie wycelowała do Rodriga i nacisnęła spust. Rozległo się ciche puknięcie. Rodrigo drgnął. Diko wycelowała ponownie, tym razem do Clavija. Kolejne puknięcie. Clavijo podrapał się po głowie. Wycelowanie do Mojera było trudniejsze, ponieważ to on wymierzał razy. Wreszcie oddała

strzał. Celny. Mojer znieruchomiał i podrapał się po karku.

Była to broń ostatniej szansy. Małe, sterowane laserem pociski uderzały i odpadały natychmiast, zostawiając po sobie tylko strzałkę wielkości żądła osy. Narkotyk w kilka sekund docierał do mózgu ofiary, czyniąc ją pasywną i obojętną. Nie mógł nikogo zabić. Gdy przywódcy zapomną o wściekłości, reszta tłumu również powinna się uspokoić.

Cristoforo nigdy nie był tak bity, nawet jako chłopiec. Ból fizyczny był straszny, lecz Colon odkrył, że jest w stanie go znieść. Sapał bezwiednie z każdym uderzeniem, ale ból nie pokonał jego dumy. Nie ujrzą admirała błagającego o litość albo łkającego pod biczem.

Ku jego zaskoczeniu, chłosta zakończyła się po zaledwie kilku uderzeniach.

– Wystarczy – powiedział Mojer.

To było niewiarygodne. Jeszcze przed chwilą Mojer płonął gniewem, wrzeszczał, klął i groził Colonowi, że go zatłucze na śmierć.

– Odwiążcie go – rzekł Rodrigo. On również sprawiał wrażenie spokojniejszego. Niemal znudzonego. Tak jakby jego nienawiść nagle się wypaliła.

– Przykro mi, panie – szepnął Andres Yevenes, odwiązując pętle na nadgarstkach Golona. – Oni mieli pistolety. Co mogliśmy zrobić?

– Wiem, kto jest wobec mnie lojalny – odparł szeptem Cristoforo.

– Co robisz, Yevenes, mówisz mi, jakim jesteś dobrym chłopcem? – zapytał Clavijo.

– Tak – odparł Yevenes odważnie. – Nie jestem z wami.

– Twoja sprawa. – Rodrigo wzruszył ramionami obojętnie.

Cristoforo wprost nie mógł w to uwierzyć. Rodrigo i Mojer stali z otępiałym wyrazem twarzy. Clavijo leniwie drapał się po głowie.

– Mojer, pilnuj go – polecił Rodrigo. – Ty też, Clavijo. Wy macie najwięcej do stracenia, jeśli ucieknie. A wy, ludzie, umieście pozostałych w chacie Segovii.

Wykonali polecenie, ale wszyscy poruszali się wolniej, sprawiali wrażenie przybitych albo zamyślonych. Kiedy zabrakło furii Rodriga, najwyraźniej zaczęli mieć wątpliwości. Co się z nimi stanie, kiedy powrócą do Palos?

Dopiero teraz Cristoforo zdał sobie sprawę, jak mocno jest poraniony. Kiedy próbował zrobić krok, zakreśliło mu się w głowie od utraty krwi. Zachwiał się na nogach. Usłyszał, jak kilku ludzi mamrocze coś ze zdziwieniem. Jestem

na to za stary, pomyślał. Młodszy łatwiej by zniósł chłostę.

Po dotarciu do chaty Cristoforo położył się, a medyk Juan posmarował mu plecy jakąś obrzydliwą maścią i przykrył kawałkiem cienkiego płótna.

– Staraj się nie ruszać – powiedział, tak jakby trzeba było o tym przypominać. – Płótno będzie chroniło od much, toteż go nie zdejmuj.

Cristoforo leżał i rozmyślał. Chcieli mnie zabić. Byli rozjuszeni. A potem nagle stracili zapał, odrzucili bat. Duch Święty zmiękczył ich serca. Pan spogląda na mnie. Nie chce, żebym umarł już teraz.

Poruszając się wolno, delikatnie, Cristoforo przeżegnał się i pomodlił. Czy mogę jeszcze wypełnić misję, jaką mi zleciłeś, Panie? Nawet po gwałcie na tej dziewczynce? Nawet po tym buncie?

Słowa zadźwięczały mu w uszach, jakby słyszał głos czarnej kobiety: “Jedna klęska po drugiej. Dopóki nie nauczysz się pokory”.

Czy to miała być lekcja dla niego?

Późnym popołudniem kilku Indian z wioski Guacanagarego przedostało się przez palisadę – czy biali naprawdę myśleli, że te parę patyków powstrzyma ludzi, którzy od dzieciństwa wspinali się po drzewach? – i wkrótce powróciło z wiadomościami. Diko czekała na nich wraz z Guacanagarim.

– Pilnujący go ludzie zasnęli.

– Dałam im słabą truciznę – powiedziała Diko.

Guacanagari rzucił jej groźne spojrzenie.

– Nie wiem, dlaczego to wszystko cię obchodzi.

Pozostali nie podzielali jednak stosunku kacyka wobec czarnej szamanki z górskiej wioski Ankuasz. Bali się jej i byli przekonani, że jest w stanie podać truciznę każdemu i w każdym momencie.

– Guacanagari, rozumiem twój gniew – odrzekła Diko. – Ty i twoja wioska byliście dobrzy dla tych białych ludzi, a zostaliście potraktowani gorzej niż psy. Ale nie wszyscy biali ludzie są tacy. Biały wódz próbował ukarać tych, którzy zgwałcili Opierzoną Papugę. Dlatego źli ludzie odebrali mu władzę i tak go pobili.

– Nie był więc jednak takim wielkim wodzem – zauważył Guacanagari.

– Jest wielkim człowiekiem. Chipa i Pedro znają go dobrze.

– Dlaczego miałbym wierzyć białemu chłopcu i kłamliwej dziewczynie?

Ku zaskoczeniu Diko, Pedro na tyle poznał już język taino, by móc odpowiedzieć:

– Ponieważ my widzieliśmy na własne oczy, a ty nie.

Wszyscy uczestnicy narady wojennej, zebrani w lesie niedaleko obozu Hiszpanów, byli zaskoczeni faktem, że Pedro włada ich mową. Diko wiedziała, że są zaskoczeni, ponieważ nic po sobie nie pokazali, czekając w milczeniu, aż będą zdolni spokojnie przemówić. Ta pozornie bierna reakcja przypominała jej o Hunahpu i przez chwilę czuła okropny ból z powodu jego utraty. Stało się to wiele lat temu, powiedziała w duchu. Już odżałowałam.

– Truczna przestanie działać w pewnym momencie – rzekła do Indian. – Żli ludzie pomiędzy białymi przypomną sobie o gniewie.

– My też przypomnimy sobie o naszym gniewie – odezwał się jeden z młodych wojowników Guacanagarego.

– Jeśli zabijecie wszystkich białych, nawet tych, którzy nie zrobili nic złego, będziecie tacy sami jak oni. Przepowiadam, jeśli będziecie zabijać w szale, źle się to dla was skończy.

Powiedziała to spokojnie, ale w jej głosie brzmiała groźba. Indianie długo zastanawiali się w ciszy. Wiedzieli, że Widząca w Ciemnościach włada magiczną mocą i żaden nie był na tyle nieostrożny, by się jej otwarcie przeciwstawić.

– Czy zabraniasz nam być mężczyznami? Zabraniasz bronić naszej wioski? – zapytał Guacanagari.

– Nigdy nie zabroniłabym wam niczego – odparła Diko. – Proszę tylko, byście jeszcze poczekali i mieli oczy szeroko otwarte. Wkrótce biali ludzie zaczną opuszczać obóz. Sądzę, że pierwsi pojawią się ci, którzy chcą uratować swojego wodza. Potem inni dobrzy biali, którzy nie chcą was skrzywdzić. Musicie pozwolić im dotrzeć do mnie. Proszę, byście nic złego im nie zrobili. Jeśli będą szli do mnie, nie krzywdźcie ich.

– Nawet jeśli przyjdą tylko po to, by cię zabić? – zapytał Guacanagari. Było to podstępne pytanie, zostawiało wodzowi możliwość zabicia każdego pod pozorem chronienia Widzącej w Ciemnościach.

– Potrafię się obronić. Jeśli będą szli na górę, proszę, byście ich nie powstrzymywali. Będziecie wiedzieli, kiedy w obozie pozostaną sami źli ludzie. Każdy z was to pojmie. Kiedy nadejdzie ten dzień, zachowujcie się, jak przystało na mężczyzn. Ale nawet wtedy, jeśli którykolwiek z nich będzie chciał uciec na górę, proszę was, byście mu na to pozwolili.

– Ale nie ci, którzy zgwałcili Opierzoną Papugę – zaprotestował Martwa Ryba. – Nie ci, bez względu na to, gdzie uciekną.

– Zgadzam się – powiedziała Diko. – Dla nich nie ma schronienia.

Cristoforo obudził się w ciemnościach. Słyszał głosy na zewnątrz chaty. Nie rozróżniał słów, ale nie starał się przysłuchiwać. Teraz już rozumiał. Stało się to dla niego jasne we śnie. Zamiast śnić o własnym cierpieniu, śnił o dziewczynce, która została zgwałcona i zabita. We śnie ujrzał twarze Mojera i Clavija – takie ona musiała widzieć, przepełnione żądzą, szyderstwem i nienawiścią. We śnie błagał, by jej nie krzywdzili. Mówił im, że jest jeszcze dzieckiem. Nic ich nie powstrzymało. Nie mieli litości.

Ja tych ludzi tutaj przywiozłem, pomyślał. Nazywałem ich chrześcijanami. A łagodnych Indian nazywałem dzikusami. Widząca w Ciemnościach powiedziała prawdę. Ci ludzie są dziećmi Boga, czekającymi tylko na naukę i chrzest, by mogli stać się chrześcijanami. Niektórzy z moich ludzi również są warci, by stać się chrześcijanami. Pedro był mi przykładem przez cały czas. Nauczył się dostrzegać duszę Chipy, gdy pozostali widzieli tylko kolor jej skóry, brzydotę twarzy, dziwne maniery. Gdybym w swym sercu był taki jak Pedro, uwierzyłbym Widzącej w Ciemnościach i nie musiałbym cierpieć klęsk – utraty “Pinty”, buntu, chłosty. I najgorszej klęski ze wszystkich: wstydu z odrzucenia słowa Bożego, ponieważ posłaniec nie był taki, jakiego się spodziewałem.

Drzwi otworzyły się, a potem szybko zamknęły. Usłyszał niespieszne kroki.

– Jeśli przyszedłeś mnie zabić – rzekł – bądź mężczyzną na tyle, by okazać swą twarz.

– Cicho, panie, proszę – odpowiedział skryty w mroku człowiek. – Uwolnimy cię i wydostaniemy poza obręb obozu. A potem zaatakujemy tych przeklętych buntowników i...

– Nie chcę żadnej walki, żadnego rozlewu krwi.

– Co zatem? Czy mamy pozwolić tym ludziom rządzić nami?

– Pójdę do wioski Ankuasz na szczycie góry. Razem ze wszystkimi lojalnymi ludźmi. Zniknijcie po cichu, bez walki. Idźcie wzdłuż strumienia w górę zbocza – do Ankuasz. To schronienie przygotował dla nas Bóg.

– Ale jeśli buntownicy zbudują statek...

– Czy sądzisz, że buntownicy potrafiliby zbudować statek? – zapytał Cristoforo pogardliwie. – Nie mogą sobie nawzajem ufać.

– To prawda, panie. Już teraz niektórzy gadają pomiędzy sobą, jak to Pinzona interesowało tylko udowodnienie, że sam nie jest buntownikiem. Niektórzy pamiętają, że Turek oskarżył Pinzona o współpracę.

– Głupie oskarżenie – rzekł Cristoforo.

– Pinzon słucha, gdy Mój er i Clavijo rozmawiają o zabiciu ciebie, i milczy. A Rodrigo szaleje po obozie, przeklinając, że nie zabił cię dzisiaj po południu, panie. Musimy cię stąd wydostać.

– Pomóż mi się podnieść.

Ból był przenikliwy. Cristoforo poczuł, jak otwierają się świeżo zaschnięte rany. Krew pociekła mu po plecach.

– Ilu was jest? – zapytał.

– Większość majtków jest z tobą, panie. Byli zawstydzeni dzisiejszym zachowaniem Pinzona. Część oficerów mówi o układaniu się z buntownikami, a Segovia przez długi czas rozmawiał z Pinzonem, więc sądzę, że próbuje znaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie. Zapewne chce uczynić Pinzona dowódcą...

– Dość – przerwał Cristoforo. – Wszyscy są przestraszeni, wszyscy robią to, co uważają za najszuszniesze. Przekaż swoim przyjaciołom słowa następujące: Lojalni mi ludzie udadzą się na górę do Ankuasz. Będę tam czekał razem z Widzącą w Ciemnościach.

– Czarną wiedźmą?

– Więcej jest Boga w niej niż w nas, choć nazywamy się chrześcijanami – odparł Cristoforo. – Powiedz im wszystkim: Kto pragnie, bym po powrocie do Hiszpanii świadczył o jego lojalności, niech ucieknie stąd do Ankuasz.

Cristoforo był tylko w spodniach, koszulę zarzucił luźno na plecy. Nic więcej nie mógł na siebie włożyć, lecz w tak ciepłą noc nie powinien zmarznąć.

– Podaj mi miecz – powiedział.

– Czy zdołasz go unieść, panie?

– Jestem admirałem – odparł Cristoforo. – Pójdę z mieczem u boku. I niech wszyscy wiedzą – kto przyniesie moje dzienniki i mapy, po powrocie do Hiszpanii otrzyma nagrodę, o jakiej nawet nie śnił.

Wyszli na zewnątrz, rozglądając się ostrożnie. Wreszcie ujrzeli Andresa Yevenesa, machającego, by szli za nim. Dopiero teraz Cristoforo rozpoznał, kto do niego przyszedł. Był to Juan de la Cosa. Człowiek, którego tchórzliwa niesubordynacja doprowadziła do utraty “Santa Marii”.

– Odkupiłeś dzisiaj swoje grzechy, Juanie – rzekł Cristoforo.

Cosa wzruszył ramionami.

– Jestem Baskiem, nie zrozumiesz duszy Baska.

Wsparty na ramieniu de la Cosy, Cristoforo ruszył przez pusty plac w stronę palisady. W oddali słychać było śmiech i śpiewy pijanych marynarzy.

Dlatego tak słabo strzeżono więźnia.

Wkrótce dołączyli do nich następni: wszyscy majtkowie okrętowi oraz Escobedo, notariusz, niosący niewielką skrzynkę.

– Moje dzienniki – rzekł Cristoforo.

– Oraz mapy – powiedział Escobedo.

De la Cosa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Czy powinienem powiedzieć mu o nagrodzie, którą wyznaczyłeś, panie, czy sam to zrobisz?

– Kto idzie ze mną? – zapytał Cristoforo.

Byli wyraźnie zaskoczeni.

– Myśleliśmy, że tylko pomożemy ci przedostać cię przez palisadę – tłumaczył de la Cosa. – Nas nie chcą zabić...

– Będą wiedzieli, że sam nie zdołałbym tego zrobić. Większość z was powinna pójść ze mną teraz. W ten sposób unikniecie oskarżeń. Buntownicy uznają, że nie został w obozie nikt lojalny wobec mnie.

– Ja zostanę – rzekł Juan de la Cosa – by przekazać ludziom, co mi powiedziałaś. Pozostali niech idą.

Wciągnęli Cristofora na palisadę. Napiął ramiona w obronie przed bólem, przerzucił ciało na drugą stronę i skoczył na ziemię. Znalazł się twarzą w twarz z jednym z Indian. Rozpoznał Martwą Rybę, choć prawie niemożliwe było odróżnienie jednego Taino od drugiego w środku nocy. Indianin przyłożył mu palce do ust. Bądź cicho, mówił ten gest.

Reszta ludzi pokonała palisadę dużo szybciej niż Cristoforo. Skrzynka zawierająca mapy i dzienniki pokładowe została podana górą, a zaraz za nią pojawił się Escobedo.

– Jesteśmy już wszyscy – rzekł pisarz. – Bask wraca do ogniska, zanim ktoś zauważy jego nieobecność.

– Boję się o jego życie – rzekł Cristoforo.

– On bał się bardziej o twoje.

Wszyscy Indianie byli uzbrojeni, ale nie sprawiali wrażenia wrogo usposobionych. Martwa Ryba wziął Cristofora za rękę. Ruszyli w kierunku lasu.

Diko ostrożnie zdjęła bandaż. Rany goiły się szybko. Ze smutkiem pomyślała o niewielkiej ilości antybiotyków, jaka jej została. Cóż, na razie wystarczy, a przy odrobinie szczęścia nie będzie potrzebowała więcej.

Cristoforo otworzył oczy.

– A więc nie zamierzasz jednak spać bez końca – powiedziała Diko.

Próbował podnieść się z maty. Natychmiast opadł z powrotem.

– Wciąż jesteś słaby. Chłosta była ciężka, droga pod górę też dała ci się we znaki. Nie jesteś już młodzieńcem... Śpij dalej. Jutro poczujesz się lepiej.

Potrząsnął głową.

– Widząca w Ciemnościach... – zaczął.

– Możesz powiedzieć mi to jutro.

– Przepraszam – rzekł.

– Jutro.

– Jesteś córką Boga. – Mówił z trudem, z trudem nawet oddychał. – Jesteś moją siostrą. Jesteś chrześcijanką.

– Jutro – powtórzyła.

– Nie obchodzi mnie złoto.

– Wiem.

– Sądzę, że przybyłaś do mnie od Boga.

– Przybyłam, by pomóc ci uczynić chrześcijan z tutejszych ludzi. Poczynając ode mnie. Jutro zaczniesz nauczać mnie o Chrystusie, bym mogła jako pierwsza być ochrzczona w tej krainie.

– Po to tutaj przybyłem – wymamrotał.

Pogłaskała go po włosach, po ramionach, po policzku. Gdy zapadał z powrotem w sen, odpowiedziała mu tymi samymi słowami.

– Po to ja tutaj przybyłam.

Królewscy urzędnicy, oficerowie i paru kolejnych lojalnych marynarzy zjawilo się w Ankuasz. Cristoforo, zdolny już teraz zrobić kilka kroków, natychmiast przydzielił im pracę: pomagali Indianom w ich pracach, uczyli ich hiszpańskiego i sami poznawali język taino. Majtkowie okrętowi zabrali się do roboty bez żadnych protestów. Urzędnikom królewskim dużo trudniej było przełknąć dumę i pracować razem z mieszkańcami wioski. Nikt ich jednak nie przymuszał. Jak długo nie pomagali, byli po prostu ignorowani, aż wreszcie zdali sobie sprawę, że w Ankuasz stare hierarchiczne prawa nie mają zastosowania. Jeśli nie pomagasz, jakbyś nie istniał, nikt się z tobą nie liczy. A byli to ludzie przyzwyczajeni, by się z nimi liczone. Escobedo pierwszy zapomniał o swojej randze, Segovia ostatni, ale tego należało się spodziewać. Im większy ciężar urzędu, tym trudniej go porzucić.

Kurierzy przynosili wiadomości z doliny. Po zniknięciu królewskich urzędników Pinzon przejął dowództwo nad obozem, ale prace przy budowie nowego statku zarzucono. Wkrótce dały się słyszeć wieści o starciach pomiędzy Hiszpanami. Kolejni ludzie wymykali się poza palisadę i wspinali na górę. Wreszcie doszło do bitwy. Strzały słychać było aż w Ankuasz.

Tej nocy tuzin mężczyzn dotarł do wioski. Pośród nich był Pinzon, ranny w nogę i łkający, ponieważ jego brat Vicente, kapitan "Nini", został zabity. Gdy jego rana została opatrzona, publicznie poprosił admirała o przebaczenie, które bez oporów uzyskał.

W obozie pozostało dwudziestu paru ludzi. Zorganizowali wyprawę, by złapać kilku Indian i uczynić z nich niewolników. Wyprawa się nie powiodła, dwóch Taino i jeden Hiszpan ponieśli śmierć. Do Diko przybył posłaniec od Guacanagarego.

– Zabijemy ich teraz – powiedział. – Zostali sami źli ludzie.

– Przepowiedziałam Guacanagaremu, że będziecie wiedzieli, kiedy się to stanie. Ponieważ czekaliście, zostało ich niewielu, więc pokonacie ich z łatwością.

Buntownicy spali w otoczonym palisadą obozie, nie zachowując specjalnych środków ostrożności. Rano znaleźli wartowników martwych, a obóz pełen gniewnych i dobrze uzbrojonych Taino. Przekonali się, że łagodność Indian ma swoje granice.

Do letniego przesilenia roku 1493 wszyscy mieszkańcy Ankuasz zostali ochrzczeni, a Hiszpanie, którzy w wystarczającym stopniu opanowali język taino, mogli zalecać się do kobiet z Ankuasz lub innych wiosek. W miarę jak Hiszpanie poznawali zwyczaje Indian, również mieszkańcy wioski zaczęli uczyć się od Hiszpanów.

– Zapominają o tym, że są Hiszpanami – skarżył się Segovia pewnego dnia.

– Ale Indianie zapominają również, że są Indianami – odparł Cristoforo. – Razem zaczynają tworzyć inny lud, jakiego nie widziano dotąd na świecie.

– Co w nich tak cię zachwyca? – spytał zuchwale Segovia.

– Nie jestem pewien – odparł Cristoforo. – Chyba chrześcijańskie cnoty.

Rozmawiał z Widzącą w Ciemnościach każdego dnia przez długie godziny i stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że pomimo sekretów, jakie zna, i swych dziwnych mocy, Murzynka nie jest aniołem, nie jest żadną nadprzyrodzoną istotą. Była kobietą, wciąż młodą, chociaż o oczach pełnych bólu i mądrości. Była kobietą, jego przyjaciółką. I dlaczego miałoby go to dziwić? Zawsze miłość kobiet pchała go do wielkich czynów.

13 – POJEDNANIA

To spotkanie miało przejść do historii.

Cristobal Colon był Europejczykiem, który stworzył Ligę Karaibską, konfederację chrześcijańskich plemion zamieszkujących wszystkie ziemie otaczające Morze Karaibskie od wschodu, północy i południa.

Yax był królem Zapoteków, synem YaNaxhala, który zjednoczył plemiona zapoteckie i doprowadził do przymierza z imperium taraszańskim. Yax pokonał Azteków, a jego królestwo kowali żelaza i budowniczych statków osiągnęło najwyższy poziom cywilizacyjny znany na zachodniej półkuli.

Ich dokonania były zdumiewająco podobne. Obaj na podległych sobie ziemiach wykorzenili powszechną dotąd praktykę składania krwawych ofiar. Obaj rozpowszechnili nową religię, o formach tak zbliżonych, że jej scalenie nie wywołało żadnych napięć. Colon i jego ludzie przekazali tajniki europejskiej nawigacji i budowy statków Indianom Taino, a później również Karibom; pod panowaniem Yaxa zapoteckie statki pływały w dalekie misje handlowe, wzdłuż obu wybrzeży imperium zapoteckiego. Wyspy Morza Karaibskiego były ubogie w rudę żelaza, lecz po zjednoczeniu imperiów żyło jeszcze dostatecznie wielu marynarzy Golona znających się na obróbce tego metalu, by nauczyć Taraszańców sekretów rusznikarstwa.

Historycy uznali spotkanie dwóch władców w Chichen Itza za najdonioślejsze wydarzenie w historii. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby Aleksander zjednoczył swe państwo z Persami, zamiast ich podbijać. Gdyby Rzymianie i Partowie stali się jednym narodem. Gdyby chrześcijanie i muzułmanie, gdyby Mongołowie i Chińczycy...

Było to niewyobrażalne. Równie niewyobrażalne jak unia Ligi Karaibskiej i imperium zapoteckiego – lecz to zjednoczenie stało się faktem.

Na wielkim centralnym placu w Chichen Itza, gdzie niegdyś składano krwawe ofiary i torturowano ludzi na cześć bogów Majów, chrześcijanin Colon objął poganina Yaxa, a następnie go ochrzcił. Colon przedstawił swoją córkę i dziedziczkę, Beatriz Tagiri Colon, a Yax syna, YaHunahpu Ipoxтли. Młodym udzielono ślubu, Colon i Yax zaś abdykowali na rzecz swoich

dzieci. Oczywiście nadal sprawowali rzeczywistą władzę aż do śmierci, ale sojusz się utrzymał. Powstało państwo znane jako Karibia.

Było to mądrze zarządzane imperium. Wszystkie plemiona i grupy językowe zachowały samorządność, ale jednolite prawa zezwalały na swobodny handel i wolność poruszania się w granicach całego kraju. Chrześcijaństwo nie zostało ustanowione jako religia państwowa, lecz wprowadzono powszechne zasady społecznej własności ziemi i niestosowania przemocy, surowo zakazano składania ofiar z ludzi i niewolnictwa. Z tego powodu historycy datują początek ery humanistycznej na moment spotkania pomiędzy Yaxem i Colonom – letnie przesilenie roku 1519, według rachuby chrześcijańskiej.

Wpływ Europejczyków, biorąc pod uwagę, że Colon miał do swej dyspozycji tylko garstkę urzędników i marynarzy, był potężny. Ponieważ na Haiti nie znano wcześniej pisma, nie powinno dziwić, że hiszpański alfabet został zaadaptowany na potrzeby języków taino i karaibskiego, a później hiszpański przyjął się jako język handlowy i urzędowy na terenie całej Ligi Karaibskiej. W końcu język ten zawierał już słownictwo związane z chrześcijaństwem, wymianą handlową i prawem. A jednak pod żadnym względem nie był to europejski podbój. Hiszpanie porzucili ideę prywatnej własności ziemi, która wyrządziła tyle zła w Starym Świecie; nauczyli się tolerować inne kultury, religie i języki, nie próbując ujednoczyć ich na siłę. Kiedy zachowanie ekspedycji Golona w Nowym Świecie porówna się z działaniami inkwizycji, wyrzuceniem Żydów i wojną z Maurami w Hiszpanii, staje się jasne, że choć hiszpańska kultura dostarczyła kilku użytecznych narzędzi – lingua franca, alfabetu, kalendarza – nie zdominowała jednak nowej cywilizacji, gdyż Indianie nauczyli Hiszpanów, co to znaczy być chrześcijaninem.

Było jeszcze jedno podobieństwo między Yaxem i Colonom. Każdy z nich miał tajemniczego doradcę. Mówiono, że doradca Yaxa, Jeden Hunahpu, przybył z samego Xibalba i nakazał Yaxowi zakończyć praktykowanie ofiar z ludzi i poszukać ofiarnego boga, którym, jak później uznano, był Jezus Chrystus. Mentorką Golona była jego żona, kobieta tak ciemna, że twierdzono, iż jest Afrykanką, chociaż oczywiście nie mogło to być prawdą. Imię kobiety w języku taino brzmiało Widząca w Ciemnościach, ale Colon – i historia – poznały ją jako Diko; znaczenie tego imienia uległo zagubieniu. Jej rola nie była tak jasna dla historyków jak rola Jeden Hunahpu, choć wiadano, że kiedy Colon uciekł przed buntownikami, Diko przyjęła go do swej chaty, pomogła wrócić do zdrowia i przyjęła chrzest, umożliwiając mu rozpoczęcie wielkiej pracy nawracania ludów Morza Karaibskiego. Część

historyków spekulowała, że Diko położyła tamę brutalności Hiszpanów. Colon był jednak postacią tak potężną, że przesłaniał historykom ludzi żyjących w jego cieniu.

Tamtego dnia roku 1519, gdy oficjalne ceremonie dobiegły końca, a uczyty i zabawy na cześć ślubu i unii dwóch królestw trwały długo w noc, doszło do innego spotkania, które odbyło się bez świadków. Dwoje ludzi spotkało się na szczycie wielkiej piramidy Chichen Itza, na godzinę przed świtem.

Ona była tam pierwsza, czekała w ciemnościach. Kiedy on zjawił się na szczycie piramidy, przez chwilę oboje nie mogli dobyć z siebie głosu. Usiedli na matach, które ona przyniosła i rozłożyła na twardych kamieniach. On przyniósł trochę picia i jedzenia, którym się podzielili. Jedli w milczeniu.

Ona pierwsza się odezwała.

– Osiągnąłeś więcej, niż marzyliśmy, Hunahpu.

– Ty też, Diko.

Potrząsnęła głową.

– Wcale nie było to trudne. On się zmienił. Interwenci wybrali dobrze, czyniąc go swoim narzędziem.

– Czy my także uczyniliśmy go narzędziem?

– Nie, Hunahpu. Ja uczyniłam go swoim mężem. Mamy siedmioro dzieci. Nasza córka jest królową Karibii. Jestem szczęśliwa. A Xoc, twoja żona, wydaje się kochającą, dobrą kobietą.

– Jest taka. Jest też silna. – Uśmiechnął się. – Jedna z trzech najsilniejszych kobiet, jakie znałem.

Nagle łzy napłynęły Diko do oczu.

– Och, Hunahpu, czasem tak bardzo tęsknię za matką.

– Ja też za nią tęsknię. Wciąż widzę we snach, jak sięga, by pociągnąć za dźwignię.

Milczała przez chwilę.

– Hunahpu, czy zapomniałeś, że kiedyś się kochaliśmy?

– Nigdy nie zapomniałem. Nawet na jeden dzień. Nawet na godzinę.

– Zawsze myślałam: Hunahpu będzie dumny, że to robię. Czy to było nielojalne z mojej strony? Czekałam na dzień, kiedy będę mogła pokazać ci, co osiągnęłam.

– Któż inny oprócz ciebie mógł zrozumieć, czego dokonałem? Któż inny oprócz mnie mógł zrozumieć, jak wiele ty dokonałaś?

– Zmieniliśmy świat.

– Przynajmniej na razie. Ludzkość może znaleźć sposoby, by popełnić stare

błędy.

Wzruszyła ramionami.

– Czy powiedziałaś mu, kim jesteśmy i skąd przybyliśmy? – zapytał Hunahpu.

– Tyle, ile mógł zrozumieć. Wie, że nie jestem aniołem. I wie, że w innej wersji historii Hiszpania zniszczyła mieszkańców tych ziem. Płakał przez cały dzień, gdy to zrozumiał.

Hunahpu skinął głową.

– Próbowałem powiedzieć Xoc, ale ona nie widzi różnicy pomiędzy Xibalba i Instytutem Czasu. Bogowie czy naukowcy, nie ma to dla niej znaczenia. I wiesz, czasem nawet ja nie dostrzegam różnicy.

– Nie czułam się wcale jak pomiędzy bogami, kiedy tam byliśmy – powiedziała Diko. – Widziałam wokół siebie tylko matkę i ojca i ich przyjaciół.

– A dla mnie była to po prostu praca. Dopóki nie znalazłem ciebie. Albo ty nie znalazłaś mnie.

– To działo się bardzo dawno temu – powiedziała Diko kategorycznym tonem.

Znów długo milczeli.

– Czy to prawda, że nie popłyniesz z Colonom do Hiszpanii?

– Nie sądzę, by Hiszpania była gotowa na przyjęcie ambasadora ożenionego z Afrykanką. Nie wymagajmy zbyt wiele.

– On jest starym człowiekiem, Diko. Może nie przeżyć tej podróży.

– Wiem.

– Atetulka będzie stolicą Karibii. Zamieszkaś tam, dopóki on nie wróci?

– Hunahpu, nie spodziewasz się chyba, że w naszym wieku zaczniemy dawać zły przykład, prawda? Choć przyznaję, że ciekawi mnie dwanaście blizn, które według legendy nosisz na swoim... ciele.

Roześmiał się cicho.

– Nie, nie proponuję romansu. Kocham Xoc, a ty kochasz Colona. Czeka nas jeszcze wiele pracy, nie możemy ryzykować. Ale miałem nadzieję na twoje towarzystwo, na wspólne rozmowy...

Zastanowiła się, ale potrząsnęła głową.

– Byłoby to dla mnie... zbyt trudne. To już jest dla mnie zbyt trudne. Przypominasz mi o innym życiu. O czasie, kiedy byłam inną osobą. Może będziemy się spotykać raz na jakiś czas. Co parę lat. Popłynij na Haiti i odwiedź nas w Ankuasz. Moja Beatriz będzie chciała wrócić do domu w

góry. W Atetulka panują straszne upały.

– YaHunahpu bardzo chce pojechać na Haiti. Słyszał, że kobiety nie noszą tam ubrania.

– W niektórych wioskach nadal chodzą nagie. Ale jaskrawe kolory są w modzie. YaHunahpu będzie rozczarowany.

Hunahpu wyciągnął do niej dłoń.

– Nie jestem rozczarowany.

– Ja też nie.

Trzymali się za ręce przez długi czas.

– Wiele myślałem o tym trzecim, który zasłużył na miejsce na szczycie swej wieży – rzekł wreszcie Hunahpu.

– Też o nim myślałam.

– Przekształciliśmy kulturę, tak by Europa i Ameryka – Karibia – mogły się spotkać bez ryzyka zniszczenia którejs z nich. Ale to on dał nam czas na działanie.

– Umarł szybko – powiedziała Diko. – Zdążył jeszcze zasiać ziarno wątpliwości pośród Hiszpanów. Musiała to być niezwykła śmierć... lecz cieszę się, że mnie to ominęło.

Pierwszy blask świtu zajaśniał nad dżunglą na wschodzie. Hunahpu westchnął i wstał. Potem wstała Diko. Hunahpu zaśmiał się.

– Zapomniałem, jak jesteś wysoka.

– Trochę się już garbię.

Zeszli z piramidy oddzielnie. Nikt ich nie widział. Nikt nie przypuszczał, że się znają.

Cristobal Colon powrócił do Hiszpanii wiosną 1520 roku. Nikt już go oczywiście nie wyglądał. Opowiadano legendy o zniknięciu trzech karawel, które pożeglowały na zachód; nazwisko Colona stało się w Hiszpanii synonimem idei szalonej wyprawy.

Portugalczycy nawiązali kontakt z Indiami, ich statki dominowały teraz na wszystkich atlantyckich szlakach żeglugowych. Zaczynali właśnie badać wybrzeże dużej wyspy, którą nazwali wedle legendarnej krainy Hy-Brasil, i niektórzy mówili, że może to być wielki kontynent. Niedawno powrócił statek z wiadomościami, iż na północny zachód od pierwotnie odkrytych jałowych ziem znajduje się rozległa dżungla z rzeką tak szeroką i potężną, iż woda w oceanie jest słodka na dwadzieścia mil od jej ujścia. W dalekiej tej

krainie mieszkali prymitywni dzikusy. Łatwo ich byłoby podbić i wtrącić w niewolnictwo – byli o wiele mniej groźni od wojowniczych Afrykanów, których strzegły również choroby śmiertelne dla białych ludzi. Żeglarze lądujący w Hy-Brasil zapadali na zdrowiu, ale choroba trwała krótko, miała łagodny przebieg i nigdy nie zabijała. Kto ją przeszedł, twierdził, że teraz cieszy się żelaznym zdrowiem. “Zaraza” rozprzestrzeniała się teraz po Europie, ale nie pochłaniała żadnych ofiar; niektórzy mówili, że kiedy przeminie, ospa wietrzna i czarna śmierć nie będą już groźne. Pogłoski te sprawiały, że Hy-Brasil wydawała się krainą magiczną. Portugalczycy przygotowywali ekspedycję mającą zbadać wybrzeże i ustalić miejsce na założenie fortu. Być może, szalencie Colon nie był aż tak szalony. Jeśli na wybrzeżu żeglarze mogli uzupełnić zapasy, realne zdawało się dotarcie do Chin drogą na zachód.

Wtedy to flotylla tysiąca statków pojawiła się u wybrzeży Portugalii niedaleko Lagos, płynąc na wschód ku Hiszpanii, ku Cieśninie Gibraltarskiej. Portugalski galeon, który pierwszy zauważył obce statki, z początku śmiało ku nim popłynął. Kiedy stało się jasne, że okręty wypełniają morze od horyzontu po horyzont, kapitan podjął mądrą decyzję i popłynął ile wiatru w żaglach ku Lizbonie. Portugalczycy wystający na południowym wybrzeżu mówili, że trwało trzy dni, zanim cała flota przepłynęła przez cieśninę. Niektóre statki na tyle zbliżyły się do lądu, że można było dostrzec, iż marynarze mają skórę brązowego koloru i nie należą do żadnej znanej rasy. Obserwatorzy mówili również, że okręty są silnie uzbrojone; każdy z nich byłby godnym przeciwnikiem dla najpotężniejszego galeonu wojennego.

Portugalczycy nie ryzykowali i pozostali w porcie, podczas gdy nie znana flota przepływała przez ich wody. Jeśli był to nieprzyjaciel, lepiej go nie prowokować i tylko mieć nadzieję, że znajdzie jakieś lepsze ziemie do podbicia dalej na wschód.

Pierwszy z okrętów zacumował w Palos. Był to port, z którego wyruszył Colon, lecz nikt sobie tego nie skojarzył. Brązowoskórzy ludzie, którzy zeszli z okrętów, zaskoczyli wszystkich płynną hiszpańszczyzną, nie pozbawioną jednak nowych słów i obcego akcentu. Powiedzieli, że przybywają z królestwa Karibii, które leży na wielkiej wyspie pomiędzy Europą i Chinami. Załadali spotkania z mnichami z La Rabida. Świętym mężom wręczyli trzy skrzynie czystego złota.

– Jedna jest darem dla króla i królowej Hiszpanii za przysłanie do nas trzech statków dwadzieścia osiem lat temu – powiedział przywódca Karibian. –

Druga jest darem dla Kościoła Świętego, by przysłał misjonarzy do głoszenia Ewangelii w każdym zakątku Karibii każdemu, kto będzie chciał słuchać. Ostatnia zaś jest ceną, jaką zapłacimy za kawałek ziemi, bogatej w wodę i z dobrym dostępem do morza, gdzie zbudujemy pałac, w którym ojciec naszej królowej Beatriz Tagiri będzie mógł przyjąć wizytę króla i królowej Hiszpanii.

Niewielu zakonników w La Rabida pamiętało lata, gdy Colon był tam częstym gościem. Jeden wszelako pamiętał bardzo dobrze. Pozostawiono go tam, by odebrał wykształcenie, podczas gdy jego ojciec zabiegał o swoją sprawę na dworze, i potem, gdy popłynął na zachód w szaloną wyprawę. Ojciec nigdy nie powrócił; młodzieniec przyjął śluby i teraz był znany ze swej świątobliwości. Wziął przywódcę karibskiej delegacji na bok i rzekł:

– Mówiłeś o trzech statkach, które posłała do was Hiszpania. Dowodził nimi Cristobal Colon, czyż nie?

– Tak, zgadza się.

– Czy Colon przeżył? Czy nadal żyje?

– Nie dość, że żyje, ale jest ojcem naszej królowej Beatriz Tagiri. Dla niego zbudujemy pałac. A ponieważ pamiętasz go, przyjacielu, powiem ci, że w głębi serca nie buduje on tego pałacu dla króla i królowej Hiszpanii, chociaż ich tam przyjmie. Buduje ten pałac, by móc zaprosić syna, poznać jego losy i błagać o przebaczenie za to, że nie wracał przez te wszystkie lata.

– Ja jestem Diego Colon – powiedział mnich.

– Tak przypuszczałem. Jesteś do niego podobny.

– Powtórz mojemu ojcu – rzekł Diego – że los rozdzielił wiele rodzin i tylko niegodny syn żądałby od ojca przeprosin za powrót do domu.

Ziemia została zakupiona, siedem tysięcy Karibian zaczęło prowadzić handel w całej południowej Hiszpanii. Wywołali wiele komentarzy i niemało strachu, lecz sami twierdzili, że są chrześcijanami, wydawali złoto tak łatwo, jakby wykopywali je z ziemi niby piach, a ich żołnierze byli dobrze uzbrojeni i bardzo zdyscyplinowani.

Budowa pałacu dla ojca królowej Beatriz Tagiri trwała rok. Było to bardziej miasto niż pałac. Hiszpańskich architektów poproszono o zaprojektowanie katedry, klasztoru, opactwa i uniwersytetu; hiszpańscy robotnicy, sownicie opłacani, pracowali ramię w ramię z dziwnymi brązowoskórymi przybyszami z Karibii. Stopniowo kobiety, które przybyły wraz z flotą, zaczęły pokazywać się publicznie, ubrane w lekkie, barwne suknie przez całe lato; kiedy nadeszła zima, nauczyły się nosić cieplejsze hiszpańskie szaty. Gdy ostatnie prace

dobiegły końca i hiszpańscy monarchowie zostali zaproszeni do złożenia wizyty, miasto było zaludnione na równi przez Hiszpanów i Karibian, pracujących i modlących się razem.

Hiszpańscy uczeni kształcili karibiańskich i hiszpańskich studentów na uniwersytecie; hiszpańscy księża uczyli Karibian odprawiania mszy i łaciny; hiszpańscy kupcy przybywali do miasta, by sprzedawać jedzenie i inne towary, i wyjeżdżali z wieloma dziwnymi wyrobami rzemieślniczymi ze złota i srebra, miedzi i żelaza, sukna i kamienia. Dowiedziano się, że wielu Karibian nie jest chrześcijanami, lecz w ich kraju nie ma znaczenia, kto jest chrześcijaninem, a kto nie. Wszyscy byli równymi obywatelami, choć różnili się wiarą. Ta idea była zaiste dziwna, nikomu spośród warstwy rządzącej w Hiszpanii nie przyszło do głowy, by ją wprowadzać w życie, dopóki jednak poganie spośród Karibian nie szerzyli swojej wiary w chrześcijańskiej Hiszpanii, ich obecność można było tolerować. W końcu Karibianie mieli tyle złota. I tyle szybkich okrętów. I tak wiele doskonałych strzelb.

Kiedy król i królowa Hiszpanii przybyli z wizytą – w żałosny sposób próbując ukazać swój majestat pośród przepychu karibiańskiego miasta – otworzono przed nimi wrota do wielkiej sali tronowej. Z ceremoniałem zaprowadzono ich do dwóch tronów i poproszono, by na nich usiedli. Dopiero wtedy pojawił się ojciec królowej Karibian. Klęknął przed monarchami.

– Królowo Joanno – rzekł – przykro mi, że twoi rodzice nie dożyli mojego powrotu z ekspedycji, na którą wysłali mnie w roku 1492.

– A więc Cristobal Colon nie był szaleńcem – powiedziała królowa. – I nie było lekkomyślnością ze strony Izabeli, że go posłała.

– Nie, byłem prawdziwym sługą króla i królowej. Myliłem się jednak co do tego, jak daleko jest do Chin. Odkryłem krainę, jakiej żaden Europejczyk dotąd nie widział. – Na stole przed ich tronami postawił małą skrzynkę, wydobyl z niej cztery woluminy. – To mapy i dzienniki podróży, zawierające opis wszystkich moich działań od tamtego czasu. Moje statki zostały zniszczone i nie mogłem wrócić, jednak jak nakazała mi królowa Izabela, robiłem co w mojej mocy, by jak najwięcej ludzi zaprowadzić w służbę Chrystusa. Moja córka Beatriz Tagiri została królową, jej małżonkiem jest król YaHunahpu. Panuje w wielkiej Karibii. Tak jak wasi rodzice połączyli Aragonię i Kastylię poprzez swoje małżeństwo, tak moja córka i jej małżonek zjednoczyli dwa wielkie królestwa. Niech ich dzieci będą tak dobrymi i mądrymi władcami Karibii, jak wy jesteście dla Hiszpanii.

Colon słuchał, jak królowa Joanna i król Henryk wygłaszają kwieciste przemówienia przyjmując jego dzienniki. Jednocześnie przypomniał sobie to, co powiedziała mu Diko – że w innej historii, tej, w której powrócił do Europy z “Fintą” i “Niną”, jego odkrycie uczyniło Hiszpanię tak bogatą, że Joanna została poślubiona innemu mężczyźnie, który umarł młodo. Oszalała z rozpaczy i najpierw ojciec, a potem mąż rządzący w jej imieniu. Jakież to dziwne, pomyślał, że dzięki zmianom, jakich Bóg dokonał poprzez niego, ta wdzięczna królowa została ocalona przed szaleństwem. Nigdy się tego nie dowie, ponieważ on i Diko nigdy się nie zdradzą.

Przemówienia dobiegły końca, monarchowie ofiarowali Colonowi wiele wspaniałych – wedle standardów hiszpańskich – darów, by zawiózł je do króla YaHunahpu i królowej Beatriz Tagiri.

– Karibia to rozległy kraj – powiedział – i jest tam wiele miejsc, gdzie imię Chrystusa pozostaje jeszcze nie znane. Ziemia ta ma wiele bogactw i pragniemy rozwijać handel z Hiszpanią. Prosimy o przysłanie kapłanów, którzy będą nauczali naszych ludzi. Prosimy o przysłanie kupców, którzy będą z nimi handlowali. Ponieważ jednak Karibia jest krajem spokojnym, gdzie nie uzbrojony człowiek może przejść z jednego końca królestwa na drugie bez obaw, nie przysyłajcie żołnierzy. Moja córka i jej małżonek proszą was o wielką przysługę i powiadomienie wszystkich władców Europy, że ich kapłani i kupcy będą mile widziani, ale wszystkie statki, jakie wpłyną na karibiańskie wody niosąc na swym pokładzie broń, zostaną posłane na dno morza.

Ostrzeżenie było wystarczająco jasne – każdy je prawidłowo odczytał już w momencie, gdy tysiąc okrętów karibiańskiej floty po raz pierwszy ujrzano u wybrzeży Europy. Już doniesiono z dworu króla Portugalii, iż wszelkie plany zbadania Hy-Brasil zostały zarzucone. Cristoforo był pewny, że pozostali władcy będą równie roztropni.

Przygotowano i podpisano dokumenty, zaświadczające wieczny pokój i szczerą przyjaźń pomiędzy monarchami Hiszpanii i Karibii. Po ich podpisaniu nadszedł czas na zakończenie audiencji.

– Mam jeszcze tylko jedną prośbę do Waszych Wysokości – rzekł Cristoforo.

– To miasto znane jest wszystkim jako La Ciudad de los Caribianos. Jest tak, ponieważ nie mogłem nadać mu nazwy przed uzyskaniem zgody Waszych Wysokości na ochrzczenie go imieniem waszej wspaniałej królowej matki, Izabeli Kastylijskiej. Dzięki jej wierze w Chrystusa i jej zaufaniu do mnie to miasto zostało zbudowane i zaistniała przyjaźń pomiędzy Hiszpanią a

Karibia. Czy raczycie przychylić się do mej prośby?

Zgoda została chętnie udzielona. Joanna i Henryk pozostali jeszcze przez tydzień, by przewodzić ceremoniom nadania miastu imienia Izabeli.

Kiedy wyjechali, rozpoczęła się wytężona praca. Większa część floty miała wkrótce wrócić do Karibii z hiszpańskimi kapłanami i kupcami. Diego Colon zrezygnował z majątku, jaki zaproponował mu ojciec, i poprosił o włączenie do franciszkańskiego kontyngentu pośród misjonarzy udających się za morze. W wyniku dyskretnych poszukiwań ustalono miejsce pobytu drugiego syna Cristofora, Fernanda. Został on wychowany w rodzinie swojego dziadka, kupca z Kordowy. Cristoforo zaprosił Fernanda do Ciudad Isabella, gdzie oficjalnie uznał go za syna i obdarzył karibiańskim statkiem do przewozu towarów. Wspólnie postanowili nadać żaglowcowi nazwę "Beatriz de Kordowa", na cześć matki Fernanda. Fernando był uszczęśliwiony, kiedy dowiedział się, jak Cristoforo ochrzcił swoją córkę, która została królową Karibii. Wątpliwe, by Cristoforo zdradził mu kiedykolwiek, po której Beatriz jego córka dostała imię.

Cristoforo patrzył ze swojego pałacu, jak osiemset karibiańskich statków odpływa ku Nowemu Światu, unosząc jego dwóch synów w dwóch różnych misjach. Patrzył, jak kolejne sto pięćdziesiąt statków odbija w grupach po cztery lub pięć, wioząc ambasadorów i kupców do wszystkich portów Europy i wszystkich miast muzułmanów. Patrzył, jak ambasadorowie i książęta, wielcy kupcy, uczeni i ludzie Kościoła przybywają do Ciudad Isabella, by uczyć Karibian i uczyć się od nich.

Bóg spełnił obietnicę złożoną na plaży niedaleko Lagos. Dzięki Cristoforo miliony poznały Słowo Boże. Królestwa upadły u jego stóp, a bogactwa, jakie zdobył, były niewyobrażalne dla dziecka z Genui. Syn tkacza, który niegdyś lękał się okrutnych uczynków wielkich ludzi, sam stał się największym z nich i udało mu się osiągnąć to bez okrucieństwa. Cristoforo wielokrotnie na kolanach dziękował Bogu za okazaną mu dobroć.

Jednak w ciszy nocy, siedząc na balkonie i patrząc na morze, wracał myślami do swej zaniedbywanej żony Felipy; do swej cierplivej kochanki Beatriz w Kordowie; do pani Beatriz de Bobadilla, która umarła, zanim zdążył powrócić do niej tryumfalnie na Gomerę. Wracał myślami do swych braci i sióstr w Genui, którzy znaleźli się w grobie, zanim jego chwała mogła do nich dotrzeć. Myślał o latach, jakie mógł spędzić z synami, gdyby nigdy nie opuścił Hiszpanii. Czy nie ma tryumfu bez straty, bez bólu, bez smutku?

Potem pomyślał o Diko. Nie była kobietą jego marzeń; niekiedy podejrzewał,

że kochała kiedyś innego mężczyznę, którego utraciła tak samo, jak on utracił obie Beatriz. Diko była jego nauczycielką, jego współpracownicą, jego kochanką, jego towarzyszką, matką wielu dzieci, prawdziwą królową, kiedy tworzyli wielkie królestwo z tysiąca wsi na pięćdziesięciu wyspach i dwóch kontynentach. Kochał ją. Wiele jej zawdzięczał. Była dla niego darem od Boga.

A jednak marzył o jednej godzinie rozmowy z Beatriz de Bobadilla. Pragnął pocałować Beatriz z Kordowy raz jeszcze i słuchać, jak kochanka śmieje się głośno z jego opowieści. Chciał pokazać swe mapy i dzienniki Felipie, udowodnić, że jego szalona obsesja, przez którą tak cierpiała, przyniosła wspaniałe owoce.

Nie zdziałasz nic wielkiego, jeśli nie zapłacisz wielkiej ceny. Tak myślał Cristoforo spoglądając wstecz na swoje życie. Szczęście nie jest życiem bez bólu, lecz raczej życiem, gdzie w bólu rodzi się coś wartościowego. Tego właśnie nauczyłeś mnie, Panie.

Pedro de Salcedo i jego żona Chipa dotarli do Ciudad Isabella jesienią 1522 roku, przywożąc listy dla Colona od córki, od zięcia i, co najważniejsze, od Diko. Zastali starca drzemiącego na balkonie, pośród zapachu morza niesionego przez bryzę dającą nadzieję na deszcz z zachodu. Obudzili go delikatnie.

– Przywieźliśmy listy – rzekł Pedro.

Colon uśmiechnął się, położył sobie nie otwarte listy na kolanach. Zamknął oczy i znowu zapadł w drzemkę. Pedro i Chipa stali z boku, przyglądając mu się z miłością, wspominając dawne dni i wielkie osiągnięcia. Nagle Colon ocknął się, otworzył oczy i podniósł rękę, wskazując palcem na morze.

– Konstantynopol! – krzyknął.

Opadł z powrotem na fotel. Cóż to był za sen? – zastanawiali się.

Kilka chwil później przestał oddychać. Pedro pochylił się i pocałował swego dowódcę w czoło.

– Żegnaj, admirale – powiedział.

Chipa również ucałowała jego białe włosy.

– Idź do Boga, przyjacielu – szepnęła.

Odeszli, by powiadomić służbę pałacową, że wielki odkrywca nie żyje.

EPILOG

W roku 1955 karibiański archeolog prowadzący wykopaliska niedaleko miejsca przybycia Cristobala Golona zauważył, że znaleziona przez jego ekipę czaszka jest dziwnie ciężka. Zanotował to spostrzeżenie i parę tygodni później, kiedy wrócił na uniwersytet w Ankuasz, prześwietlił ją promieniami Roentgena. Zdjęcie ukazało metalową płytkę osadzoną we wnętrzu czaszki.

We wnętrzu czaszki? Niemożliwe! Po uważnym badaniu odkrył niewielki szew po operacji chirurgicznej. Cóż to była za technika chirurgiczna, po której został tak nikły ślad? W 1955 roku, nie mówiąc już o końcu piętnastego stulecia, podobne operacje nie były możliwe.

Tworząc dokumentację fotograficzną kolejnych działań, mając za świadków kilku asystentów, archeolog rozkroił czaszkę i wydobył płytkę. Była sporządzona z nieznanego stopu; późniejsze badania wykazały, że taki stop, wedle ogólnej wiedzy, nigdy nie istniał. Nie to było jednak najbardziej zdumiewające. Gdy bowiem wydobyto płytkę z czaszki, okazało się, że implantem są cztery cieniutkie blaszki, każda gęsto zapisana – mikroskopijnie drobnym drukiem. Zapisu dokonano w czterech językach – po hiszpańsku, rosyjsku, chińsku i arabsku. Tekst pełen był omówień, ponieważ zawierał informację, którą niełatwo ująć w słownictwo z 1500 roku. Wiadomość jednak była jasna. Mówiła, na jakiej częstotliwości radiowej trzeba nadać sygnał, by uruchomić czujnik ukrytego archiwum.

Sygnał wysłano w eter. Archiwum zostało odnalezione. Treść dokumentów była nieprawdopodobna, a jednak nikt nie mógł w nią wątpić, samo archiwum bowiem było wyraźnie produktem technologii, jaka nigdy nie istniała na Ziemi. Odnaleziono dwa pozostałe archiwa. Razem opowiadały historię – nie tylko stuleci i tysiącleci ludzkiego życia przed rokiem 1492, lecz także dziwną i przerażającą historię, jaka się nie wydarzyła, w okresie pomiędzy rokiem 1492 i stworzeniem archiwów. Jeśli dotychczas istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do autentyczności znaleziska, zostały rozwiane, gdy wykopaliska prowadzone w miejscach wyszczególnionych w archiwach doprowadziły do spektakularnych odkryć potwierdzających wszystkie fakty.

Czy kiedyś istniała inna historia? Nie, dwie inne historie, obie wymazane przez interwencje w przeszłości?

Nagle legendy i pogłoski o żonie Golona, Diko, i mentorze Yaxa, Jeden Hunaphu, zaczęły nabierać sensu. Jeszcze bardziej tajemnicze opowieści o Turku, który rzekomo wysadził w powietrze “Pintę” i został zabity przez

marynarzy Golona, wydobyto na światło dzienne i porównano z planami, o których mówiły archiwa. Najwyraźniej wszyscy trzej podróżnicy zdołali dotrzeć w przeszłość. Najwyraźniej im się powiodło.

Dwoje z podróżników miało już swoje grobowce i pomniki. Pozostało tylko zbudować trzeci grobowiec na wybrzeżu Haiti, umieścić w nim czaszkę i wyryć na płycie imię Kemala, datę urodzenia, która miała nadejść za wiele stuleci, a jako datę śmierci – rok 1492.

ŹRÓDŁA

Michael F. Brown, *Tsewa's Gift: Magic and Meaning in an Amazonian Society*, Smithsonian Institution Press 1985. Choć Brown bada kulturę nie związaną bezpośrednio z żadnym z ludów basenu Morza Karaibskiego, jego analiza użycia magii wydała mi się bardzo interesująca; w celu wykorzystania elementów tej kultury magicznej uczyniłem Ankuasz reliktem kultury pretainańskiej, która bez wątpienia mogła mieć wspólne korzenie z plemieniem badanym przez Browna nad górną Amazonką.

Geoffrey W. Conrad, Arthur A. Demarest, *Religion and Empire*, Cambridge University Press 1984. Znacząca praca podkreślająca rolę religii i ideologii w powstaniu dwóch wielkich imperiów Ameryki, które Europejczycy odkryli – i podbili – w XVI wieku. Teoria autorów jest nie tylko przenikliwa i często całkiem przekonująca, jest również przykładem perspektywy racjonalnej: Conrad i Demarest nie uważają, że ich teoria wyjaśnia “wszystko”, jak to się nazbyt często dzieje. Sądzą jedynie, że wyjaśniają rzecz przynajmniej częściowo, i że inne wyjaśnienia nie biorące pod uwagę religii i ideologii są niewystarczające, co wydaje się oczywiste, choć oba te czynniki są często ignorowane bądź lekceważone przez historyków, dziennikarzy, archeologów czy nawet antropologów kultury, którzy powinni zachować większą ostrożność.

Gianni Granzotto, *Christopher Columbus*, University of Oklahoma Press 1985. Najlepiej napisana i najbardziej zrównoważona z biografii Kolumba, jakie czytałem. Granzotto nie osądza Kolumba wedle naszych dzisiejszych standardów ani go nie idealizuje; z książki wyłania się najlepszy obraz

żywego człowieka możliwy do odmalowania wyłącznie dzięki dokumentom i przypuszczeniom.

Francine Jacobs, *The Tainos: The People Who Welcomed Columbus*, Putnam 1992. Dopiero książka dla dorastającej młodzieży, wydana długo po terminie, w jakim powinienem był oddać wydawcy moją ukończoną powieść, dostarczyła mi szczegółów codziennego życia i polityki plemiennej mieszkańców Hispanioli. Styl nie jest oczywiście naukowy, lecz informacje są cenne, i chociaż moim zamierzeniem było wymazanie wydarzeń opisywanych przez Jacobs, polecam tę książkę wszystkim, którzy chcą wiedzieć, co naprawdę działo się w naszej wersji historii.

Alvin M. Josephy Jr., *America in 1492: The World of the Indian Peoples Before the Arrival of Columbus*, Knopf 1991. Gdybym ukończył moją książkę w terminie, musiałbym obejść się bez pomocy tego doskonałego dzieła na temat kultur rdzennych Amerykanów. Poza konkretnymi szczegółami dotyczącymi dawno wymarłych szczepów rejonu Morza Karaibskiego, dało mi ono również rzetelne podstawy w kwestiach ogólnych, jakimi Instytut Czasu mógłby się zajmować – jednak wnioski wyciągane przez bohaterów książki na temat kultur Ameryki są dziełem albo moim, albo samych postaci; jeśli są tam jakieś błędy, Josephy i jego współpracownicy są odpowiedzialni wyłącznie za fakt, że nie zbłądziłem jeszcze bardziej.

Linda Schele, David Freidel, *A Forest of Kings: The Untold Story of the Ancient Maya*, Morrow 1990. Mój przyjaciel, Dave Dollahite, wcisnął mi tę książkę do ręki, chociaż upierałem się, że zajmuję się Aztekami, a nie Majami. Dave okazał się mądrzejszy ode mnie. Aztekowie byli świadomi swej kulturowej zależności od Tolteków, a przed nimi od Majów, i ta doskonała książka pozwoliła mi zapoznać się z umysłowością rdzennych mieszkańców Ameryki Środkowej. Autorzy piszą w sposób rygorystycznie naukowy, bez nadmiernego jednak zaciemniania obrazu, a ich lojalność względem kultury Majów czyni tę pozycję czymś w rodzaju spojrzenia od wewnątrz. Obiektywizm autorów idzie czasem za daleko, gdy raz na jakiś czas porzucają swój moralnie neutralny pogląd na kulturę krwawych ofiar i przyjmują postawę przepraszącą, a okazjonalnie nawet aprobującą. Kiedy cierpienia ofiar tortur i krwawych rytuałów stają się zaledwie “przykre”, czytelnik pojmuje, że istnieje coś takiego jak nadmierny dystans moralny wobec danego tematu. Jednak nawet ten wątek sprawił, że dzieło *A Forest of Kings* było dla mnie niezmiernie cenną lekturą: obserwowanie, jak współcześni amerykańscy autorzy dochodzą do akceptacji kultury krwawych

ofiar, pomogło mi zrozumieć, w jaki sposób Majowie mogli ją zaakceptować. Popol Vuh, Simon & Schuster, 1985. [Wyd. polskie: Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980]. Tłumaczenie świętej księgi Majów, prawdziwie obcej mitologii. Książka ta jest nieocenioną pomocą dla kogoś, kto pragnie wczuć się w kulturę i umysłowość ludów Ameryki Środkowej z okresu przybycia Hiszpanów. Historia braci Jeden Hunahpu i Siedem Hunahpu pochodzi bezpośrednio z tego tekstu; żałuję jedynie, że nie mogłem zamieścić dłuższej jej wersji.

Tzvetan Todorov, The Conquest of America, Harper & Row 1984. Ta książka sprawiła, że zapragnąłem napisać powieść o Kolumbie. Przeprowadzona przez Todorova analiza przeciwstawnych kultur, różnic w sposobie myślenia Indian i Europejczyków, które doprowadziły do podboju Ameryki – a przede wszystkim jego spojrzenie na Kolumba, Korteza i Montezumę – wydała mi się prawdziwa i rozświetliła wiele z tajemniczej dotąd dla mnie przeszłości Ameryki. Jest to nie tylko mądry esej na temat kultur pozostających w konflikcie, lecz także podręcznik myślenia o umysłowości społecznej.

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>PODZIĘKOWANIA..</u>	<u>5</u>
<u>PROLOG..</u>	<u>6</u>
<u>1 – PANI GUBERNATOR..</u>	<u>6</u>
<u>2 – NIEWOLNICZY..</u>	<u>12</u>
<u>3 – PRAGNIENIE..</u>	<u>29</u>
<u>4 – KEMAL..</u>	<u>40</u>
<u>5 – WIDZENIE..</u>	<u>52</u>
<u>6 – DOWODY..</u>	<u>62</u>
<u>7 – CO MOGŁOBY SIĘ WYDARZYĆ..</u>	<u>75</u>
<u>8 – MROCZNA PRZYSZŁOŚĆ..</u>	<u>101</u>
<u>9 – POŻEGNANIA..</u>	<u>127</u>
<u>10 – POWITANIA..</u>	<u>130</u>
<u>11 – KONFRONTACJA..</u>	<u>156</u>

12 – SCHRONIENIE.. 170

13 – POJEDNANIA.. 182